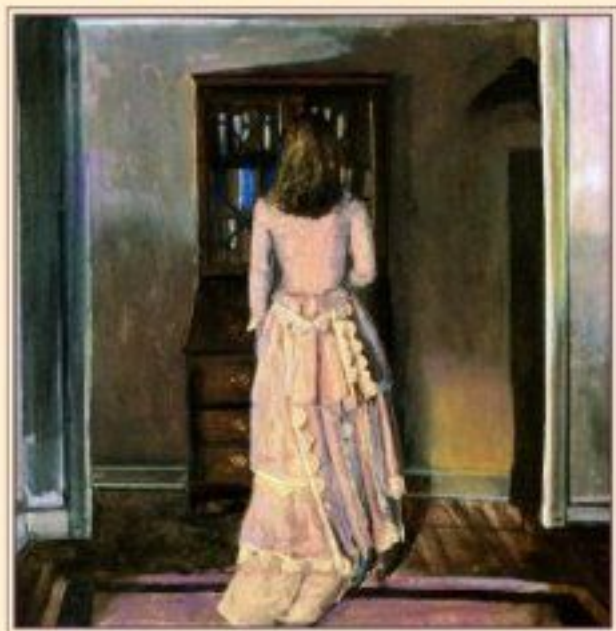


SARAH WATERS



Niebanalna więź

Prószyński i S-ka

BIBLIOTEKA INTERESUJĄCEJ PROZY
BIP

Sarah Waters urodziła się w 1966 r. Jest znawczynią powieści wiktoriańskiej. Zrobiła doktorat z literatury brytyjskiej. Akcja jej dotychczas wydanych powieści jest osadzona w XIX-wiecznej Anglii.

Sarah Waters otrzymała nagrodę British Book Awards w kategorii Autor 2003 roku.

W roku 2002, za książkę „Złodziejka”, otrzymała nagrodę Stowarzyszenia Autorów Powieści

Kryminalnych w dziedzinie kryminalnej powieści historycznej. Prestiżowy kwartalnik „Granta” przyznał autorce tytuł Najlepszego spośród Młodych Brytyjskich Powieściopisarzy 2003 r.

Londyn, 1874 rok. Panna Margaret Prior, inteligentna młoda dama z towarzystwa, przeżywa trudne chwile po śmierci ojca. Aby odzyskać równowagę psychiczną, postanawia zająć się działalnością dobroczynną. Zostaje „dumą wirytującą” – zaczyna odwiedzać więźniarki w Millbank, najsurowszym zakładzie karnym wiktoriańskiego Londynu. Wśród pospolitych złodziejek, morderczyń i ulicznie spotyka dziewiętnastoletnią Selinę Dawes, która do niedawna święciła triumfy w towarzystwie jako nadzwyczaj uzdolnione medium. Trzeźwa i rozsądna Margaret bardzo sceptycznie odnosi się do osobliwego „talentu” dziewczyny. Stopniowo jednak zostaje wciągnięta w mroczny świat duchów i cieni, wielkich emocji i namiętności. Między obiema młodymi kobietami powstaje szczególna więź.

PATRONAT MEDIALNY



Informacje o naszych książkach
można znaleźć w witrynie internetowej
www.proszynski.pl

Cena 29,90 zł

ISBN 83-7337-841-3



9 788373 378414

SARAH WATERS



NIEBANALNA WIĘŹ

Przełożyła: I. S. Jan



SARAH WATERS (ur. 1966) – autorka czterech powieści („Muskając aksamit”, „Niebanalna więź”, „Złodziejka”, „Pod osłoną nocy”, wszystkie ukazały się nakładem Prószyński i S-ka), znawczyni powieści wiktoriańskiej. Mieszka w Londynie.

W roku 2002 za powieść „Złodziejka” otrzymała nagrodę Stowarzyszenia Autorów Powieści Kryminalnych w dziedzinie kryminalnej powieści

historycznej. Pisarkę uhonorowano również British Book Award w kategorii Autor 2003 roku.

NIEBANALNA WIĘŹ

Londyn, 1874 rok. Margaret Prior, inteligentna, niezależna młoda dama, aby odzyskać równowagę psychiczną po śmierci ojca, zaczyna odwiedzać więźniarki odsiadujące karę w ponurym zakładzie Millbank. Tam, wśród pospolitych złodziejek, morderczyń i ulicznic, spotyka Selinę Dawes, która do niedawna święciła triumfy w londyńskim towarzystwie jako nadzwyczaj uzdolnione medium. Początkowo Margaret sceptycznie odnosi się do „talentu” dziewczyny. Potem jednak stopniowo zaczyna wkraczać w świat duchów i cieni. Między obiema młodymi kobietami wytwarza się niezwykła więź..



Waters w sugestywny sposób kreuje hermetyczny świat więzienia, które w kafkowski sposób zaczyna rządzić życiem bohaterów, zaczyna się śnić, uzależniać, narzucać swoje rytmy nawet poza murami. Jednocześnie pisarka umiejętnie nakreśla portret psychologiczny nieco niezrównoważonej, a może po prostu zbyt wrażliwej dziewczyny. Intrygujące są elementy mistyczne, cały kontekst spirytualistyczny: tajemne księgarenki z odlewami duchów, wyczerpujące seanse, iluzjonistyczne sztuczki.


„Gazeta Wyborcza”

Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-7648-018-3



9 788376 480183

 www.proszynski.pl



SARAH WATERS

**Niebanalna
więź**

Przełożyła

Magdalena Gawlik–Małkowska

Prószyński i S-ka



Tytuł oryginału:

AFFINITY

Copyright © Sarah Waters 1999

Projekt okładki:

Dorota Malinowska

Barbara Wójcik

Ilustracja na okładce:

John Collier

Redakcja:

Ewa Witan

Redakcja techniczna:

Elżbieta Urbańska

Korekta:

Mariola Będkowska

Łamanie:

Małgorzata Wnuk

ISBN 83-7337-841-3

Biblioteczka Interesującej Prozy

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

Drukarnia Naukowo-Techniczna Spółka Akcyjna

03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Dla Caroline Halliday

Podziękowania

Przesyłam podziękowania Laurze Gowing, Judith Murray, Hanyi Yanagihara, Julie Grau, Sally Abbey, Sally O-J, Judith Skinner, Simeonowi Shoulowi, Kathy Watson, Leonowi Feinsteinowi, Desie Philippi, Carol Swain, Judy Easter, Bernardowi Golfierowi, Joy Toperoff, Alanowi Melzakowi oraz Ceri Williams.

Praca nad "Niebanalną więzią" została częściowo sfinansowana przez London Arts Board New London Writers Award, za co również jestem głęboko wdzięczna.

3 sierpnia 1873

Nigdy w życiu tak się nie bałam. Zostawili mnie w ciemności; piszę przy nikłym świetle padającym z okna. Zaprowadzili do mojego pokoju, drzwi zamknęli na klucz. Kazali to zrobić Ruth, ale odmówiła. "Jak to – spytała – mam zamknąć własną panią, która niczemu nie zawiniła?". Wreszcie lekarz zabrał jej klucz i sam zamknął drzwi, a następnie odprawił Ruth. W domu huczy od głosów, wszyscy powtarzają moje imię. Gdy przymykam oczy i nasłuchuję, zdaje mi się, że to zwykła noc. Jakbym czekała, aż przyjdzie pani Brink i zaprowadzi mnie na dół, a Madeleine lub inna dziewczyna będzie się rumienić i myśleć o Peterze, o jego czarnym, sumiastym wąsie i lśniących rękach.

Ale pani Brink leży samotnie w wystygłym łóżu, a Madeleine rozpaczliwie szlocha na dole. Peter Quick zaś odszedł, tym razem chyba na zawsze.

Był zbyt szorstki, a Madeleine zbyt lękliwa. Kiedy jej powiedziałam, że wyczuwam jego obecność, zadygotała jak osika i z całej siły zacisnęła powieki. "To tylko Peter – tłumaczyłam. – Przecież się go nie boisz, prawda? Zobacz, przyszedł, popatrz na niego, otwórz oczy". Ale ona nie chciała i powtarzała w kółko: "Och, tak strasznie się boję! Och, panno Dawes, proszę sprawić, by nie podchodził bliżej!".

Cóż, słyszałam podobne słowa od wielu dam, które po raz pierwszy miały z nim do czynienia na osobności. Słyszając to, wybuchnął śmiechem. "Jakże to – spytał. – Przebyłem taką drogę, żeby teraz dać się odesłać? Czy ty wiesz, ile trudu kosztuje mnie taka podróż, ile muszę wycierpieć z twojego powodu?". Madeleine zaczęła płakać, niektóre płaczą, naturalnie. "Peter – powiedziałam – bądź miły, Madeleine tylko się boi. Okaż nieco zrozumienia, a z pewnością pozwoli ci podejść bliżej". Kiedy jednak ostrożnie wyciągnął dłoń w jej kierunku, dziewczyna krzyknęła, po czym zbladła jak płótno i zeszywniała. "Cóż to ma być, głupia? – zapytał Peter. – Wszystko psujesz. Chcesz poczuć się lepiej, czy nie?". Lecz ona tylko ponownie krzyknęła, po czym rzuciła się na podłogę i zaczęła wierzgać. Nigdy nie widziałam, aby kobieta reagowała w ten sposób. "Peter, na miłość boską!" – zawołałam. Rzucił mi przelotne spojrzenie. "Uspokój się, ty mała suko" – powiedział. Złapał ją za nogi i położył moje ręce na ustach dziewczyny. Chciałam ją tylko uciszyć, kiedy jednak cofnęłam dłonie, miałam na nich krew. Musiała przygryźć sobie język albo uderzyć się w nos. Zrazu nie wiedziałam nawet, że to krew; była czarna, a zarazem gęsta i ciepła niczym lak.

Pomimo krwi w ustach Madeleine nie przestawała krzyczeć. Wreszcie hałas zwabił panią Brink. Z korytarza dobiegły jej kroki, a następnie przestraszony głos: "Co się stało, panno

Dawes? – zawołała. – Czy jest pani ranna?". Słyszając ją, Madeleine wykręciła się jak piskorz, krzyżąc donośnie: "Pani Brink, pani Brink, oni chcą mnie zamordować!".

Peter nachylił się i uderzył ją w twarz, wtedy ucichła i znieruchomiała. Przyszło mi do głowy, że może naprawdę ją zabiliśmy. "Peter, coś ty narobił – powiedziałam. – Wracaj, skąd przyszedłeś! Musisz stąd odejść". Lecz gdy podszedł do kotary, rozległ się szczeł klamki i do pokoju weszła pani Brink. Otworzyła drzwi swoim kluczem. W ręku trzymała lampę. "Proszę zamknąć drzwi – odezwałam się – tu jest Peter, światło może wyrządzić mu krzywdę". Ale ona zapytała tylko: "Co się tu dzieje? Co jej zrobiliście?". Spojrzała na Madeleine, leżącą na podłodze nieruchomo, z rudymi włosami rozrzuconymi dokoła, potem na moją podartą suknię i zakrwawione dłonie, nie czarne już, lecz szkarłatne. Wreszcie przeniosła wzrok na Petera. Zasłaniał rękami twarz, wołając: "Zabierzcie światło!". Rozchylone poły szaty ukazywały jego białe nogi. Pani Brink stanęła jak wryta, wreszcie lampa w jej dłoni zadrżała. Kobieta krzyknęła, po czym znów popatrzyła na mnie, następnie na Madeleine, i położyła rękę na sercu. "Tylko nie ona! – zawołała, a potem: – Mamo, mamo!". Wreszcie odłożyła lampę na stół i odwróciła twarz do ściany; kiedy podeszłam bliżej, odepchnęła mnie.

Rozejrzałam się za Peterem, lecz on tymczasem zniknął. Na ciemnej, rozedrganej kotarze pozostał tylko lśniący ślad ręki.

To pani Brink umarła, nie Madeleine. Madeleine tylko zemdląca; pokojówka doprowadziła ją do porządku i przeszły do drugiego pokoju. Słyszałam jej kroki i płacz. Tymczasem pani Brink zasłabła nagle, aż wreszcie nie mogła ustać na nogach. Wtedy przybiegła Ruth, pytając, co się stało. Ułożyła nieprzytomną na sofie w bawialni, cały czas ściskając jej rękę i powtarzając: "Zaraz pani przejdzie, jesteśmy tutaj, ja i panna Dawes, nie pozwolimy pani zachorować". Pani Brink wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Widząc to, Ruth postanowiła wezwać lekarza. Kiedy ją badał, Ruth z płaczem trzymała panią za rękę, zaklinając się, że jej nie puści. Wkrótce potem pani Brink umarła. Ruth twierdziła, że nie powiedziała przed śmiercią nic więcej, wołała tylko swoją matkę. Zdaniem lekarza konające damy często stają się jak dzieci. Wyjaśnił, że serce pani Brink spuchło i zawsze musiało być bardzo słabe, po czym wyraził zdziwienie, że dożyła tak późnego wieku.

I byłby wyszedł, nie zapytawszy o przyczynę szoku, ale wówczas zjawiała się pani Silvester i kazała mu zbadać Madeleine. Dziewczyna miała na ciele pełno sińców; na ten widok lekarz spowaźniał i oznajmił, że sprawa jest dziwniejsza, niż przypuszczał. "Dziwniejsza? – zawołała pani Silvester. – Rzekłabym raczej, że bardzo podejrzana!". Następnie wezwała policjanta, dlatego zamknęli mnie w pokoju. Policjant wypytywał

Madeleine, kto zrobił jej krzywdę. Madeleine odpowiedziała, że Peter Quick. "Peter Quick? – zdziwił się policjant. – Peter Quick? Co też panienka opowiada?"

W wielkim domu panuje chłód; jest sierpień, ale mnie dokucza przeraźliwe zimno. Chyba już nigdy się nie rozgrzeję! Nigdy nie odzyskam spokoju i nigdy nie będę sobą. Rozglądam się po pokoju: nic tu nie należy do mnie. Z ogrodu pani Brink dolatuje woń kwiatów, a z toaletki zapach lakierowanego drewna oraz perfum jej matki; widzę kolory dywanu, papierosy, które skręcałam dla Petera, blask klejnotów w szkatułce i własną pobladłą twarz w lustrze, lecz wszystko wydaje mi się obce. Chciałabym zamknąć oczy i ponownie znaleźć się w Bethnal Green obok cioteczki, siedzącej jak zwykle na swym drewnianym krześle. Wołałabym nawet znaleźć się w hotelu pana Vincy'ego, w swoim pokoju z widokiem na ceglana ścianę za oknem. Wołałabym to sto razy niż siedzieć tu, gdzie jestem teraz.

Już późno, w Cristal Palace* zgaszono światła. Dostrzegam tylko czarny, potężny zarys budowli na tle nieba.

Słyszę głos policjanta, pani Silvester krzyczy, doprowadzając Madeleine do płaczu. Pokój pani Brink to jedyne ciche pomieszczenie w domu. Wiem, że ona tam jest, sama w ciemności. Wiem, że leży nieruchomo z rozpuszczonymi włosami, przykryta kocem. Być może nasłuchuje krzyków i szlochów, może nadal pragnie otworzyć usta i przemówić. Wiem, co powiedziała, gdyby mogła. Wiem to tak dobrze, że prawie słyszę jej słowa.

Jej cichy głos, jedyne, który do mnie dociera, budzi we mnie największą grozę.

* Okazały gmach z żelaza i szkła, wzniesiony w Londynie na wielką wystawę w 1851 roku, pokazującą osiągnięcia techniczne i przemysłowe Wielkiej Brytanii.

Część pierwsza

24 września 1874

Ojciec zwykł był mawiać, że każdy fragment historii nadaje się na opowieść: należy jedynie wyznaczyć jej początek, a potem zakończenie. Na tym polega rola powieściopisarza. Być może historie, z którymi miał do czynienia, łatwo pozwalały się analizować, dawały się dzielić i klasyfikować – wielkie życiorysy, wybitne dzieła, a każde z nich uporządkowane, klarowne i kompletne niczym metalowe litery w pudełku z czcionką.

Żałuję, że nie ma go tu ze mną. Zapytałabym, jak rozpocząć opowieść, którą zamierzam spisać. Jak sporządzić spójny opis więzienia, więzienia Millbank, które mieści w sobie tyle odrębnych żywotów i przybiera tak osobliwy kształt, oddzielone od świata szeregiem bram i krętych korytarzy. Czy papa zaczęłby od jego historii? Ja nie mogę tego uczynić, bowiem data, którą usłyszałam ledwie dzisiejszego ranka, zdążyła wylecieć mi z pamięci. Zresztą Millbank wydaje się tak wiekowe i niewzruszone, że trudno się oprzeć wrażeniu, iż trwa w owym ponurym zakątku nad brzegiem Tamizy od zarania dziejów, rzucając cień na poczerńiałą ziemię. Mógłby więc zacząć od wizyty pana Shillitoe w naszym domu, która miała miejsce trzy tygodnie temu, lub też od godziny siódmej tego ranka, kiedy Ellis przyniosła mi szary kostium i płaszcz – ależ skąd, naturalnie papa nie zaczęłby opowieści od pani i jej pokojówki, od halek i rozpuszczonych włosów.

Moim zdaniem zaczęłby od bramy wiodącej do Millbank, którą przekracza każdy, kto udaje się na obchód więzienia. Pozwólcie zatem, że uczynię podobnie: przy wejściu wita mnie stróż, który zapisuje moje nazwisko w jakimś wielkim zeszycie. Następnie strażnik prowadzi mnie pod wąską arkadą, skąd do samego więzienia jest już tylko krok...

Lecz zanim to nastąpi, pochylam się nad spódnicą, prostą, ale szeroką, która zahaczyła o wystający fragment żelaza lub cegłę. Zapewne ojciec nie zawracałby sobie głowy szczegółami stroju, lecz ja muszę to uczynić, gdyż to właśnie wtedy unoszę głowę i napotykam wzrokiem pięcioboki Millbank, którym ta nieoczekiwana bliskość nadaje potworny wymiar. Serce gwałtownie bije mi w piersi i czuję przyływ strachu.

Tydzień temu dostałam od pana Shillitoe plan budynków więzienia i przypięłam go do ściany nad biurkiem. Szkic ma pewien urok: pięcioboki przypominają płatki geometrycznego kwiatu albo pokratkowane pola, które kolorowaliśmy jako dzieci. Widziane z bliska, Millbank technicznie nieopisaną brzydota. Jest ogromne; linie i kąty zawarte w murach i wieżach z żółtej cegły oraz oknach przysłoniętych okiennicami zdają się chybione i przypadkowe. Tak jakby budynek powstał pod wpływem koszmaru albo szaleństwa, tudzież w celu

doprowadzenia jego mieszkańców do oblężenia. Pracując tu jako strażnik, sama z pewnością postradałabym zmysły. Kroczyłam niepewnie u boku przewodnika, rzucając ukradkowe spojrzenia to za siebie, to znów na widoczny w górze skrawek nieba. Wewnętrzna brama Millbank mieści się w punkcie przecięcia dwóch pięcioboków: aby do niej dotrzeć, należy przejść po zwężającym się pasku żwiru pod ścianami, które wyrastają z obu stron, przywodząc na myśl zderzające się skały Bosforu. Cienie rzucone przez zażółcone mury mają sinoniebieską barwę. Ziemia jest mokra i ciemna jak tytoń.

Wilgotna gleba przesycła powietrze kwaśną wonią; kiedy minęłam bramę, którą natychmiast zaryglowano za moimi plecami, zapach przybrał na sile. Wprowadzono mnie do małego, spartańskiego pomieszczenia i kazano czekać. Patrzyłam na przechodzących strażników, którzy na mój widok marszczyli brwi i mruzczyli pod nosem, i czułam, jak serce tłucze mi w piersi. Gdy wreszcie zjawił się pan Shillitoe, z ulgą chwyciłam go za rękę.

– Jakże się cieszę, że pana widzę! – zawołałam. – Zaczęłam się już obawiać, że strażnicy wezmą mnie za nową więźniarkę, zaprowadzą do celi i tam zostawią samą!

Pan Shillitoe wybuchnął śmiechem. Powiedział, że w Millbank nie zdarzają się podobne nieporozumienia.

Ruszyliśmy razem w głąb więzienia. Pan Shillitoe uznał, że najlepiej będzie od razu zaprowadzić mnie do części dla kobiet, do biura naczelniczki albo przełożonej, panny Haxby. Po drodze tłumaczył, którędy idziemy; usiłowałam zestawić to z informacjami uzyskanymi na podstawie planu, lecz układ więzienia jest tak specyficzny, że wkrótce się pogubiłam. Wiedziałam, że nie weszliśmy na teren zakładu dla mężczyzn. Minęliśmy tylko bramę prowadzącą doń od sześciokątnego budynku pośrodku terenu więzienia, gdzie mieściły się magazyny, sala operacyjna, gabinet pana Shillitoe oraz biura jego urzędników, izba chorych i kaplica.

– Jak pani widzi – rzekł pan Shillitoe, wskazując na widoczny za oknem rząd kominów, z których unosił się żółty dym, będących, jak wyjaśnił, kominami pralni – jak pani widzi, tworzymy coś w rodzaju niedużego miasteczka! Jesteśmy całkowicie samowystarczalni. Zawsze powtarzam, że wytrzymałybyśmy oblężenie.

Oznajmił to z żartobliwą dumą; odpowiedziałam mu uśmiechem. Lecz uczucie strachu towarzyszące mi od chwili, kiedy zatrzaśnięto bramę, odcinając dopływ światła i świeżego powietrza, nieubłaganie przybierało na sile. Zdażaliśmy mroczną, skomplikowaną trasę, która uniemożliwiłaby mi samodzielny powrót. W zeszłym tygodniu, w czasie porządkowania

papierów w gabinecie ojca znalazłam tom z rysunkami Piranesiego*. Studiowałam je przez blisko godzinę, rozmyślając o strasznych scenach, jakie przyjdzie mi ujrzeć. Naturalnie rzeczywistość odbiegała od podsyconych fantazją oczekiwań. Minęliśmy jedynie szereg czystych, bielonych korytarzy; na skrzyżowaniu każdego z nich witał nas strażnik w ciemnym, więziennym uniformie. Ale owa schludność i podobieństwo korytarzy oraz ludzi budziły nieokreślony niepokój: mogłabym ciągle wracać w to samo miejsce, sama o tym nie wiedząc. Rozbrzmiewające tu dźwięki również wywołują przygnębienie. Strażnicy stoją przy furtach, które należy odryglować, uchylić na skrzypiących zawiasach, po czym na powrót zatrzaskać i zaryglować: puste korytarze odbijają echa otwierania pozostałych furt, szcęk zamków oraz rygli, zarówno tych bliskich, jak i dalekich. Jednym słowem, więzienie zdaje się tkwić w sercu nieustannej miejscowej burzy, która powoduje nieprzyjemne dzwonienie w uszach.

Dotarliśmy wreszcie do wiekowych wrót z kołowrotem, będących wejściem do żeńskiego więzienia. Zostaliśmy powitani przez strażniczkę, która dygnęła przed panem Shillitoe. Była to pierwsza napotkana tu kobieta, dlatego przyjrzałam jej się bardzo uważnie. Dość młoda, blada i poważna, nosiła strój, który wkrótce miałam uznać za typowy dla pracujących tu kobiet: szarą, wełnianą spódnicę, czarną mantylę, szary czepek z niebieską lamówką oraz czarne, toporne trzewiki na płaskiej podeszwie. Podchwyciwszy moje spojrzenie, ponownie dygnęła.

– To panna Ridley, strażniczka – wyjaśnił pan Shillitoe, po czym dodał, zwracając się do panny Ridley: – A to panna Prior, nasza nowa wizytująca.

Ruszyła przed nami i usłyszałam brzęk metalu: jak wszyscy strażnicy nosiła szeroki, skórzany pas z mosiężną klamrą, przy której wisiał pęk lśniących, więziennych kluczy.

Kolejnymi bezbarwnymi korytarzami poprowadziła nas do spiralnych schodów wiodących na szczyt wieży, gdzie w jasnym, okrągłym pomieszczeniu z oknami znajdowało się biuro panny Haxby.

– Niebawem zrozumie pani logikę tej lokalizacji – powiedział pan Shillitoe, kiedy mozolnie pięliśmy się na górę, czerwoni i zdyszani.

Rzeczywiście pojąłam ją od razu: wieża stoi w samym środku pięciokąta, co daje widok na wszystkie ściany i zakratowane okna wewnętrznej części budynku dla kobiet.

* Giovanni Battista Piranesi (1720–1778) – artysta włoski, przedstawiciel neoklasycyzmu. Wsławił się cyklem "Carceri d'Invenzione", przedstawiającym lochy i więzienia, który wywarł duży wpływ na romantyzm oraz rozwój dwudziestowiecznego surrealizmu.

Pomieszczenie urządzone bardzo skromnie. Na podłodze nie ma dywanu. Pomiędzy dwoma filarami zawieszono sznur, przy którym stają więźniarki, dalej stoi biurko. Za biurkiem ujrzeliśmy samą pannę Haxby – "Argusa więzienia", jak określił z uśmiechem pan Shillitoe – która pisała coś w wielkiej, czarnej księdze. Na nasz widok wstała, zdjęła binokle i, podobnie jak wcześniej panna Ridley, dygnęła.

Jest to drobna kobieta o włosach białych jak śnieg. Ma bardzo bystre spojrzenie. Za biurkiem, przyśrubowanym do bielonych cegieł, widać lakierowaną tabliczkę z ciemnym napisem:

*Położyłeś winy nasze przed sobą
Tajne grzechy nasze w świetle oblicza swego...**

Wejście do biura nasuwało nieodparte pragnienie, by zbliżyć się do jednego z łukowatych okien i wyrzeć na zewnątrz.

– Proszę podejść do szyby, panno Prior – zachęcił pan Shillitoe, widząc, że patrzę w tamtą stronę.

Chwilę wyglądałam na dziedzińce, po czym przeniosłam wzrok na szpetne mury więzienia widoczne naprzeciwko oraz wypełniające je rzędy ukośnych okien.

– Czy to nie wspaniały i przerażający widok? – zapytał pan Shillitoe.

Przede mną znajdowało się żeńskie więzienie; każde okno kryło pojedynczą celę zamieszkaną przez więźniarkę. Pan Shillitoe zwrócił się do panny Haxby z pytaniem o liczbę kobiet odsiadujących w tej chwili karę.

Odrzekła, że dwieście siedemdziesiąt.

– Dwieście siedemdziesiąt! – powtórzył, potrząsając głową. – Zechce pani wyobrazić sobie te nieszczęsne istoty, panno Prior, oraz mroczne i zawile ścieżki, które przywiodły je do Millbank? Mogły być złodziejkami albo ulicznicami w szponach rozpusty, niewiedzącymi, co to wstyd, powinność tudzież subtelniejsze uczucia. Zaiste! Społeczeństwo uznało je za zbrodniarki i oddało pod pieczę moją i panny Haxby, byśmy właściwie się o nie zatroszczyli... Lecz jak należy to uczynić?

Spojrzał na mnie pytająco.

– Narzucamy im regularne czynności. Uczymy modlitwy oraz pokory. Znaczną część dnia muszą jednak spędzać samotnie, w otoczeniu czterech ścian celi. I tkwią tak – ponownie

* Ps. 90,8 wg Biblii Tysiąclecia.

skinął w kierunku okien – może trzy lata, może sześć lub siedem, w zamknięciu oraz zadumie nad własnym losem. Uciszymy ich języki, ręką zaś zapewniamy ciągle zajęcie, ale ich serca, panno Prior, ich plugawe wspomnienia, czcze pobudki i marne ambicje nie podlegają naszym staraniom. Prawda, panno Haxby?

– Tak, proszę pana – odpowiedziała.

– Czy wobec tego wizytujący mogą przynieść jakikolwiek pożytek? – spytałam.

– Ależ tak – odparł.

Był o tym przekonany. Owe biedne, nierozważne serca przypominały serca dzieci albo dzikusów: miękkie niczym glina, wymagały jeno szlachetniejszej matrycy.

– To zadanie dla naszych strażniczek – dodał – wszak ich dzień jest długi i wypełniony żmudnymi obowiązkami. Kobiety jednak traktują je szorstko, czasami nieufnie. Lecz gdy dopuścić do nich damę, panno Prior, uświadomić im, że zostawia zacisze wygodnego domostwa tylko po to, by złożyć tu wizytę i wysłuchać ich smutnych historii... Gdy dostrzegą zatrzważający kontrast pomiędzy jej manierami i językiem a własnym żalosnym sposobem bycia, mięknią i potulnieją jak baranki. Widziałem to na własne oczy! Panna Haxby również! To kwestia wpływu, porozumienia, pohamowania zgubnych skłonności...

I tak dalej. Znaczną część owej tyrady wygłosił oczywiście już wcześniej w naszym salonie, gdzie pod uroczystym spojrzeniem matki i przy wtórze powolnego tykania zegara na kominku brzmiała nadzwyczaj dobrze. "Od śmierci ojca zapewne dokuczają pani beczynność, panno Prior" – powiedział. Zjawił się, aby odebrać książki, które papa swego czasu od niego pożyczył; nie wiedział, że trawiła mnie nie beczynność, ale choroba. Wówczas przyjąłem to z ulgą. Teraz jednak, wśród surowych ścian, w obecności panny Haxby i panny Ridley, która stała przy drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi i rozkołysanym pękiem kluczy u pasa, ogarnął mnie wzmożony lęk. Zapragnęłam, by widząc moją słabość, odesłali mnie do domu, podobnie jak matka, która w podobnych sytuacjach nieraz kazała mi opuścić teatr w obawie, że nie zdołam nad sobą zapanować i mój krzyk zabrzmie donośnie w panującej wokół ciszy.

Niczego jednak nie zauważyli. Pan Shillitoe opowiadał dalej o historii Millbank, tutejszych zwyczajach, pracownikach i odwiedzających. Stałam, potakując, czasem panna Haxby również kiwała głową. Naraz rozległ się gdzieś dźwięk dzwonka i cała trójka okazała pewne poruszenie. Pan Shillitoe oświadczył, że mówił dłużej, niż zamierzał. Dzwonek oznaczał porę spaceru i mój przewodnik pozostawiał mnie pod opieką kobiet, prosząc, abym niebawem go odwiedziła i zdała relację ze swoich spostrzeżeń. Ujął moją dłoń, kiedy jednak chciałam podejść wraz z nim do biurka, powstrzymał mnie.

– Nie, nie, proszę jeszcze pozostać przy oknie. Zechce pani potowarzyszyć pannie Prior,

panno Haxby? Proszę wyteżyc wzrok, panno Prior, zaraz ujrzy pani coś niebywałego!

Strażniczka otworzyła drzwi i pan Shillitoe zniknął w półmroku klatki schodowej. Panna Haxby podeszła bliżej i wyjrzałyśmy razem. Panna Ridley stanęła przy drugim oknie. W dole rozciągały się trzy piaszczyste dziedzińce oddzielone od siebie wysokimi murami z cegły, biegnącymi od naszej wieży niczym szprychy od koła. Nad nami wisiało brudne, londyńskie niebo upstrzone zaciekami słońca.

– Ładny dzień, jak na wrzesień – zauważyła panna Haxby.

Następnie ponownie popatrzyła w dół. Podążyłam za jej spojrzeniem.

Przez chwilę panował tam całkowity bezruch. Więzienne dziedzińce są równie jałowe jak okoliczna gleba: nic, tylko żwir i piasek, ani jednego źdźbła trawy trącanego przez wiatr, ani nawet robaka, na którego mógłby skusić się ptak. Niemniej jednak po upływie minuty dostrzegłam ruch najpierw w rogu jednego dziedzińca, a potem następnych. Otwarto drzwi i kobiety wyszły na zewnątrz. W życiu nie widziałam równie osobliwego widowiska. Oglądane z góry, wydawały się bardzo małe, jak nie przymierzając figurki z zegara albo paciorki koralu. Wysypały się na dziedzińce, tworząc trzy wielkie, eliptyczne pętle o tak idealnie równym kształcie, że po chwili nie mogłam z całą pewnością ustalić, która wyszła na dziedziniec pierwsza, a która ostatnia. Ubrania dodatkowo upodabniały je do siebie: wszystkie nosiły brązowe suknie i białe czepki oraz błękitne chustki zawiązane pod szyją. O tym, że to istoty ludzkie, świadczyły jedynie ich ruchy, gdyż choć wszystkie kobiety kroczyły w jednakowo niemrawym tempie, niektóre podążyły ze zwieszonymi głowami, inne utykały lub kulily się pod wpływem nagłego chłodu, kilka biednych duszyczek skierowało twarze ku niebu, jedna zaś utkwiała wzrok w oknie i spoglądała na nas bez wyrazu.

Miałam przed sobą wszystkie pensjonariuszki więzienia, blisko trzysta kobiet, po dziewięćdziesiąt w każdej ruchomej pętli, a w rogu dziedzińców stały po dwie czarno odziane strażniczki mające za zadanie pilnować podopiecznych aż do końca spaceru.

Odniosłam wrażenie, że panna Haxby czerpie z tego widowiska niemalą satysfakcję.

– Proszę spojrzeć, jak pilnują szeregu – powiedziała. – Muszą zachowywać odległość. Winna naruszenia przepisów zostaje postawiona do raportu i traci przywileje. Kobiety stare, chore lub słabowite, albo młode dziewczęta ("Miewałyśmy dawniej młode dziewczęta, prawda, panno Ridley? Dwunasto–, trzynastoletnie") tworzą własny krąg.

– Ależ cicho chodzą! – zauważyłam.

Panna Haxby odparła, że cisza obowiązuje we wszystkich oddziałach więzienia; kobietom nie wolno rozmawiać, gwizdać, śpiewać ani nucić bez wyraźnego pozwolenia strażniczki bądź damy wizytującej.

– Jak długo muszą spacerować? – spytałam.

– Muszą spacerować przez godzinę.

– A jeśli pada?

– Jeśli pada, spacer zostaje odwołany. Takie dni są istną zimą dla strażniczek, ponieważ długi pobyt w zamkniętej przestrzeni sprawia, że więźniarki stają się dokuczliwe i nieznośne.

– Mówiąc to, panna Haxby popatrzyła uważniej w dół: jedna z pętli zwolniła, zakłócając ogólny rytm.

– To... – tu wymieniła nazwisko jakiejś kobiety – opóźnia tempo w swoim szeregu. Proszę porozmawiać z nią w czasie obchodu, panno Ridley.

Znajomość nazwisk poszczególnych więźniarek wywarła na mnie ogromne wrażenie i nie omieszkałam powiedzieć o tym pannie Haxby. Uśmiechnęła się z wyższością. Odrzekła, że spogląda na nie każdego dnia, odkąd rozpoczęła tu pracę ("Od siedmiu lat pełnię funkcję dyrektorki, a wcześniej byłam główną strażniczką"). Przedtem pracowała jako strażniczka w zakładzie karnym w Brixton. W sumie spędziła w więzieniu dwadzieścia jeden lat, czyli dłużej niż większość skazanych. Chociaż tam w dole są kobiety, które okazały się lepsze od niej. Widziała, jak przychodzą, ale nie doczeka końca ich wyroku...

Spytałam, czy takie kobiety nie ułatwiają jej pracy, muszą bowiem doskonale znać obyczaje panujące w więzieniu.

Skinęła głową.

– O tak. – I dodała, zwracając się do panny Ridley: – Prawda, panno Ridley? Wolimy więźniarki z długimi wyrokami, czyż nie?

– Owszem – potwierdziła strażniczka. – Lubimy więźniarki, które odsiadują długi wyrok za jedno przewinienie. Które kogoś otruły, oblały kwasem albo zabiły dziecko – wyjaśniła, patrząc na mnie. – Którym sąd okazał łaskę i ocalił je od szubienicy. Gdybyśmy miały całe więzienie takich kobiet, mogłybyśmy pozostawić je samym sobie i odesłać strażniczki do domów. Najgorsze są drobne przestępczynie, złodziejki, prostytutki i oszustki, panno Prior! To istne diablice! Urodzone pod ciemną gwiazdą, nieskore do poprawy własnego losu. Jeśli chcą poznać nasze zwyczaje, czynią to wyłącznie na własny użytek: wiedzą, co ujdzie im na sucho, a nam sprawi największą zgryzotę. Diablice!

Podczas całej przemowy zachowała niewzruszony spokój, lecz jej słowa wywarły na mnie przykre wrażenie, ponieważ zadźwięczały twardo jak stal. Zapewne wynikało to jedynie ze skojarzenia z kluczami, które nadal kołysały się u jej pasa, pobrzękując fałszywie, lecz wyobraźnia podsunęła mi obraz rygła: panna Ridley mogła go zasunąć szybko lub powoli, nigdy jednak łagodnie. Spoglądałam na nią przez chwilę, po czym ponownie zwróciłam się do

panny Haxby, która w milczeniu przytakiwała podwładnej. Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Sama pani widzi – powiedziała – ile emocji budzą w nas podopieczne! – Nie spuszczała ze mnie baczego spojrzenia. – Uważa nas pani za surowe, panno Prior? – spytała po chwili.

Dodała, że oczywiście mam prawo do własnego zdania na temat więźniarek i z pewnością je sobie wyrobię. Przychodzę tu na prośbę pana Shillitoe, za co jest mu bardzo wdzięczna, i mam postępować tak, jak uważam za stosowne. Musi mi jednak powiedzieć to, co powiedziałyby każdej damie i dżentelmenowi, którzy tu przychodzą.

– Proszę mieć się na baczności – ciągnęła, przesadnie akcentując słowa – i uważać na kobiety z Millbank!

Powiedziała też, że mam pilnować swoich rzeczy. Wiele dziewcząt było dawniej złodziejkami ulicznymi i lepiej nie kłuć ich w oczy zegarkiem ani chusteczką, by nie obudzić starych skłonności. Ostrzegła, abym nie pokazywała podobnych drobiazgów, tak jakbym chowała pierścionki i świecidełka przed oczami służby, aby nie wodzić jej na pokuszenie.

Uprzedziła też, bym zważała na to, co mówię w ich obecności. Nie wolno mi opowiadać o tym, co dzieje się za murami więzienia, w samym więzieniu ani o tym, o czym piszą gazety, gdyż "gazety są tutaj zabronione". Kiedy któraś z więźniarek zechce uczynić mnie swą powiernicą i przyjaciółką, mam doradzić jej tak, jak "zrobiłaby to strażniczka, utwierdzając w żalu za grzechu i podsycając nadzieję na lepszy los". Muszę wszakże uważać, by nie składać żadnych obietnic ani nie pełnić roli pośrednika pomiędzy kobietą a jej rodziną bądź przyjaciółmi przebywającymi na wolności.

– Jeśli więźniarka powie pani, że jej matka leży na łożu śmierci – dodała panna Haxby – jeśli odetnie sobie kosmyk włosów i będzie panią błagać o przekazanie go umierającej, proszę bezwzględnie odmówić. Weźmie go pani, panno Prior, a znajdzie się pani w jej mocy. Obróci ów fakt przeciwko pani i wykorzysta na wszelkie nikczemne sposoby.

Powiedziała, że podczas swego pobytu w Millbank miała do czynienia z jednym lub dwoma takimi incydentami, które okazały się nadzwyczaj przykre w skutkach dla wszystkich zainteresowanych...

Tak oto brzmiały ostrzeżenia panny Haxby. Podziękowałam jej skwapliwie, dotkliwie świadoma niemej obecności gładkolicej strażniczki, która stała nieopodal: sytuacja przypominała dziękowanie matce za tak zwane dobre rady, podczas gdy Ellis sprzątała ze stołu talerze. Zatopiona we własnych myślach bez słowa spjrzałam na spacerujące kobiety.

– Lubi pani na nie patrzeć – powiedziała panna Haxby. Dodała, że wszyscy wizytujący lubią stawać przy oknie i obserwować więźniarki. Jej zdaniem ma to równie terapeutyczną

moc, co obserwacja rybek w akwarium.

Słyszając to, odeszłam od okna.

Wymieniłyśmy kilka dodatkowych uwag na temat zwyczajów panujących w więzieniu, po czym panna Haxby spojrzała na zegarek i zaproponowała, by panna Ridley oprowadziła mnie po całym zakładzie.

– Proszę wybaczyć, że nie zrobię tego osobiście – dorzuciła. – Ale sama pani rozumie... – Wskazała czarną księgę spoczywającą na biurku. – Czekam na dzisiaj dużo pracy. To księga charakterów; uzupełniam ją na podstawie raportów dostarczanych przez strażniczki. – Nałożyła binokle i jej surowe spojrzenie nabrało dodatkowej ostrości. – Muszę sprawdzić, panno Prior – oznajmiła – jak dobrze sprawowały się nasze podopieczne w tym tygodniu... i jak źle!

Panna Ridley wyprowadziła mnie z gabinetu i zeszłyśmy po schodach. Piętro niżej minęłyśmy kolejne drzwi.

– Co to za pomieszczenie, panno Ridley? – spytałam.

Wyjaśniła, że to prywatne pokoje panny Haxby. Pomyślałam, iż to doprawdy niezwykle leżeć w ciszy panującej w wieży, mając za oknami tylko więzienie.

Spoglądałam na plan i widzę zaznaczoną na nim wieżę. Chyba dostrzegam również trasę, którą prowadziła mnie panna Ridley. Żwawo podążała przed siebie, wybierając drogę bezbłędnie niczym igła kompasu nieustannie wskazująca północ. Poinformowała mnie, że korytarze więzienia mają w sumie trzy mile długości; gdy spytałam, czy trudno je od siebie odróżnić, prychnęła. Kiedy jakaś kobieta rozpoczyna pracę w Millbank – powiedziała – wieczorami składa głowę na poduszce, by nieustannie krążyć we śnie białym korytarzem.

– Tak dzieje się przez tydzień – dodała. – Później strażniczka bez trudu rozpoznaje drogę. A po roku marzy tylko o tym, aby zgubić się choć raz, dla odmiany.

Pracowała tu dłużej niż panna Haxby. Mogłaby wypełniać swe obowiązki z zawiązanymi oczyma. Mówiąc to, uśmiechnęła się gorzko.

Ma gładkie, białe policzki przypominające słoninę lub wosk i blade oczy przysłonięte ciężkimi powiekami bez rzęs. Zauważyłam, że jej ręce są bardzo czyste, jak gdyby szorowała je pumeksem. Obcina paznokcie prawie do skóry.

W milczeniu przebyłyśmy drogę do cel, a dokładniej do krat, za którymi znajdował się długi, zimny korytarz przypominający klasztorny krużganek z rzędem drzwi. Miał jakieś sześć stóp szerokości. Podłogę wysypano piaskiem, ściany i sufit ochlapano wapnem. Po lewej stronie, wysoko – zbyt wysoko nawet dla osoby mojego wzrostu – widnieje rząd zakratowanych okien z grubymi szybami; na przeciwległej ścianie znajdują się drzwi

prowadzące do cel. Mroczne i bliźniaczo podobne, przywodzą na myśl wierzeje z koszmaru sennego: człowiek staje przed nimi, nie wiedząc, którą klamkę nacisnąć. Z cel sączy się odrobina światła i dolatuje przykry zapach. Smród (wyczułam go już w początkowych korytarzach i czuję nawet teraz, kiedy to piszę!) jest nieuchwytny, ale odrażający. To przytłumiona woń wiader z nieczystościami połączona z nieuniknionym odorem niedomytych ciał i zębów.

Panna Ridley wyjaśniła, że przebywamy w pierwszym sektorze, sektorze A. W sumie jest ich sześć, po dwa na każdym piętrze. W sektorze A przetrzymuje się nowo przybyłe, tak zwaną klasę trzecią.

Wprowadziła mnie do pierwszej z pustych cel, wskazując dwoje drzwi umieszczonych przy jej wylocie. Jedne z nich były drewniane, z ryglami, drugie zaś żelazne, z zamkiem. W ciągu dnia żelazne drzwi są zamknięte, a drewniane otwarte ("Idąc korytarzem, możemy zajrzeć do środka. Poza tym zmniejsza to zaduch w celi"). Panna Ridley zamknęła obydwie drzwi, przez co cela skurczyła się i pociemniała. Kobieta stanęła z rękami wspartymi na biodrach i rozejrzała się dokoła. To przyzwoite cele, powiedziała, duże i solidne, oddzielone od siebie podwójną warstwą cegieł ("dzięki czemu więźniarki nie mogą krzyczeć do siebie przez mur").

Odwrociłam się od niej. Mimo półmroku biel pustawej celi raziała w oczy; kiedy teraz przymykam oczy, dokładnie widzę każdy szczegół. Wysoko w ścianie tkwiło pojedyncze, małe okno z drutu i żółtego szkła – było to jedno z tych, które widziałam z wieży panny Haxby. Przy drzwiach wisiała emaliowana tabliczka z listą zasad oraz modlitwą skazanej. Na drewnianej półce ustawiono kubek, podkładkę do chleba, pojemnik z solą, Biblię oraz religijną książkę "Podręcznik więźniarki". Prócz tego w celi znajdowały się: krzesło, stół i zwinięty hamak, przy którym leżały płócienne worki oraz motek czerwonych nici. Zobaczyłam też przenośną wygodkę ze sfatygowaną pokrywą. Na wąskim parapecie spoczywał więzienny grzebień o wyłamanych bądź powyginanych zębach, a na nim widniały pęk kędzierzawych włosów oraz strzępki skóry.

Grzebień okazał się jedynym znakiem szczególnym odróżniającym tę celę od pozostałych. Kobiety nie mogą mieć przy sobie żadnych osobistych rzeczy, natomiast więzienne wyposażenie – kubki, talerze i Biblia – musi leżeć w nienagannym porządku. Spacer po jednakowych, ponurych celach w towarzystwie panny Ridley był nader przygnębiający; geometria otoczenia przyprawiła mnie ponadto o zawrót głowy. Sektory odpowiadają bowiem naturalnie zewnętrznym kształtom pięcioboku i cechuje je zgoła osobliwy układ: za każdym razem gdy docierałyśmy do końca jednego białego korytarza,

stawałyśmy u wejścia do następnego, bliźniaczego przejścia, tyle że biegnącego pod nienaturalnym kątem. W miejscu zetknięcia dwóch korytarzy widnieją schody, a w punkcie łączącym dwa poszczególne sektory stoi wieża, gdzie opiekunka każdego sektora ma swój własny gabinet.

Przez całą drogę towarzyszyło nam miarowe tupanie dochodzące z więziennych dziedzińców. Kiedy dotarliśmy do najdalszego skrzydła drugiego sektora na parterze, usłyszałam kolejny dzwonek, po którym tupot przycichł, a następnie stał się nieregularny. Po chwili rozległy się trzaskania drzwi oraz szcęk krat, po czym buty zaszurały ponownie, tym razem na piasku. Spojrzałam na pannę Ridley.

– Wracają – powiedziała obojętnie.

Stanęłyśmy, nasłuchując coraz głośniejszych kroków. Wreszcie wydawało się, że kobiety są tuż tuż, na wyciągnięcie ręki, a mimo to ich nie widziałyśmy; na samym parterze minęłyśmy przecież aż trzy zakręty.

– Całkiem jak duchy! – zawołałam. Przypomniałam sobie o legendzie, według której w piwnicach City słychać niekiedy maszerujące legiony rzymskich żołnierzy. Przyszło mi do głowy, że podobnie Millbank na zawsze zachowa echo kroków kobiet, nawet gdy po więzieniu nie pozostanie już ani śladu.

Panna Ridley raptownie obróciła się w moją stronę.

– Duchy! – powtórzyła, spoglądając na mnie dziwnym wzrokiem.

W tej samej chwili zza zakrętu wyłoniły się pierwsze więźniarki. Były wręcz dotkliwie realne – ujrzałam nie duchy, figurki czy paciorki koralu, jak myślałam na wieży, lecz pospolite oblicza zgarbionych kobiet i dziewcząt. Na nasz widok uniosły głowy; rozpoznając pannę Ridley, przybierały potulny wyraz twarzy, mnie zaś studiowały z nieskrepowaną otwartością.

Patrzyły, po czym bez ceregieli wchodziły do cel i siadały na krzesłach. W ślad za nimi nadeszła strażniczka, która przystąpiła do zamykania drzwi.

Nazywała się chyba panna Manning.

– Panna Prior jest u nas po raz pierwszy – zwróciła się do niej panna Ridley.

Strażniczka skinęła głową i odrzekła, że uprzedzono ją o mojej wizycie. Popatrzyła na mnie z uśmiechem. To miło z mojej strony, powiedziała, że odwiedzam ich dziewczęta. Czy życzę sobie porozmawiać z którąś z nich? Odparłam, że jak najbardziej. Poprowadziła mnie do wciąż otwartej celi i skinęła na jej lokatorkę.

– Pilling! – zawołała. – Przyszła nowa dama wizytująca, pragnie zamienić z tobą słówko. Wstań i podejdź tutaj. Dalej, pospiesz się!

Więźniarka podeszła bliżej i dygnęła. Spacer zaróżowił jej policzki; nad górną wargą

lśniły kropelki potu.

– Przedstaw się i powiedz, za co tu jesteś – rozkazała panna Manning.

– Susan Pilling, pszepani – wyrecytowała natychmiast kobieta, zająknawszy się z lekka. – Wyrok za kradzież.

Panna Manning pokazała mi emaliowaną tabliczkę zawieszoną na łańcuchu przy wejściu do celi: widniał na niej więzienny numer i klasa skazanej, przestępstwo, którego się dopuściła oraz spodziewana data zwolnienia.

– Od jak dawna przebywasz w Millbank, Pilling? – spytałam.

Odrzekła, że od siedmiu miesięcy. Kiwnęłam głową. Ile ma lat? Wyglądała na jakieś trzydzieści siedem lub osiem, okazało się jednak, że liczy sobie zaledwie dwadzieścia dwa. Odpowiedź wprawiła mnie w osłupienie; mimo to ponownie skinęłam głową, pytając, jakim znajduje życie w Millbank?

Powiedziała, że całkiem znośnym, i że panna Manning jest dla niej dobra.

– Na pewno – odparłam.

Zapadło milczenie. Podchwyciłam utkwiony we mnie wzrok kobiety; czułam, że strażniczki również spoglądają w moim kierunku. Ni stąd, ni zowąd pomyślałam o matce, o tym, jak besztła mnie za małomówność, kiedy miałam dwadzieścia dwa lata i szłyśmy gdzieś z wizytą. Musiałam pytać damy o zdrowie dzieci, o ciekawe miejsca, które odwiedziły, o to, co ostatnio wyszyły lub namalowały. Mogłam też podziwiać krój ich sukni...

Spojrzałam na suknię w kolorze błota, którą miała na sobie Susan Pilling. Spytałam, co sądzi o ubraniu, które przyszło jej nosić. Cóż to jest... serża czy mieszanka wełny z bawełną? W tym momencie panna Ridley wystąpiła do przodu i chwyciwszy skraj sukni, uniosła go nieco. Oczywiście to drugie, wyjaśniła. Pończochy, niebieskie z czerwonym pasem, bardzo szorstkie, były wełniane. Prócz tego więźniarka miała na sobie jedną halkę z flaneli, i jedną z serży. Oraz ciężkie i toporne trzewiki; dowiedziałam się, że robią je mężczyźni w więziennym warsztacie.

Podczas tych szczegółowych oględzin Pilling stała sztywno jak manekin; poczułam się zobligowana do tego, by nachylić się do sukni i dotknąć jej palcami. Wydzielała woń... cóż, wydzielała woń sukni noszonej na okrągło przez spoconą kobietę. Spytałam zatem, jak często zmieniano odzież. Strażniczki odpowiedziały, że suknie raz w miesiącu, natomiast halki, koszule i pończochy raz na dwa tygodnie.

– Jak często możecie się kąpać? – zapytałam, zwracając się bezpośrednio do więźniarki.

– Kiedy tylko chcemy, pszepani, byle nie częściej niż dwa razy w miesiącu.

Wówczas zobaczyłam, że ręce, które trzymała przed sobą, usiane były bliznami.

Zastanawiałam się, jak często zażywała kąpieli przed pobytem w Millbank.

Przyszło mi też do głowy, o czym, na miłość boską, rozmawiałybyśmy, siedząc sam na sam w celi. Zaproponowałam jednak:

– Cóż, może przy następnej okazji opowiesz mi, jak wygląda twój dzień. Zgoda?

Przytaknęła gorliwie. Następnie spytała, czy będę czytać im historie z Pisma Świętego. Panna Ridley wyjaśniła, że w środy do więzienia przychodzi inna wizytująca, która czyta kobietom Biblię, po czym zadaje im pytania dotyczące tekstu. Powiedziałam Pilling, że nie, nie będę im czytać, za to chętnie wysłuchałabym, co one mają do powiedzenia. Popatrzyła na mnie bez słowa. Panna Manning kazała jej wrócić do celi i zamknęła kratę.

Krętymi schodami weszliśmy na piętro, do sektorów D i E. Trzymano tu szczególnie trudne i niepoprawne więźniarki, które sprawiały kłopoty w Millbank bądź zostały przysłane za karę z innych zakładów. Tutaj wszystkie drzwi były zamknięte, przez co korytarze wydawały się ciemniejsze niż na dole, a powietrze bardziej cuchnące. Przełożoną okazała się przysadzista niewiasta o krzaczastych brwiach i nazwisku – nomen omen! – Pretty*. Ruszyła przed nami, po czym z werwą kustosa muzeum figur woskowych stawała pod celami szczególnie nikczemnych tudzież najbardziej interesujących więźniarek, sypiąc szczegółami na temat ich występków.

– Jane Hoy, łaskawa pani. Dzieciobójczyni. Diabelskie nasienie.

– Phoebe Jacobs, złodziejka. Podłożyła ogień w celi.

– Deborah Griffiths, złodziejka uliczna. Trafiła tu za otrucie kapelana.

– Jane Samson, samobójczyni...

– Samobójczyni? – powtórzyłam. Pani Pretty zamrugła.

– Wzięła laudanum – dodała tonem wyjaśnienia. – I to kilkakrotnie. Traf chciał, że za siódmym razem uratował ją policjant. Przysłali ją tutaj jako utrapienie dla dobra publicznego.

Słyszając to, bez słowa popatrzyłam na zamknięte drzwi. Po chwili strażniczka przekrzywiła głowę.

– Pewnie pani się zastanawia – powiedziała – skąd wiemy, czy właśnie nie próbuje kolejny raz targnąć się na własne życie?

Naturalnie rozmyślałam o czymś zupełnie innym.

– Proszę spojrzeć – podjęła strażniczka, pokazując mi odsuwaną klapkę pozwalającą zajrzeć do celi: nazywają ją wizjerem, więźniarki zaś – okiem.

Nachyliłam się, by zajrzeć do środka, a następnie podeszłam bliżej, lecz pani Pretty

* *Pretty* (ang.) – ładny.

powstrzymała mnie, prosząc, abym nie przysuwała twarzy. Wyjaśniła, że kobiety miewają najdziwniejsze pomysły; bywało, że strażniczka traciła oko.

– Jedna z dziewcząt ostrugała drewnianą łyżkę i...

Odskoczyłam od drzwi. Ale pani Pretty z uśmiechem odsunęła klapkę.

– Samson nic pani nie zrobi – uspokoiła. – Może pani ostrożnie zajrzeć do środka...

W oknie celi widniały stalowe żaluzje; było tu ciemniej niż na dole. Zamiast hamaka w pomieszczeniu stała twarda, drewniana prycza, na której siedziała wspomniana Jane Samson, przebierając palcami w płytkim koszu wypełnionym włóknem kokosowym. Uporała się dopiero z mniej więcej jedną czwartą zawartości; na podłodze stał jeszcze jeden, większy kosz. Blask słońca niemrawo sączył się przez kraty. Brązowe włókna i kurz wirujący w smudze światła nadawały kobiecie niemalże baśniowy wymiar, upodabniając ją do księżniczki zmuszonej za karę do wykonywania jakiejś żmudnej czynności na dnie stawu.

W pewnej chwili uniosła wzrok, po czym zamrugała i przetarła podrażnione oczy. Odsunęłam się od drzwi w obawie, że zawoła albo da mi znak ręką.

Panna Ridley zaprowadziła mnie na trzecie, ostatnie piętro. Tutaj przełożoną była ciemnooka, życzliwa kobieta o nazwisku Jelf.

– Przyszła pani popatrzeć na moje nieszczęsne podopieczne? – spytała.

Kobiety trzymane w jej sektorze noszą miano więźniarek klasy pierwszej, drugiej oraz głównej; podobnie jak mieszkanki sektora A i B pracują przy otwartych drzwiach cel. Mają też znacznie łatwiejsze zajęcia: robią na drutach pończochy bądź szyją koszule, mogą korzystać z nożyc, igieł oraz szpilek, co stanowi wyraz szczególnego zaufania.

Słońce rzęsiście oświetlało klitki, nadając im przyjemny, niemal pogodny wygląd. Kiedy mijaliśmy cele, ich mieszkanki wstawały i dygały, przyglądając mi się uważnie. Wreszcie zrozumiałam, że podobnie jak ja studiowałam ich więzienne ubrania, tak i one lustrowały szczegóły mojego stroju. Zapewne nawet żałobna suknia była w Millbank niemałą atrakcją.

Wiele tutejszych więźniarek odsiadywało długie wyroki; to właśnie o nich panna Haxby wypowiadała się tak pochlebnie. Pani Jelf również nie szczędziła słów pochwały swym podopiecznym, przekonując, że to najspokojniejsze pensjonariuszki zakładu. Większość z nich zostanie przed końcem odsiadki przeniesiona do Fulham, gdzie obowiązuje mniej surowy rygor.

– To istne owieczki, prawda, panno Ridley? – dodała pani Jelf.

Panna Ridley zgodziła się, że istotnie w niczym nie przypominają niektórych szumowin z sektora C i D.

– O tak. Na przykład ta: zabiła męża, który się nad nią znęcał. Ze świecą szukać równie

miłej i dobrze wychowanej kobiety. – Przełożona wskazała celę, gdzie więźniarka o szczupłej twarzy cierpliwie rozplątywała motek przędzy. – Jednym słowem mamy tu prawdziwe damy – dodała. – Wypisz wymaluj takie jak pani.

Uśmiechnęłam się na te słowa i poszłyśmy dalej. Naraz z jednej z cel dobiegło ciche wołanie.

– Panna Ridley? Czy jest tutaj panna Ridley? – Kobieta stanęła w progu, przyciskając twarz do krat. – Ach, panno Ridley, czy rozmawiała pani o mnie z panną Haxby?

Podeszłyśmy bliżej. Panna Ridley uderzyła w kratę pięścią kluczy. Brzęknęła stal, skazana cofnęła się nieco.

– Uspokoisz się wreszcie? – warknęła strażniczka. – Twoim zdaniem ja i panna Haxby nie mamy nic lepszego do roboty, tylko wysłuchiwać twoich opowiadań?

– Przecie pani obiecała – nie ustępowała kobieta, jękając się i pospiesznie wyrzucając słowa. – Panna Haxby dziś rano nie zdążyła, bo Jarvis zabrała jej większość czasu. Mój brat zeznawał przed sądem i prosi o wstawiennictwo panny Haxby...

Panna Ridley ponownie uderzyła w kratę i więźniarka odskoczyła.

– Ta kobieta nagabuje każdego, kto przechodzi obok jej celi – szepnęła do mnie pani Jelf. – Ubiega się o wcześniejsze zwolnienie, biedactwo, ale wszystko wskazuje na to, że spędzi tu jeszcze parę lat. Dajże wreszcie spokój pannie Ridley, Sykes. Chodźmy dalej, panno Prior. Jeszcze chwila, a i panią wciągnie w swój plan. Bądź grzeczna, Sykes, i wracaj do pracy.

Mimo to Sykes nie dawała za wygraną. Panna Ridley łajała ją opryskliwie, a pani Jelf stała z boku, kręcąc głową. Ruszyłam dalej w głąb korytarza. Płaczliwe skargi kobiety i pokrzykiwanie strażniczki niosły się donośnym echem; pozostałe więźniarki unosiły głowy, słuchając wymiany zdań. Na mój widok jednak opuszczały wzrok i wracały do szycia. Uderzyły mnie ich puste spojrzenia. Miały blade twarze i bardzo chude szyje, nadgarstki oraz palce. Przypomniałam sobie, jak pan Shillitoe mówił o ich słabych, podatnych na wpływy sercach, które potrzebowały szlachetniejszej matrycy, i ponownie usłyszałam przyspieszone bicie własnego. Pomyślałam, jak by to było wyjąć je i zastąpić stwardniałym sercem któreś z tych kobiet...

Uniosłam rękę do gardła, palce napotkały medalion. Zwolniłam kroku. Doszłam do zakrętu korytarza i minęłam go, stając na skraju ściany poza zasięgiem wzroku strażniczek. Oparłam się plecami o bielony mur i czekałam.

Naraz wydarzyło się coś dziwnego.

Od wejścia do kolejnej celi dzieliło mnie zaledwie kilka kroków; opodał mego ramienia znajdował się wizjer, nad którym wisiała tabliczka z informacją na temat więźniarki. Był to

jedyny ślad wskazujący na czyjąś obecność, w celi panowała bowiem niezmacona cisza, zgoła nielicująca ze wszechobecnym szumem Millbank. W momencie gdy rozważałam to niecodzienne zjawisko, ciszę przerwał pewien odgłos. Było to westchnienie, westchnienie głębokie i doskonale, niczym w powieści. Tak dalece harmonizowało z moim nastrojem, że zaintrygowało mnie niezmiernie. W mgnieniu oka zapomniałam o pannie Ridley i pani Jelf, które mogły nadejść w każdej chwili. Zapomniałam o niebaczonej strażniczce i zaostrzonej łyżce. Odsunęłam klapkę, przysuwając oko do wizjera. Następnie popatrzyłam na siedzącą w celi dziewczynę, tak nieruchomą, że chyba nawet wstrzymałam oddech, aby jej nie spłoszyć.

Siedziała na drewnianym krześle, z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami. Robótka leżała na jej kolanach, splecione ręce spoczywały beczynn timer na podolku. Słońce wypełniało żółtą przestrzeń okna; dziewczyna zachłannie skierowała twarz w jego kierunku. Na rękawie sukni o barwie błota widniał emblemat więziennej klasy, krzywo przyszyta filcowa gwiazda, wyraźna w świetle padającym z okna. Spod czepka wystawały kosmyki jasnych włosów, zarys brwi, warg oraz linia rzęs odcinały się na tle bladej skóry. Ogarnęła mnie niezbita pewność, że widziałam podobne rysy u anioła lub świętej na jednym z malowideł Crivellego*.

Spoglądałam na nią blisko minutę: cały czas siedziała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. W jej postawie było coś podniosłego; ona się modli, pomyślałam nagle i zawstydzona chciałam odwrócić wzrok. Wówczas dziewczyna drgnęła. Rozchyliwszy splecione dłonie, uniosła je do twarzy i na różowym tle spracowanych rąk mignęła plama koloru. Trzymała w palcach kwiat, fiołek z opadającą główką. Na moich oczach uniosła go do ust i dmuchnęła: fioletowe płatki zadrżały, zdając się emanować wewnętrznym blaskiem...

Widząc to, uświadomiłam sobie mrok panujący w świecie wokół niej – ponurą atmosferę Millbank, ciemne sylwetki więźniarek, strażniczek, a nawet mnie samej. Wyszłyśmy z jednego pudełka rozwodnionych farb, podczas gdy obok jaśniała barwna postać, która znalazła się na płótnie w wyniku błędnej decyzji malarza.

Nie zastanawiałam się wówczas, jakim cudem fiołek trafił w białe ręce mieszkanki owego posępnego miejsca. W głowie kołatała mi tylko jedna, straszna myśl: jakąż mogła popełnić zbrodnię? Naraz przypomniałam sobie wiszącą opodal tabliczkę. Bezszelestnie zasunęłam wizjer i odczytałam zawartą na niej informację.

Na tabliczce widniał numer więzienny oraz klasa skazanej, pod spodem zaś umieszczono napis: "Oszustwo i napaść". Przebywała tu od jedenastu miesięcy, od zwolnienia dzieliły ją

* Carlo Crivelli (1430–1495) – włoski malarz, twórca obrazów o tematyce sakralnej.

cztery lata.

Cztery lata! Cztery lata w Millbank, które – jak podejrzewałam – musiały płynąć w ślimaczym tempie. Chciałam podejść do kraty i poprosić, aby opowiedziała mi swoją historię, nagle jednak usłyszałam głos panny Ridley oraz chrzęst piasku pod jej trzewikami. Ogarnęło mnie wahanie. Co by się stało, pomyślałam, gdyby strażniczki obserwowały dziewczynę tak jak ja i znalazły u niej kwiat? Byłam pewna, że by go zabrały, co sprawiłoby mi wielką przykrość. Dlatego zastąpiwszy im drogę, oświadczyłam, że jestem zmęczona i zobaczyłam już dość jak na pierwszą wizytę, co zresztą było zgodne z prawdą.

– Jak pani sobie życzy – odrzekła panna Ridley, po czym obróciła się na pięcie i poprowadziła mnie korytarzem ku wyjściu.

Kiedy zatraskiwano za mną drzwi, spojrzałam przez ramię w stronę zakrętu owładnięta osobliwym uczuciem: na poły satysfakcją, na poły dotkliwym żalem. Biedactwo, pomyślałam, kiedy przyjdę w przyszłym tygodniu, ona nadal tam będzie!

Dotarliśmy do schodów prowadzących na wieżę i krok po kroku zeszliśmy w niższe, bardziej posępne rejony – czułam się jak Dante, podążający za Wergiliuszem w głąb piekła. Najpierw przekazano mnie pod opiekę panny Manning, a następnie strażnika, który poprowadził mnie przez pięciobok numer dwa i jeden. Przekazawszy wiadomość panu Shillitoe, minęłam wewnętrzną bramę i ruszyłam zwirową ścieżką. Tym razem ściany pięciobokow zdawały się rozstępować przede mną, choć czyniły to z pewnym ociąganiem. Słońce świeciło mocniej, zagęszczając siny mrok panujący w cieniu murów.

Kiedy tak szliśmy, strażnik i ja, ponownie utkwiałam wzrok w czarnej, więziennej ziemi usianej splachetkami turzycy.

– Czy hodujecie tu jakieś kwiaty? – spytałam. – Stokrotki albo... fiołki?

– Ani stokrotek, ani fiołków – zaprzeczył. – Nie ma tu nawet mleczy. Z tej ziemi nic nie wyrośnie – dodał. – Za blisko Tamizy, mokro jak na moczarach.

Odrzekłam, że tak właśnie myślałam, po czym znów wróciłam myślami do kwiatka. Zastanawiałam się, czy miałyby szansę wykiełkować w szczelinach między ceglami w budynku kobiet. Trudno powiedzieć.

Nie myślałam o tym zbyt długo. Strażnik doprowadził mnie do bramy, gdzie wezwano dorożkę. Kiedy pozostawiłam za sobą cele, rygle, cienie oraz mdlące zapachy więzienia, poczucie własnej wolności wróciło ze zdwojoną siłą, napędzając mnie wdzięcznością. Uznałam, że wyprawa była w gruncie rzeczy dobrą decyzją; dobrze, że pan Shillitoe nie znał szczegółów mojej historii. Zarówno on, jak i jego podwładne trwali w głębokiej nieświadomości i niech tak zostanie. Wyobraziłam sobie, jak krępują moją przeszłość i

umieszczają ją pod kluczem...

Rozmawiałam dzisiaj z Helen. Przyjechała z moim bratem oraz trojgiem lub czworgiem ich przyjaciół. Ubrani bardzo strojnie, wybierali się do teatru; Helen w szarej sukni szczególnie przykuwała uwagę. Podczas ich wizyty zesłam na dół, ale nie zabawiłam tam długo: na tle chłodu i bezruchu Millbank oraz mego własnego pokoju natłok twarzy i głosów był mi wstrętny. Mimo to Helen podeszła do mnie i wymieniliśmy kilka uwag na temat wizyty w więzieniu. Opowiedziałam jej o monotonnych korytarzach oraz napięciu, jakie towarzyszyło mi podczas wędrówki. Spytałam, czy pamięta książkę Le Fanu, o dziedzicze, której wmówiono obłąd?

– Przyszło mi do głowy – powiedziałam – że matka jest w zмовie z panem Shillitoe, który zatrzyma mnie w więzieniu pod pretekstem rzekomej utraty zmysłów.

Helen była szczerze ubawiona tą uwagą, ale odwróciła się, by sprawdzić, czy matka nie usłyszała przypadkiem moich słów. Opowiedziałam jej trochę o więźniarkach. Odrzekła, że zapewne muszą być przerażające. Bynajmniej, zaprzeczyłam, są tylko słabe.

– Tak właśnie powiedział pan Shillitoe – dorzuciłam. – Moje zadanie polega na tym, aby pomóc im wybrać właściwą drogę. Mam im służyć przykładem moralnym.

Helen utkwiała wzrok we własnych rękach, obracając pierścionki na palcach. Powiedziała, że jestem bardzo odważna. I że to zajęcie z pewnością odwróci moją uwagę od "starych zmartwień".

– O czym wy tam szepczecie? – zapytała ostro matka. Wcześniej tego popołudnia z dreszczem wysłuchiwała mojej relacji, po czym zabroniła mi opowiadać gościom o szczegółach dotyczących więzienia.

– Tylko nie pozwól, by Margaret opowiadała ci o więzieniu, Helen – powiedziała teraz. – Popatrz, twój mąż czeka. Spóźnicie się na przedstawienie.

Helen natychmiast podeszła do Stephena, który ujął jej rękę i pocałował. Spoglądałam na nich przez chwilę, a potem wymknęłam się z salonu i wróciłam tutaj. Skoro nie wolno mi opowiadać o więzieniu, z pewnością mogę opisać je w pamiętniku.

Zapełniłam już dwadzieścia stron. Przeczytawszy to, co napisałam, dochodzę do wniosku, że droga przez Millbank była mniej wyboista niż moje własne zagmatwane myśli, którymi wypełniłam ostatni zeszyt. Ten przynajmniej będzie inny.

Jest wpół do pierwszej. Słyszę, jak pokojówki idą na strych, kucharka zasuwą rygle – po dzisiejszym dniu ów dźwięk będzie mi się kojarzył tylko z jednym!

Boyd zamyka drzwi i podchodzi do okna, żeby zasunąć zasłony: śledzę jej ruchy, jak

gdyby sufit był ze szkła. Teraz rozsznurowuje buty i z hukiem zrzuca je na podłogę. Następnie słyszę skrzypienie materaca.

W pobliżu płynie Tamiza, czarna jak melasa. Nad nią migoczą latarnie Mostu Alberta, dalej widać drzewa Battersea oraz bezgwiezdne niebo...

Pół godziny temu matka przyniosła mi lekarstwo. Powiedziałam, że chciałabym jeszcze trochę posiedzieć, prosząc, by zostawiła mi je na później – ale stanowczo odmówiła. Jej zdaniem nie jestem gotowa. Nie "na to". Jeszcze nie.

Patrzyłam, jak wsypuje kryształki do szklanki, i pod czujnym okiem matki połknęłam miksturę. Teraz jestem zbyt zmęczona, by pisać, a zarazem zbyt niespokojna, aby zapaść w sen.

Panna Ridley miała rację. Gdy przymykam oczy, widzę tylko lodowatą biel korytarzy Millbank. Jakim cudem one mogą tam spać? Rozmyślam o nich teraz: o Susan Pilling, Sykes oraz panie Haxby w cichej wieży. I o uderzająco pięknej dziewczynie z fiołkiem.

Ciekawe, jak się nazywa.

2 września 1872

Selina Dawes

Selina Ann Dawes

Panna S. A. Dawes

Panna S. A. Dawes, uznane medium

Seanse codziennie

Panna Dawes, medium

Mroczne seanse codziennie – hotel pana Vincy'ego

Lamb's Conduit Street, Londyn WC

Zapewniamy dyskrecję i przyjemne otoczenie

ŚMIERĆ JEST NIEMA, ŻYCIE GŁUCHE

Za dodatkowego szylinga wydrukują to tłustą czcionką i dodadzą czarną obwódkę.

30 września 1874

Zakaz matki niebawem utracił rację bytu, gdyż każdy z gości domagał się opisu więzienia oraz jego pensjonariuszek. Wszyscy jak jeden mąż prosili o szczegóły mrozące krew w żyłach, lecz choć wspomnienia z Millbank wciąż trwają żywo w mej pamięci, trudno mi znaleźć coś stosownego na tę okazję. Dręczy mnie raczej zwyczajność owego miejsca, sam fakt istnienia potężnego gmazyska, które w odległości zaledwie dwóch mil jazdy dorożką kryje w sobie tysiąc pięćset ludzkich żywotów, zmuszonych do bezwarunkowej kapitulacji i posłuszeństwa. Myśli o nich nachodzą mnie podczas najbardziej prozaicznych czynności – kiedy piję herbatę, bo jestem spragniona, sięgam po szal lub książkę, gdy marzną bądź nie mam co robić, albo recytuję fragment wiersza dla czystej przyjemności obcowania z dźwięcznym wersem. Powtarzam czynności, które wykonywałam tysiąc razy, i myślę o więźniarkach, którym nie jest to dane.

Zastanawiam się, ile spośród nich leży w zimnych celach, marząc o porcelanowych filiżankach, książkach i poezji. Podczas minionego tygodnia śniłam o Millbank więcej niż raz. Śniłam, że jestem jedną z więźniarek i kładę równo nóż, widelec oraz Biblię na półce w swojej samotni.

Wszakże nie o to pytają nasi goście. Jednorazowa wyprawa jest dla nich zrozumiała jako forma swoistej rozrywki, lecz pójście tam po raz drugi, a potem trzeci i czwarty budzi ich najszczerze zdumienie. Tylko Helen traktuje mnie poważnie.

– Ach! – wołają pozostali – Chyba nie masz zamiaru bratać się z więźniarkami? Przecież to złodziejki, albo i gorzej!

Patrzają na mnie, po czym przenoszą wzrok na matkę. Jak może mi na to pozwolić?

– Margaret swoim zwyczajem postępuje tak, jak jej się żywnie podoba – odpowiada jak zwykle matka. – Powtarzam jej, że jeśli pragnie zajęcia, w domu go nie brakuje. Są przecież listy jej ojca, bardzo piękne listy. Pora, aby ktoś wreszcie je uporządkował...

Obiecuję, że uczynię to w swoim czasie, na razie jednak wolę spróbować sił w czym innym. Kiedy wspomniałam o tym pani Wallace, przyjaciółce matki, popatrzyła na mnie z namysłem. Zastanawiam się, co wie albo czego domyśla się na temat mojej choroby, odrzekła bowiem:

– Cóż, trudno o lepsze lekarstwo na przygnębienie niżli praca na rzecz innych. To zdanie wielu lekarzy. Ale więzienie! Ach, pomyśl tylko, jakie tam jest powietrze! Przecież to istna wylęgarnia zarazków!

Raz jeszcze pomyślałam o białych, monotonnych korytarzach i nagich celach. Odparłam, że wręcz przeciwnie, w więzieniu panują nieskazitelna czystość i porządek, na co moja siostra spytała, ile pożytku w takim razie przyniesie więźniarkom moje współczucie? Pani Wallace uśmiechnęła się pobłaźliwie. Zawsze lubiła Priscillę, uważając ją za ładniejszą nawet od Helen.

– Może ty pomyślisz o podobnym zajęciu, kiedy już wyjdiesz za pana Barclaya, skarbie? – spytała. – Czy w Warwickshire mają więzienia? Pomyśleć o twej drogiej twarzyczce pośród fizjonomii skazanych: to dopiero byłby widok! Mamy na to epigram, prawda? Margaret, ty pamiętasz te słowa poety na temat kobiet oraz nieba i piekła.

Pamiętałam:

Mężczyźni różnią się co najwyżej jako niebo i ziemia, Kobiety wszak jak niebo i piekło są różne.

– Proszę, jakaś ty mądra! – wykrzyknęła, kiedy je zacytowałam. – Gdyby kazano mi przeczytać wszystkie książki, które przeczytałaś, zapewne liczyłabym już sobie tysiąc lat.

Matka oświadczyła, że Tennyson z pewnością nie mylił się co do kobiet.

Wydarzyło się to dzisiejszego ranka, kiedy pani Wallace gościła u nas na śniadaniu. Później obie wraz z matką zabrały Pris na pierwszą sesję pozowania do portretu, umówioną z rozporządzenia pana Barclaya, który życzy sobie, aby portret żony wisiał w salonie w Marishes po ich powrocie z miesiąca miodowego. Znalazł odpowiedniego malarza, mającego pracownię w Kensington. Matka spytała, czy nie wybrałabym się z nimi. Pris przyklasnęła jej gorąco; właśnie siedziała przed lustrem, wodząc palcem w rękawiczce po brwi przyczernionej specjalnie na tę okazję. Pod płaszczykiem miała błękitną suknię. Równie dobrze może być błękitna, jak szara, zawyrokowała matka. Przecież i tak zobaczy ją tylko malarz, pan Cornwallis.

Nie poszłam z nimi. Udałam się do Millbank, by realizować swą misję duchowego wsparcia.

Wbrew moim obawom powtórna wizyta nie okazała się szczególnie zatrważająca: to moje sny musiały uczynić tutejsze mury wyższymi i brudniejszymi, korytarze zaś węższymi niż w rzeczywistości. Pan Shillitoe doradza mi cotygodniowe wizyty, lecz pozwala samodzielnie wyznaczyć dzień oraz porę: jego zdaniem znajomość rutynowych czynności więźniarek da mi lepszy wgląd w ich życie. Dziś przybyłam tu nieco później niż ostatnio. Za kwadrans pierwsza stanęłam przed bramą, po czym ponownie powierzono mnie opiece surowej panny Ridley. Miała właśnie nadzorować rozdawanie więziennych obiadów; towarzyszyłam jej przez cały ten czas.

Było to niezapomniane przeżycie. Tuż po moim przybyciu rozległ się gong: na jego dźwięk każda z opiekunek sektorów wybiera cztery podopieczne i idzie wraz z nimi do kuchni. Zobaczyłam pannę Manning, panią Pretty i panią Jelf w towarzystwie dwunastu bladych więźniarek idących ze wzrokiem wbitym w podłogę i rękami splecionymi z przodu. Budynek dla kobiet nie ma własnej kuchni: posiłki wydawane są z części dla mężczyzn. W związku z zasadą uniemożliwiania jakiegokolwiek kontaktu pomiędzy skazanymi obojga płci, kobiety muszą cierpliwie poczekać, aż mężczyźni zabiorą swoją zupę i opuszczą kuchnię. Panna Ridley wyjaśniła mi to wyczerpująco.

– Nie wolno im patrzeć na mężczyzn – zakończyła. Takie są przepisy.

W tym momencie zza zaryglowanych drzwi dobiegły pomruki oraz szurania ciężko obutych stóp: wówczas wyobraziłam sobie, że zamiast mężczyzn stoją tam gobliny o wstrętnych pyskach i z ogonami...

Wreszcie wszystko ucichło i panna Ridley zastukała w drzwi pękiem kluczy.

– W porządku, panie Lawrence?

– W porządku! – zabrzmiała odpowiedź, po czym otwarto drzwi, aby wpuścić więźniarki gęsiego do środka. Kucharz stał z założonymi rękami, przyglądając się im z namysłem.

Kuchnia wydała mi się ogromna. W porównaniu z ciemnym i chłodnym korytarzem panował tu nieznośny upał. Zgęstniałe powietrze przesiąkło niemiłą wonią; podłogę wysypują piaskiem, pociemniałym i zbrylonym od płynów chlapiących podczas gotowania. Na środku stały trzy wielkie stoły, na których ustawiono pojemniki z zupą i mięsem oraz tace z chlebem przeznaczone dla kobiet. Na znak panny Ridley więźniarki po dwie podchodziły do stołów, chwytaly pojemnik lub tacę i chwiejnie opuszczały kuchnię. Postanowiłam towarzyszyć podopiecznym panny Manning. Więźniarki na parterze czekały już w drzwiach swoich cel, trzymając blaszane kubki i talerze. Podczas nalewania zupy przełożona odmówiła modlitwę – "Boże pobłogosław te dary", czy coś równie lakonicznego – niemal całkowicie zresztą zignorowaną przez kobiety, które stały cicho z twarzami przyciśniętymi do krat, wypatrując obiadu. Otrzymawszy swoje porcje, zanosły je do stołu i posypały solą z pudełek ustawionych na półkach.

Obiad składał się z mięsnej zupy z ziemniakami oraz porcji chleba. Zestaw prezentował się niezbyt zachęcająco: bochenki były brunatne i spieczone jak cegielki, a ugotowane w łupinach ziemniaki miały czarne plamy. Na powierzchni mętnej, stygnącej zupy utworzyła się gruba, biała warstwa tłuszczu. Zaokrąglone, więzienne noże były zbyt tępe, by pokonać opór bladego, żyłastego mięsa: widziałam, jak wiele kobiet bez zbędnych ceregieli rwie baraninę zębami.

Mimo to przystępowały do posiłku z niejakim entuzjazmem, niektóre tylko spoglądały ponuro na nalewaną zupę lub podejrzliwie badały mięso.

– Nie smakuje pani obiad? – spytałam jednej z nich. Odparła, że woli nie myśleć, czyje ręce dotykały wcześniej mięsa w męskim więzieniu.

– Robią paskudne rzeczy – dodała – a potem dla zabawy maczają palce w naszej zupie.

Powtórzyła to dwa albo trzy razy, po czym przestała zwracać na mnie uwagę. Pozostawiłam ją mamroczącą do kubka i dołączyłam do strażniczek, stojących przy wejściu do sektora.

Zagadnęłam pannę Ridley na temat tutejszego jadłospisu oraz jego urozmaicenia: na przykład w piątki, ze względu na znaczną liczbę katoliczek, zawsze podaje się rybę, w niedzielę zaś pudding na łożu. Spytałam, czy w więzieniu przebywają również żydówki. Odparła, że owszem, one też najbardziej "kręcą nosem" na przygotowanie potraw. Z podobnymi incydentami spotkała się również w innych zakładach karnych.

– Ale po pewnym czasie odechciewa im się fanaberii – dodała. – A już w moim więzieniu na pewno.

Kiedy opisałam potem pannę Ridley bratu i Helen, na ich twarzach pojawił się uśmiech.

– Przesadzasz, Margaret – powiedziała nawet Helen, ale Stephen potrząsnął głową. Oznajmił, że bez przerwy widuje w sądach strażniczki pokroju panny Ridley.

– To straszliwe plemię – dorzucił. – Urodzone, by gnębić innych. Przychodzą na świat z łańcuchami wiszącymi u pasa. Matki dają im żelazne klucze, by przecierały nimi bezzębne dziąsła.

Odsłonił własne zęby – proste, jak u Priscilli, podczas gdy moje wyrosły raczej krzywo. Helen spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem.

– Czy ja wiem? – powiedziałam. – Może wcale nie jest do tego stworzona, tylko każdego dnia mozolnie doskonalą się w tej roli. Może prowadzi sekretny album z wycinkami z kalendarza Newgate. Jestem pewna, że tak. Opatrzyła go tytułem "Oslawieni strażnicy więzienni" i wzdycha nad nim w nocnej ciszy Millbank niczym córka pastora nad żurnalem.

Na te słowa Helen zaśmiała się jeszcze głośniejszym głosem, aż jej niebieskie oczy zalśniły od łez, a rzęsy pociemniały.

Na wspomnienie jej wesołości wyobraziłam sobie, jakim spojrzeniem obrzuciłaby mnie panna Ridley na wieść o tym, że rozśmieszam bratową jej kosztem, i ciarki przebiegły mi po plecach. Na posępnym tle sektorów Millbank panna Ridley wcale nie wydaje się zabawna.

Śmiem podejrzewać, że życie strażniczek – nawet jej i panny Haxby – musi być bardzo przygnębiające. Stanowią część więzienia, jakby same należały do grona pensjonariuszek. Ich

rozkład dnia, jak zapewniła mnie dziś panna Manning, przypomina harmonogram pomywaczek: mają do dyspozycji własne pokoje, lecz wieczorami bywają tak znużone natłokiem zajęć, że padają na łóżko pozbawione sił, nie pragnąc już niczego prócz snu. Ich posiłki również przygotowuje się w więziennej kuchni, obowiązki zaś nie należą do łatwych.

– Niech pani poprosi, aby panna Craven pokazała swoje ramię – dodała panna Manning.
– W ubiegłym tygodniu w więziennej pralni padła ofiarą napaści jednej z dziewcząt i rękę ma od góry do dołu pokrytą siniakami.

Jednakże panna Craven, na którą natknęłam się nieco później, wyglądała na równie grubo ciosaną jak jej podopieczne. Jej zdaniem więźniarki są zajadłe jak szczury, a ich widok budzi w niej obrzydzenie. Kiedy spytałam, czy trudy obecnej posady nie skłaniają jej do zmiany zajęcia, twarz strażniczki przybrała rozgoryczony wyraz.

– Ciekawe, co mogłabym robić po jedenastu latach w Millbank! – odparła, dodając, że zapewne będzie przemierzać tutejsze korytarze aż po kres dni.

Tylko pani Jelf, opiekunka sektorów położonych na najwyższym piętrze, wydaje się miłą i na swój sposób bardzo łagodna. Błada i wyniszczona, mogłaby liczyć sobie zarówno dwadzieścia pięć, jak i czterdzieści lat, lecz nie narzeka na swój los, wzdychając tylko, że od wielu opowieści, których musi wysłuchiwać z ust więźniarek, jeży się włos na głowie.

Pod koniec pory obiadowej, kiedy dźwięk gongu odesłał kobiety do pracy, udałam się do jej sektora.

– Od dzisiaj muszę zacząć na serio wypełniać swe obowiązki, pani Jelf – oznajmiłam. – Mam nadzieję, że mogę liczyć na pani wsparcie, gdyż lękam się ogromnie. – Na Cheyne Walk nigdy bym się do tego nie przyznała.

– Z radością posłużę pani radą – odrzekła, po czym zaprowadziła mnie do więźniarki, którą jej zdaniem miał ucieszyć mój widok.

Była to kobieta w podeszłym wieku – chyba najstarsza w więzieniu – należąca do grona skazanych kategorii oznaczonej gwiazdą. Nazywała się Ellen Power. Na mój widok wstała i odstąpiła mi swoje krzesło. Poprosiłam, żeby usiadła, ale odmówiła i koniec końców rozmawialiśmy na stojąco. Pani Jelf patrzyła na nas przez chwilę, po czym odsunęła się i kiwnęła głową.

– Muszę zamknąć kratę – powiedziała łagodnie. – Proszę zawołać, kiedy będzie pani gotowa do wyjścia. – Dodała, że wołanie słychać w każdej części sektora.

Następnie odwróciła się i zatrzasnęła kratę, a ja patrzyłam, jak przekręca klucz w zamku.

Wówczas przypomniałam sobie, że to ona sprawowała nade mną pieczę w przerażających snach o Millbank, które miałam w zeszłym tygodniu.

Gdy przeniosłam wzrok na Power, dostrzegłam uśmiech na jej twarzy. Przebywa w więzieniu od trzech lat, za cztery miesiące kara się skończy; trafiła tu za prowadzenie domu rozpusty. Mówiąc to, pogardliwie uniosła głowę.

– Rozpusty! – zawołała. – Ot, niewinny salonik, odwiedzany z rzadka przez młode pary, które chciały się trochę pomigdalić. Moja własna wnuczka bywała tam co rusz i utrzymywała go w czystości. Zawsze miałam świeże kwiaty w wazonie. Rozpusty! Przecie chłopcy muszą gdzieś zabierać dziewczęta, nie będą się całować na ulicy, prawda? A jeśli wychodząc ofiarowali mi szylinga w podzięcie za życzliwość i miły nastrój, cóż w tym złego?

Istotnie rzecz wyglądała całkiem niewinnie, przynajmniej w jej wersji, przypominałam sobie jednak ostrzeżenia strażniczek i odrzekłam, że trudno mi wyrażać zdanie na temat wymiaru sprawiedliwości. Kobieta uniosła opuchniętą rękę.

– A jakże – powiedziała. – To temat dla mężczyzn.

Spędziłam z nią pół godziny. Raz czy dwa ponownie usiłowała rozsunąć przede mną uroki sutenerstwa, lecz uparcie naprowadzałam ją na mniej kontrowersyjne tematy. Przypominałam sobie bezbarwną Susan Pilling, z którą rozmawiałam w sektorze panny Manning, po czym spytałam Power o jej zdanie na temat więziennego ubrania oraz zwyczajów panujących w Millbank. Chwilę namyślała się nad odpowiedzią. Wreszcie uniosła podbródek.

– Co do zwyczajów, trudno powiedzieć – odrzekła. – Nigdy nie byłam w innym więzieniu, wydają się jednak dość uciążliwe. Może pani zapisać (miałam przy sobie swój notatnik). Nieważne, kto to przeczyta. Co do ubioru, jest okropny.

Denerwuje ją, że z pralni nigdy nie wraca ten sam komplet ubrań. Na dodatek zostaje na nim mnóstwo plam.

– Ale cóż, trza go nosić, przecie nie będziemy marzły. Flanelowa bielizna jest strasznie szorstka i gryzie, a po praniu wcale nie przypomina flaneli, jeno jakąś cienką szmatkę, która wcale nie grzeje, tylko drapie. Trzewiki są całkiem do rzeczy, ale brak gorsetu, za pozwoleniem, to istne wyzwanie dla młodszych kobiet. Mnie tam wszystko jedno, mam swoje lata, ale dziewczętom brak gorsetu porządnie daje się we znaki, miła pani, a jakże...

Rozprawiała tak z prawdziwym upodobaniem, choć mówienie sprawiało jej wyraźną trudność. Niepewnie dobierała słowa, jękała się i co rusz oblizując wargi tudzież przesuując po nich ręką. Czasami zanosila się kaszlem. Zrazu myślałam, że robi tak ze względu na mnie, bym miała czas szczegółowo zapisać jej słowa. Wszak dziwaczne pauzy ponownie nasunęły mi wspomnienie Susan Pilling, która również jękała się, kaszlała i gubiła najprostsze słowa, i którą uznałam za obdarzoną dość nietęgim rozumem... Wreszcie podeszłam do kraty i pożegnałam się z Power, która znów zająknęła się w poszukiwaniu

odpowiedzi. Wtedy uniosła spuchniętą dłoń do policzka i potrząsnęła głową.

– Musi mnie pani uważać za wariatkę, która prawie nie pamięta własnego imienia! – powiedziała. – Pan Power dawniej przeklinał mój ostry język. Mawiał, że tnie jak brzytwa. Miałby teraz używanie, prawda? Tutaj godzinami nie ma do kogo gęby otworzyć. Czasami aż dziw bierze, że język się nie kurczy albo nie wysycha. Człowiek boi się, że naprawdę zapomni, jak się nazywa.

Mówiła to z uśmiechem, ale jej oczy zaszklily się niebezpiecznie, a spojrzenie posmutniało. Ogarnięta wahaniem zapewniłam, że wina leży po mojej stronie. Jak mogłam zapomnieć o męczarniach przymusowego milczenia i samotności?

– Gdy żyje się tak, jak ja – dorzuciłam – człowiek otoczony jest bezustanną paplaniną. I z radością powraca w zacisze swojego pokoju, aby pogрузić się w milczeniu.

Natychmiast odparła, że jeśli pragnę milczeć, muszę częściej zaglądać do Millbank! Zapewniłam ją, że na pewno będę zaglądać do niej, o ile tylko sobie tego życzy. Uśmiechnęła się ponownie i życzyła mi wszystkiego dobrego.

– Będę wyczekiwać pani wizyty – powiedziała, kiedy pani Jelf otwierała kratę. – Oby wkrótce nastąpiła!

Odwiedziłam kolejną więźniarkę wybraną przez strażniczkę, która powiedziała ściszym tonem:

– To nieszczęsna, smutna dziewczyna. Bardzo się o nią niepokoję, gdyż ciężko znosi tutejsze rygory.

Dziewczyna istotnie była smutna; kiedy weszłam do niej, drżała od stóp do głów. Nazywa się Mary Ann Cook, skazano ją na siedem lat za zamordowanie własnego dziecka. Nie ma jeszcze dwudziestu lat, a trafiła tu jako szesnastolatka. Kiedyś mogła być całkiem niebrzydka, obecnie jednak była tak blada i wynędzniała, że w ogóle nie wyglądała na kogoś w tak młodym wieku, zupełnie jakby białe, więzienne ściany wysały z niej życie i kolory, powlekając całunem trupiej bladości. Gdy poprosiłam, żeby opowiedziała mi swoją historię, uczyniła to tak beznamiętnie, jakby spełniała tę prośbę setki razy – w obecności strażniczek, odwiedzających oraz w samotności. Wielokrotne powtarzanie uczyniło tę opowieść żywszą niż wspomnienie, lecz doszczętnie pozbawioną znaczenia. Żałowałam, że nie mogę jej powiedzieć, iż znam uczucie, które musi jej towarzyszyć.

Powiedziała, że przyszła na świat w katolickiej rodzinie, jej matka zmarła i ojciec ożenił się po raz drugi. Wraz z siostrą pracowały jako pokojówki w bardzo wytwornym domu. Mieszkali tam pewna dama i jej mąż wraz z trzema córkami, bardzo miłymi, oraz synem...

– Który, panienko, wcale nie był miły. Będąc chłopcem, tylko nam dokuczał: zwykł

podsluchiwać pod drzwiami, kiedy leżałyśmy w łóżkach, po czym wpadał do środka i nas straszyl. Nie było to zbyt męczące; zresztą niebawem wyjechał do szkoły i wcale go nie widywałyśmy. Ale po roku czy dwóch wrócił odmieniony – był niemalże tak wysoki jak jego ojciec i sprytniejszy niż kiedykolwiek...

Twierdzi, że zmuszał ją do potajemnych spotkań i proponował, by zamieszkała w garsonierze jako jego kochanka, ale odmówiła. Wkrótce jednak spostrzegła, że panicz daje pieniądze jej siostrze i "żeby ratować młodszą dziewczynę", przystała na jego żądania, a niebawem zaszła w ciążę. Rzuciła pracę, okazało się bowiem, że siostra, skuszona obietnicami panicza, zwróciła się przeciwko niej. Mary poszła do brata, którego żona nie chciała jej przyjąć, i koniec końców trafiła do przytułku.

– Urodziłam córkę, ale nie mogłam jej pokochać. Wyglądała zupełnie jak on! Chciałam, żeby umarła. – Zabrała dziecko do kościoła, prosząc księdza, by je ochrzcił. Kiedy odmówił, sama to uczyniła. – W naszym Kościele mamy takie prawo – dodała skromnie.

Wynajęła pokój, podając się za osobę samotną, i ukrywała dziecko, tłumiąc szalem jego krzyki. Kiedyś jednak szal zasłonił buzię niemowlęcia i je udusił. Gospodyni znalazła małe ciałko. Cook schowała je za zasłoną, gdzie przeleżało cały tydzień.

– Chciałam, żeby umarła – powtórzyła – ale nigdy nie odebrałabym jej życia. Kiedy to się stało, bardzo żalowałam. Znaleźli tamtego księdza i kazali mu zeznawać w sądzie przeciwko mnie. Wszystko wskazywało na to, że od początku chciałam ją zabić.

– Straszna historia – powiedziała do strażniczki, gdy przyszła uwolnić mnie z celi. Nie była to pani Jelf, która musiała odprowadzić jakąś więźniarkę do gabinetu panny Haxby, tylko panna Craven, gruboskórna niewiasta z posiniaczonym ramieniem. Na moje wezwanie podeszła do kraty; pod jej spojrzeniem Cook pospiesznie wróciła do szycia i opuściła głowę. Kiedy ruszyliśmy korytarzem odparła, że owszem, może niektórzy uznają tę opowieść za straszną. Ona jednak nie zamierza ronić łez nad więźniarkami pokroju Cook, mordującymi własne dzieci.

Powiedziałam, że chociaż Cook wydaje się bardzo młoda, panna Haxby uprzedzała mnie, że w więzieniu zdarzają się dziewczęta, ledwo odrosłe od ziemi.

Panna Craven kiwnęła głową: owszem, i to dopiero był widok. Miały tu kiedyś dziewczynę, która przez pierwsze dwa tygodnie płakała w nocy za swoją lalką. Nie sposób było tego słuchać.

– Mimo to – dodała ze śmiechem strażniczka – czasami wstępował w nią istny demon. A jej język... plugawy! Rzadko słyszy się takie słowa, nawet w zakładzie dla mężczyzn.

Owo wspomnienie niezmiernie ją rozbawiło. Odwróciłam oczy. Dotarliśmy prawie do

końca korytarza, przed nami widniało sklepione przejście prowadzące do jednej z wież. Dalej widniał ciemny zarys kraty. Rozpoznałam ją: była to krata, przy której stałam w ubiegłym tygodniu, krata celi dziewczyny z fiołkiem.

Zwolniłam kroku i ściszym głosem zapytałam o więźniarkę z pierwszej celi następnego korytarza. Jasnowłosą, młodą i dosyć ładną. Czy panna Craven wie coś na jej temat?

Twarz strażniczki, która spochmurniała podczas rozmowy o Cook, ponownie przybrała oschły wyraz.

– Selina Dawes – powiedziała panna Craven. – Dziwaczka. Bardzo zamknięta w sobie. Nie wiem nic więcej. Nosi opinię najspokojniejszej więźniarki w Millbank. Podobno nigdy nie sprawiała żadnego kłopotu. Mówię na nią "Głęboka".

– Głęboka?

– Jak ocean.

Skinęłam głową, przypominając sobie słowa pani Jelf. Czy Dawes pochodzi z dobrej rodziny? Panna Craven wybuchnęła śmiechem.

– Rzeczywiście ma wielkopańskie maniery, ot co! Strażniczki za nią nie przepadają, może z wyjątkiem pani Jelf, ale ona jest dobra i łagodna dla wszystkich. Więźniarki też wolą nie mieć z Dawes do czynienia. To miejsce, jak mówią, sprzyja zawieraniu przyjaźni, żadna jednak nie kwapi się nawiązać bliższego kontaktu z tą dziewczyną. Chyba czują przed nią respekt. Któraś przeczytała o niej w gazecie i przekazała wieść dalej; jak pani widzi, robią to pomimo naszych wysiłków. A potem, nocą, przychodzą im do głowy rozmaite głupoty. Ktoś narobi krzyku, a potem opowiada, że słyszał dziwne odgłosy dochodzące z celi Dawes...

– Odgłosy...?

– Że niby duchy, panienko! Ta dziewczyna jest... jest medium, czy jak to się tam nazywa.

Stałam jak wryta i spojrzałam na strażniczkę ze zdziwieniem oraz pewnym niepokojem.

– Medium – powtórzyłam. – Medium, tutaj, w więzieniu? Cóż takiego zrobiła? Za co tu siedzi?

Panna Craven wzruszyła ramionami. Podobno Dawes skrzywdziła jakąś damę oraz młodą dziewczynę, w wyniku czego jedna z nich zmarła. Nikt nie wie, jak to się stało. Nie oskarżono jej o morderstwo, tylko o napaść. Mówi się, że wszystkie zarzuty przeciwko Dawes to brednie wysane z palca, będące wymysłem sprytnego prawnika.

– Ale w Millbank słyszy się dużo podobnych historii – dodała, prychnając.

Przytaknęłam. Ponownie ruszyliśmy korytarzem. Minęliśmy zakręt i moim oczom

ukazała się Dawes we własnej osobie. Siedziała jak poprzednio, w blasku słońca, tym razem jednak wzrok utkwiony miała w spoczywającym na kolanach spletanym motku włóczki.

Spojrzałam na pannę Craven.

– Czy mogłabym...?

Kiedy weszłam do celi, blask słońca przybrał na sile; w zestawieniu z cieniłą monotonią korytarza ściany oślepiły mnie białością. Uniosłam palce do oczu i zamrużałam. Minęła chwila, nim zrozumiałam, że w przeciwieństwie do pozostałych więźniarek Dawes na mój widok nie wstała i nie dygnęła. Nie odłożyła też robótki i nie powitała mnie uśmiechem. Milczała. Uniosła tylko głowę i popatrzyła na mnie z cierpliwym zaciekawieniem, nie przestając skubać palcami włóczki, jakby trzymała w ręku różaniec i dalej odmawiała zdrowaśki.

Gdy panna Craven zatrzasnęła kratę i odeszła, powiedziałam:

– Nazywasz się Dawes, nieprawdaż? Jak się miewasz, Dawes?

W milczeniu wlepiła we mnie oczy. Jej rysy nie są tak regularne, jak wydawały mi się w zeszłym tygodniu: cechuje je drobny brak symetrii – pewne odchylenie – w okolicach ust i brwi. Człowiek mimowolnie zwraca uwagę na twarze więźniarek ze względu na ich bezbarwne, jednakowo skrojone ubrania oraz dopasowane czepki. Na twarze i ręce. Dłonie Dawes są szczupłe, lecz szorstkie i zaczerwienione. Ma połamane paznokcie upstrzone białymi plamkami.

Uparcie trwała w milczeniu. Nieruchomość jej pozy i spojrzenia nasunęła mi podejrzenie, że mam przed sobą istotę niemą lub niedorozwiniętą. Wyraziłam nadzieję, że zechce chwilę ze mną porozmawiać, wyjaśniając, iż celem moich wizyt w Millbank jest nawiązanie przyjaznych stosunków z wszystkimi kobietami...

Mój głos zabrzmiał donośnie. Wyobraziłam sobie, jak płynnie pogrążonym w ciszy korytarzem, skłaniając więźniarki do przerwania pracy; unoszą głowy, może na twarzach pojawia się uśmiech. O ile pamiętam, odwróciłam się do okna, wskazując na snop światła padający na biały czepki kobiety oraz krzywą gwiazdę przyszytą do jej rękawa.

– Lubisz przesiadywać w słońcu – zauważyłam.

– Chyba mi wolno? – odparła natychmiast. – Mam prawo do swojej odrobiny światła. Bóg jeden wie, jak bardzo mi go brakuje!

Żar w jej głosie zdumiał mnie niezmiernie. Z wahaniem rozejrzałam się dokoła. Ściany przestały mnie oślepić; plama słońca skurczyła się, a wewnątrz celi oblekły szarość i chłód. Trasa słońca nieubłaganie wiodła z dala od wież Millbank. Dawes, milcząca i nieruchoma niczym słupek zegara słonecznego, musiała patrzeć jak jasna tarcza znika, z każdym dniem

coraz wcześniej w miarę nastawania jesieni. Od stycznia do grudnia jedna połowa więzienia zaiste jest ciemna niczym odległa strona księżycy.

Zbita z tropu stałam przed Dawes, która nadal rozplątywała włóczkę. Podeszłam do złożonego hamaka i położyłam na nim rękę. Wówczas powiedziała, że jeśli powoduje mnie ciekawość, woli, abym zajęła się czym innym, na przykład kubkiem albo talerzem. Wedle reguł więziennych hamak musi być nienagannie złożony. Nie chce potem go po mnie poprawiać.

Natychmiast cofnęłam rękę.

– Naturalnie – odrzekłam. – Przepraszam.

Opuściła wzrok na drewniane druty. Kiedy spytałam, nad czym pracuje, apatycznie uniosła bezbarwną robótkę.

– Robię pończochy dla żołnierzy – wyjaśniła. Mówiła z ładnym akcentem. Kiedy się zacięła, co nie zdarzało jej się tak często, jak Ellen Power czy Cook, wzdrygałam się mimowolnie.

– Przebywasz tutaj od roku, czyż nie? – zagaiłam ponownie. – Możesz przerwać pracę, kiedy ze mną rozmawiasz: panna Haxby nie ma nic przeciwko temu. – Opuściła druty, ale nadal skubała włóczkę palcami. – Jesteś tu od roku. Co sądzisz na temat więzienia?

– Co sądzę? – Twarz Dawes przeciął grymas. Omiotła wzrokiem celę. – A co pani by sądziła na moim miejscu?

Pytanie zdumiało mnie tak bardzo – i nadal zdumiewa, kiedy o tym myślę! – że nie wiedziałam, co powiedzieć. Przypomniałam sobie rozmowę z panną Haxby. Odrzekłam, że uznałabym Millbank za bardzo przygnębiające miejsce, lecz jednocześnie miałabym świadomość własnych grzechów. Perspektywa samotności sprawiłaby mi radość i skłoniła do skruchy. Powzięłabym pewne postanowienia.

– Postanowienia?

– Poprawy.

Bez słowa odwróciła głowę, co nawet mnie ucieszyło, gdyż odpowiedź zabrzmiała niedorzecznie. Na kark Dawes wymknęło się kilka loków o barwie matowego złota – jej włosy muszą być jaśniejsze nawet od włosów Helen. Gdyby je umyć i uczesać, zapewne wyglądałyby bardzo ładnie. Słońce ponownie wyjrzało zza chmur, łaskawie darząc nas swymi promieniami, zanim bezlitośnie zniknie za ścianą budynku. Zobaczyłam, jak Dawes unosi twarz w jego kierunku.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać? – spytałam. – Może doda ci to otuchy.

Odczekała, aż snop światła przybladł i zgasł. Następnie zwróciła twarz w moją stronę i

przez chwilę obserwowała mnie w milczeniu, po czym odrzekła, że dodanie jej otuchy nie leży w mojej mocy. Ma na to swoje sposoby. Zresztą dlaczego miałyby mi cokolwiek wyjawiać? Czy ja zdradziłabym jej szczegóły własnego życia?

Głos jej, zrazu ostry, począł drzeć, nadając zuchwalej wypowiedzi ton bezdennej rozpacz. Jeśli okażę jej współczucie, pomyślałam, rozplacze się, do czego nie mogłam dopuścić. Cóż, odparłam energicznie, istnieje mnóstwo tematów, których nie wolno poruszać, lecz nikt nie zabronił mi opowiadać o sobie. Wyjawię jej, co tylko chce wiedzieć.

Powiedziałam, jak się nazywam, że mieszkam w Chelsea, na Cheyne Walk. Opowiadałam, że mam żonatego brata oraz siostrę, która sposobi się do zamążpójścia; sama nie jestem zamężna. Dodałam, że kiepsko sypiam i wiele godzin spędzam na czytaniu, pisaniu bądź obserwacji rzeki. Następnie udałam zastanowienie. Cóż więcej?

– To byłoby chyba wszystko. Nie mam wiele do opowiadania...

Spoglądała na mnie, mrugając powiekami. Wreszcie odwróciła się, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Ma równe i bardzo białe zęby – "białe jak pasternak", żeby użyć sformułowania Michała Anioła – lecz jej wargi są spierzchnięte i pozagryzane. Dalej rozmowa potoczyła się bardziej naturalnie. Dawes spytała, od kiedy jestem wizytującą. Dlaczego wybrałam takie zajęcie? Po cóż przychodzić do Millbank, jeśli w Chelsea mogę swobodnie pływać się w beczynności...?

– Uważasz, że dama powinna pływać się w beczynności? – spytałam.

Odrzekła, że na moim miejscu nie robiłaby nic innego.

– Ależ robiłabyś – zapewniłam ją. – Gdybyś naprawdę była na moim miejscu.

Odpowiedź wprawiła ją w zdziwienie; słowa zabrzmiały głośniejsz, niż chciałam. Ręce Dawes znieruchomiały. Spoglądała na mnie uważnie. Zapragnęłam, by odwróciła wzrok, gdyż jej spojrzenie było nieruchome i wydawało się przewiercać mnie na wskroś. Wyznałam, że nie znoszę braku zajęcia. I że przymusowa dwuletnia beczynność wpędziła mnie w chorobę.

– Pan Shillitoe zaproponował mi wizyty w Millbank – wyjaśniłam. – To stary przyjaciel mojego ojca. Przybył do nas z wizytą i opowiedział o więzieniu oraz systemie wizytowania. I pomyślałam...

Co pomyślałam? Pod jej spojrzeniem poczułam pustkę w głowie. Odwróciłam twarz, nadal czując na sobie jej oczy.

– Przychodzi pani do Millbank – dokończyła spokojnym tonem – żeby zobaczyć kobiety nieszczęśliwsze od siebie, w nadziei, że to poprawi pani humor. – Dokładnie pamiętam jej słowa: były niegrzeczne, a jednocześnie tak bliskie prawdy, że oblałam się purpurą. – Cóż –

podjęła – może pani patrzeć na mnie: jestem nieszczęśliwa. Wszyscy mogą przyglądać mi się do woli, to część mojej kary. – Twarz młodej kobiety znowu przybrała dumny wyraz.

Odrzekłam, iż moją nadzieją jest złagodzić nieco trudy jej kary, a nie czynić ją bardziej niezdolną, na co natychmiast ponownie odparła, że nie leży to w mojej mocy. Ma bowiem wielu przyjaciół, którzy w razie potrzeby służą jej wsparciem i słowami pociechy.

Utkwiłam w niej zdziwione spojrzenie.

– Przyjaciół? – powtórzyłam. – Tutaj?

Przymknęła powieki, po czym teatralnym gestem musnęła ręką czoło.

– Mam przyjaciół, panno Prior – powtórzyła. – Tutaj.

Na śmierć zapomniałam. Nagłe wspomnienie słów panny Craven sprawiło, że krew odpłynęła mi z twarzy. Dawes siedziała z zamkniętymi oczami. Chyba odczekałam, aż otworzy je ponownie, i wtedy powiedziałam:

– Panna Craven wspomniała, że jesteś spirytystką. – Dawes przechyliła głowę na bok. – Zatem owi przyjaciele to... duchy? – Kiwnęła głową. – I odwiedzają cię... kiedy?

– Duchy towarzyszą nam nieustannie – odrzekła.

– Nieustannie? – Uśmiechnęłam się z niedowierzaniem. – Nawet tu? Nawet teraz?

Nawet tu. Nawet teraz. Po prostu wolą się nie ujawniać, wyjaśniła. Czasem też nie mają wystarczającej mocy...

Rozejrzałam się po celi. Przypomniałam sobie samobójczynię – Jane Samson – w sektorze pani Pretty, siedzącą wśród wirujących skrawków przedzy. Czyżby Dawes uważała, że w jej celi w podobny sposób roi się od duchów?

– Skąd twoi przyjaciele czerpią swoją moc? – spytałam. Odrzekła, że z niej.

– I widzisz ich, całkiem wyraźnie?

Powiedziała, że czasem słyszy tylko ich głosy.

– O, tutaj. – Ponownie dotknęła ręką czoła.

– Zapewne odwiedzają cię, kiedy pracujesz? – dopytywałam się.

Potrząsnęła głową. Odrzekła, że przychodzą, gdy w więzieniu zapada cisza, a ona udaje się na spoczynek.

– Są dla ciebie dobrzy?

Skinęła głową.

– Bardzo dobrzy. Przynoszą mi podarunki.

– Doprawdy? – Tym razem na pewno się uśmiechnęłam. – Przynoszą ci podarunki.

Niematerialne?

Wzruszyła ramionami. Niematerialne. I rzeczywiste. Rzeczywiste! Na przykład...?

– Na przykład kwiaty – odpowiedziała. – Czasami różę. Czasem fiołek...

Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi. Podskoczyłam, choć na Dawes nie zrobiło to żadnego wrażenia. Obojętnie przyjęła mój uśmiech i wyrzekła owe słowa mimochodem, prawie niedbale, jakby moja opinia nic dla niej nie znaczyła. Zdrętwiałam. Przecież nie mogłam powiedzieć, że obserwowałam z ukrycia, jak bawiła się kwiatkiem. Bezskutecznie usiłowałam wówczas wyjaśnić jego pochodzenie i chyba później o nim zapomniałam. Odwróciłam wzrok.

– Cóż... – zająknęłam się. – No cóż. – Potem dodałam, w przypiływie fałszywej wesołości: – Cóż, miejmy nadzieję, że panna Haxby nie dowie się o twoich gościach! Co to za kara, skoro mogą swobodnie składać ci wizyty...

A nie? Czy moim zdaniem coś mogło uczynić jej karę mniej dotkliwą, spytała cicho. Jak mogłam tak myśleć, ja, która prowadziłam wystawne życie i patrzyłam, jak one żyją tu i pracują, co jedzą i zakładają na siebie?

– Bez przerwy pod czujnym okiem strażniczek – ciągnęła. – Bez wody i mydła. Zapominamy najprostszych słów, albowiem wąski zakres czynności wymaga znajomości zaledwie garstki wyrazów. "Kamień, zupa, grzebyk, Biblia, igła, ciemny, więźniarka, spacer, bacność, szybciej, szybciej!". Leżymy nękanie bezsennością, nie jak pani, w przytulnym łóżku i przy kominku, w otoczeniu rodziny oraz służby. Leżymy zziębnięte, słuchając, jak więźniarka dwa piętra niżej krzyczy, dręczona koszmarami lub brakiem gorzałki, albo dlatego, że jest nowa i nie może uwierzyć, iż obcięto jej włosy i zamknięto ją w celi na klucz!

Czy moim zdaniem istnieje coś, co pomogłoby jej to znieść? I czy karę łagodzi fakt, że duch odwiedza ją czasem i nachyla się do pocałunku, po czym znika, nim jego wargi dotkną jej ust, pozostawiając ją w jeszcze większej ciemności niż poprzednio?

Jej tyrada nadal dźwięczy mi w uszach i wciąż słyszę ściszony głos dziewczyny, bo przecież nie mogła tego wykrzyknąć w obawie przed strażniczką, przeto zdławiła emocje, sącząc zjadliwe słowa na mój wyłączny użytek. Przestałam się uśmiechać. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Chyba stanęłam do niej tyłem, wyglądając przez kratę na gładką, bieloną ścianę korytarza.

Usłyszałam jej kroki. Wstała z krzesła i stanęła obok mnie, po czym chyba uniosła rękę, żeby mnie dotknąć.

Kiedy odsunęłam się, stając bliżej kraty, dłoń z powrotem powędrowała w dół.

Powiedziałam, że moja wizyta nie miała na celu wyprowadzić jej z równowagi. I że pozostałe kobiety, z którymi rozmawiałam, musiały być mniej wrażliwe, albo też życie na zewnątrz dało im większą odporność.

– Przepraszam – powiedziała.

– Ależ nie ma za co! – Cóż za groteska, gdyby naprawdę było jej przykro! – Jeśli chcesz, żebym wyszła...?

Nie odpowiedziała. Wyglądając w ciemniejącą czeluść korytarza, zrozumiałam, że więcej się nie odezwie. Zacisnęłam palce na kratkach i zawołałam strażniczkę.

Nadeszła pani Jelf. Popatrzyła na mnie, po czym przeniosła wzrok w głąb celi. Usłyszałam, jak Dawes siada; gdy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że wróciła do przerwane go zajęcia.

– Do widzenia – powiedziałam.

Nie odpowiedziała. Kiedy jednak strażniczka zamykała kratę na klucz, Dawes uniosła głowę i ujrzałam, że przełyka ślinę.

– Panno Prior – zawołała, rzucając przelotne spojrzenie na panią Jelf. – Wszystkie tu nie najlepiej sypiamy – mruknęła. – Proszę nas wspomnieć, kiedy następnym razem nie będzie pani mogła zasnąć.

I jej policzek, dotąd biały jak alabaster, pokrył się rumieńcem.

– Wspomnę, Dawes. Wspomnę – odpowiedziałam. Strażniczka położyła mi dłoń na ramieniu.

– Pójdziemy dalej? – spytała. – Czy mogę zaprowadzić panią do Nash lub Hamer? Albo Chaplin, naszej trucicielki?

Ale ja nie miałam ochoty na dalszy obchód więzienia. Opuściwszy sektor pani Jelf, pozwoliłam odprowadzić się do wyjścia.

Po drodze natknęłam się na pana Shillitoe.

– Jakie wrażenia? – zapytał.

Odrzekłam, że strażniczki okazały mi wielką życzliwość, a jedna lub dwie więźniarki wydawały się zadowolone z moich odwiedzin.

– Naturalnie – przytaknął. – Godnie panią przyjęły? O czym mówiły?

– O własnych przemyśleniach i uczuciach – odrzekłam.

Pokiwał głową.

– Doskonale! Proszę zaskarbić sobie ich zaufanie. Okazać szacunek dla ich położenia, tak aby odpowiedziały pani tym samym.

Spojrzałam nań z powątpiewaniem. Po rozmowie z Seliną Dawes nadal czułam się rozstrojona. Wyznałam, iż nie mam co do tego pewności.

– Może jednak nie posiadam wiedzy ani temperamentu niezbędnych do funkcji wizytującego...?

Wiedzy?, powtórzył. Wystarczy znajomość ludzkiej natury, niczego więcej ode mnie nie

wymaga! Czyżbym uważała jego pracownice za bardziej obeznane w tej dziedzinie niż ja sama? Bardziej niż ja zdolne do współczucia?

Pomyślałam o grubiańskiej pannie Craven, przed którą Dawes musiała kryć emocje w obawie przed reprimendą.

– Moim zdaniem są tu jednak pewne kobiety... kobiety strapione...

– Jakże by inaczej – odparł. – Wszak to one są właściwymi adresatkami wysiłków podejmowanych przez wizytujące damy, albowiem to właśnie te więźniarki są najbardziej podatne na wpływy. Jeśli natrafię na taki trudny przypadek – dodał – muszę uczynić go przedmiotem szczególnej troski i skupić na nim całą swą uwagę...

Źle mnie zrozumiał, lecz nie mogliśmy dłużej dyskutować, ponieważ w trakcie rozmowy został odwołany przez strażnika. Musiał oprowadzić po więzieniu nowo przybyłą grupę dam i dżentelmenów. Stali na skrawku żwiru tuż za bramą. Mężczyźni podeszli do jednej ze ścian pięcioboku, gdzie poczęli studiować żółte cegły i zaprawę.

Po duchocie panującej w żeńskim więzieniu dzień wydał mi się jasny i rześki, podobnie jak w ubiegłym tygodniu. Słońce znalazło się poza polem widzenia więźniarek, lecz popołudnie nadal było bardzo pogodne. Kiedy stróż wyszedł na jezdnię, żeby wezwać dla mnie dorożkę, powstrzymałam go i poszłam w stronę nabrzeża. Podobno wciąż znajduje się tu pomost, z którego statki więzienne zabierały skazane do kolonii. Chciałam rzucić nań okiem. Jest to drewniany pirs; w tylnej jego części widnieje zakratowane wejście, wiodące do podziemnego korytarza łączącego pomost z więzieniem. Postąpiłam tam chwilę, rozmyślając o tamtych statkach oraz przewożonych na nich kobietach. Owa refleksja nasunęła wspomnienie Dawes, Power i Cook. Pochłonięta myślami, machinalnie ruszyłam przed siebie. Przemierzywszy całą długość nabrzeża, przystanęłam przed domem, gdzie jakiś mężczyzna łowił ryby na haczyk. Z wiadra przytroczonego u pasa wystawały dwie zdobycze: miały różowe pyski i łuski lśniące srebrzyście w blasku słońca.

W przeświadczeniu, że matka nadal znajduje się poza domem, postanowiłam iść pieszo. Na miejscu jednak okazało się, że wróciła przed godziną i wypatrywała mnie niecierpliwie. Chciała wiedzieć, odkąd to wędruję po mieście sama, na piechotę. Jeszcze chwila, a wysłałaby po mnie Ellis.

Jako że tego ranka dałam w jej obecności upust rozdrażnieniu, teraz postanowiłam wykazać anielską cierpliwość.

– Przepraszam, mamó – rzuciłam, po czym w ramach pokuty pozwoliłam Priscilli opowiedzieć o sesji u pana Cornwallisa.

Raz jeszcze pokazała mi swą niebieską suknię, demonstrując pozę, w jakiej miał ją

uwiecznić artysta. Na portrecie będzie młodą dziewczyną, która siedzi, wypatrując kochankę, z bukietem kwiatów w dłoni i twarzą zwróconą do światła. Powiedziała, że pan Cornwallis włożył jej do ręki pędzle, lecz na obrazie będą to lilie. Znów pomyślałam o Dawes i jej fiołkach.

– Lilie powstaną – uzupełniła Priscilla – kiedy będziemy za granicą...

Następnie zdradziła mi, dokąd się wybierają. Do Włoch. Powiedziała to prawie niedbale; to miejsce nie znaczy dla niej tego, co kiedyś znaczyło dla mnie. Uznałam, że moja pokuta dobiegła końca. Udałam się na górę i zesłam dopiero na kolację.

Kucharka podała baraninę. Mięso trafiło na stół zimne i pokryte warstewką tłuszczu. Jego widok przypomniał mi kwaśną woń więziennej zupy oraz twarze kobiet podejrzliwie lustrujących zawartość talerzy. Straciłam apetyt. Wcześniej odeszłam od stołu, po czym przez godzinę przeglądałam książki i ryciny w gabinecie taty. Następną godzinę obserwowałam ze swojego okna ruch uliczny. Zobaczyłam nadchodzącego pana Barclaya, wymachującego laską. Przystanął na chwilę na schodach i – nieświadomy, że patrzę nań z góry – zwilżył o liść palec, po czym musnął nim wąsy. Potem trochę poczytałam i uzupełniłam zapiski w dzienniku.

Teraz w moim pokoju panuje ciemność. Lampa do czytania stanowi jedyne źródło światła. Lśniące powierzchnie odbijają blask knota; odwróciwszy głowę, ujrzalabym w lustrze nad kominkiem zażółcone odbicie swej pociągłej twarzy. Nie odwracam się, lecz kieruję wzrok na ścianę, gdzie obok planu Millbank powiesiłam dziś rycinę. Znalazłam ją w gabinecie taty, w albumie z Uffizi: jest to obraz Crivellego, o którym myśl nasunął mi widok Seliny Dawes. Nie przedstawia jednak anioła, jak zrazu myślałam, lecz późną "Veritas". Ależ z niej poważna i melancholijna dziewczyna – trzyma lustro oraz słońce pod postacią płonącego dysku. Zostawię tutaj rycinę. Czemu nie? Jest bardzo ładna.

30 września 1872

Panna Gordon, w sprawie niewyjaśnionego bólu. Matka odeszła w maju '71, serce. 2 szylingi.

Pani Caine, w sprawie córki Patricii – Pixie – która żyła dziewięć tygodni, odeszła w lutym '70. 3 szylingi.

Pani Bruce i panna Alexandra Bruce. Ojciec odszedł w styczniu, żołądek. Czy istnieje późniejszy testament? 2 szylingi.

Pani Lewis (nie pani Jane Lewis, kaleki syn, Clerkenwell) – ta dama nie przyszła do mnie, lecz przyprowadził ją pan Vincy, tłumacząc, że zaczął, ale poczucie przyzwoitości nie pozwala mu kontynuować, poza tym czeka już następna klientka. "Och, jaka młoda!" – zawołała na mój widok. "Ale to prawdziwa gwiazda – odparł szybko pan Vincy. – Wschodząca gwiazda naszej profesji, zapewniam panią". Spędziła u mnie pół godziny, a powodem jej zgryzoty są conocne odwiedziny ducha, który o trzeciej nad ranem kładzie rękę tuż nad jej sercem. Nigdy nie widzi jego twarzy, czuje tylko lodowaty dotyk palców. Przychodzi tak często, iż jego palce pozostawiły ślady na skórze: ich to właśnie nie chciała pokazać panu Vincy'emu. "Proszę pokazać je mnie" – powiedziałam. Wówczas rozpięła suknię i zobaczyłam pięć czerwonych plam, skóra jednak była gładka i nienaruszona. Patrzyłam na nie przez długi czas, po czym zapytałam: "Czyż to nie jasne, że on pragnie pani serca? Czy zna pani powód, dla którego duch mógłby chcieć je zagarnąć?". "Nie znam żadnego powodu, pragnę tylko, aby pozostawił mnie w spokoju. Mąż śpi obok mnie i boję się, by duch nie wyrwał go ze snu". Są małżeństwem dopiero od czterech miesięcy. Popatrzyłam na nią uważnie i powiedziałam: "Proszę dać mi rękę i wyznać prawdę: zna pani tego ducha i wie, dlaczego przychodzi".

Naturalnie, że go znała: był to młodzieniec, któremu kiedyś obiecała małżeństwo. Gdy go odrzuciła dla innego mężczyzny, młodzieniec wyjechał do Indii i tam zmarł. Z płaczem opowiedziała mi o wszystkim. "Naprawdę myśli pani, że to on?" – spytała. "Niech skonam, jeśli nie umarł o trzeciej nad ranem angielskiego czasu" – odpowiedziałam. Dodałam, że chociaż duch zyskuje wszelkie przywileje tamtego świata, bywa niewolnikiem godziny, w której zmarł.

Następnie położyłam dłoń na jej sercu. "Jak panią nazywał?" – spytałam. Odrzekła, że Dolly. "Tak, teraz go widzę – powiedziałam – to płaczący młodzieniec o bardzo łagodnym wyglądzie. Pokazuje mi swoją rękę, trzyma w niej pani serce. Jest na nim wypisane imię Dolly, ale litery są czarne i zamazane. Tęsknota za panią nie pozwala mu wyjść ku światłu,

albowiem jej serce ciąży mu niczym kula z ołowiu". "Co mam robić, panno Dawes, co mam robić?". "Cóż, ofiarowała mu pani swoje serce, nic więc dziwnego, że chce je zatrzymać. Ale musimy go przekonać, aby dał za wygraną. Zanim to zrobimy jednak, za każdym razem, gdy mąż zapragnie panią pocałować, on stanie między waszymi wargami. Będzie próbował skraść pani pocałunki". Obiecałam, że spróbuję nakłonić go do odejścia. Pani Lewis ma przyjść w środę. "Ile mam pani zapłacić?" – spytała. Powiedziałam, że jeśli chce zostawić pieniądze, niechaj da je panu Vincy'emu, gdyż pierwotnie zwróciła się do niego. "W takim domu jak nasz, gdzie praktykuje więcej niż jedno medium, musimy kierować się uczciwością" – dodałam.

Mimo to po jej wyjściu pan Vincy przyszedł i oddał mi pozostawioną zapłatę. "Musiała pani zrobić na niej wrażenie, panno Dawes – powiedział. – Proszę spojrzeć, jaką błyskotkę zostawiła". Włożył mi do ręki monetę; była rozgrzana od jego palców. Wręczył mi ją ze śmiechem. Prosto z pieca, zażartował. Odrzekłam, że nie powinien dawać mi pieniędzy, pani Lewis jest przecież jego klientką. "Ależ muszę dbać o pani interesy, panno Dawes. Jest pani tutaj sama jak palec". Nie puszczał mojej ręki. Kiedy próbowałam ją uwolnić, mocniej zacisnął palce. "Pokazała pani te ślady?" – zapytał. Odpowiedziałam, że chyba słyszę na schodach panią Vincy.

Po jego wyjściu schowałam monetę do szkatułki. Reszta dnia minęła spokojnie.

4 października 1872

W domu w Farrington, u panny Wilson – brat odszedł w '58, udusił się w czasie ataku. 3 szylingi.

Na miejscu. Pani Partridge – pięcioro zmarłych noworodków: Amy, Elsie, Patrick, John, James. Żadne z dzieci nie żyło dłużej niż dzień. Dama przybyła w czarnej, koronkowej woalce, którą kazałam jej podnieść. "Widzę twarze zmarłych maleństw wokół pani szyi – powiedziałam. – Nosi je pani niczym naszyjnik, sama o tym nie wiedząc". W naszyjniku było jeszcze miejsce na dodatkowe dwa klejnoty. Na ten widok opuściłam jej woalkę. "Odwagi" – szepnęłam.

Wizyta tej damy nappełniła mnie smutkiem. Po jej wyjściu zapowiedziałam na dole, że nie przyjmę nikogo więcej i wróciłam do siebie. Jest dziesiąta wieczór. Pani Vincy poszła spać. Pan Cutler, który ma sypialnię tuż pode mną, ćwiczy ze sztangą. Panna Sibree śpiewa. Nadszedł pan Vincy, usłyszałam na podeście jego kroki oraz sapanie. Przez pięć minut stał

pod moimi drzwiami. Kiedy zawołałam: "Czego pan chce, panie Vincy?", odrzekł, że przyszedł obejrzeć dywan na schodach. Odniósł wrażenie, że trochę się poluzował; nie chciał, bym zawadziła o niego nogą i upadła. Dodał, że należy to do obowiązków gospodarza bez względu na porę.

Gdy poszedł, zatkałam pończochą dziurkę od klucza.

Następnie usiadłam i rozmyślałam o cioteczce. Jutro miną cztery miesiące od jej śmierci.

2 października 1874

Pada od trzech dni – zimny, smętny deszcz, który burzy powierzchnię rzeki, nadaje jej barwę krokodylej skóry i kołysze barkami tak, że sam ich widok nuży mnie niezmiernie. Siedzę owinięta pledem, na głowie mam starą, jedwabną szlafmycę taty. Gdzieś z głębi domu dochodzi podniesiony głos matki łającej Ellis – pewnie biedaczka upuściła filiżankę albo rozlała wodę. Zaraz potem słyszę łomotanie do drzwi i pogwizdywanie papugi.

Papuga należy do Priscilli, to prezent od pana Barclaya. Siedzi w bawialni na bambusowym drążku. Pan Barclay uczy ją wymawiać imię mojej siostry, na razie bez skutku.

Dzisiaj w domu panuje nastrój ogólnego niezadowolenia. Deszcz zalał kuchnię, dach na strychu przecieka, a na domiar złego Boyd dała tygodniowe wypowiedzenie i matka szaleje na myśl o konieczności zatrudnienia nowej pokojówki tuż przed ślubem Priscilli. Ciekawa rzecz. Wszyscy uważaliśmy, że Boyd jest zadowolona z posady; pracuje u nas od trzech lat. Wczoraj jednak poszła do matki, aby oznajmić, że znalazła inną pracę, w związku z czym za tydzień odchodzi. Mówiąc to, unikała wzroku chlebodawczyni; opowiedziała jakąś historyjkę, na którą matka nie dała się nabrać, po czym przyciśnięta do muru wybuchnęła płaczem. Wyznała, że tak naprawdę nasz dom, kiedy pozostawała w nim sama, zaczął ją przerażać. Powiedziała, że od śmierci papy "zrobiło się tu dziwnie", a jego gabinet, który musi regularnie sprzątać, przyprawia ją o gęsią skórę. W nocy nie może spać, gdyż skrzypienie i inne niewytłumaczalne odgłosy nie dają jej spokoju; kiedyś usłyszała, jak ktoś wyraźnie wyszeptał jej imię! Wielokrotnie leżała sztywna ze strachu, bojąc się nawet uciec do pokoju Ellis. I naprawdę nie chce nas opuszczać, ale ma tak skołatane nerwy, że znalazła sobie nową posadę w domu przy Maida Vale.

Matka odparła, że w życiu nie słyszała takich bzdur.

– Duchy! – prychnęła. – W tym domu! Tylko pomyśleć, że ktoś taki jak Boyd szarga pamięć waszego biednego ojca.

Priscilla okazała zdziwienie, że duch papy wybrał sobie na spacer akurat strych.

– Siedzisz do późna, Margaret – powiedziała do mnie. – Nic nie słyszałaś?

Odpowiedziałam, że słyszałam chrapanie Boyd, chociaż może tak naprawdę rzeziła ze strachu...

Matka powinszowała mi dobrego humoru, dodając, iż konieczność przyuczenia nowej pokojówki wcale nie budzi w niej ochoty do śmiechu.

Następnie znów posłała po Boyd, żeby ją jeszcze trochę podręczyć.

Sprawa ciągnęła się w nieskończoność. Wreszcie, nie zważając na deszcz, znużona przymusowym siedzeniem w domu, pojechałam do Bloomsbury i udałam się do czytelni w Muzeum Brytyjskim. Zamówiłam książkę Mayhew o londyńskich więzieniach, zapiski Elizabeth Fry na temat Newgate oraz jedną lub dwie pozycje polecane przez pana Shillitoe. Dlaczego najwrażliwsi czytelnicy wybierają zawsze tak barbarzyńskie dzieła, zdziwił się bibliotekarz, który pomógł mi je nieść. Odczytał tytuły na grzbietach i uśmiechnął się pod nosem.

Wizyta w czytelni boleśnie wzmogła tęsknotę za papą. Wnętrze nie uległo zmianie. Zobaczyłam ludzi, których oglądałam tu przed dwoma laty, ściskających te same sfatygowane dokumenty, pochylonych nad tymi samymi nudnymi księgami, toczących małe, gorzkie batalie z zastępami nieugiętych pracowników muzeum. Dżentelmen, który przygryza wąż, chichoczący staruszek, dama kopiująca chińskie znaki, która dąsa się na najłżejszy szmer dochodzący z sąsiedniego stołu... Wszyscy nadal tkwili na swoich miejscach pod kopułą, niczym muchy zatopione w bursztynowym przycisku do papieru.

Ciekawe, czy ktoś mnie pamięta. Tylko jeden bibliotekarz wydaje się mnie rozpoznawać.

– To córka pana George'a Piora – wyjaśnił młodszemu pomocnikowi, kiedy stanęłam przy jego okienku. – Panna Prior i jej ojciec przychodzili do nas przez kilka lat. Ba, widzę go jak dziś, jak pyta o swoje książki. Panna Prior pomagała ojcu podczas pracy nad studium renesansu. – Pomocnik odpowiedział, że oglądał to dzieło.

Zauważyłam, że nieznajomi zwracają się do mnie "proszę pani". W ciągu dwóch lat zmieniłam się z dziewczyny w starą pannę.

Tego dnia przyszło tu dużo kobiet takich jak ja, z całą pewnością więcej niż dawniej. Lecz może stare panny są jak duchy: aby dostrzec je wszystkie, należy wstąpić w ich szeregi.

Nie zabawiłam tam długo; nie mogłam zebrać myśli, poza tym półmrok utrudniał czytanie. Nie chciałam jednak wracać do domu, do matki i do Boyd. Pojechałam dorożką do Garden Court w nadziei, że z powodu brzydkiej pogody zastanę Helen samą. Istotnie, od wczoraj nie miała żadnych gości. Siedziała przy kominku i robiła grzanki, karmiąc okruszkami małego Georgy'ego.

– Patrz, to ciocia Margaret! – zawołała na mój widok i podała mi dziecko, które energicznie zapało się nóżkami o mój brzuch i zaczęło wierzgać.

– Ależ ty masz piękne, tłusciutkie stopki – powiedziałam. – A jaki czerwony policzek.

Helen wyjaśniła, że to z powodu zęba, który wyżył się boleśnie. Posiedziawszy chwilę na moich kolanach, chłopiec rozplakał się żałośnie i Helen wezwała nianię, która wyniosła go z salonu.

Opowiedziałam jej o Boyd i duchach, następnie rozmowa zeszła na Pris i Arthura. Czy Helen słyszała, że spędzą miodowy miesiąc we Włoszech? Odniosłam wrażenie, że wie o tym od dawna, chociaż nie przyznała się otwarcie. Oświadczyła, że każdy ma prawo tam jechać, jeśli taka jego wola.

– Czy wszyscy powinni zatrzymać się pod Alpami dlatego tylko, że ty kiedyś miałaś jechać do Włoch i nie było ci to dane? Nie wzbudzaj w Priscilli poczucia winy. Twój ojciec był również jej ojcem. Czy nie uważasz, że przełożenie ślubu było dla niej ogromnym wyrzeczeniem?

Powiedziałam, że pamiętam, jak Priscilla dostała hysterii, kiedy wykryto chorobę taty, musiała bowiem odesłać tuzin nowych kolorowych sukien i zamienić je na czarne. A ja, spytałam, co zrobili ze mną?

– To zupełnie inna sytuacja – odrzekła, unikając mego wzroku. – Priscilla skończyła wtedy dziewiętnaście lat. Była młoda i naiwna. Ma za sobą dwa trudne lata. Powinniśmy się cieszyć, że pan Barclay wykazał taką cierpliwość.

– Ty i Stephen mieliście więcej szczęścia – zauważyłam oschle.

– Owszem, Margaret, ponieważ twój ojciec doczekał naszego ślubu – odparła bez mrugnięcia okiem. – Priscilli nie jest to dane, ale przynajmniej na jej ślubie nie ciąży brzemię choroby waszego biednego taty. Nie odbieraj siostrze prawa do radości, dobrze?

Wstałam, podeszłam do kominka i uniosłam ręce, aby je ogrzać.

– Ależ jesteś dzisiaj surowa – powiedziałam wreszcie. – Oto, co robi z kobiety macierzyństwo. Zaiste, pani Prior, mówi pani zupełnie jak moja matka. Czy też raczej byłoby tak, gdyby wykazywała pani mniej zdrowego rozsądku...

Słyszac to, poczerwieniała i kazała mi zamilknąć. Lecz w lustrze zobaczyłam, jak przyciska rękę do ust, tłumiąc śmiech. Przypomniałam Helen, że ostatnio widziałam u niej takie rumieńce, kiedy była zwykłą panną Gibson. Czy pamięta, jak śmiałyśmy się i rumieniłyśmy?

– Tata zwykł mawiać, że twoja twarz przypomina czerwone karciane serce, moja zaś karo. Pamiętasz jego słowa, Helen?

Z uśmiechem przekrzywiła głowę.

– To znowu Georgy – powiedziała. Nic nie słyszałam. – Ten jego biedny ząbek! – I zadzwoniła po Burns, pokojówkę, po czym kazała ponownie przynieść dziecko. Pożegnałam ją wkrótce potem.

6 października 1874

Nie mam ochoty dzisiaj nic pisać. Wróciłam do siebie pod pretekstem bólu głowy, zaraz pewnie zjawi się matka z lekarstwem. Wizyta w Millbank była okropna. Już mnie tam znają.

– Wróciła pani, panno Prior? – dowcipkował dozorca. – Już myślałem, że ma nas pani dosyć, a tu proszę. Ci, którzy nie muszą pracować w zakładzie penitencjarnym, przejawiają doprawdy zadziwiającą fascynację tym miejscem.

Zauważyłam, że lubi stosować owo formalne określenie; czasem nazywa też strażników "klawiszami", a strażniczki "nadzorczykami". Powiedział mi kiedyś, że pracuje w Millbank od trzydziestu pięciu lat, widział tysiące skazanych mijających tę bramę i musiał wysłuchiwać najstraszniejszych opowieści. Dziś znowu pada; zastałam dozorcę przy oknie, przeklinającego deszcz, który zamieniał okoliczną ziemię w bagno. Powiedział, że grunt zatrzymuje wodę, utrudniając więźniom pracę.

– To zła ziemia, panno Prior – wyjaśnił. Przywoławszy mnie do okna, pokazał miejsce, gdzie kiedyś znajdował się rów, który trzeba było przekraczać po moście zwodzonym, niczym fosę. – Ziemia robiła swoje. Po każdym osuszeniu co rano znów był wypełniony po brzegi czarną wodą. Wreszcie musieli go zasypać.

Posiedziałam z nim chwilę, grzejąc ręce przy ogniu. Kiedy weszłam do żeńskiego oddziału, ponownie oddano mnie pod pieczę panny Ridley, która miała służyć mi za przewodniczkę. Dzisiaj przyszła kolej na część szpitalną.

Lecznica położona jest, podobnie jak kuchnia, poza budynkiem dla kobiet, w centralnym sześciokącie więzienia. To sala o niezbyt miłym zapachu, ale ciepła i przestronna; mogłaby nawet uchodzić za przyjemną, gdyż jest to jedyne pomieszczenie niezwiązane z modlitwą tudzież pracą. Milczenie obowiązuje jednak nawet tutaj. Chore są pilnowane przez strażniczkę, która baczy, by ze sobą nie rozmawiały; dla szczególnie uciążliwych pacjentek przewidziano izolatki oraz łóżka z pasami. Na ścianie wisi obraz przedstawiający Chrystusa oswobodzonego z więzów. Napis poniżej głosi: "Miłość Twa naszym ograniczeniem". Szpital może pomieścić około pięćdziesięciu kobiet. Zastałyśmy tam dwanaście lub trzynaście, z których większość wydawała się bardzo chora – zbyt chora, by na nasz widok unieść głowy. Spały, trzęsły się albo wciskały twarze w poszarzałe poduszki, kiedy przechodziłyśmy obok. Panna Ridley spoglądała na nie bez cienia współczucia. Wreszcie stanęła przy jednym z łóżek.

– Proszę spojrzeć – powiedziała do mnie, wskazując na kobietę, która leżała z odsłoniętą

nogą. Owinięta bandażem spuchnięta kostka miała niemal objętość uda. – Szkoda czasu na taką pacjentkę. Wheeler, powiedz panie Prior, co ci się stało w nogę.

Kobieta pochyliła głowę.

– Skoro panienka sobie życzy – powiedziała. – Zraniłam się nożem kuchennym.

Na wspomnienie tępych noży, które nie dawały rady baraninie, rzuciłam panie Ridley zdziwione spojrzenie.

– Wy tłumacz panie Prior, co doprowadziło do zakażenia – rozkazała strażniczka.

– No – odrzekła Wheeler nieco potulniejszym tonem. – Rdza dostała się do środka.

Panna Ridley prychnęła. To doprawdy niezwykle, powiedziała, co dostawało się do ran i powodowało w Millbank zakażenie.

– Chirurg znalazł kawałek blaszanego guzika, który Wheeler przywiązała sobie do kostki, co spowodowało opuchliznę. W rzeczy samej noga spuchła tak bardzo, że musiał użyć własnego noża, aby wydobyć guzik na zewnątrz! Jakby nie miał nic innego do roboty! – Panna Ridley potrząsnęła głową, a ja ponownie spojrzałam na obrzmiałą kostkę. Stopa poniżej bandaża była zupełnie czarna, pięta zaś biała i spękana jak krążek sera.

Podczas rozmowy ze strażniczką szpitalną dowiedziałam się też, że więźniarki stosują rozmaite sztuczki, żeby znaleźć się na jej oddziale.

– Symulują ataki – opowiadała. – Połykają szkło, jeśli tylko wpadnie im w ręce, aby wywołać krwotok. Próbują się powiesić, ale tak, by ktoś w porę ściągnął je na dół i uratował.

Dodała, że znalazły się co najmniej dwie lub trzy, których kalkulacje zawiodły, w wyniku czego zadusiły się na śmierć. To bardzo smutne, przyznała. Robią to z nudów, albo żeby dołączyć do przyjaciółki, która akurat przebywa w szpitalu. Czasem też chcą po prostu wywołać wokół siebie "trochę szumu".

Oczywiście nie zdradziłam jej, że sama też spróbowałam kiedyś takiej "sztuczki". Dostrzegła jednak moją zmienioną twarz i odczytała ją po swoim.

– Ach, one nie są takie jak my, panienko! – zapewniła. – Własne życie mają za nic...

Opodal nas stała młodsza strażniczka, która przygotowywała się do odkażenia sali. Robią to za pomocą tabliczek chlorku wapnia, na które wylewają ocet. Patrzyłam, jak przechyliła butelkę; powietrze natychmiast wypełniła ostra woń. Kobieta przemaszerowała wzdłuż rzędu łóżek, niosąc przed sobą tabliczkę jak ksiądz kadzidło. Wreszcie zapach stał się tak intensywny, że zapiekły mnie oczy. Odwróciłam się, a panna Ridley wyprowadziła mnie z sali.

Ku mojemu zaskoczeniu w więzieniu wyczuwało się pewne poruszenie i zewsząd dobiegał szmer głosów.

– Co się stało? – spytałam, wciąż przecierając oczy. Panna Ridley pospieszyła z wyjaśnieniami. Dziś jest wtorek – dotąd nie bywałam w Millbank we wtorki – tego dnia, podobnie jak w piątek, w celach odbywają się lekcje. W sektorze pani Jelf spotkałam jedną z nauczycielek. Podała mi rękę, mówiąc, że mnie zna. Myślałam, że rozmawiała z którąś z kobiet, okazało się jednak, że czytała książkę papy. O ile pamiętam, nazywa się pani Bradley. Przychodzi tu, żeby nauczać więźniarki, ma do pomocy trzy młode kobiety. Zawsze pomagają jej młode kobiety, co roku inne, ponieważ gdy tylko rozpoczynają pracę, od razu znajdują sobie mężów i odchodzą. Ze sposobu, w jaki ze mną rozmawiała, wywnioskowałam, że bierze mnie za starszą, niż jestem.

Pchała przed sobą nieduży wózek wypełniony książkami i papierami. Poinformowała mnie, że kobiety zwykle trafiają do Millbank bez znajomości podstawowych rzeczy ("nic nie wiedzą nawet o Biblii"), że wiele z nich potrafi czytać, ale nie pisać, a niektóre nie posiadły żadnej z tych umiejętności. Jej zdaniem są pod tym względem gorsze niż mężczyźni.

– Te książki – wskazała na tomy leżące na wózku – przeznaczone są dla lepszych więźniarek.

Przyjrzałam się im, były bardzo sfatygowane i nosiły ślady wielokrotnego dotykania: wyobraziłam sobie spracowane palce kartkujące je z nudy lub frustracji. Dostrzegłam tytuły z domowej biblioteczki, "Ortografię" Sullivana, "Katechizm historii Anglii", "Wiedzę o świecie" Blaira – pamiętam, że panna Pulver kazała mi w dzieciństwie uczyć się jej fragmentów na pamięć. Przyjeżdżając na wakacje, Stephen zwykł wyszydząć te podręczniki, przekonując, iż przekazują bezużyteczną wiedzę.

– Oczywiście nie ma sensu dawać im nowych książek – dodała pani Bradley, widząc, że oglądam upiorne okładki. – Wcale o nie nie dbają! Wyrrywają kartki i wykorzystują je w najdziwniejszy sposób. – Podobno niektóre ukradkiem robią z nich papiloty i kręcą loki na postrzępionych włosach.

Sięgnęłam po "Wiedzę o świecie"; kiedy pani Bradley weszła do jednej z cel, otworzyłam ją i przerzuciłam wiotkie kartki. Zważywszy na miejsce, uznałam pytania za zgoła osobliwe, choć jednocześnie kryły w sobie pewną poezję. "Jakie ziarno pasuje do odpornej gleby?". "Jaki kwas topi srebro?". Z głębi korytarza dobiegł nagle monotony, niepewny pomruk, zgrzyt grubego obcasa o piasek i krzyk panny Ridley:

– Stój prosto i recytuj lekcję, jak pani prosi!

Z czego się robi cukier, olej i gumę?

Wyjaśnij znaczenie słowa: ulga.

W którą stronę pada cień?

Odłożywszy książkę, ruszyłam korytarzem, przystając po drodze, aby popatrzeć na więźniarki, które marszczyły czoła bądź dukały tekst. Minęłam sympatyczną Ellen Power, smutną katoliczkę Mary Ann Cook, która udusiła własne dziecko, i Sykes, wypytującą strażniczkę o przebieg apelacji. Koło zakrętu usłyszałam znajomy głos. Postąpiłam kilka kroków naprzód. Selina Dawes recytowała fragment z Biblii przed damą, która przysłuchiwała się z uśmiechem.

Nie pamiętam, czego dotyczył tekst. Uderzyła mnie jej ładna wymowa, zgoła nieprzystająca do otoczenia, oraz uległa poza – kazano jej bowiem stanąć pośrodku celi z rękami splecionymi na fartuchu i pochyloną głową. Kiedy myślałam o Dawes, o ile to w ogóle robiłam, widziałam w niej uosobienie postaci Crivellego, melancholijnej, poważnej i surowej. Wspominałam niekiedy jej słowa o duchach, podarunkach i kwiatach, pamiętałam niepokojące spojrzenie. Dzisiaj jednak, z chudziutką szyją ukrytą pod wstążkami więziennego czepka, przygryzionymi wargami i wzrokiem opuszczonym i pod baczny spojrzeniem wytwornej nauczycielki, wydawała się tylko młoda, bezbronna i niedożywiona. Ogarnęło mnie współczucie. Nie wiedziała, że ją obserwuję; dopiero gdy podeszłam bliżej, uniosła głowę i zamilkła. Krew uderzyła jej do twarzy; poczułam, że też się rumienię. Przypomniały mi się jej słowa o tym, że świat może spoglądać na nią do woli i stanowi to część kary.

Chciałam odejść, ale na mój widok nauczycielka wstała i skinęła głową. Życzę sobie porozmawiać z więźniarką? Zaraz skończą. Dawes jest doskonale przygotowana.

– Mów dalej – zachęciła. – Świetnie ci idzie.

Gdyby chodziło o inną kobietę, której kazano wyrecytować lekcję, obdarzono pochwałą, po czym skazano na wielogodzinne milczenie, pewnie nie miałabym nic przeciwko temu. Ale nie chciałam patrzeć na Selinę Dawes.

– Przyjdę innego dnia – odrzekłam i pani Jelf zaprowadziła mnie do cel położonych w dalszej części sektora, gdzie spędziłam następną godzinę.

Ach, to było okropne doświadczenie, tamtejsze więźniarki zaś wzbudziły mą instynktowną niechęć. Pierwsza, do której zajrzałam, odłożyła robótkę, wstała i dygnęła. W obecności strażniczki kulila się i gorliwie kiwała głową, kiedy jednak pani Jelf zamknęła kratę i odeszła, więźniarka przyciągnęła mnie do siebie, szepcząc:

– Bliżej, jeszcze bliżej! Nie *mogą* mnie usłyszeć! Jeśli mnie usłyszą, uszczypną mnie! Ach, będą *szczypać*, *szczypać bez końca!*

Miała na myśli szczury. Przychodzą *do niej* w nocy; przez sen czuje na twarzy ich zimne

pazury, a rano budzi się ze śladami ugryzień. Na potwierdzenie swych słów podciągnęła rękaw i pokazała mi ślady na ramieniu – jestem pewna, że pochodziły od jej własnych zębów.

– Jakim cudem dostają się do celi? – spytałam. Odpowiedziała, że przynoszą je strażniczki.

– Wpuszczają je przez oko – dodała, wskazując na wizjer. – Wrzucają do środka za ogony, widzę ich białe ręce. Opuszczają je na kamienną podłogę, jednego po drugim...

Czy porozmawiam z panną Haxby, żeby zabroniła tego procederu?

Chcąc ją uspokoić, obiecałam, że tak, a następnie wyszłam. Lecz następna więźniarka wydawała się niemal dorównywać szaleństwem swojej poprzedniczce, kolejna zaś – prostytutka o nazwisku Jarvis – zrazu sprawiła na mnie wrażenie cofniętej w rozwoju, podczas rozmowy wierciła się bowiem i podrygiwała, uparcie unikając mego wzroku, cały czas błędziła spojrzeniem w górę i w dół, rejestrując szczegóły mego stroju i uczesania. Jak mogę tak nieładnie się ubierać, wybuchnęła wreszcie, widocznie nie zdoławszy się powstrzymać. Przecież moja suknia jest niemal tak brzydka jak suknie strażniczek! Noszenie więziennego stroju sprawiło jej istną torturę; gdyby na wolności musiała ubierać się tak jak ja, ani chybi by ją to zabiło!

Co włożyłaby na moim miejscu, spytałam.

– Wybrałabym suknię z gazy Chamberry, narzutkę z wydry i słomkowy kapelusz przystrojony liliami – wyliczyła natychmiast.

A na nogi?

– Jedwabne pantofle ze wstążkami do kolan!

Ależ to strój na bal, zaoponowałam łagodnie. Przecież nie nosiłaby czegoś takiego w Millbank?

A jak! Musiałyby ją zobaczyć Hoy i O'Dowd, no i Griffiths, Wheeler i Banks, pani Pretty i panna Ridley też! A jak!

Jej entuzjazm trochę mnie zaniepokoił. Wyobraziłam sobie, jak nocą leży w celi, obmyślając szczegóły paradnego stroju. Kiedy jednak podeszłam do kraty, aby zawołać strażniczkę, Jarvis skoczyła ku mnie i przysunęła się bardzo blisko. Tępe dotychczas spojrzenie nabrało wyrazu przebiegłości.

– Miłośmy sobie gawędziły, prawda? – spytała. Skinęłam głową, przysuwając się do kraty. Podeszła jeszcze bliżej. Zaczęła wypytywać, dokąd idę w następnej kolejności? Do sektora B? Bo jeśli tak, czy nie zechciałabym przekazać wiadomości jej przyjaciółce, Emmie White? Wyciągnęła rękę ku mojej kieszeni, w której miałam notes i pióro.

– Tylko jedną karteczkę – poprosiła. Mogłabym ją w mgnieniu oka wrzucić do celi

White. – Pół karteczki! To moja kuzynka, panienko. Przysięgam, każda strażniczka to potwierdzi.

Natychmiast odsunęłam się od niej i odepchnęłam wyciągniętą dłoń.

– Wiadomość? – powtórzyłam ze zdziwieniem i przestachem.

Och, przecież wiedziała, że nie wolno mi niczego przekazywać! Co pomyślałaby o mnie panna Haxby? Co pomyślałaby o niej, za taką prośbę? Kobieta cofnęła się nieco, lecz nie ustępowała. Przecież to nic złego powiedzieć White, że przyjaciółka o niej myśli! Przeprasza, że chciała porwać mój notes, ale czy nie mogłabym chociaż przekazać słówka? Powiedzieć White, że jej przyjaciółka Jane Jarvis myśli o niej i chce, żeby o tym wiedziała?

Potrząsnęłam głową i zastukałam w kraty.

– Wiesz, że nie wolno ci o to prosić – odrzekłam. – Przykro mi, że złamałaś zakaz. – Wyraz przebiegłości zniknął, ustępując miejsca niechęci. Jarvis stanęła do mnie tyłem, obejmując się rękami.

– Niech cię diabli! – odezwała się całkiem wyraźnie, choć nie na tyle głośno, by zagłuszyć szuranie butów strażniczki.

Co ciekawe, to przekleństwo nie wywarło na mnie większego wrażenia. Zrazu zdziwiona, rzuciłam jej obojętne spojrzenie. Więźniarka popatrzyła na mnie z goryczą.

Nadeszła strażniczka.

– Wracaj do pracy – poleciła łagodnie, powtórnie zamykając kratę na klucz. Jarvis zawahała się, po czym przysunęła krzesło i sięgnęła po porzuconą robótkę. Nie wyglądała przy tym na rozgoryczoną czy urażoną, lecz – podobnie jak wcześniej Dawes – na wynędzniałą i chorą.

W sektorze E nadal rozlegały się głosy młodych pomocnic pani Bradley, ale ja poszłam na dół, do sektora pierwszej klasy, gdzie zajrzałam do panny Manning. Spoglądając na więźniarki, zastanawiałam się mimowolnie, której to Jarvis tak desperacko pragnęła przekazać wiadomość. Wreszcie spytałam cicho:

– Czy macie tu więźniarkę o nazwisku Emma White? – Kiedy panna Manning potwierdziła, pytając, czy chcę ją odwiedzić, potrząsnęłam głową, mówiąc z wahaniem, że pewna kobieta z sektora pani Jelf bardzo chciała czegoś się o niej dowiedzieć. Jej kuzynka, prawda? Jane Jarvis?

Panna Manning parsknęła.

– Kuzynka, tak pani powiedziała? Jest tak samo jej kuzynką, jak ja!

Dodała, że White i Jarvis to "przyjaciółki" i są ze sobą "bardzo blisko". Tego rodzaju "przyjaźnie" bywają w więzieniach powszechnym zjawiskiem; zetknęła się z nimi wszędzie,

gdzie dotąd pracowała. To skutek samotności. Panna Manning widywała, jak najbardziej zatwardziałe recydywistki usychały z tęsknoty za dziewczyną, która wystawiła je do wiatru albo miała już inną przyjaciółkę. Wybuchnęła śmiechem.

– Proszę uważać, żeby nie stać się obiektem podobnych afektów – powiedziała. – Zdarzały się kobiety, które zakochiwały się w strażniczkach i trzeba było przenieść je do innego więzienia. A robiły przy tym tyle hałasu, że boki zrywać!

Roześmiała się ponownie. Podążałam za nią ogarnięta dziwnym uczuciem: słyszałam przecież, jak mówiły o "przyjaciółkach" i sama używałam tego słowa, nieświadoma jego kontekstu. Na domiar złego Jarvis usiłowała zrobić ze mnie narzędzie swych zakazanych skłonności...

Stanęłyśmy przed jedną z cel.

– To właśnie White – mruknęła – o której tak ciągle rozmyśla Jane Jarvis.

Ujrzałam roslą dziewczynę o pożółklej cerze, pochyloną nad rzędem krzywych ściegów na płóciennej torbie, którą kazano jej uszyć.

Na nasz widok wstała i dygnęła.

– W porządku, White – powiedziała panna Manning. – Jakies wieści o córce? – I dodała, zwracając się do mnie:

– White ma córkę, którą pozostawiła pod opieką ciotki. Uważamy jednak, że ta daje małej zły przykład, prawda, White? Istnieją obawy, że dziewczynka też zejdzie na manowce.

White odrzekła, że nie miała żadnych wiadomości. Gdy podchwyciła moje spojrzenie, odwróciłam wzrok i pozostawiwszy pannę Manning przy celi, poprosiłam inną strażniczkę o odprowadzenie mnie do wyjścia. Opuściłam więzienie z radością, z ulgą czując na twarzy krople deszczu, ponieważ wszystko, co widziałam tam i słyszałam – chore i samobójczynie, szcury szalonej więźniarki, "przyjaciółki" i śmiech panny Manning – ni stąd, ni zowąd nappełniło mnie obrzydzeniem. Przypomniałam sobie chwilę, kiedy wyszłam z więzienia po pierwszej wizycie i odetchnęłam czystym powietrzem, wyobrażając sobie, jak moja własna przeszłość zostaje umieszczona pod kluczem i puszczona w niepamięć. Mokry płaszcz zaciążył mi na ramionach, a ciemny rąbek spódnicy pociemniał jeszcze bardziej w miejscu, gdzie przyłgnęło błoto.

Wróciłam do domu dorożką i rozmyślnie zwlekałam z zapłatą w nadziei, że matka zobaczy mnie przez okno. Nie zobaczyła: siedziała w salonie, przepytując nową pokojówkę. To znajoma Boyd, starsza dziewczyna. Ona nie zawraca sobie głowy opowieściami o duchach i chętnie przyjmie posadę – podejrzewam, że Boyd, zastraszona przez matkę, musiała ją przekupić, gdyż ta nowa przywykła do lepszego wynagrodzenia. Twierdzi jednak, iż gotowa

jest zrezygnować z dodatkowego szylinga na rzecz własnego pokoju: w obecnym miejscu pracy dzieli sypialnię z kucharką, która ma "złe nawyki". Poza tym niedaleko stąd mieszka jej przyjaciółka i chciałaby być blisko niej.

– Czy ja wiem – odrzekła matka. – Mojej drugiej pokojówce nie spodoba się, jeśli będziesz zajmować się czymś poza pracą. Wiedz też, że nie możesz przyjmować żadnych odwiedzin. Ani sama ich składać kosztem pracy.

Dziewczyna odparła, że w życiu by nie śmiała zrobić czegoś takiego, i matka postanowiła zatrudnić ją na próbę. Zamieszka u nas w sobotę. Ma końską twarz i nazywa się Vigers. Podoba mi się; nigdy specjalnie nie przepadałam za Boyd.

– Szkoda tylko, że jest taka brzydka! – powiedziała Pris, ukradkiem obserwując ją zza zasłony.

Uśmiechnęłam się, po czym naszła mnie okropna myśl. Mary Ann Cook, więźniarka z Millbank, padła ofiarą zalotów syna swoich chlebodawców; pomyślałam o panu Barclayu, panu Wallace oraz przyjaciółach Stephena, którzy czasami nas odwiedzają i poczułam ulgę, że dziewczyna nie jest ładna.

Matka chyba pomyślała o tym samym, gdyż potrząsnęła głową, słysząc uwagę Prissy. Vigers będzie w sam raz, uznała. Brzydkie służące są bardziej oddane. I widać, że ma głowę na karku, zna swoje miejsce. Koniec z bzdurami o skrzypiących schodach!

Pris spochmurniała. W Marishes będzie miała całą rzeszę młodych pokojówek.

– W niektórych posiadłościach – wtrąciła pani Wallace, która grała z matką w karty – pokojówki nadal sypiają w kuchni, na półkach. Kiedy byłam dzieckiem, rodzice zawsze kazali pomywacze spać na skrzyni z platerami. Kucharka miała do swojej dyspozycji poduszkę jako jedyna spośród całej służby.

Pani Wallace okazała zdziwienie, że mogę spać pod pomieszczeniem, w którym hałasuje służąca. Odparłam, iż jestem gotowa znieść te niewygody za cenę widoku Tamizy, poza tym z mego doświadczenia wynika, że pokojówki (jeśli tylko nie dostają konwulsji ze strachu) są zwykle zbyt zmęczone, by w mieć w głowie coś innego prócz snu.

– I dobrze! – zawołała.

Matka poradziła, by pani Wallace nie zwracała uwagi na moje poglądy w kwestii służby.

– Margaret ma takie pojęcie o traktowaniu służącej – dorzuciła – jak o dojeniu krowy.

Następnie, zmieniając temat, poprosiła nas o wyjaśnienie nader osobliwego zjawiska. Podobno w mieście znajdowało się trzydzieści tysięcy zdesperowanych szwaczek, a ona ma kłopot ze znalezieniem jednej, która umiałaby porządnie uszyć pelerynkę za mniej niż funta...

Liczyłam, że Stephen wpadnie z wizytą i przyprowadzi ze sobą Helen, lecz tak się nie

stało: pewnie deszcz zatrzymał ich w domu. Odczekawszy do dziesiątej, poszłam więc na górę. Wkrótce matka podażyła za mną z lekarstwem. Gdy weszła, siedziałam w koszuli nocnej, owinięta pledem. Dostrzegła na mojej szyi medalion.

– Doprawdy, Margaret! – powiedziała. – Masz tyle pięknej biżuterii, a nosisz takie starocie!

– Dostałam go od taty – zaoponowałam. Nie powiedziałam jej o ukrytym wewnątrz kosmyku jasnych włosów, nie wie, że go mam.

– Takie brzydactwo! – zawołała.

Skoro zależy mi na pamiętce po ojcu, to dlaczego nie noszę broszek ani pierścionków, które kazała wykonać po jego śmierci? Bez słowa ukryłam medalion pod koszulą nocną. Jego chłód przejął mnie dreszczem.

Pijąc chloral, zobaczyłam, jak lustruje obrazki przypięte nad sekretarzykiem i dziennik. Był zamknięty, ale między kartkami tkwił wsunięty ołówek.

– Co to jest? – spytała. – Co ty tam pisziesz?

Oświadczyła, że niezdrowo jest siedzieć zbyt długo nad dziennikiem; zmęczy mnie to i przygna dawne, mroczne myśli. Po co dajesz mi środek nasenny, pomyślałam, skoro nie chcesz, żebym się zmęczyła? Ale nie powiedziałam tego głośno. Schowałam dziennik i po wyjściu matki wyjęłam go ponownie.

Dwa dni temu pan Barclay sięgnął po odłożoną przez Priscillę książkę, po czym wyśmiał jej treść. Nie lubi kobiet piszących. Jego zdaniem kobiety potrafią jedynie tworzyć "dzienniki serca". Nie mogę uwolnić się od tego określenia. Rozmyślałam o swym ostatnim dzienniku, który nosił ślady mej własnej krwi i płonął tak długo, jak ponoć płonie ludzkie serce, kiedy je spalić. Ten dziennik będzie inny. Pragnę, aby moje zapiski nie przywołały dawnych refleksji, lecz – podobnie jak chloral – trzymały je z dala ode mnie.

Ach, i byłoby tak, gdyby dzisiejsza wizyta w Millbank nie nasunęła mi dziwacznych wspomnień. Ponownie sporządziłam wierną relację, opisując krok po kroku pobyt w żeńskim więzieniu, lecz zamiast koić, owo zajęcie wyostrzyło mój umysł i przepływające myśli nadzieją się nań jak na rożen. "Proszę nas wspomnieć, kiedy następnym razem nie będzie pani mogła zasnąć", powiedziała Dawes w ubiegłym tygodniu, zatem czynię to teraz. Myślę o uwięzionych w mroku kobietach, które zamiast leżeć nieruchomo, niespokojnie krążą po swoich celach. Szukają sznurów, które mogłyby obwisać wokół własnej szyi. Ostrzą noże, żeby się okaleczyć. Jane Jarvis, prostytutka, woła White przebywającą dwa piętra niżej, a Dawes półgłosem recytuje wyuczony tekst. Słowa zaczynają do mnie docierać i przyłączam się do niej w posepnym duecie.

12 października 1872

Częste pytania i odpowiedzi na temat sfer, autorstwa eksperta w tej dziedzinie

Dokąd wędruje duch po opuszczeniu ciała, w którym się znajdował?

Wędruje do sfery najniższej, dokąd przechodzą wszystkie nowe dusze.

Jak tam trafia?

W towarzystwie jednego z przewodników tudzież duchów opiekuńczych, które zwiemy aniołami.

Jaka wydaje się najniższa sfera duchowi świeżo przybyłemu z ziemi?

Wyda mu się miejscem wielkiego spokoju i wesela, jasności, kolorów etc. Mieści w sobie wszelkie pozytywne cechy.

Przez kogo nowy duch zostaje przyjęty i powitany?

Jak już wspomniano, duch dociera tam w towarzystwie przewodnika, który prowadzi go do miejsca, gdzie czekają nań przyjaciele i członkowie rodziny, którzy trafili tam przed nim. Witają go z uśmiechem, a następnie prowadzą do zbiornika lśniącej wody, gdzie może zażyć kąpieli. Dają mu odzież, aby się okrył i pokazują dom, w którym ma zamieszkać. Odzież i dom są piękne i przepysznie wykonane.

Na czym polegają obowiązki ducha w najniższej sferze?

Jego obowiązkiem jest oczyścić swe myśli przed podróżą do kolejnej sfery.

Ile jest sfer, które musi minąć na swej drodze?

Siedem. Najwyższa z nich to dom MIŁOŚCI, którą zwiemy BOGIEM!

Czy duchy osób umiarkowanie religijnych, życzliwych, prawych etc. mogą liczyć na pomyślne przebycie drogi z jednej sfery do drugiej?

Ludzie o dobrym i szlachetnym usposobieniu uczynią to bez trudu, bez względu na ich ziemskie pochodzenie. Ludzie o niskich pobudkach, mściwi i popędliwi, napotkają na swej drodze rozmaite – tutaj papier jest przedarty, chyba chodzi o słowo "przeszkody". Ludzie

nikczemni nie mają wstępu nawet do opisanej wyżej najniższej sfery. Znajdą się w ciemności i będą harować dopóty, dopóki nie okażą żalu za grzechy, a także nie odpokutują za zło, które wyrządzili. Ów proces może potrwać nawet tysiące lat.

Jak wygląda relacja pomiędzy medium a wspomnianymi sferami?

Medium nie posiada prawa wstępu do owych sfer, niekiedy staje tylko u ich bram i z daleka ogląda cuda w nich zawarte. Czasem pozwala mu się również zajrzeć do piekieł.

Co jest prawdziwym domem medium?

Prawdziwym domem medium nie jest ani ten świat, ani następny, jeno owo mgliste, dyskusyjne miejsce znajdujące się pomiędzy nimi.

Tutaj pan Vincy wkleił notkę: "Jesteś medium poszukującym własnego domu? Znajdziesz go w..." – tu umieścił adres swego hotelu. Dostał tę książkę od pewnego dżentlemana w Hackney i zamierza przekazać ją jegomościowi z Farrington Road. Przyniósł mi ją ukradkiem ze słowami: "Zważ, pani, że nie pokazuję jej byle komu. Nie trafi na przykład w ręce panny Sibree. Trzymam owe książki jedynie dla osób, które darzę specjalnymi względami".

Aby uchronić kwiat przed zwiędnięciem: Dodać do wody nieco gliceryny. Dzięki temu płatki nie opadną ani nie zbrązowieją.

Aby przedmiot fosforyzował: Zakupić pewną ilość fosforyzującej farby, najlepiej w sklepie, gdzie nas nie znają. Rozcieńczyć farbę odrobiną terpentyny i namoczyć w niej paski muślinu. Muślin wysuszyć, a następnie strząsnąć zeń proszek, którym można pokryć każdy przedmiot. Woń terpentyny można zatuszować kroplą pachnidła.

15 października 1874

Do Millbank. Przy bramie wewnętrznej zastałam grupę strażników z męskiego więzienia oraz dwie strażniczki – pannę Ridley i pannę Manning, w narzuconych płaszczach z grubego sukna i w kapturach. Na mój widok panna Ridley skinęła głową. Wyjaśniła, że czekają na przyjazd skazanych z policyjnych aresztów i innych więzień; ona i panna Manning mają odebrać kobiety. Zapytałam, czy mogę poczekać z nimi. Nigdy nie widziałam, jak postępują z nowymi więźniami. Postaliśmy chwilę. Strażnicy chuchali w zziębnięte dłonie. Naraz od strony domku dozorca dobiegło wołanie, po którym dał się słyszeć stukot kopyt oraz zgrzyt kół i na zwirowy dziedziniec Millbank wtoczył się posępny wóz bez okien – furgon więzienny. Panna Ridley i starszy strażnik powitali woźnicę, po czym otworzyli drzwi pojazdu.

– Najpierw wypuszczą kobiety – powiedziała do mnie panna Manning. – Proszę spojrzeć, idą. – Podeszła bliżej, szczerzej otulając się płaszczem. Ja jednak nie ruszyłam się z miejsca, wiedziona chęcią dokładniejszego przyjrzenia się nowo przybyłym.

Było ich cztery – trzy młode dziewczęta oraz kobieta w średnim wieku, z posiniaczonym policzkiem. Wszystkie trzymały przed sobą ręce skute kajdankami; chwiejnie zeskakiwały z wozu i niepewnie toczyły wzrokiem po bladym niebie, upiornych wieżach i żółtych murach Millbank. Jedynie na najstarszej widok ów zdawał się nie robić żadnego wrażenia. Jak się okazało, widywała go nieraz, kiedy bowiem stanęły w nierównym szeregu, zobaczyłam, jak panna Ridley mruży oczy.

– Ty znowu tutaj, Williams? – odezwała się, i posiniaczona twarz kobiety pociemniała.

Szłam z tyłu, za panną Manning. Młodsze kobiety nadal rozglądały się lękliwie; jedna szepnęła coś sąsiadce, czym naraziła się na połajanki. Ich niepewność przypomniła mi moją pierwszą wizytę w więzieniu, niespełna miesiąc temu. W ciągu tego czasu przywykłam do bliźniaczych korytarzy, które początkowo powodowały dezorientację, do strażniczek oraz wszelakich krat, wrót i zamków, których łaskoty różniły się w zależności od ich wielkości i przeznaczenia. Owa szczególna myśl wzbudziła we mnie na poły satysfakcję, na poły niepokój. Wspomniłam bowiem słowa panny Ridley o tym, jak po omacku znalazłaby drogę. Jakże się wówczas nad nią litowałam: w moich oczach była niewolnicą Millbank na równi ze swymi podopiecznymi.

Dlatego niemal z radością przyjąłam fakt, iż wchodzimy do budynku dla kobiet wejściem, którego nie znałam, i mijamy szereg pomieszczeń, których dotąd nie było mi dane

ujrzeć. W pierwszym z nich zastałyśmy pracownicę odpowiedzialną za sprawdzenie papierów nowych skazanych i wprowadzenie danych do pokąźnego dziennika. Ona również popatrzyła srogo na więźniarkę z siniakiem.

– Ty nie musisz się przedstawiać – powiedziała, zapisując coś na kartce. – Co tym razem, panno Ridley?

Panna Ridley zajrzała do swoich dokumentów.

– Kradzież – odrzekła krótko. – I okrutna napaść na policjanta, który złapał ją na gorącym uczynku. Cztery lata.

Kobieta przy biurku pokręciła głową.

– Przecież w zeszłym roku wyszłaś na wolność, Williams. O ile dobrze pamiętam, miałaś nadzieję na posadę u pewnej katolickiej damy. Co się stało?

Panna Ridley odpowiedziała, że do kradzieży doszło właśnie w domu owej damy, policjant zaś został pobity jednym z przedmiotów do niej należących. Kiedy wszystkie szczegóły zostały skrzętnie zapisane, rejestratorka kazała Williams odejść na bok i gestem przywołała następną skazaną. Była to ciemnowłosa dziewczyna o cygańskim wyglądzie. Rejestratorka zanotowała coś w swoim zeszycie.

– Kolej na ciebie, Czarnooka Sue – powiedziała wreszcie łagodnie. – Jak się nazywasz?

Dziewczyna nazywała się Jane Bonn, miała dwadzieścia dwa lata i trafiła do Millbank za spędzenie płodu.

Kolejna – zapomniałam jej nazwisko – liczyła sobie lat dwadzieścia cztery i była uliczną złodziejką.

Trzecia miała lat siedemnaście, włamała się do sklepowej piwnicy i podłożyła ogień. Pod gradem pytań wybuchła płaczem, po czym uniosła rękę do twarzy i jęła żałośnie pocierać mokre oczy i nos. Panna Manning podała jej chustkę.

– Nie płacz – odezwała się. – Płaczesz, bo jesteś wystraszona. – I pogłaskała dziewczynę po kędzierzawych włosach. – Już dobrze.

Panna Ridley spoglądała na to bez słowa. Rejestratorka westchnęła tylko, znalazła w zeszycie błąd i gorliwie rzuciła się, aby go poprawić.

Po dopełnieniu formalności nowo przybyłe zostały zaprowadzone do kolejnego pomieszczenia. Nikt nie dał mi do zrozumienia, abym udała się do swych zwykłych zajęć, dlatego postanowiłam uczestniczyć w procedurze do końca. W pomieszczeniu znajdowała się ławka, na której polecono usiąść skazanym, oraz jedno jedyne krzesło. Krzesło złowróźnie stało pośrodku, tuż obok niewielkiego stolika. Na stoliku leżały nożyczki oraz grzebień; na ich widok obie młode więźniarki zadrzały.

– Tak jest – powiedziała szyderczo starsza więźniarka – trzęście się. Tutaj obetną wam włosy. – Panna Ridley natychmiast ją uciszyła, ale słowa tamtej zrobiły swoje i dziewczęta wyglądały na jeszcze bardziej przerażone niż przedtem.

– Proszę – krzyknęła jedna z nich – niech pani nie obcina mi włosów! Błagam panią!

Panna Ridley podniosła nożyczki i kilkakrotnie przecięła nimi powietrze.

– Pomyślałby kto – odezwała się, spoglądając prosto na mnie – że zamierzam wykluć im oczy, prawda, panno Prior? – Wskazała nożyczkami na jedną z rozdygotanych dziewcząt – podpalaczkę – gestem każąc jej usiąść na krześle. – Podejź no tutaj – poleciła, a gdy tamta się zawahała, powtórzyła: – Tutaj! – tak groźnym tonem, że nawet mnie przeszły ciarki po grzbiecie. – A może mam zawołać kilku dozorców, żeby cię przytrzymali za ręce i nogi? Właśnie skończyli u mężczyzn, nie będą się patyczkować.

Dziewczyna podniosła się z ociąganiem i chwiejnie przycupnęła na krześle. Panna Ridley ściągnęła jej czepek, po czym przeczesała palcami włosy, rozluźniając loki i wyjmując szpilki. Czepek został przekazany rejestratorce, która uczyniła stosowną adnotację w swym wielkim dzienniku, pogwizdując przy tym pod nosem i obracając na języku miętówkę. Miedzianobrazowe włosy dziewczyny były miejscami sztywne i pociemniałe od potu tudzież pomady. Czując, jak opadają jej na kark, ponownie zaczęła płakać, na co panna Ridley powiedziała z westchnieniem:

– Głuptasie, przecież przytnę je tylko do brody. Poza tym kto będzie cię tutaj oglądał?

Jej słowa wywołały oczywiście kolejny potok łez. Obojętna na te lamentsy strażniczka rozczesła grzebieniem tłuste kosmyki dziewczyny i chwyciwszy je jedną ręką, zaczęła ciąć. Pomyślałam o własnych włosach, które Ellis rozczesła w podobny sposób nie dalej jak trzy godziny temu. Wydało mi się, jakby każde pasmo stanęło nagle, napinając się na szpilkach. To było straszne, siedzieć tak i patrzeć na błyskające nożyczki, podczas gdy dziewczyna dygotała, rozpaczliwie lejąc łzy. Straszne, a mimo to nie mogłam odwrócić wzroku. Podobnie jak pozostałe trzy więźniarki, mogłam tylko patrzeć, urzeczona i zażenowana. Wreszcie strażniczka uniosła rękę, a obcięte włosy zwisły bezwładnie; kiedy dwa lub trzy luźne pasma opadły na wilgotną twarz dziewczyny, tamte wzdrygnęły się, podobnie jak ja.

Panna Ridley spytała, czy chce, aby zachowano jej włosy. Wygląda na to, że więźniarki mogą prosić o przechowanie obciętych włosów wraz z innymi rzeczami, które odbiorą po odsiedzeniu wyroku. Dziewczyna spojrzała na kosmyki i potrząsnęła głową.

– Dobrze – odrzekła panna Ridley i wrzuciła obcięte pasma do wiklinowego kosza. – W Millbank potrafimy z nich zrobić użytek – rzuciła posepnie pod moim adresem.

Ostrzyżono kolejne kobiety – starsza więźniarka poddała się zabiegowi z manifestacyjnie

stoickim spokojem, złodziejka z rozpaczą, a Czarnooka Sue, ta od aborcji, której długie, czarne włosy wisiały niczym kaptur ze smoły albo melasy, szarpała się, kopała i przeklinała. Zawołano rejestratorkę, aby pomogła pannie Manning przytrzymać ją za ręce, panna Ridley zaś zadyszała się i poczerwieniała.

– Już po wszystkim, ty mała dzikusko! – oznajmiła wreszcie. – Proszę, ile miałaś włosów, ledwo obejmuję je ręką! – Uniosła do góry pęk czarnych loków.

Rejestratorka podeszła bliżej i dotknęła ich palcami.

– Piękne! – odezwała się z podziwem. – Prawdziwe hiszpańskie sploty. Musimy przewiązać je nicią, panno Manning. Byłaby z nich śliczna peruka. – Odwróciła się do dziewczyny. – I co tak wytrzeszczasz oczyska? Będziesz nam dziękować, gdy za sześć lat damy ci je z powrotem!

Panna Manning przyniosła sznurek; związano włosy i dziewczyna wróciła na ławkę. Na jej szyi widniała czerwona szrama od nożyczek.

Patrząc na to wszystko coraz bardziej zakłopotana. Więźniarki chwilę obrzucały mnie ukradkowymi, lękliwymi spojrzeniami, jakby zachodziły w głowę, jaką też paskudną rolę przyjdzie mi odegrać w tym odrażającym spektaklu. W pewnej chwili panna Ridley upomniała młodą Cyganek:

– Wstydź się, dama wizytująca patrzy! Zobaczysz, że w ogóle cię nie odwiedzi!

Gdy postrzyżyny dobiegły końca i panna Ridley odeszła na bok, aby wytrzeć ręce, podeszłam bliżej, pytając ściszym głosem, co teraz będzie z kobietami. Wyjaśniła normalnym tonem, że się rozbiorą, wykąpią, a następnie zostaną oddane w ręce więziennego lekarza.

– Sprawdzimy, czy nic przy sobie nie mają – dodała.

Ponoć kobiety próbują przemycić do więzienia najróżniejsze przedmioty, "tytoń, a nawet noże". Po skończonym badaniu otrzymają więzienne ubrania i wysłuchawszy krótkiej przemowy pana Shillitoe oraz panny Haxby, pójdą do cel, gdzie odwiedzi je pan Dabney, kapelan.

– Kolejną dobę spędzą samotnie. Będzie to dla nich dobra okazja do przemyślenia swoich występków. – Odwiesiwszy ręcznik na haczyk, przeniosła wzrok na nieszczęsnice siedzące na ławce. – Rozbierać się – rozkazała. – Dalej, żywo!

Ogłupiały i potulne jak owce wobec postrzygaczy, więźniarki poczęły natychmiast ściągać suknie. Panna Manning przyniosła skądś cztery płytkie pudełka i postawiła im u stóp. Stałam przez chwilę, patrząc, jak mała podpalaczka zsuwa stanik, odsłaniając brudną bieliznę, a Cyganica unosi rękę, ukazując ciemne zagłębienie pachy, po czym odwraca się wstydliwie,

rozpinając haftki gorsetu. Panna Ridley nachyliła się ku mnie.

– Życzy pani sobie asystować podczas kąpieli? – spytała.

Powiew jej oddechu sprawił, że zamrugałam powiekami i odwróciłam wzrok. Nie, pójdę do cel, zdecydowałam. Wyprostowała się, krzywiąc usta, i wydało mi się, że dostrzegam coś za jej wyblakłym spojrzeniem – coś w rodzaju gorzkiej satysfakcji albo rozbawienia.

– Jak pani chce – odrzekła jednak uprzejmie. Wyszłam z sali, nie patrząc więcej na kobiety. Panna Ridley zawołała strażniczkę, która przechodziła właśnie korytarzem, i kazała jej zaprowadzić mnie do głównego więzienia. Po drodze zobaczyłam uchylone drzwi niewątpliwie prowadzące do gabinetu lekarza: było to ponure pomieszczenie z wysoką, drewnianą kozetką oraz stołem, na którym leżały porozkładane instrumenty medyczne. Stał tam jakiś mężczyzna, pewnie lekarz we własnej osobie. Kiedy przechodziłyśmy obok, nie podniósł głowy, tylko dalej obcinał sobie paznokcie.

Moja przewodniczka nazywała się panna Brewer. Wydała mi się niezwykle młoda jak na strażniczkę, lecz wkrótce wyszło na jaw, że nie jest strażniczką, tylko pomocnicą kapelana. Nosi mantylkę innego koloru niż pozostałe pracownice więzienia i ma przyjemniejszy sposób bycia. Do jej obowiązków należy roznoszenie więziennej poczty. Powiedziała mi, że więźniarki mogą wysłać i otrzymać jeden list na dwa miesiące, jednakże ze względu na liczbę kobiet pocztę dostarcza się codziennie. Jej zdaniem to przyjemne zajęcie – najprzyjemniejsze ze wszystkich. Nigdy nie ma dość widoku twarzy więźniarek, kiedy staje na progu i wręcza im listy.

Miałam okazję się o tym przekonać, gdyż towarzyszyłam jej przez chwilę. Szczęśliwe adresatki listów wydawały okrzyki radości i przyciskały koperty do piersi lub ust. Tylko jedna z kobiet obdarzyła nas zalęknionym spojrzeniem.

– Nic dla ciebie, Banks – zapewniła ją pospiesznie panna Brewer. – Nie obawiaj się.

Wyjaśniła mi, że Banks ma siostrę w bardzo ciężkim stanie i lada dzień spodziewa się smutnej nowiny. To jedyna przykra strona tego zajęcia, dodała. Niechętnie zaniesie ten list, "gdyż oczywiście będę wiedziała, co zawiera".

Wszystkie listy stąd i do więzienia trafiają do biura kapelana, po czym zostają przeczytane przez nią lub pana Dabneya.

– Zatem musi pani wiedzieć wszystko o życiu więźniarek! – powiedziałam. – Wszelkie ich tajemnice, zamiary...

Słyszając moje słowa, poczerwieniała, jakby dotąd nie przeszło jej to przez myśl.

– Trzeba przeczytać te listy – odparła. – Takie są przepisy. A ich treść nie kryje w sobie nic szczególnego.

Następnie weszliśmy na schody i dotarliśmy na najwyższe piętro. Przyszło mi nagle coś do głowy. Stosik listów malał. Wśród nich znajdowała się wiadomość do Ellen Power, podstarzałej więźniarki. Na widok koperty spojrzała na mnie i puściła oko.

– Od mojej wnuczki – wyjaśniła. – Nigdy o mnie nie zapomina.

Szliśmy dalej, podchodząc coraz bliżej zakrętu. W pewnej chwili przysunęłam się do panny Brewer, pytając, czy ma coś dla Seliny Dawes. Odpowiedziała mi zdumionym spojrzeniem. Dla Dawes? Ależ nic! Dziwne, że w ogóle o to pytam, gdyż Dawes nigdy nie otrzymuje żadnych listów, jedyna w całym więzieniu!

Nigdy? Nigdy, powtórzyła. Być może przychodziły jakieś listy, zanim panna Brewer rozpoczęła pracę w Millbank, nie wiadomo. Jednakże w ciągu ostatniego roku nic do niej nie przysłało ani też nie skreśliła żadnej wiadomości.

– Czyżby nie miała przyjaciół lub rodziny? – spytałam, a panna Brewer wzruszyła ramionami.

– Może zerwała z nimi kontakt albo oni zerwali kontakt z nią. Takie rzeczy się zdarzają. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Jak widać są tu kobiety – dodała – które nie zdradzają swoich sekretów...

Zabrzmiało to bardzo oficjalnie. Panna Brewer przyspieszyła kroku. Kiedy ją dogoniłam, zajęta była odczytywaniem listu kobiecie, która najwyraźniej nie umiała sama tego zrobić. Jej słowa dały mi do myślenia. Minawszy pannę Brewer, znalazłam się przy kolejnym rzędzie cel i nim Dawes zdążyła podnieść oczy, zyskałam sekundę lub dwie, by popatrzeć na nią przez pręty.

Dotąd nie zastanawiałam się nad osobami, które mogły odwiedzać pannę Selinę Dawes bądź przysyłać jej miłe lub zwyczajne listy. Świadomość braku takowych zdawała się dodatkowo zagęszczać spowijające ją samotność i ciszę. Przyszło mi do głowy, że słowa panny Brewer są bliższe prawdy, niż myślała: Dawes skrzętnie ukrywa swoje sekrety, nawet tu, w Millbank. Przypomniałam też sobie słowa innej strażniczki, że pomimo swojej urody Dawes nie znalazła więźniarki, która chciałaby mieć ją za "przyjaciółkę". Teraz je zrozumiałam.

Popatrzyłam na nią z litością, i pomyślałam: jesteś taka, jak ja.

Jakże żałuję, iż owa myśl nie kazała mi wówczas odejść i pozostawić ją w celi. Zobaczyłam, jak Dawes podnosi głowę i uśmiecha się, spoglądając na mnie z wyczekiwaniem. Nie pozostawało mi nic innego, jak wejść do środka. Skinęłam na stojącą opodal panią Jelf; nim strażniczka dotarła do celi, wyjęła klucz i otworzyła kratę, więźniarka zdążyła odłożyć druty i wstać.

Kiedy po chwili pani Jelf z ociąganiem wróciła do swych obowiązków, Dawes odezwała się pierwsza.

– Cieszę się, że pani przysła! – Powiedziała też, że bardzo żałowała, iż nie mogłam jej ostatnio odwiedzić.

Ostatnio?

– Ach tak – przypomniałam sobie. – Ale byłaś zajęta z nauczycielką.

Wzgardliwie uniosła podbródek.

– Z nią – powiedziała. Dodała, że jest tu uważana bez mała za cudowne dziecko, ponieważ potrafi w ciągu jednego popołudnia nauczyć się fragmentu z Biblii i wyrecytować go rankiem w kaplicy. A cóż innego miałyby robić, aby wypełnić sobie puste godziny?

– O wiele chętniej porozmawiałabym z panią, panno Prior. Ostatnim razem okazała mi pani tyle dobroci, chociaż wcale na nią nie zasłużyłam. Od tamtej pory rozmyślam tylko o tym, by... Powiedziała pani, że przychodzi tu jako przyjaciel. W Millbank brakuje okazji, by przypomnieć sobie znaczenie tego słowa.

Jej słowa sprawiły mi radość; spojrzałam na nią z jeszcze większą sympatią i współczuciem. Porozmawialiśmy trochę o zwyczajach panujących w więzieniu.

– Zapewne po jakimś czasie będziesz mogła ubiegać się o przeniesienie do zakładu o łagodniejszym rygorze, na przykład do Fulham – powiedziałam, ale Dawes tylko wzruszyła ramionami i odparła, że każde więzienie jest takie samo.

Mogłam wyjść z jej celi i udać się do kolejnej więźniarki, zyskując tym samym spokój ducha, intrygowała mnie jednak niezmiernie. Wiedziona niepoohamowaną ciekawością, wyznałam, iż wiem od jednej ze strażniczek, że nie otrzymuje żadnych listów... Czy to prawda, spytałam. Czy na zewnątrz nie ma nikogo, kto interesowałby się jej cierpieniem?

Spoglądała na mnie przez chwilę; pomyślałam, że w przypiływie dumy w ogóle nie zechce odpowiedzieć. Zaraz jednak odrzekła, że owszem, posiada wielu przyjaciół. No tak, przyjaciół z zaświatów. Opowiadała mi o nich. Ale przecież na zewnątrz musiała zostawić kogoś, kto za nią tęskni? Ponownie wzruszyła ramionami, tym razem bez słowa.

– Nie masz żadnych krewnych?

Powiedziała, że miała ciotkę, która odwiedza ją czasem w becziesnej postaci.

– Nie masz przyjaciół – drążyłam – żywych przyjaciół?

A moim zdaniem, ilu przyjaciół pospieszyłoby z wizytą, spytała wyniośle, gdybym to ja znalazła się w Millbank? Świat, w którym mieszkała na wolności, nie był może najwytworniejszy, ale nie był też światem złodziei i kryminalistów, skąd pochodziły rzesze tutejszych więźniarek. Poza tym "nie chce, aby ją oglądano" w miejscu takim jak to. Woli

towarzystwo bezstronnych duchów aniżeli ludzi, którzy sztydzili z jej nieszczęścia.

Celowo użyła tego słowa. Słyszając je, pomyślałam mimowolnie o innych dwóch słowach wypisanych na tablicy przed celą: "oszustwo i napaść". Zauważyłam, że niektóre więźniarki znajdują ulgę w opowiadaniu mi o swoich zbrodniach.

– I chciałaby pani, bym opowiedziała jej o mojej? – odparła natychmiast. – Cóż, dlaczegoż by nie? Tyle że żadnej zbrodni nie było! Tylko...

Tylko co? Potrząsnęła głową.

– Tylko pewna niemądra dziewczyna zobaczyła ducha i bardzo się przelękała, czym tak przeraziła pewną damę, że doprowadziła do jej śmierci. A za wszystko obarczono winą mnie.

Słyszałam o tym od panny Craven. Zapytałam o przyczynę strachu dziewczyny. Po chwili wahania Dawes wyznała, że duch stał się niegrzeczny – dokładnie tego słowa użyła. Stał się niegrzeczny, co tak bardzo wyprowadziło z równowagi ową damę, panią Brink...

– Okazało się, że miała słabe serce, o czym wcześniej nie wiedziałam. Zemdląca, a potem zmarła. Była moją przyjaciółką. Podczas rozprawy nikt nie wziął tego pod uwagę. Musieli tylko znaleźć przyczynę, coś, co pomogłoby im zrozumieć sytuację. Sprowadzono matkę tamtej dziewczyny, która zeznała, że jej córka została skrzywdzona, podobnie jak biedna pani Brink, a winę za to ponosiłam właśnie ja.

– Podczas gdy prawdziwym sprawcą był... był kłębny duch?

– Tak.

Ale jaki sędzia, dodała, jaka ława przysięgłych (chyba żeby zwołać grupę spirytystów, co było jej największym marzeniem) daliby temu wiarę?

– Doszli do wniosku, że to nie mógł być duch, ponieważ duchy nie istnieją. – Skrzywiła się. – I stwierdzili, że doszło do oszustwa oraz napaści.

– A co mówiła tamta dziewczyna? – spytałam. Dawes odrzekła, że musiała czuć obecność ducha, ale wszystko jej się pomieszało.

– Jej matka była bogata i wynajęła bardzo sprytnego prawnika. Mój obrońca nie zdał się na nic, choć kosztował mnie cały majątek. Wszystkie pieniądze, które zarobiłam, pomagając ludziom, poszły na marne, ot tak, wyrzucone w błoto.

– Ale skoro dziewczyna widziała ducha...?

– Nie widziała go, tylko czuła. Powiedzieli... powiedzieli, że musiała czuć na sobie moją rękę...

Wspominam teraz, jak złożywszy swe smukłe dłonie, przesunęła palcami jednej po zgrubiałych, zaczerwienionych kostkach drugiej. Gdy spytałam, czy nie mogła liczyć na wsparcie przyjaciół, jej usta zadrgały. Owszem, miała wielu przyjaciół, którzy z upodobaniem

nazywali ją "męczennicą dla sprawy", ale tylko na początku. Niestety, na świecie, "nawet w kręgach spirytystów", nie brakuje zazdrośników, którzy z radością przyjęli jej klęskę. Inni po prostu się przestraszyli. Kiedy w końcu została uznana za winną, nikt nie chciał stanąć w jej obronie...

Mówiła to z żalem, sprawiając jednocześnie wrażenie niezwykle młodej i kruchej.

– I nadal utrzymujesz, że to duch ponosi całą winę? – zapytałam.

Kiwnęła głową. Musiałam się uśmiechnąć.

– To niesprawiedliwe – oświadczyłam – że trafiłaś tutaj, podczas gdy on przebywa na wolności.

Ależ nie, odparła, Peter Quick bynajmniej nie jest wolny! Przeniosła wzrok na zamkniętą kratę.

– W zaświatach istnieją szczególne rodzaje kary – wyjaśniła. – Peter przebywa w równie mrocznym miejscu jak ja. I podobnie jak ja czeka, aż jego wyrok dobiegnie kresu, umożliwiając mu dalszą wędrówkę.

Tak właśnie powiedziała; utrwalone na papierze słowa wydają mi się jeszcze dziwniejsze niż wówczas, gdy krok po kroku odpowiadała na moje pytania wedle swojej własnej logiki. Mimo to poufałość, z jaką wymówiła imię i nazwisko ducha, ponownie wywołała uśmiech na mojej twarzy. Podczas rozmowy stanęliśmy blisko siebie. Teraz odsunęłam się nieco. Spojrzała na mnie domyślnie.

– Uważa mnie pani za wariatkę albo dobrą aktorkę – powiedziała. – Podziela pani ich zdanie...

– Nie – zaprzeczyłam natychmiast. – Nie, wcale tak nie myślę – dodałam zgodnie z prawdą, choć zrazu ogarnęły mnie wątpliwości. Pokręciłam głową. Po prostu nie przywykłam do roztrząsania podobnych spraw, pochłonięta kwestiami zgoła innej, przyziemnej natury. Umysł mój nie miał wielu okazji do wglądu w świat nadprzyrodzony.

Teraz ona się uśmiechnęła, ledwie kącikami ust. Jej umysł, odparła, zaznał tego w nadmiarze.

– W wyniku czego trafiłam tutaj... – Mówiąc to, zatoczyła ręką wokół, jakby tym jednym gestem chciała ogarnąć ponure otoczenie oraz swoje w nim cierpienie.

– Pobyt tu musi być dla ciebie straszny – powiedziałam. Kiwnęła głową.

– Uważa pani spirytyzm za rodzaj fanaberii – odrzekła. – Czy nie sądzi pani jednak, że skoro istnieje takie miejsce jak Millbank, wszystko jest możliwe?

Popatrzyłam na nagą białą ścianę, złożony hamak, wiadro z nieczystościami, po którym laziła mucha. Więzienie stanowiło świat namacalny, który widziałam, czułam i słyszałam.

Duchy zaś... cóż, mogły istnieć naprawdę, lecz nic dla mnie nie znaczyły. Nie potrafiłam rozmawiać o duchach, nie wiedziałam jak.

Oświadczyła, że mogę mówić jak chcę, ponieważ taka rozmowa "daje im moc". Byłoby jeszcze lepiej, gdybym ich słuchała.

– Przekonałaby się pani, że o pani rozmawiają, panno Prior.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu. O mnie? Zaiste, w niebie musiał nastać spokojny dzień, skoro nie mają innego tematu do rozmowy!

Skinęła głową, a następnie przechyliła ją na bok. Zauważyłam już nieraz, że cechuje ją swoista zmienność nastrojów, tonu oraz postawy. Czyni to nader subtelnie, nie jak aktorka gestem widocznym całemu audytorium, lecz na podobieństwo wyciszonej melodii, która niepostrzeżenie wznosi się i opada, zyskując zgoła inne brzmienie.

Zrobiła to i teraz, podczas gdy ja nadal stałam z uśmiechem, mówiąc, jakież nudne muszą być zaświaty, jeśli jestem jedynym tematem do rozmów! Na jej twarzy odmalował się wyraz pobłażania, oczy zyskały przenikliwość.

– Dlaczego pani tak mówi? – spytała płynnie i łagodnie. – Dobrze pani wie, że są duchy, którym jest bardzo droga. Zwłaszcza jeden: towarzyszy nam teraz, stoi bliżej pani niż ja. Jest mu pani najdroższa ze wszystkich, panno Prior.

Patrzyłam na nią, czując, jak coś dławi mnie w gardle. Te słowa nie przypominały opowieści o niematerialnych podarunkach i kwiatach: czułam się, jakby mnie uszczypnęła albo oblała wodą. Niedorzecznie pomyślałam o Boyd słyszającej na schodach kroki papieża.

– Co o nim wiesz?

Nie odpowiedziała.

– Zobaczyłaś mój czarny płaszcz – dodałam – i odgadłaś...

– Bardzo pani domyślna – odrzekła. Oświadczyła, że jej dar nie ma nic wspólnego ze spostrzegawczością. Musi z nim żyć, tak jak musi oddychać, śnić i przełykać ślinę. Nawet tu, w Millbank! – To osobliwe uczucie – dodała. – Jestem jak gąbka albo... jak nazywają się te stworzenia, które zmieniają kolor w zależności od tła? – Nie odpowiedziałam. – Cóż – podjęła. – W swoim dawnym życiu myślałam, że muszę być kimś w tym rodzaju. Czasem przychodzili do mnie chorzy i w ich obecności też zaczynałam chorować. Kiedyś odwiedziła mnie ciężarna; czułam w sobie jej dziecko. Innym razem przyjąłm dżentelmena, który chciał porozmawiać ze zmarłym synem: nadejście chłopca pozbawiło mnie tchu, a głowę przeszył potworny ból, jakby wnet miała pęknąć! Okazało się, że zginął pod gruzami zapadającego się budynku. Poczulałam to, co czuł chwilę przed śmiercią.

Przysunęła się nieco bliżej i położyła rękę na piersi.

– Kiedy pani do mnie przychodzi, panno Prior – powiedziała – czuję pani smutek. Jakby wypełniała mnie ciemność, o tutaj. Ach, cóż to za ból! Zrazu pomyślałam, iż spustoszył panią do cna, pozostawiając opróżnioną jak wydmuszka. Moim zdaniem pani też myśli, że tak jest. Ale pani nie jest pusta. Przeciwnie, pani zawartość tkwi nienaruszona, tyle że zamknęła się pani na cztery spusty. Cóż się tam kryje takiego, co nie może ujrzeć dziennego światła? – Postukała się w pierś. Następnie uniosła drugą rękę i delikatnie dotknęła mnie w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą dotykała siebie...

Wzdrygnęłam się, jakby przeszedł mnie prąd. Otworzyła szeroko oczy, na jej ustach zamajaczył uśmiech. W wyniku zwykłego acz niezwykle osobliwego zbiegu okoliczności odnalazła pod suknią medalion, po czym obrysowała palcem jego kształt. Łańcuszek napiął się wyczuwalnie. Ów gest zdał mi się tak intymny i bezpośredni, że pisząc to teraz, odnoszę wrażenie, iż powiodła palcem w górę, a następnie wsunęła mi dłoń pod kołnierzyk i zdjęła medalion. Ale nie, ręka pozostała na mojej piersi, a jej nacisk wzmógł się nieco. Dawes stała nieruchomo, z lekko przechyloną głową, jakby słuchała tętna wyczuwalnego pod złotem.

Na jej twarzy nastąpiła teraz kolejna zmiana.

– On mówi: "Zawiesiła na szyi brzemień swej miłości i nie chce go zdjąć" – wyszeptała. – "Powiedz jej, że musi je zdjąć". – Skinęła głową. – Uśmiecha się. Czy był mądry jak pani? O tak! Lecz teraz już dowiedział się wielu nowych rzeczy i... ach, jak pragnie, aby pani też mogła je poznać! Ale co on robi? – Wyraz jej twarzy znów uległ zmianie. – Z płaczem potrząsa głową i mówi: "Nie w ten sposób! Ach, Peggy, to nie był właściwy sposób! Dołączysz do mnie, ale nie tak!".

Drzę, zapisując te słowa, wówczas jednak drżałam jeszcze bardziej, czując na sobie jej dłoń i patrząc na odmienioną twarz.

– Dosyć! – powiedziałam i odepchnawszy jej rękę, odsunęłam się o krok. Chyba wpadłam na kratę, która zaklekotała donośnie. Przycisnęłam dłoń do piersi w miejscu, gdzie przed chwilą mnie dotykała. – Dosyć – powtórzyłam.

– To nonsens!

Twarz jej pobladła; Dawes spoglądała na mnie ze zgrozą, jakby zobaczyła wszystko na własne oczy – krzyki i lamenty, doktora Ashe'a i matkę, gorzki fetor morfiny oraz język spuchnięty od rurki. Przyszłam tu, myśląc wyłącznie o niej, ta kobieta zaś ponownie rzuciła mi w twarz mą własną słabość. I to ona patrzyła na mnie teraz ze współczuciem!

Nie mogłam znieść tego spojrzenia. Odwróciłam się i stanęłam twarzą do kraty. Kiedy zawołałam panią Jelf, mój głos zabrzmiał piskliwie.

Strażniczka zjawiała się natychmiast, jakby czekała gdzieś w pobliżu, po czym bez słowa

otworzyła cełę, rzucając mi przez ramię zaleknione spojrzenie. Być może uderzyło ją dziwne brzmienie mego głosu. Wysłałam na korytarz. Dawes podniosła włóczkę i machinalnie przeciągała ją między palcami. Stała z twarzą uniesioną ku mnie, jej oczy spoglądały przenikliwie. Pragnęłam rzucić jakąś zdawkową uwagę. Obawiałam się jednak, że wówczas ponownie się odezwie – powie coś o ojcu, za niego, jako on – opowie o jego smutku, gniewie i zażenowaniu.

Dlatego odwróciłam głowę i odeszłam.

Na dole zobaczyłam pannę Ridley, prowadzącą do cel nowe więźniarki. Gdyby nie siny policzek najstarszej, w ogóle bym ich nie rozpoznała: w identycznych czepkach i sukniach o barwie błota wyglądały jednakowo. Odczekawszy, aż znajdą się na miejscu, wróciłam do domu. Zastałam tam Helen, ale nie miałam ochoty z nią rozmawiać: udałam się na górę i zamknęłam drzwi. Przyszła Boyd – nie, nie Boyd, Boyd już nie ma, to była Vigers, ta nowa – i przyniosła mi wodę do mycia, potem zjawiała się matka z fiolką chloralu. Teraz siedzę zziębnięta do szpiku kości. Vigers dołożyła do ognia za mało drewna; nie wie, że lubię pisać do późna. Posiedzę tak w oczekiwaniu na senność. Przygasiłam lampę; od czasu do czasu kładę ręce na kloszu, aby je ogrzać.

Medalion wisi obok lustra, jedyne źródło blasku wśród tylu cieni.

16 października 1874

Rankiem zbudziłam się oszołomiona po nocy pełnej koszmarów. Przyśniło mi się, że mój ojciec żyje – wyglądając przez okno, zobaczyłam go opartego o balustradę Mostu Alberta. Spoglądał na mnie z rozgoryczeniem. Wybiegłam z domu, wołając: "Na miłość boską, papo, myśleliśmy, żeś martwy!". "Martwy?, powtórzył. Spędziłem dwa lata w Millbank! Kazali mi obracać koło i trzewiki mam zdarte do cna, popatrz". Podniósł nogę, żeby pokazać mi zniszczone podeszwy i widoczne przez nie spękane, poranione stopy. Dziwne, pomyślałam, nigdy dotąd nie widziałam jego stóp...

Niedorzeczny sen, i jakże odmienny od koszmarów dręczących mnie tygodniami po jego śmierci, w których siadałam przy grobie, wołając doń poprzez świeżo poruszoną ziemię, rankiem zaś budziłam się z poczuciem, że wciąż czuję ją pod palcami. Ale tym razem ocknęłam się przerażona i gdy Ellis przyniosła mi wodę do mycia, w obawie przed samotnością nakłoniłam ją do rozmowy. Wreszcie powiedziała, że woda wystygnie mi do reszty, i poszła. Zanurzyłam ręce w misce. Woda nie zdążyła jeszcze ostygnąć, para zasnęła

lustro. Przecierając je, swoim zwyczajem rozejrzałam się za medalionem. Zniknął! Nie miałam pojęcia, co się z nim stało. Wiem, że ubiegłego wieczoru powiesiłam go przy lustrze, potem może podeszłam i musnęłam palcami złoty krążek. Nie potrafię powiedzieć, kiedy dokładnie poszłam spać, lecz nic w tym dziwnego – ostatecznie takie jest działanie chloralu! – wszak mam niezbitą pewność, że nie zabrałam go do łóżka. Po cóż miałabym to robić? Mógłby się połamać albo zgubić, zresztą dla pewności starannie przeszukałam pościel.

Od rana czuję się jak naga i jestem niepocieszona. Jego brak doskwiera mi niemalże boleśnie. Pytałam Ellis, Vigers, nawet Pris. Tylko matce nie wspomniałam o zgubie ani słowem. Najpierw oskarżyłaby którąś ze służących, a następnie poszłaby po rozum do głowy (sama mówiła, że medalion jest brzydki, a przecież trzymałam go razem z cenniejszymi rzeczami) i uznałaby, że znów się rozchorowałam. Nikogo nie uderzyło owe osobliwe zniknięcie, tejeż właśnie nocy, po dziwnej rozmowie z Seliną Dawes.

Już i mnie samą nachodzą obawy o stan mego zdrowia. Może to wina chloralu. Może wstałam, zdjęłam medalion z lustra i schowałam, zupełnie jak Franklin Blake w "Księżycowym kamieniu". Pamiętam, jak ojciec uśmiechał się, czytając tę scenę, lecz pewna dama, która tego dnia zjawiła się z wizytą, potrząsnęła głową. Podobno jej babka pod wpływem laudanum nocą zraniła się kuchennym nożem i wróciła do łóżka, a krew spłynęła do materaca, nieomal pozbawiając ją życia.

Ja chyba nie byłabym do tego zdolna. Na pewno wzięła go któraś z dziewcząt. Może Ellis niechcący zerwała łańcuszek i boi się przyznać? Jedna z więźniarek w Millbank twierdziła, że popsuła broszkę swej pani i zaniosiła ją do naprawy, lecz znaleziono przy niej klejnot i została oskarżona o kradzież. Może Ellis woli uniknąć podobnej sytuacji. Może strach kazał jej wyrzucić uszkodzony medalion. Teraz znajdzie go jakiś zamiatacz ulic i podaruje żonie, a ta podważy wieczko brudnym paznokciem, znajdzie w środku pukiel jasnych włosów i zamyśli się przez chwilę nad tym, z czyjej głowy pochodzi i dlaczego go zachowano...

Nie dbam o to, czy Ellis zniszczyła medalion i czy dostanie go ukochana zamiatacza ulic – niechby go sobie zatrzymała, choć to prezent od taty. W domu znajduje się mnóstwo rzeczy, które mi o nim przypominają. Lękam się tylko o pukiel włosów Helen, otrzymany od niej samej, kiedy mnie jeszcze kochała. Lękam się go stracić, gdyż Bóg jeden wie, jak niewiele mi po niej zostało.

* Jedna z najsłynniejszych powieści Wilkiego Collinsa.

3 listopada 1872

Myślałam, że dzisiaj nikt nie przyjdzie. Pogoda jest tak paskudna, że od trzech dni nikt do nas nie zagląda, nawet do pana Vincy'ego i panny Sibree. Siedzimy we własnym gronie, urządzając seanse w bawialni. Próbujemy materializacji, to podobno teraz bardzo na czasie, zwłaszcza w Ameryce. Zeszłego wieczora próbowaliśmy do dziewiętej, ale bezskutecznie. Wreszcie zapaliliśmy światła i panna Sibree zaśpiewała. Kiedy dzisiejsze próby również nie przyniosły rezultatu, pan Vincy pokazał nam, w jaki sposób przy użyciu własnej ręki można niby to przywołać rękę ducha. Uczynił to następująco:

Przytrzymałam jego lewy nadgarstek, panna Sibree zaś miała chwycić prawy. Okazało się jednak, że obie trzymałyśmy tę samą rękę, tyle że nie widziałyśmy w ciemności. "Wolną ręką mogę zrobić wszystko – oznajmił pan Vincy. – Na przykład to – i dotknął palcami mojej szyi. Krzyknęłam. – W ten oto sposób pozbawione skrupułów medium może wykorzystać naiwność uczestnika seansu, panno Dawes. Proszę sobie wyobrazić, że moja dłoń jest bardzo gorąca albo też zimna lub mokra. Czyż nie spotęgowałoby to efektu?". Poprosiłam, aby zademonstrował to pannie Sibree i przesiadłam się na inne krzesło. Tak czy inaczej, sztuczka bardzo przypadła mi do gustu.

Siedzieliśmy do czwartej lub piątej, na dworze lało jak z cebra i było pewne, że znowu nikt się nie zjawi z wizytą. Panna Sibree stanęła przy oknie. "Och, któż mógłby zazdrościć nam powołania! – powiedziała. – Tkwimy tu zdani na łaskę żywych i umarłych. Czy wiecie, że pewien duch obudził mnie dziś o piątej nad ranem swoim śmiechem?". Potarła oczy. O tak, pomyślałam. Wyskoczył z butelki, słyszałam, jak chichocze w twoim nocniku. Ale panna Sibree okazała mi tyle dobroci po śmierci cioteczki, że w życiu nie powiedziałabym tego głośno. "To zaiste uciążliwe zajęcie – odpowiedział pan Vincy. – Prawda, panno Dawes?". Następnie wstał i ziewnął, mówiąc, że skoro nie zanoszą się na odwiedziny, równie dobrze możemy rozłożyć obrus i zagrać w karty. Kiedy jednak wyciągnął karty, niespodziewanie zabrzmiał dzwonek u drzwi. "I po grze, drogie panie! – zawołał. – To pewnie ktoś do mnie".

Lecz gdy Betty wróciła do pokoju, nie patrzyła na niego, tylko na mnie. Przyprowadziła ze sobą damę z dziewczyną, która okazała się pokojówką. Na mój widok dama przycisnęła dłoń do serca, wołając: "Panna Dawes? Och, wiem, że to pani!". Wszyscy obecni utkwili we mnie wzrok, nawet Betty. Byłam jednak nie mniej zdziwiona niż oni: przestraszyłam się, że to może matka kobiety, której kolejne dzieci również miały umrzeć. Oto skutek przesadnej szczerości, pomyślałam. Może jednak powinnam być taka, jak pan Vincy. Byłam pewna, że

tamtą damą z żalu wyrzuciła sobie jakąś krzywdę i jej matka przyszła się ze mną porachować.

Ale gdy przyjrzałam się twarzy przybyłej, dostrzegłam wprawdzie cierpienie, ale i niezmierną radość. "Przejdźmy może do mojego pokoju – zaproponowałam. – Jest na samej górze. Czy nie ma pani nic przeciwko temu, aby wejść po schodach?". "Przeciwko czemu? – odparła, patrząc z uśmiechem na swoją pokojówkę. – Szukałam pani dwadzieścia pięć lat. Schody nie stanowią dla mnie żadnej przeszkody!".

Wtedy pomyślałam, że ma nie po kolei w głowie, zaprowadziłam ją do swojego pokoju. Stanąwszy na środku, rozejrzała się dookoła, ponownie spojrzała na swą pokojówkę, po czym przeniosła wzrok na mnie. Była niezwykle wytworna, miała białe dłonie przyozdobione staroświeckimi, ale pięknymi pierścieniami. Mogła liczyć sobie pięćdziesiąt lub pięćdziesiąt jeden lat. Nosila czarną suknię, tylko nie tak zszarzała jak moja. "Nie domyśla się pani, dlaczego tu przyszłam? – spytała. – To dziwne. Sądziłam, iż z miejsca pani odgadnie". "Sprowadza panią zgryzota" – odrzekłam. "Nie, panno Dawes – odpowiedziała. – Sprowadził mnie tutaj pewien sen".

Wyznała, że trzy dni temu przyśniła jej się moja twarz, nazwisko oraz adres hotelu pana Vincy'ego. Zrazu myślała, że to tylko sen, kiedy jednak tego ranka zajrzała do czasopisma spirytystycznego, zobaczyła tam ogłoszenie, które zamieściłam dwa miesiące temu. Tym sposobem trafiła do Holborn, a widok mojej twarzy wynagrodził jej trud. Przynajmniej czegoś się dowiedziałam, pomyślałam. Popatrzyłam na damę i pokojówkę, i czekałam. "Och, Ruth – odezwała się dama. – Widzisz jej twarz? Widzisz? Czy mam jej pokazać?". "Myślę, że pani powinna" – odrzekła pokojówka. Wtedy dama wyjęła spod płaszcza jakiś przedmiot owinięty aksamitem. Zdjąwszy tkaninę ucałowała ów przedmiot i podała mnie. Był to portret w ramce, wręczyła mi go ze łzami w oczach. Obie kobiety spoglądały na mnie badawczo. "Teraz pani rozumie, prawda?" – spytała dama.

Całą moją uwagę przykuły złota ramka portretu oraz drżąca, biała dłoń damy, która go trzymała. Kiedy wszakże popatrzyłam na zdjęcie, z moich ust wyrwał się mimowolny okrzyk.

Dama skinęła głową i ponownie złożyła rękę na piersi. "Czeka nas mnóstwo pracy – powiedziała. – Kiedy zaczniemy? Moim zdaniem powinnyśmy to zrobić jak najszybciej".

Odesłała pokojówkę na korytarz i spędziła ze mną kolejną godzinę. Nazywa się pani Brink i mieszka w Sydenham. Przejechała taki szmat drogi do Holborn tylko po to, żeby się ze mną spotkać.

6 listopada 1872

Islington, do pani Baker za jej siostrę Jane Gough, która odeszła w marcu '68, na gorączkę mózgu. 2 szylingi.

Kings Cross, do państwa Martin za ich syna Aleca, który wypadł z jachtu – "Odnalazł Prawdę w głębinie mórz". 2 szylingi.

Na miejscu, pani Brink, za jej specjalnego ducha. 1 funt.

13 listopada 1872

Na miejscu, pani Brink dwie godziny. 1 funt.

17 listopada 1872

Dzisiaj po wyjściu z transu dygotałam na całym ciele; pani Brink kazała mi się położyć, przyłożyła mi rękę do czoła. Kazała pokojówce przynieść kieliszek wina od pana Vincy'ego, po czym stwierdziła, że to podły gatunek i poleciła Betty pójść do szynku, aby kupić coś lepszego. "Za bardzo panią wymęczyłam" – powiedziała. Zapewniłam ją, że to nic, że często niedomagam bądź mdleję, na co potoczyła wzrokiem po pokoju, mówiąc, że wcale jej to nie dziwi, gdyż każdy rozchorowałby się od mieszkania w takiej norze. "Popatrz na lampę" – rzekła do pokojówki. Miała na myśli lampę, którą pan Vincy pomalował na czerwono i która kopci. "Popatrz na ten brudny dywan, na pościel". Mówiła o starej, uszytej przez cioteczkę jedwabnej narzucie, którą przywiozłam z Bethnal Green. Potrząsnęła głową, a następnie ujęła moją rękę. Jestem zbyt rzadkim klejnotem, powiedziała, żeby trzymać mnie w tak pospolitej szkatule.

17 października 1874

Interesująca rozmowa na temat Millbank, spirytyzmu i Seliny Dawes. Gościliśmy na obiedzie pana Barclaya, później dołączyli do nas Stephen i Helen oraz pani Wallace, która przysłała na karty. Wobec zbliżającego się ślubu wszyscy mamy nazywać pana Barclaya Arthurem; Priscilla przewrotnie mówi nań po prostu "Barclay". Bezustannie rozprawiają o posiadłości w Marishes i o tym, że Pris stanie się niedługo panią domu. Musi nauczyć się jeździć konno i powozić bryczką. Bez trudu wyobrażam sobie, jak siedzi z batem na koźle dwukółki.

Nalega na nasz przyjazd, zaraz po ślubie. Podobno we dworze jest tyle pokoi, że mogłaby przydzielić każdemu jeden i nikt z reszty domowników nic by nie zauważył. Mieszka tam niezamężna kuzynka, którą z pewnością polubię: jest bardzo mądra, zbiera ćmy i żuki, które wystawia w towarzystwach entomologicznych "obok dżentelmenów". Pan Barclay – Arthur – napisał jej o mojej pracy wśród więźniarek, co zainteresowało ją tak bardzo, że pragnie bliżej mnie poznać.

Pani Wallace spytała, kiedy ostatnio byłam w Millbank.

– Jakże się miewa ten tyran, panna Ridley? – dodała. – I ta starsza kobieta, która traci głos? – Miała na myśli Ellen Power. – Biedaczka!

– Biedaczka? – powtórzyła Pris. – Moim zdaniem, ona jest obłąkana. Wszystkie więźniarki, o których opowiada Margaret, mają chyba nie po kolei w głowie. – Nie umiała się nadziwić, jakim cudem mogę ścierpieć ich towarzystwo. – Zwłaszcza że przeważnie nie potrafiśz ścierpieć naszego.

Patrzyła na mnie, choć słowa jej były skierowane do Arthura siedzącego na dywanie u jej stóp, który natychmiast odrzekł, iż zapewne dzieje się tak dlatego, że w moim mniemaniu Priscilla nie mówi nic godnego uwagi.

– Pleciesz trzy po trzy. Prawda, Margaret? – Oczywiście mówi mi teraz po imieniu.

Odpowiedziałam mu uśmiechem, po czym przeniosłam wzrok na Priscillę, która nachyliła się, żeby go uszczypnąć.

– To nieprawda, że mają nie po kolei w głowie – oświadczyłam. Po prostu ich życie różniło się od życia, do którego przywykła, nawet nie wie, jak bardzo.

Odparła, że nie chce wiedzieć, podczas gdy ja o niczym innym nie myślę, ot co. Arthur chwycił ją za cienkie nadgarstki, bez trudu obejmując je jedną wielką dłonią.

– Powiedz, Margaret – podjęła pani Wallace – czy one wszystkie zaliczają się do jednej kategorii? Czy wszystkie mają na sumieniu równie żalodne występki? Nie macie tam żadnych

słynnych morderczyń? – Uśmiechnęła się, pokazując zęby przecięte ciemnymi, pionowymi kreskami niczym stare klawisze fortepianowe.

Odpowiedziałam, że morderczynie zwykle idą na szubienicę, choć jest tam pewna dziewczyna, Hamer, która zatłukła swoją panią patelnią, ale uniknęła stryczka, ponieważ wykazano, że chlebobawczyni pastwiła się nad nią niemiłosiernie. Ostrzegłam Pris, aby miała ów incydent na uwadze, kiedy zamieszka w Marishes.

– Cha, cha – odpowiedziała.

– Jest też pewna kobieta – ciągnęłam – prawdziwa dama, przychodzą do niej portreciści, która otruła swego męża...

Arthur wyraził nadzieję, iż Marishes nie będzie świadkiem tego rodzaju incydentów.

– Cha, cha – odpowiedzieli wszyscy.

Gdy wśród ogólnej wesołości rozmowa przeszła na inny temat, zapytałam siebie w duchu, czy powinnam wspomnieć o jeszcze jednej niezwykłej dziewczynie. Zrazu postanowiłam, że nie, po czym zmieniłam zdanie. Moje słowa spowodowały natychmiastową reakcję brata.

– Ach tak, medium – powiedział. – Jak to ona się nazywa? Gates?

– Dawes – poprawiłam go nie bez zdziwienia. Nigdy dotąd nie wypowiedziałam tego nazwiska poza murami więzienia, wśród osób postronnych. Stephen jednak pokiwał głową: naturalnie, pamięta tę sprawę. Oskarżycielem był niejaki pan Locke, "wspaniały człowiek, obecnie na emeryturze. Żałuję, że nie mogłem z nim współpracować".

– Pan Halford Locke? – odezwała się matka. – Był kiedyś u nas na obiedzie. Pamiętasz, Priscillo? Nie, byłaś wówczas za młoda, by siadać z nami do stołu. Pamiętasz, Margaret?

Nie pamiętam. I bardzo się z tego cieszę. Przeniosłam wzrok ze Stephena na matkę, po czym spojrzałam na panią Wallace.

– Dawes, medium? – zapytała. – Ależ ja ją znam! To ona uderzyła w głowę córkę pani Silvester... czy raczej próbowała ją udusić. Tak czy inaczej, mało jej nie zabiła.

Pomyślałam o obrazie Crivellego, na który lubię czasami patrzeć. Odniosłam wrażenie, jakbym przyniosła go na dół i pozwoliła skalać brudnymi rękami obecnych. Zapytałam panią Wallace, czy rzeczywiście знаła dziewczynę, która ucierpiała w tej sprawie. Odparła, że znała jej matkę, "osławioną" Amerykankę. Jej córka miała burzę rudych włosów i bladą cerę usianą piegami.

– Pani Silvester bardzo zaszkodziła tej Dawes. Ale nie ulega wątpliwości, że dziewczyna mało nie wyzionęła ducha ze strachu.

Odpowiedziałam, że według Dawes dziewczyna była raczej przestraszona niż ranna, co

tak bardzo przeraziło pewną damę, że doprowadziło do jej śmierci. Owa dama nazywała się pani Brink. Czy pani Wallace ją знаła? Okazało się, że nie.

– Dawes stanowczo obstaje przy swoim – dodałam. – Jej zdaniem sprawcą całego zamieszania był duch.

Stephen odparł, iż na jej miejscu przyjąłby podobną linię obrony: doprawdy dziwi się, że w sądzie rzadko słyszy się tę wymówkę. Odpowiedziałam, że Dawes sprawia wrażenie uczciwej i prostolinijnej. Ależ naturalnie, potwierdził. Przedstawiciele jej fachu przechodzą specjalne szkolenia, aby takimi się wydawać.

– Większość z nich to szczone lisy – wtrącił pospiesznie Arthur. – I przebiegli kombinatorzy. Czerpią znaczne korzyści, żerując na ludzkiej głupocie.

Położyłam rękę na piersi, w miejscu, gdzie powinien znajdować się medalion, choć nie wiem, czy chciałam zwrócić uwagę na jego brak, czy też raczej go zatuszować. Spojrzałam na Helen, która właśnie wymieniała uśmiechy z Pris. Pani Wallace wyraziła powątpiewanie, czy rzeczywiście każde medium jest do cna zepsute. Jej przyjaciółka uczestniczyła kiedyś w seansie i usłyszała wiele rzeczy, o jakich ów dżentelmen przecież nie mógł wiedzieć – o matce i synu kuzynki, który zginął w pożarze.

– Mają swoje źródła – wyjaśnił Arthur. – Słyną z tego. Posiadają księgi z nazwiskami, które rozprowadzają między sobą. Obawiam się, że nazwisko pani przyjaciółki figurowało w jednej z tych ksiąg. Pani nazwisko też pewnie się tam znajduje.

– Spirytystyczne rejestry! – wykrzyknęła pani Wallace. – Doprawdy, panie Barclay!

Papuga Pris trzepnęła piórkami.

– Na podeście schodów w domu mojej babki – powiedziała Helen – można ponoć ujrzyć ducha dziewczyny, która niegdyś skreśliła sobie tam kark. Szła na bal i miała na nogach jedwabne pantofelki.

– Duchy – sarknęła matka. – Zupełnie jakby w tym domu nie było lepszych tematów. Dlaczego po prostu nie zejdziemy na dół i nie usiądziemy ze służbą...

Po chwili podeszłam do Stephena i korzystając z nieuwagi pozostałych, spytałam, czy istotnie uważał Seline Dawes za winną.

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

– Jest w Millbank. Musi być winna.

Udzielał podobnych odpowiedzi, kiedy chciał podroczyć się ze mną w dzieciństwie. Już wówczas byłby zeń wyśmienity prawnik. Zobaczyłam, że Helen nie spuszcza z nas wzroku. Miała w uszach kolczyki z perłami, które wyglądały niczym krople wosku. Dawniej wyobrażałam sobie, jak topią się od żaru jej ciała.

– Pomyśleć, że mogłaby być tak okrutna i wyrachowana – podjęłam, siadając na poręczu fotela Stephena. – Jest taka młoda.

Odparł, że to o niczym nie świadczy. Często widuje w sądzie dziewczynki trzynasto- i czternastoletnie, czasami nawet trzeba je stawiać na skrzynkach, żeby przysięgli mogli im się lepiej przyjrzeć. Zazwyczaj jednak stoi za nimi starsza kobieta albo mężczyzna; pewnie Dawes również "padła ofiarą czyjś złączy wpływ". Odpowiedziałam, że z jej postawy bije niezłomne przekonanie o ingerencji z zaświatów.

– Cóż, widocznie jest ktoś, kogo pragnie chronić – skwitował Stephen.

Dla kogo poświęciłaby pięć lat życia? Żeby spędzić je w Millbank?

Oświadczył, że takie rzeczy się zdarzają. Czyż ta Dawes nie jest młoda i ładna? I czy ów "duch" nie był mężczyzną? Większość rzekomych duchów to aktorzy owinięci w białe płótno.

Potrząsnęłam głową. To niemożliwe. Byłam pewna, że się myli!

Mówiąc to, podchwyciłam jego uważne spojrzenie. Bo przecież co ja mogę wiedzieć o namiętności, która popchnęła ładną dziewczynę do zbrodni?

Rzeczywiście, cóż ja mogłam na ten temat wiedzieć? Machinalnie znów uniosłam rękę do piersi i dla niepoznaki poprawiłam kołnierzyk. Spytałam, czy jego zdaniem spirytyzm to brednie, a wszystkie media oszukują. Podniósł rękę.

– Nie powiedziałem "wszystkie", tylko "większość". To Barclay uważa ich za zgraję szalbierzy.

Nie chciałam rozmawiać z panem Barclayem.

– A ty co myślisz na ten temat? – ponowiłam pytanie.

Odrzekł, że myśli to, co każdy rozsądny człowiek myślałby na jego miejscu, mając do dyspozycji niezłomne dowody: iż większość spirytystów to zwykli iluzjoniści, a niektórzy z nich to możliwe ofiary choroby tudziez manii. Być może ta Dawes jest jedną z nich, wówczas zaś zasługuje na litość, a nie pogardę, ale inni...

– Cóż, przyszło nam żyć w niezwyklej epoce. Mogę pójść do telegrafisty i porozumieć się z człowiekiem przebywającym po drugiej stronie Atlantyku. Jak to się dzieje? Nie mam pojęcia. Pięćdziesiąt lat temu uznano by to za sprzeczne z naturą. Kiedy jednak ów człowiek wysłał mi odpowiedź, ani myślę podejrzewać, że padłem ofiarą szalbierstwa, i że ktoś siedzi w pokoju obok i wystukuje sygnał. Nie podejrzewam też, iż osoba ta jest demonem w przebraniu. A wiem, że niektórzy żywią podobne odczucia wobec spirytystów.

Ale przecież przyrządy telegraficzne są połączone drutami, zaoponowałam. Stephen odrzekł, iż niektórzy inżynierowie dopuszczają możliwość stworzenia maszyn bezprzewodowych.

– Być może w naturze istnieją swoiste "druty", włókna – poruszył palcami – tak cienkie i kruche, iż nauka nie potrafi określić ich natury, są bowiem niewidoczne dla oka. I może tylko wrażliwe, delikatne dziewczęta pokroju tej Dawes potrafią je wyczuć i odczytać przesyłane nimi wiadomości.

– Wiadomości z zaświatów? – spytałam, na co zauważył, że jeśli zmarli istotnie przybierają inną postać, potrzebujemy nader subtelnych środków, by usłyszeć, co mają nam do powiedzenia...

Jeżeli to prawda i Dawes jest niewinna...

Ależ on wcale nie twierdzi, że to prawda, zaproponował, to po prostu jedna z hipotez. Co bynajmniej nie znaczy, że należy ją przyjąć.

– Lecz jeśli naprawdę jest niewinna...

– Niech jej duchy to udowodnią! Zresztą wciąż pozostaje kwestia przerażonej dziewczyny i niewyjaśnionej śmierci owej damy. Wolałbym nie wypowiadać się przeciwko nim. – Sięgnął po herbatnika przyniesionego przez Vigers. – Sądzę jednak, iż rację miałem za pierwszym razem – dodał, strzepując okruchy z kamizelki. – Wolę osobnika w białej płachcie niż niewidzialne włókna.

Kiedy uniosłam wzrok, zobaczyłam że Helen wciąż nam się przygląda. Pewnie ucieszyła się, że tak swobodnie rozmawiam ze Stephenem, co nieczęsto się zdarza. Podeszłabym do niej, ale matka przywołała ją do karcianego stolika, aby przyłączyła się do Pris, Arthura i pani Wallace. Przez około pół godziny grali w oczko, po czym pani Wallace zawołała, że pozbawią ją wszystkich guzików, i wstała, aby pójść na górę. Kiedy wróciła, ponownie zagadnęłam ją o panią Silvester i jej córkę. Jakie dziewczyna wywarła na niej wrażenie, kiedy widziała ją ostatnio? Pani Wallace odrzekła, że wyglądała jak "kupka nieszczęścia". Matka wyswatała ją z dżentelmenem z długą, czarną brodą i czerwonymi ustami. I gdy ktokolwiek zapytywał, jak się miewa, odpowiadała: "Wychodzę za mąż", demonstrując pierścienek zaręczynowy ze szmaragdem wielkości kurzego jaja. Stanowiła wyśmienitą partię.

– Gdzie teraz mieszkają? – spytałam, a pani Wallace popatrzyła na mnie figlarnie.

– Wróciły do Ameryki, moja droga – odpowiedziała. Widziała je raz przed końcem procesu, potem rozeszła się wieść o sprzedaży domu i zwolnieniu służby. Podobno pani Silvester chciała jak najszybciej zabrać córkę do Ameryki i wydać za mąż. – Cóż, proces zawsze łączy się ze skandalem. Podejrzewam, że w Nowym Jorku przywiązują do tego mniejszą wagę.

– O co chodzi? – wtrąciła matka, która właśnie wydawała polecenia Vigers. – O kim rozmawiacie? Chyba nie o duchach? – Stół rzucał na jej szyję zielonkawą poświatę.

Potrząsnęłam głową.

– W Marishes... – podjęła Priscilla, sięgając po karty. A chwilę potem: – We Włoszech...

Wymieniono kilka zdawkowych uwag na temat podróży poślubnej. Stałam przy ogniu, obserwując płomienie, a Stephen drzemał nad gazetą.

– ...o nie, mój panie, i nie mam zamiaru! – dotarły do mnie słowa matki. – Nie zniosłabym trudów podróży, a jeszcze ten upał i jedzenie.

Nadal rozmawiała z Arthurem o Włoszech. Opowiedziała mu o podróżach taty, kiedy byliśmy dziećmi, i o jego planowanej wyprawie z Helen i ze mną do pomocy. Arthur wyznał, iż nie podejrzewał Helen o zacięcie do pracy naukowej, na co otrzymał zapewnienie, że to właśnie pracy pana Piora zawdzięczamy jej obecność wśród nas.

– Helen chodziła na jego wykłady – dodała matka. – Tam poznała Margaret, która przyprowadziła ją do naszego domu. Odtąd często u nas bywała, pan Prior niezmiernie ją polubił. Naturalnie nie miałyśmy pojęcia – prawda, Priscillo? – że odwiedzała nas ze względu na Stephena. Ależ droga Helen, przestań się rumienić!

Stałam przy kominku i słyszałam każde słowo. Patrzyłam, jak Helen oblewa się pąsem, lecz moja twarz pozostała bez wyrazu. Ostatecznie tyle razy słyszałam tę wersję, że jestem niemal skłonna w nią uwierzyć. Poza tym wypowiedź brata dała mi do myślenia. Owego wieczora nie zamieniłam już z nikim słowa, tylko przed pójściem na górę raz jeszcze podeszłam do Stephena.

– Wspominałeś o mężczyźnie w bieli – powiedziałam, budząc go z drzemki. – Tak się składa, że rozmawiałam z więzienną roznosicielką poczty i wiesz co? Od początku pobytu w więzieniu Selina Dawes nie dostała ani nie napisała żadnego listu. Dlatego powiedz mi, proszę, kto dobrowolnie poszedłby do więzienia, by chronić kochanka, który zerwał z nim wszelkie kontakty?

Nie umiał na to odpowiedzieć.

25 listopada 1872

Co za awantura! Pani Brink spędziła u mnie całe popołudnie, aż spóźniłam się na obiad. Pan Cutler często się spóźnia, a nikt mu tego nie wypomina. Widząc, jak wślizguję się do jadalni, pan Vincy powiedział: "Cóż, panno Dawes, mam nadzieję, że Betty zostawiła dla pani trochę mięsa. Już myśleliśmy, żeśmy niegodni towarzyszyć pani przy posiłku". Odparłam, że taki dzień nigdy nie nadejdzie. "Z pani darem powinna pani umieć zajrzeć w przyszłość i sama nam to powiedzieć". Dodał, że cztery miesiące temu z radością przekroczyłam jego skromne progi, obecnie wszakże aspiruję do czegoś lepszego. Podał mi talerz ze skrawkiem królika i ziemniakiem. "Cóż, nie byłoby trudno znaleźć coś lepszego niż obiady pani Vincy" – powiedziałam, na co wszyscy odłożyli widelce i wlepili we mnie spojrzenia. Betty zachichotała, pan Vincy zdzielił ją w twarz, pani Vincy zaś wyszczała: "Och, och, w życiu nie słyszałam większej obelgi z ust lokatora!". A potem wykrzyknęła: "Ty mała flądro, mój mąż wziął cię pod swój dach za marne grosze z czystej dobroci serca. Nie myśl, że nie widzę, jak robisz do niego słodkie oczy". "Pani mąż to stary rajfur!" – odpowiedziałam, a następnie porwałam z talerza gotowany ziemniak i rzuciłam nim w głowę pana Vincy'ego. Nie wiem, czy trafiłam. Uciekłam z jadalni i pobiegłam na górę, gdzie rzuciłam się na łóżko i wybuchnęłam płaczem, potem śmiechem, aż wreszcie dostałam gorączki.

Tylko panna Sibree przyszła mnie odwiedzić. Przyniosła chleb z masłem oraz kapkę porto z własnego kieliszka. Słyszałam na dole głos pana Vincy'ego. Mówił, że w życiu nie przyjmie pod swój dach żadnego medium, choćby przyjechała z własnym ojcem. "Ponoć dysponują niespotykaną mocą – dodał. – Młoda kobieta w uścisku duchowej namiętności... dobry Boże, panie Cutler, to dopiero straszny widok!".

21 października 1874

Czy można przyzwyczać się do chloralu? Odnoszę wrażenie, że matka musi mi aplikować coraz większe dawki, bym choćby poczuła senność. A gdy wreszcie zasypiam, śpię niespokojnie, pod moimi powiekami przemykają cienie i słyszę głosy szepczące do ucha. Budzą mnie; wtedy wstaję i oszołomiona rozglądam się po pustym pokoju. Potem leżę kolejną godzinę, daremnie przywołując sen.

Sprawiła to utrata medalionu. Nocą zsyła na mnie niepokój, za dnia otepienie. Tego ranka tak nedorzecznie skomentowałam jakiś drobiazg w związku ze ślubem Prissy, że matka wyraziła zdumienie, co też we mnie wstąpiło. Uważa, że obcowanie z prostytutkami z Millbank uczyniło ze mnie przekupkę. Dlatego chcąc zrobić jej na złość, pojechałam do więzienia, przez co nie mogę teraz zasnąć...

Najpierw pokazano mi więzienną pralnię. To okropne pomieszczenie, niskie, rozgrzane, wilgotne i cuchnące. Stoją tam ogromne, złowrogie magle i kotły wypełnione wrzącym ługiem, a na rozpiętych pod sufitem linkach wiszą rzędy bezkształtnych rzeczy – nie sposób stwierdzić, czy to prześcieradła, halki czy koszule – pożółkłe i ociekające wodą. Wytrzymałam tam zaledwie minutę. Strażniczki utrzymują jednak, że to ulubione zajęcie więźniarek. Pracunki dostają lepsze jedzenie, mają jajka, świeże mleko oraz dodatkową porcję mięsa, aby zachowały siłę. No i oczywiście pracują razem, w związku z czym muszą niekiedy rozmawiać.

Po ukropie i wrzawie panującej w pralni cele wydały mi się szczególnie ponure i lodowate. Nie składałam wielu wizyt, odwiedziłam jednak dwie nieznane mi dotąd kobiety. Pierwsza z nich należy do tutejszej kategorii "dam", nazywa się Tully i skazano ją za przemyt biżuterii. Gdy weszłam, wzięła mnie za rękę, mówiąc: "Wreszcie sobie normalnie porozmawiam!". Najbardziej jednak ciekawiły ją wiadomości prasowe, których, rzecz jasna, nie mogę przekazywać.

– Ale czy nasza droga królowa dobrze się miewa? – dopytywała się. – Przecież to może mi pani powiedzieć.

Pochwaliła się, że dwukrotnie była z gością w Osborne, i wymieniła nazwisko jednej czy dwu wielkich dam. Zapytała, czy je znam. Gdy zaprzeczyłam, jęła dopytywać się o moje koneksje; odniosłam wrażenie, że na wieść o profesji taty jej życzliwość ulotniła się nieco. Wreszcie poprosiła, żebym wpłynęła na pannę Haxby w kwestii gorsetów oraz pasty do zębów.

Długo u niej nie zabawiłam. Kolejna więźniarka wywarła na mnie miłsze wrażenie. Nazywa się Agnes Nash, trafiła do Millbank trzy lata temu za rozprowadzanie fałszywych monet. Jest to przysadzista dziewczyna o śniadej cerze pokrytej wyraźnym meszkiem, ale ma bardzo ładne, niebieskie oczy. Podniosła się, kiedy weszłam do celi, i wprawdzie nie dygnęła, ale podsunęła mi swoje krzesło i przez całą rozmowę stała, oparta o złożony hamak. Ma blade i bardzo czyste ręce, u jednej brakuje palca: podobno odgryzł go w dzieciństwie pies rzeźnika.

Nie wahała się otwarcie rozprawić o swoim przewinieniu; wyznam, iż jej opowieść była bardzo zajmująca.

– Wyrosłam w środowisku złodziei – powiedziała. – Zwykli ludzie uważają nas za nikczemników, ale prawda jest taka, że nikt swojemu krzywdy nie robi. Nauczono mnie, bym w razie potrzeby sięgała po cudze, i robiłam to wiele razy, choć przeważnie nie musiałam, bo mój brat był mistrzem w tym fachu i potrafił zapewnić rodzinie godziwy byt.

Falszowanie monet doprowadziło ją do upadku. Skusiła ją, podobnie jak wiele innych dziewcząt, wizja łatwego i przyjemnego zajęcia.

– Wsadzili mnie za paserstwo – dodała – chociaż nigdy nie miałam z nim nic wspólnego. Ja tylko siedziałam nad matrycą.

Podczas swych wizyt w Millbank napotkałam liczne próby podporządkowywania wykroczeń rozmaitym kategoriom. Słyszac słowa Nash, spytałam, czy ów fakt oznacza mniejszą winę. Odpowiedziała, że nie to chciała powiedzieć, chodziło tylko o precyzyjne określenie charakteru wykonywanej przez nią pracy.

– Ludzie niewiele o nas wiedzą – dorzuciła. – Dlatego właśnie tu jestem.

– Jak to? – spytałam. – Przecież fałszerstwo jest z gruntu naganne. I niesprawiedliwe dla tego, w czyje ręce trafia fałszywa moneta.

– Niesprawiedliwe, a jakże! Wszak nie myślała pani chyba, że wszystkie trafiają do jej sakiewki? Niektóre tak, bez dwóch zdań; to się nazywa mieć pecha! Większość jednak rozprowadzamy między sobą. Na przykład daję znajomkowi monetę na tytoń. Ten przekazuje pieniądze swemu kamratowi, który z kolei daje go Susie albo Jimowi za sztukę mięsa z barki. Susie albo Jim dają go z powrotem mnie. Wszystko zostaje w rodzinie i nikt nie ma do nikogo pretensji. Ale sędziowie słyszą "fałszerz" i myślą "złodziej", a potem wlepiają człowiekowi pięć lat.

Odparłam, że teorię złodziejskiej ekonomii słyszę po raz pierwszy w życiu i muszę przyznać, iż brzmi ona nader przekonująco. Nash kiwnęła głową. Powiedziała, że powinnam bezwzględnie wspomnieć o tym sędziemu przy najbliższej kolacji.

– Dzięki damom takim jak pani – dodała – krok po kroku dopnę swego.

Powiedziała to bez uśmiechu. Nie wiedziałam, czy mówi poważnie, czy żartuje. Odrzekłam, iż w przyszłości nie omieszkam starannie obejrzeć szylingów, które trafią mi w ręce. Tym razem odpowiedziała mi szerokim uśmiechem.

– A jakże. Kto wie? Może już teraz w pani sakiewce spoczywa wytłoczona przeze mnie moneta.

Kiedy jednak spytałam, jak odróżnić ją od prawdziwej, Nash zrobiła skromną minę. Owszem, jest na to pewien sposób, ale...

– Muszę pilnować sekretów fachu – oświadczyła. – Nawet tutaj.

Wytrzymała moje spojrzenie. Wyraziłam nadzieję, że nie myśli o wznowieniu proceduru po wyjściu z więzienia. Wzruszyła ramionami. A cóż innego miałyby robić? Czy nie wspomniała, że do tego ją wychowano? Co powiedzieliby u niej w domu, gdyby raptem wyrzekła się swego fachu?

– Wielka szkoda – uznałam – że trawisz czas na rozmyślanie o przestępstwach, jakie popełnisz za dwa lata.

– Szkoda – przytaknęła. – Ale co innego mi pozostaje? Mogę tylko liczyć cegły w ścianie albo ściegi w robótce: już to znam. Albo zachodzić w głowę, jak moje dzieci radzą sobie bez matki. To też mam już za sobą i muszę wyznać, że kosztowało mnie wiele cierpienia.

Zaproponowałam, aby zastanowiła się nad przyczyną tego, że jej dzieci znalazły się bez matki. I nad zgubnymi nawykami, które przywiodły ją do tak żalosego końca.

Wybuchnęła śmiechem.

– Robiłam to – odparła. – Robiłam to przez okrągły rok, podobnie jak wszystkie więźniarki tutaj, niech pani spyta którąkolwiek. Widzi pani, pierwszy rok w Millbank to ponure doświadczenie. Człowiek klnie się na własną głowę, że prędzej zagłodzi siebie i własną rodzinę, niż odważy się na kolejne przestępstwo, ryzykując ponowną odsiadkę. Jest przy tym tak pełen skruchy, że gotów obiecać wszystko każdemu. Ale tylko przez pierwszy rok. Potem skrucha ulatnia się bez śladu. I rozważając swe przewinienia, człowiek już nie myśli: "Gdybym tego nie zrobił, nie byłoby mnie tutaj", ale "Gdybym zrobił to lepiej"... I planuje karkołomne szwindle i przedsięwzięcia, które podejmie na wolności. "Wsadzili mnie tu, bo w ich oczach jestem nikczemna, myśli. Niech mnie diabli, jeśli za cztery lata nie zobaczą, na co mnie naprawdę stać!"

I mrugnęła do mnie. Spojrzałam na nią z osłupieniem.

– Chyba nie sądzisz, że przyklasnę temu, co powiedziałaś – wykrztusiłam wreszcie.

Ależ skąd, odrzekła z uśmiechem, nawet jej to nie w głowie...

Gdy wstałam, podążyła wraz ze mną ku kracie, jakby odprowadzała mnie do wyjścia.

– Miło było z panią rozmawiać – pożegnała mnie. – Proszę pamiętać o monetach!

Obiecałam, że to uczynię, po czym wyjrzałam na korytarz, wypatrując strażniczki. Nash skinęła głową. Zapytała, kogo zamierzam teraz odwiedzić. Pytanie padło tak zdawkowo, że nie widziałam przeszkód, aby udzielić nań odpowiedzi.

– Być może twoją sąsiadkę – odrzekłam ostrożnie. – Seline Dawes.

– Ją! – zawołała natychmiast. – To dziwaczka... – I przewróciła ładnymi, niebieskimi oczami, ponownie wybuchając śmiechem.

Od razu poczułam do niej mniejszą sympatię. Zawołałam przez pręty panią Jelf, która pospieszyła, by mnie wypuścić. Następnie udałam się do Dawes. Wydawała się jeszcze bledsza, jej ręce zaś z całą pewnością były bardziej szorstkie i zaczerwienione. Miałam na sobie zapięty pod szyję płaszcz; nie wspomniałam jej o zgubionym medalionie ani nie nawiązałam do naszej ostatniej rozmowy. Wyznałam jednak, że dużo rozmyślałam o niej i o tym, co o sobie mówiła. Czy dzisiaj opowie mi coś jeszcze?

Spytała, co takiego miałaby opowiedzieć.

Poprosiłam, aby zdradziła więcej szczegółów na temat swego życia przed Millbank.

– Od jak dawna jesteś tym... kim jesteś? – spytałam.

– Tym, kim jestem? – Przechyliła głowę.

– Właśnie. Odkąd widzisz duchy?

– Ach tak. – Uśmiech zamajaczył na jej twarzy. – Chyba odkąd sięgam pamięcią...

I opowiedziała o czasach, kiedy była młodsza – o tym, że mieszkała z ciotką i często chorowała, i o tym, jak podczas szczególnie ciężkiej choroby odwiedziła ją pewna kobieta. Okazało się, że była to jej zmarła matka.

– Tak twierdziła moja ciocia – dodała.

– Nie bałaś się?

– Cioteczka mówiła, że nie powinnam się bać, ponieważ matka mnie kocha. Dlatego przyszła...

Odwiedziny z zaświatów nie ustawały, aż wreszcie ciotka doszła do wniosku, że należy "zrobić z jej daru użytek" i zaczęła ją zabierać na seanse. Wówczas rozpoczęły się stukania, krzyki i odwiedziny kolejnych duchów.

– Zaczęłam się trochę bać – wyznała. – Te duchy nie były równie łagodne jak moja matka!

Ile miała wtedy lat?

– Może trzynaście...

Wyobraziłam ją sobie, bladą i kruchą, jak krzyczy: "cioteczko!", podczas gdy stół

przechyla się niebezpiecznie. Dziwne, że krewna narażała ją na podobne przeżycia. Kiedy powiedziałam to głośno, Dawes potrząsnęła głową. Cioteczka postąpiła właściwie. Gorzej byłoby spotykać się z duchami w pojedynkę, jak czyni niejedno medium. Wkrótce przywykła do tego, co musiała oglądać.

– Cioteczka trzymała mnie blisko przy sobie – tłumaczyła. – Inne dziewczęta były nudne, plotły brednie i oczywiście uważały mnie za dziwoląga. Czasem spotykałam kogoś, o kim wiedziałam, że jest taki jak ja. Zdarzało się jednak, że druga strona nie była tego świadoma, albo po prostu się bała...

Spojrzała mi prosto w oczy. Odwróciłam głowę.

– Cóż – podjęła żywszym tonem – seanse udoskonaliły moje umiejętności. – Wkrótce nauczyła się, jak odprawiać "niskie" duchy i przywoływać te dobre, które stopniowo zaczęły przekazywać jej wiadomości "dla swych drogich przyjaciół na ziemi". Czyż to nie wspaniałe? Otrzymywać krzepiące wieści, podczas gdy oni tutaj trwali w smutku i żałobie?

Pomyślałam o zaginionym medalionie i wiadomości, którą mi ostatnio przekazała, lecz wciąż nie nawiązywałyśmy do tej sprawy.

– Jednym słowem, zyskałaś reputację medium – powiedziałam. – Czy ludzie płacili za twoje pośrednictwo?

Odparła stanowczo, że nigdy "nie wzięła grosza" dla siebie; czasem tylko ludzie przynosili jej prezenty, a to przecież coś zupełnie innego. Poza tym duchy nie zabraniały przyjmować pieniędzy, o ile miało to pomóc medium w spełnianiu duchowej posługi.

Kiedy mówiła o tym okresie życia, na jej twarzy malował się uśmiech.

– To były dobre miesiące – opowiadała. – Chociaż pewnie wówczas myślałam inaczej. Cioteczka zostawiła mnie; przeszła, jak to mówią, "na drugą stronę". Tęskniłam za nią, ale tam mogła zaznać więcej szczęścia niż na ziemi, toteż niebawem pogodziłam się ze stratą. Przez pewien czas mieszkałam w hotelu w Holborn, gdzie zatrzymywali się inni spirytysci, którzy okazali mi wiele życzliwości, choć z przykrością wyznam, że później zwrócili się przeciwko mnie. Robiłam, co do mnie należało, mogąc w ten sposób uszczęśliwiać innych. Spotkałam wielu interesujących ludzi – ludzi roztropnych! – takich jak pani, panno Prior! Kilkakrotnie bywałam w domach w Chelsea...

Pomyślałam o przemytnicze chełpiącej się wizytami w Osborne. W otoczeniu więziennych ścian duma Dawes sprawiała nieprzyjemne wrażenie.

– Czy to w jednym z tych domów wydarzył się ów incydent z udziałem dwóch pań? – spytałam.

Odwróciła wzrok i odrzekła cicho, że to stało się gdzie indziej, w Sydenham.

Następnie spytała, czy doszły mnie słuchy o porannej awanturze w kaplicy. Jane Pettit, z sektora panny Manning, rzuciła w kapelana modlitewnikiem...

Jej zachowanie uległo zmianie. Z przykrością stwierdziłam, że nie powie już ani słowa na interesujący mnie temat, a tak bardzo chciałam usłyszeć o owym "niegrzecznym" duchu, Peterze Quicku.

Dotąd siedziałam nieruchomo, wsłuchana w jej opowieść. Naraz uświadomiłam sobie, jaki panuje tu chłód i szczerzej otuliłam się płaszczem. Z kieszeni wysunęła się krawędź notesu, co natychmiast zwróciło uwagę Dawes. Od tej pory bez przerwy na niego patrzyła, a kiedy skierowałam się do wyjścia, spytała, dlaczego zawsze mam go przy sobie. Czyżbym nosiła się z zamiarem opisanego więźniarek?

Odpowiedziałam, że wszędzie zabieram notes, to nawyk z czasów gdy pomagałam ojcu. Bez niego czułabym się nieswojo. Niektóre z notatek przepisuję później do dziennika, który jest mi najdroższym przyjacielem. Jemu zwierzam najskrytsze myśli, bo on potrafił wiernie dochować tajemnicy.

Kiwnęła głową. Mój notes przypomina ją samą, zauważyła. Równie dobrze mogłabym zdradzić swoje sekrety w zaciszu czterech ścian tej celi. Komu bowiem miałyby je powtórzyć?

Jej słowa zabrzmiały niemal figlarnie. Odparłam, że przecież mogłaby powtórzyć duchom.

– Ach – powiedziała, przekrzywiając głowę. – One widzą wszystko. Zajrzą nawet do pani sekretnego dziennika. Choćby znajdowała się pani... – tu urwała, delikatnie muskając palcem wargi – ...w ciemności własnego pokoju, za zamkniętymi drzwiami i przy przykręconej lampie.

Zamrugłam. Dziwne, uznałam, właśnie tak piszę swój dziennik. Z uśmiechem popatrzyła mi w oczy. Jakże by inaczej, odrzekła, przecież każdy tak robi. Ona na wolności też prowadziła dziennik i uzupełniała go wieczorami dopóty, dopóki nie zmorzyła jej senność. Teraz godzinami leży bezsennie i nie wolno jej nic pisać – aż trudno w to uwierzyć.

Pomyślałam o wielu bezsennych nocach, które nastąpiły po tym, jak Helen powiedziała mi o planowanym ślubie ze Stephenem. W ciągu tygodni dzielących ów dzień od dnia śmierci ojca, kiedy po raz pierwszy wzięłam morfinę, przespałam może ze trzy noce. Pomyślałam o Dawes, leżącej z otwartymi oczami w mrocznej celi; wyobraziłam sobie, że niosę jej morfinę lub chloral, a potem patrzę, jak pije.

Kiedy ponownie utkwiałam w niej wzrok, zobaczyłam, że nadal spogląda na notes wystający z kieszeni. Moja ręka powędrowała doń machinalnie. Na ten widok w jej oczach

pojawił się wyraz goryczy.

– Dobrze, że tak skrzętnie go pani pilnuje, ponieważ wszystkie więźniarki marzą o papierze, papierze i atramencie. Gdy przywożą cię tutaj – dodała – każą ci się podpisać w wielkim, czarnym zeszyście.

Wówczas po raz ostatni trzymała w ręku pióro. I wtedy to ostatni raz wypowiedziano na głos jej imię.

– Nazywają mnie "Dawes", jak służącą. Gdyby ktoś teraz zawołał mnie moim własnym imieniem, chyba nawet nie odwróciłabym głowy. Selina. Selina. Zapomniałam, kim ona jest! Pewnie dawno już umarła.

Głos zadrżał jej z lekka. Przypomniałam sobie prostytutkę, Jane Jarvis, która kiedyś poprosiła mnie o kartkę z notesu, aby mogła napisać wiadomości dla swojej przyjaciółki White. Więcej do niej nie poszłam. Ale poprosić o kartkę papieru po to tylko, aby skreślić na niej swoje imię, zmaterializować własne istnienie i nadać mu namacalność...

Przecież to nic wielkiego.

Upewniwszy się, że pani Jelf przebywa w głębi korytarza, sięgnęłam po notes i otworzywszy go na czystej stronie, położyłam na stole, a następnie podałam Dawes pióro. Spojrzała na nie, a potem na mnie, wreszcie ujęła pióro i niezdarnie zdjęła nakrętkę. Zapewne była to dla niej pewna nowość. Zawiesiła drżącą rękę nad kartką i gdy lśniąca kropla atramentu spłynęła do stalówki, napisała: "Selina". A potem pełne imię i nazwisko: "Selina Ann Dawes". I znowu samo imię: "Selina".

Podczas pisania jej głowa znajdowała się bardzo blisko mojej. Zniżyła głos do szeptu.

– Zastanawiam się, panno Prior – powiedziała – czy kiedykolwiek napisała pani w dzienniku to imię.

Zrazu nie mogłam jej odpowiedzieć, gdyż słysząc ów szept i czując jej ciepłą bliskość w lodowatej celi, uświadomiłam sobie, jak często o niej pisałam. Z drugiej strony dlaczego miałabym tego nie robić, skoro piszę też o pozostałych kobietach? Poza tym lepiej pisać o niej niż o Helen.

– Czy miałabyś coś przeciwko temu? – spytałam. Przeciwko temu? Uśmiechnęła się blado. Radowała się, wiedząc, że ktoś – a zwłaszcza ja – pamięta o niej i pisze "Selina zrobiła to" lub "Selina powiedziała tamto". Roześmiała się: "Selina opowiadała brednie o duchach...". Potrząsnęła głową. Lecz śmiech ucichł równie niespostrzeżenie, jak się pojawił, a uśmiech zgasł.

– Naturalnie tak by pani nie powiedziała – dodała przyciszonym głosem. – Powiedziałaby pani "Dawes", jak wszyscy.

Odrzekłam, że mogę ją nazywać, jak tylko zechce.

– Naprawdę? – spytała. – Och – zreflektowała się – tylko proszę nie myśleć, że ja ośmielę się nazywać panią inaczej niż "panna Prior".

Pełna wahania odpowiedziałam, że strażniczki zapewne uznałyby to za niestosowne.

– A jakże! Chociaż... – jej spojrzenie powędrowało w bok – ...nie mówiłabym tego głośno. Kiedy o pani myślę, a robię to często, zwłaszcza nocą, kiedy zapada cisza, nie jest pani "panną Prior". Występuje pani pod własnym imieniem, które podała mi, gdy po raz pierwszy przyszła ofiarować swą przyjaźń...

Ponownie przystawiła rozchwiane pióro do kartki i napisała: "Margaret".

Margaret. Wzdrygnęłam się, jakbym ujrzała jakieś zakłęcie bądź własną karykaturę. Zreflektowała się natychmiast, nie powinna była tego robić, to nadmiar poufałości!

– Nie, nie o to chodzi – uspokoiłam ją. – Po prostu nigdy nie lubiłam swego imienia. Zawiera wszystkie moje najgorsze cechy. Widzisz, moja siostra ma ładne imię. Jak ktoś mówi do mnie: Margaret, słyszę głos naszej matki. Ojciec nazywał mnie Peggy...

– Niechaj więc będzie Peggy – odrzekła, ale przypomniałam sobie, że już kiedyś tak do mnie powiedziała. Mam dreszcze na samo wspomnienie. Potrząsnęłam głową.

– Wobec tego proszę podać jakieś inne imię – szepnęła. – Jakikolwiek, byle nie "panna Prior", odpowiednie dla strażniczki bądź zwykłej wizytującej damy. Imię, które będzie coś oznaczać, sekretne imię, kryjące w sobie nie najgorsze, ale najlepsze cechy...

Wysłuchana w szemrzące słowa, pod wpływem tegoż samego impulsu, który kazał mi podać jej notes i pióro, powiedziałam:

– Aurora! Możesz mnie nazywać Aurora! To imię... imię, które...

Rzecz jasna nie zdradziłam, iż jest to imię nadane mi przez Helen, zanim poślubiła mojego brata. Powiedziałam tylko, że zwykłam tak nazywać sama siebie "w młodości". I poczerwieniałam, uderzona niedorzecznością własnych słów.

Lecz na twarzy Dawes malował się wyraz powagi. Ponownie ujęła pióro i przekreśliwszy imię "Margaret", napisała pod spodem "Aurora".

– Selina i Aurora – powiedziała. – Jak dobrze wyglądają obok siebie! Niczym anielskie imiona, prawda?

Wokół nas zapadła cisza jak makiem zasiał. Z oddali dobiegł trzask kraty oraz szcęk zasuw. Ktoś szedł korytarzem w naszą stronę. Pokonując opór zaciśniętych palców, odebrałam jej pióro.

– Musisz czuć się bardzo znużona – powiedziałam.

– O nie.

– Ależ tak. – Wstałam, niepewnie kierując się do wyjścia. Korytarz świecił pustką. – Pani Jelf! – zawołałam.

– Chwileczkę! – zabrzmiał okrzyk w oddali. Ponieważ nie było nikogo, kto mógłby nas podejrzeć albo podsłuchać, odwróciłam się i wyciągnęłam rękę.

– Do widzenia, Selino.

Raz jeszcze poczułam w dłoni jej palce.

– Do widzenia, Auroro – odpowiedziała z uśmiechem. Szept wionął w lodowate powietrze i ostatnie słowo zawisło na jej wargach smugą bieli. Cofnęłam rękę i stanęłam przodem do drzwi. Twarz Dawes wydała mi się raptem jakby mniej szczerą.

Spytałam, dlaczego to zrobiła.

– Co takiego, Auroro?

– Skąd ten ukradkowy uśmiech?

– Jaki uśmiech?

– Wiesz, jaki. O co chodzi?

Zawahała się nieco.

– To dlatego, że jesteś taka nieprzystępna – wyznała. – Tyle gadaniny o duchach i...

– I co?

Ale ona znów popatrzyła na mnie figlarnie. Roześmiała się tylko i potrząsnęła głową.

– Poproszę o pióro – powiedziała i nim zdążyłam zareagować, wyrwała mi je, a następnie podeszła do notesu i jęła pospiesznie coś pisać. Na korytarzu rozległy się kroki pani Jelf.

– Szybko! – ponagliłam.

Serce tak mocno zabiło mi w piersi, że tkanina sukni zafalowała zdradziecko. Dawes uśmiechnęła się tylko, nie przestając notować. Kroki rozbrzmiewały coraz bliżej, a serce waliło mi coraz mocniej. Kiedy wreszcie notes został zamknięty, a pióro ponownie znalazło się w mojej dłoni, na progu stanęła pani Jelf. Swoim zwyczajem omiotła celę baczny spojrzeniem ciemnych oczu, lecz prócz mojej falującej piersi, którą pospiesznie zakryłam płaszczem, nie było nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Dawes odeszła na bok. Zaplotła ręce na fartuchu i opuściła głowę, uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Do widzenia, panno Prior – powiedziała.

Skinęłam jej na pożegnanie i pozwoliłam wyprowadzić się z celi, a potem bez słowa ruszyłam korytarzem.

Po drodze czułam w kieszeni notes: ciążył mi dziwnie i złowrogo. Gdy na przecięciu korytarza zdjęłam rękawiczkę i dotknęłam oprawy, skóra zdawała się emanować ciepłem jej szorstkich palców. Nie miałam odwagi wyjąć go z kieszeni. Dopiero w dorożce, kiedy

woźnica trzasnął z bata, zajrzałam do środka: po chwili odnalazłam właściwą stronę i przechyliłam ją do światła padającego z ulicznych latarni. Odczytawszy to, co zapisała, natychmiast zamknęłam notes i wsunęłam go z powrotem do kieszeni, nie wypuszczając z ręki oprawy, która zwilgotniała pod dotykiem moich palców.

Teraz leży przede mną. Na kartce widnieją kleksy oraz nabazgrane imiona: jej i moje, sekretne. Niżej zapisano następujące słowa:

Tyle gadaniny o duchach i ani słowa o medalionie.

Myślałaś, że nie przyznają mi się do kradzieży?

Ubawiły je twoje poszukiwania!

Piszę przy świecy, wąty płomień pełga, kapiąc woskiem. Noc jest zimna, wiatr hula pod drzwiami i unosi dywan. Matka i Pris śpią w swoich łóżkach. Pewnie cała Cheyne Walk śpi, może nawet całe Chelsea. Oprócz mnie, mnie i Vigers, która kręci się na górze, w dawnym pokoju Boyd. Co takiego usłyszała, że nie może spać? Kiedyś sądziłam, że nocą dom nieruchomieje; obecnie dobiega mnie chyba tykanie każdego zegara i repetiera, skrzypienie każdego schodka i deski. Spoglądam na widoczne w szybie odbicie własnej twarzy: wydaje się obca, więc przezornie odwracam głowę. Boję się też wyjrzeć w noc napierającą na okno, albowiem kryje w sobie Millbank wraz z rzeszą zalegających w nim cieni. Gdzieś tam w mroku spoczywa Selina. "Selina" – każe mi napisać swoje imię; każdy ruch pióra czyni ją bardziej rzeczywistą i namacalną. Jest w jednym z cieni. Ma otwarte oczy i patrzy prosto na mnie.

26 listopada 1872

Szkoda, że cioteczka nie może mnie teraz zobaczyć. Mieszkam w Sydenham, w domu pani Brink! Sprowadziła mnie tu w ciągu jednego dnia, mówiąc, że nie pozwoli, bym spędziła u pana Vincy'ego choćby godzinę dłużej. "Droga wolna, łaskawa pani – odparł pan Vincy. – Mam nadzieję, że przysporzy pani samych kłopotów". Panna Sibree pożegnała mnie ze łzami w oczach, ale powiedziała, że na pewno jeszcze o mnie usłyszą. Pani Brink ulokowała mnie we własnym powozie, a kiedy zajechałyśmy na miejsce, myślałam, że zemdleję, ponieważ jej dom to najwspanialsza rezydencja, jaką kiedykolwiek widziałam. Jest otoczony ogrodem, a do drzwi prowadzi żwirowa ścieżka. "Zbladłaś jak ściana, drogie dziecko – zawołała pani Brink. – Wkrótce się przyzwyczaisz". Następnie wzięła mnie za rękę i oprowadziła po domu, pytając: "Poznaję... pamięta?". Odparłam, że nie jestem pewna, gdyż myśli mam jakby za mgłą, na co odpowiedziała: "To przyjdzie z czasem".

Potem przyprowadziła mnie do pokoju, który kiedyś należał do jej matki, odtąd zaś miał należeć do mnie. Jest tak duży, że zrazu wzięłam go za kolejny salon. Wtedy zobaczyłam łóżko, podeszłam bliżej i dotknęłam kolumny. Chyba musiałam znowu zblednąć, bo pani Brink zawołała: "Och! To nazbyt wiele! Czy mam panią odwieźć z powrotem do Holborn?".

Odrzekłam, żeby w ogóle nie brać tego pod uwagę. Początkowa słabość jest zjawiskiem naturalnym, z całą pewnością minie. "Wobec tego dam pani godzinę, żeby mogła ochłonąć – postanowiła. Potem mnie pocałowała. – Uważa pani, że wolno mi to zrobić?" – spytała. Pomyślałam o wszystkich zapłakanych damach, które trzymałam za ręce w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, o panu Vincym, który dotykał mnie bezustannie i wystawał pod moimi drzwiami. Od śmierci cioteczki nikt jednak mnie nie ucałował.

Uświadomiłam to sobie dopiero, gdy usta pani Brink musnęły mój policzek.

Kiedy opuściła pokój, podeszłam do okna, które wychodziło na park i Cristal Palace. Wbrew krążącym opiniom ten ostatni nie jest szczególnie imponujący. Ale w porównaniu z Holborn i tak nie mam na co narzekać! Napatrzywszy się do woli, pospacerowałam po pokoju, po czym, skuszona rozmiarami podłogi, odańczyłam polkę. Zawsze chciałam zatańczyć polkę w dużym pokoju. Tańczyłam tak około kwadransa, zdjawszy uprzednio buty, żeby pani Brink niczego nie usłyszała. Następnie rozejrzałam się dokoła.

Szczerze powiedziawszy, z uwagi na wielość szafek i komód wypełnionych najróżniejszymi drobiazgami jest to pomieszczenie dość osobliwe. Czego tam nie ma? Koronki, papiery, rysunki, chusteczki, guziki i tak dalej. Jest i garderoba pełna sukien,

niezliczonych pantofli oraz pólek z pończochami i saszetkami lawendy, toaletka ze szczotkami, na wpół zużytymi flakonami perfum oraz szkatułką z broszkami, pierścionkami i szmaragdowym naszyjnikiem. Pomimo słusznego wieku wszystko lśni czystością: nie znając pani Brink, ktoś mógłby sobie wyobrazić, iż jej matka jest bardzo schludną niewiastą. Och, nie powinienem dotykać tych rzeczy, pomyślałby niechybnie. Właścicielka może wrócić lada chwila. Podczas gdy tak naprawdę ona nie żyje od czterdziestu lat, więc można by tak stać i oglądać to wszystko, ile dusza zapragnie. Czułam jednak, że nie powinnam tego robić. Co by było, gdybym odwróciła się i zobaczyła ją stojącą w drzwiach?

Kiedy z tą myślą obróciłam się ku wyjściu, istotnie ujrzałam tam jakąś kobietę! Na jej widok serce podeszło mi do gardła...

Ale to była tylko Ruth, pokojówka pani Brink. W przeciwieństwie do Betty porusza się bardzo cicho, jak przystało na pokojówkę wytwornej damy, jak przystało na ducha. "Och – proszę o wybaczenie, panienko! – zawołała, widząc mój strach. – Pani Brink mówiła, że panienka odpoczywa". Przyniosła mi wodę do mycia. Nalewając ją do porcelanowej miednicy matki pani Brink, spytała: "Gdzie suknia, którą panienka włoży na obiad? Mam ją odświeżyć?". Nie patrzyła na mnie, tylko kierowała wzrok w podłogę, mogła jednak zauważyć moje bose stopy. Ciekawe, czy domyśliła się, że tańczyłam. Stała, czekając na suknię, choć oczywiście posiadam tylko jedną lepszą od tej, którą miałam na sobie. "Czy pani Brink oczekuje, że się przebiorę?" – spytałam. "Sądzę, że tak, panienko" – odpowiedziała. Dałam jej przeto swą aksamitną suknię, którą przyniosła po chwili parującą od żelazka.

Siedziałam w tej sukni dopóty, dopóki zegar nie wybił ósmej, albowiem o tej to zdumiewającej godzinie podaje się tu obiad. Ruth przyszła po mnie, rozwiązała szarfę, po czym zawiązała mi ją ponownie, mówiąc: "Proszę, jak panienka ślicznie wygląda". Kiedy weszłyśmy do jadalni, pani Brink zawołała na mój widok: "Jak pani ślicznie wygląda, panno Dawes!". Zobaczyłam, że Ruth uśmiecha się pod nosem. Posadzono mnie przy jednym końcu wielkiego, wypolerowanego stołu, a pani Brink siedziała przy drugim i mówiła przez cały czas: "Ruth, dołożysz pannie Dawes ziemniaków? Panno Dawes, czy Ruth ma dokroić sera?". Pytała, czy mi smakuje i jakie potrawy lubię najbardziej. Podano jajko, kotlet wieprzowy, nerkę, ser oraz figi. Pomyślałam o króliku pani Vincy i roześmiałam się na samo wspomnienie. Kiedy pani Brink zapytała o przyczynę mojej wesołości, odpowiedziałam, że jestem szczęśliwa.

Po obiedzie pani Brink chciała sprawdzić wpływ otoczenia na moją moc, w związku z czym spędziłam kolejną godzinę w transie i była chyba bardzo zadowolona. Powiedziała, że jutro pójdziemy kupić nowe suknie, a pojutrze urządzimy seans dla jej przyjaciół, którzy

pragną zobaczyć, na co mnie stać. Ponownie zaprowadziła mnie do tego pokoju i ucałowała. Ruth przyniosła gorącą wodę i zabrała nocnik; uczyniła to dyskretniej niż Betty, co kolejny raz wprowadziło mnie w zakłopotanie. Wybiła jedenasta, a ja jestem rozbudzona, jak zawsze po transie, choć wolałabym się tutaj do tego nie przyznawać. W całym wielkim domu panuje niezmacona cisza. Nie ma w nim nikogo prócz pani Brink, Ruth, kucharki, jeszcze jednej służącej i mnie. Jesteśmy jak zakonnice w klasztorze.

Na ogromnym łóżku leży biała, koronkowa koszula nocna matki pani Brink. Pani Brink ma nadzieję, że ją włożę. Nie zdziwię się jednak, jeśli przez całą noc nie zmruję oka. Stoję przy oknie, spoglądając na światła miasta. Rozmyślam o zmianie, jaką wniósł w moje życie sen pani Brink.

Muszę przyznać, że oświetlony Cristal Palace wygląda nie najgorzej.

Część druga

23 października 1874

W tym tygodniu nastąpiło ochłodzenie. Zima nadeszła szybko, podobnie jak w roku śmierci ojca; patrzyłam, jak miasto ulega przeobrażeniu, tak jak w owych smutnych tygodniach, gdy papa leżał zmożony chorobą. Handlarze obwoźni przytupują nogami owiniętymi w szmaty, przeklinając ziąb; grupki dzieci tulą się do rozłożystych, mokrych boków koni w poszukiwaniu upragnionego ciepła. Ellis mówiła, że dwa dni temu po drugiej stronie rzeki znaleziono matkę z trzema synami, zagłodzonych i zamarzniętych na śmierć. A Arthur opowiada, że gdy przed świtem jedzie Stradem, widzi żebraków skulonych pod oszroniałymi derkami.

Nastała również pora mgieł – żółtych i brunatnych oraz czarnych jak płynna sadza. Dryfują nad chodnikami niczym para nad czarcim wywarem. Plamią ubrania i wypełniają płuca, powodując kaszel; napierają na okna; czasami nawet widać, jak wpełzają do domu przez niedopasowane okiennice. O trzeciej, czwartej po południu zapada mrok, a gdy Vigers zapala lampy, płoną niemrawo, skąpiąc nam światła.

Moja lampa nie stanowi wyjątku. Daje niemal tak samo przyćmiony blask jak łożówki, które zapalano nam na noc w dzieciństwie. Dokładnie pamiętam, jak liczyłam szczeliny w osłonie świecy, nasłuchując miarowego oddechu niani oraz chrapania i posapywania dobiegającego od strony łóżek Stephena i Pris.

W mej świadomości ten pokój wciąż pozostaje naszym pokojem z dzieciństwa. Na suficie nadal widnieją ślady po hakach od huśtawki, na półkach stoją niektóre książki z bajkami. Widzę grzbiet jednej z nich, ulubionej Stephena. Są w niej jaskrawe ilustracje przedstawiające duchy i demony: gdy człowiek przypatrzy się którejś uważnie, a potem szybko przeniesie wzrok na pustą ścianę, postać zjawy zawiśnie na niej na chwilę, chociaż w kolorze zupełnie innym od oryginału.

Doprawdy, ostatnio ciągle wracam myślami do duchów!

W domu nic się nie dzieje. Tego ranka pojechałam do czytelnicy, ale z powodu mgły było jeszcze ciemniej niż zwykle, w związku z czym o drugiej zaczęto nas wypraszać. Niezmiennie powoduje to protesty, ludzie wołają, aby przynieść lampy, ale mnie było wszystko jedno, gdyż robiłam notatki z więziennych ksiąg z beczynności raczej niż rzeczywistej potrzeby. To niesamowite – opuścić muzeum i ujrzeć świat tak nierzeczywisty i odmieniony. W życiu nie widziałam ulicy tak pozbawionej głębi i koloru jak Great Russell Street w owej chwili. Niemal wahałam się nią iść, w obawie że stanę się równie błąda i

odrealniona jak dachy oraz chodniki.

Naturalnie w oddali mgła wydaje się gęstsza, to jej zasadnicza cecha, przeto moja postać pozostała ostra jak zawsze. Czułam się, jakbym płynęła pod ruchomą kopułą – kopułą z gazy, podobną do kloszy, jakimi latem służba przykrywa ciasta, by chronić je przed osami.

Zastanawiałam się, czy wszyscy przechodnie dostrzegają własne kopuły równie wyraźnie jak ja moją.

Wreszcie myśl o kopułach poczęła mnie męczyć; postanowiłam znaleźć dorożkę i pojechać do domu przy opuszczonych żaluzjach. Ruszyłam w stronę Tottenham Court Road, spoglądając po drodze na wizytówki i okna. Jak niewiele zmieniło się od czasu, gdy szłam tędy razem z papą...

Naraz ujrzałam tabliczkę, która lśniła nieco bardziej niż sąsiednie; podeszłam bliżej, chcąc odczytać zawartą na niej informację. Napis głosił: "Narodowe Stowarzyszenie Spirytystów – miejsce spotkań, biblioteka i czytelnia".

Jestem pewna, że dwa lata temu jeszcze jej tu nie było, a może po prostu nie zwróciłam na nią uwagi, obojętna na tę dziedzinę. Podeszłam jeszcze bliżej. Siłą rzeczy pomyślałam o Selinie – pisanie jej imienia wciąż jest dla mnie nowością. Przyszło mi do głowy, że mogła tu kiedyś przychodzić, mogłyśmy się minąć na ulicy. Pamiętam, jak w pobliżu czekałam kiedyś na Helen, krótko po tym, jak się poznałyśmy. Może Selina przeszła wtedy obok mnie.

Interesująca myśl. Ponownie spojrzałam na mosiężną tabliczkę, a potem na klamkę. Następnie otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

Najpierw ujrzałam tylko wąskie schody: wszystkie pomieszczenia znajdują się nad sklepem, na wyższych piętrach. Schody prowadzą do niewielkiego biura wyłożonego drewnem, co bardzo ładnie wygląda. W oknach wiszą drewniane żaluzje, dziś opuszczone z powodu mgły. Między oknami zawieszono kopię obrazu – moim zdaniem nieudaną – "Saul w domu wiedźmy Endoru". Zobaczyłam też czerwony dywan i biurko, przy którym siedzieli mężczyzna i kobieta. Dama miała na piersi srebrną broszkę w kształcie złożonych rąk, jakie czasem widuje się na obeliskach. Dżentelmen nosił jedwabne pantofle. Powitali mnie z uśmiechem, po czym na ich twarzach odmalował się wyraz troski. Mężczyzna wyraził ubolewanie z powodu stromych schodów.

– Wielka szkoda, że na próżno się pani trudziła! – zawołał. – Przyszła pani na pokaz? Został odwołany z powodu mgły.

Był bardzo miły i zwyczajny. Wyjaśniłam, że nie przyszedłam na pokaz, lecz – co było całkowicie zgodne z prawdą – przypadkowo spostrzegłam tabliczkę i z ciekawości postanowiłam zajrzeć do środka. Popatrzyli znacząco.

– Przypadek i ciekawość. Cóż za cudowne połączenie!

Dzentelmen podał mi rękę; był to kruchy mężczyzna o najmniejszych dłoniach i stopach, jakie kiedykolwiek widziałam.

– Obawiam się, iż nie mamy pani wiele do pokazania – powiedział. – Paskudna pogoda zniechęca odwiedzających.

Wspomniałam o czytelnicy. Czy jest otwarta? Mogłabym z niej skorzystać? Ależ naturalnie, muszę tylko zapłacić szylinga. Nie była to szczególnie wygórowana kwota. Poproszono mnie o wpisanie się do książki leżącej na biurku.

– Panna Prior – odczytał mężczyzna, przechylając głowę. Kobieta nazywała się panna Kislingbury. Jest tutaj sekretarką. Mężczyzna pełni funkcję kustosa i nazywa się pan Hither.

Pokazał mi czytelnię. Wydała mi się dość skromna; przypominała bibliotekę, jakie widuje się w klubach bądź na niedużych uczelniach: Były tam trzy lub cztery szafy z książkami, wszystkie wypełnione po brzegi, oraz rząd drążków z gazetami i czasopismami zawieszonymi na nich jak pranie. Prócz tego w pomieszczeniu znajdowały się stół i skórzane krzesła oraz liczne obrazki i przeszklona gablota – istne kuriozum albo raczej potworność, o czym miałam przekonać się później. Najpierw podeszłam do książek. Dodały mi nieco pewności siebie, zaczynałam się bowiem zastanawiać nad przyczyną, która mnie tu sprowadziła. Przynajmniej wiadomo, jak przewrócić kartkę i poznać jej treść, jakkolwiek dziwaczna może się okazać.

Przystanąłam, studiując grzbiety, podczas gdy pan Hither nachylił się do kobiety siedzącej przy stole i wymienił z nią szeptem kilka uwag. Była to jedyna czytelniczka, osoba w dość podeszłym wieku; dłonią w białej, przybrudzonej rękawiczce przytrzymywała otwartą książkę. Widząc pana Hithera, przywołała go energicznym gestem.

– Cudowny tekst! Jakież inspirujący! – powiedziała. Uniosła rękę, co spowodowało zamknięcie się tomu.

Dostrzegłam tytuł: "Siła Odyna".

Wszystkie dzieła nosiły równie wymyślne tytuły, kiedy jednak zajrzałam do jednego czy dwóch, udzielane tam rady wydały mi się komiczne, na przykład rozdział: "O krzesłach". Traktował o niebezpieczeństwach związanych z siadaniem na obitych tapicerką krzesłach często zajmowanych przez przypadkowe osoby i radził mediom wybierać siedziska drewniane tudzież trzciniowe. Musiałam odwrócić głowę w obawie, że pan Hither dostrzeże mój uśmiech. Następnie podeszłam do gazet, po czym skierowałam wzrok na wiszące ponad nimi fotografie. Przedstawiały "duchy przywołane za pośrednictwem pani Murray, październik 1873". Zobaczyłam rozmarzoną niewiastę siedzącą pod palmą w fotograficznym

atelier. Za nią majaczyły trzy mgliste postaci w białych szatach – "Sancho", "Annabel" i "Kip", jak wyjaśniał napis pod spodem. Wydawały się jeszcze zabawniejsze niż książki; jakże pragnęłam, by papa mógł obejrzeć je razem ze mną! Naraz poczułam ruch za sobą i drgnęłam. Był to pan Hither.

– Jesteśmy z nich bardzo dumni – powiedział, wskazując na fotografie. – Pani Murray posiada zadziwiającą moc. Czy zwróciła pani uwagę na strój Annabel? Mieliśmy fragment kołnierza, umieściliśmy go w ramce obok zdjęć, ale niestety, po upływie tygodnia czy dwóch zniknął, jak na rzecz niematerialną przystało. Została nam tylko ramka.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– O tak – dorzucił. Następnie podszedł do przeszklonej szafki i przywołał mnie, mówiąc, że to prawdziwa duma kolekcji i dowód o bardziej trwałym charakterze.

Jego ton i zachowanie wzbudziły moją ciekawość. Zawartość gabloty wyglądała z daleka jak okrucy rzeźb bądź jasne odłamki skalne. Podchodząc bliżej, zobaczyłam jednak, iż nie jest to marmur, lecz gips i wosk, w których odcisnięto twarze, palce, stopy oraz ramiona. Większość była w uderzający sposób zniekształcona. Niektóre popękały albo pożółkły ze starości bądź w wyniku działania światła. Pod każdym widniał dokładny opis.

Ponownie spojrzałam na pana Hithera.

– Naturalnie wie pani, jak przebiega proces? – spytał. – Cóż, jest bardzo prosty, a zarazem nader zmyślny! Przywołuje się ducha i przygotowuje dwa wiadra – jedno z wodą, drugie z roztopionym woskiem. Duch podaje dłoń, stopę, czy co tam: kończynę najpierw zamacza się w wosku, a zaraz potem w wodzie. I duch odchodzi, pozostawiając odlew. Oczywiście – dodał przepaszająco – nie wszystkie są doskonałe. I nie wszystkie duchy są wystarczająco materialne, byśmy próbowali dokonać odcisku w gipsie.

Zaiste, wszystkie przedmioty w gablocie sprawiały wrażenie przerażająco niedoskonałych, rozpoznawalnych jedynie za sprawą groteskowych szczegółów – takich jak paznokiec stopy, zmarszczka, odcisk rzęs nad wybałuszonym okiem – niekompletnych, wygiętych lub osobliwie zamazanych, tak jakby duchy odchodziły z powrotem w zaświaty, unosząc fragment ciepłego wosku.

– Proszę spojrzeć na ten niewielki odlew – powiedział pan Hither. – Rączka zmarłego niemowlęcia. Widzi pani te małe, kochane paluszki, łokieć z dołeczkiem?

Poczułam się nieswojo. Zupełnie jakbym ujrzała noworodka, który przyszedł na świat przed czasem, groteskowy i niekompletny. Siostra matki urodziła takie dziecko, gdy byłam małą; do dziś pamiętam szepty dorosłych, które prześladowały mnie, zsyłając niespokojne sny. Pospiesznie przeniosłam spojrzenie na najniższy, najciemniejszy zakątek gabloty. Tam

jednak tkwiła rzecz najobrzydliwsza ze wszystkich. Był to odcisk ręki, ręki mężczyzny – woskowa dłoń, karykaturalnie obrzmiała i spuchnięta – pięć tłustych palców oraz żyłasty przegub, połyskujący w świetle, jakby ktoś przed chwilą zanurzył go w wodzie. Odlew noworodka wywołał we mnie mdłości. Lecz na widok owej ręki mało nie zatrzęsłam się od stóp do głów.

Wówczas mój wzrok padł na informację pod spodem – i zadrżałam jak osika.

"Ręka ducha nazywającego siebie Peter Quick – głosił napis – zmaterializowanego przez pannę Selinę Dawes".

Spojrzałam przelotnie na pana Hithera, który nadal kiwał głową nad pulchnym łokciem noworodka, po czym mimowolnie stanęłam bliżej gabloty. Widok nabrzmiałego wosku nasunął wspomnienie smukłych palców Seliny oraz jej kruchych nadgarstków nad burą wełną robótki. Zestawienie wypadło piorunująco. Uświadomiłam sobie, że stoję pochylona nad gablotą, matując szkło przyspieszonym oddechem. Wyprostowałam się, musiałam jednak uczynić to zbyt gwałtownie, gdyż w następnej chwili poczułam na ramieniu uścisk palców pana Hithera.

– Moja droga, dobrze się pani czuje? – zapytał. Dama przy stole uniosła wzrok, przyciskając do ust brudną rękawiczkę. Jej książeczka znów się zamknęła i poleciała na podłogę.

Wyjaśniłam, że od pochylania zakręciło mi się w głowie, a poza tym bardzo tu ciepło. Pan Hither przyniósł krzesło i kazał mi usiąść – moja twarz ponownie znalazła się blisko gabloty, co wywołało kolejny dreszcz, kiedy jednak dama spytała, czy ma przynieść wodę i zawołać pannę Kislingbury, podziękowałam jej za troskę, prosząc, by nie zadawała sobie trudu. Pan Hither przyglądał mi się uważnie; zauważyłam, że lustruje moją suknię i płaszcz. Teraz myślę, że wiele kobiet w żałobie przestępuje jego progi pod pretekstem zaciekawienia, niektóre może nawet mdleją na widok odlewów. Lecz gdy ponownie skierowałam oczy na eksponaty w gablocie, w głos pana Hithera wkradł się nowy, łagodny ton.

– Dziwne, prawda? – zapytał. – Ale czyż nie są cudowne?

Nie odpowiedziałam, niech sobie myśli, co chce. Ponownie opowiedział mi o procedurze sporządzania odlewów i poczułam, że się uspokajam. Spytałam, czy media przywołujące duchy to osoby bardzo mądre.

– Rzekłbym raczej: potężne niż mądre – oświadczył z namysłem. – W kwestii umysłu nie różnią się zapewne od pani czy mnie.

Wyjaśnił, że z tego powodu wielu niedowiarków uważa spirytyzm za domenę pospółstwa. Duchy nie zawracają sobie głowy wiekiem, pozycją społeczną ani żadnymi

"doczesnymi kryteriami", toteż dar przywoływania owych istot jest rozsiany wśród ludzi niczym ziarno na polu. Mogłabym odwiedzić możnego dżentelmena i zastać jego służącą na pastowaniu butów pana: z nich dwojga to ona mogłaby wykazać się większą wrażliwością.

– Proszę spojrzeć – dorzucił, ponownie wskazując gablotę. – Panna Gifford, autorka tego odlewu, była pokojówką. Poznała swą moc, dopiero kiedy wyszło na jaw, że jej pani ma guza. Wówczas coś kazało jej położyć ręce na ciele chlebobawczynie, co doprowadziło do uzdrowienia. Albo pan Severn. Ten szesnastoletni młodzieniec przywołuje duchy, odkąd skończył dziesięć lat. Widywałem media trzy- i czteroletnie. Słyszałem o niemowlętach, które dawały znak z kołyski, sięgały po pióra i pisały, że duchy sprawują nad nimi pieczę...

Raz jeszcze spojrzałam na półki. Wiedziałam bowiem, co mnie tu sprowadziło i czego szukam. Złożywszy rękę na piersi, wskazałam podbródkiem woskowe dłonie Petera Quicka. A Selina Dawes, spytałam. Czy pan Hither coś o niej wie?

Zaczął mówić od razu, a dama przy stole uniosła głowę. Ależ naturalnie! Czyż nie doszły mnie słuchy o nieszczęściu biednej panny Dawes? Zamknęli ją w więzieniu! Ze smutkiem potrząsnął głową.

Rzeczywiście, potwierdziłam, chyba coś o tym słyszałam. Nie wiedziałam jednak, że Selina Dawes jest tak słynną osobistością.

Osobistością? Cóż, szerszym kręgom zapewne nie jest znana. Ale w światku spirytystów... zaiste, wszyscy z tego kręgu musieli zdrzeć na wieść o losie nieszczęsnej panny Dawes! Każdy spirytysta pilnie śledził przebieg jej procesu i ronił łzy, usłyszawszy wyrok; płakał – albo powinien był zapłakać – nad nią i samym sobą.

– Wedle prawa jesteśmy prostakami i włóczęgami – zakończył gorzko. – Rzekomo praktykujemy wróżenie z ręki oraz inne podejrzane sztuczki. Za co skazano pannę Dawes? Za napaść, czyż nie? I oszustwo? Kalumnie!

Poróżowiał z przejęcia. Żar towarzyszący jego wypowiedzi wprawił mnie w najwyższe zdumienie. Zapytał, czy znam szczegóły aresztowania i uwięzienia panny Dawes. Kiedy odpowiedziałam, że z przyjemnością uzupełniłabym swą wiedzę na ten temat, podszedł do biblioteczki, a następnie powiódł palcami po skórzanych grzbietach i wyciągnął jedną książkę.

– Proszę spojrzeć – powiedział. – To "Spirytysta", jedna z naszych gazet. Mam tu zeszloroczne numery, od lipca do grudnia. Kiedy to panna Dawes została aresztowana?

– Sądzę, że w sierpniu – wtrąciła dama w brudnych rękawiczkach. Podśledzała naszą rozmowę i spoglądała na nas uważnie. Pan Hither kiwnął głową, po czym przewrócił kartki.

– Tutaj – oznajmił po chwili. – Niech pani spojrzy, moja droga.

Popatrzyłam na wskazany nagłówek. SPIRYTYŚCI WNOSZĄ PETYCJE NA RZECZ PANNY DAWES. "Medium zatrzymane przez policję. Zeznania spirytystów odrzucone". Poniżej zamieszczono streszczenie sprawy, opisano zatrzymanie medium, panny Dawes, co nastąpiło po nagłej śmierci jej patronki, pani Brink, podczas prywatnego seansu w posiadłości denatki w Sydenham. Uczestniczka seansu, panna Madeleine Silvester, doznała bliżej niesprecyzowanych obrażeń. Zamieszanie miało wynikać za sprawą Petera Quicka, ducha przywołanego przez pannę Dawes, bądź inną istotę nieziemską podeń się podszywającą...

Znałam tę opowieść z relacji panny Craven, od Stephena, pani Wallace oraz samej Seliny, choć w gruncie rzeczy najwierniej odpowiadała tej ostatniej wersji, która jako winowajcę wskazywała ducha. Spojrzałam na pana Hithera.

– Sama nie wiem, co myśleć – powiedziałam. – Nie znam się na spirytyzmie. Sądzi pan, że nastąpiło nadużycie?

– Kolosalne nadużycie – potwierdził. Nie miał co tego najmniejszych wątpliwości.

– Pan nie ma wątpliwości – odrzekłam, przypominając sobie pewien szczegół z opowieści Seliny. – Ale czy każdy spirytysta podziela pańskie zdanie? Czy nie znaleźli się tacy, którzy zwątpili w wersję panny Dawes?

Odrobinę pochylił głowę. Owszem, powiedział, w "pewnych kręgach" istotnie znaleźli się tacy, którzy zwątpili.

Zwątpili? W jej uczciwość?

Zamrugnął, po czym ściszył głos, zaskoczony i jakby urażony.

– Zwątpili – wyjaśnił – w jej mądrość. Panna Dawes jest potężnym medium, a zarazem bardzo młodym. Panna Silvester była jeszcze młodsza, jeśli dobrze pamiętam, liczyła sobie zaledwie piętnaście lat. Zdarza się, że osoby w równie młodym wieku padają ofiarami wybryków niesfornych duchów, Peter Quick zaś potrafił być czasem bardzo niesforny...

Dodał, iż być może panna Dawes wykazała pewien brak rozwagi, narażając dziewczynę na kontakt z owym duchem, choć po prawdzie robiła to nieraz z innymi paniami. Pozostawało również pytanie na temat ukrytych zdolności samej panny Silvester. Kto wie, czy nie zadziałały one na Petera? Kto wie, czy nie maczały w tym palców jakieś siły nieczyste? Bywa, że upodobają sobie one niedoświadczonego spirytystę i wykorzystują go, by siać grozę.

– A to właśnie grozę – ciągnął – a nie cuda naszej działalności – o nie! – tak chętnie opisują gazety. Obawiam się, że wielu spirytystów, w tym również takich, którzy niegdyś sławili dokonania panny Dawes, zwróciło się przeciwko niej, kiedy najbardziej potrzebowała pomocy. Podobno jest tym bardzo rozgoryczona. I zwróciła się przeciwko nam, nawet tym,

którzy nadal myślą o niej życzliwie.

Spoglądałam na niego bez słowa. Słyszeć, jak wychwala Selinę, jak z szacunkiem mówi o niej "panna Dawes" i "panna Selina Dawes" zamiast "Dawes", "więźniarka" albo "ta kobieta" – nie sposób rzec, jakie to było poruszające. Jej historia opowiedziana w mrocznym półświatku więzienia, tak odmiennym od znanej mi rzeczywistości, że nikt – ani więźniarki, ani strażniczki, ani nawet ja sama – nie wydaje się w nim istnieć naprawdę, brzmiała inaczej niż w ustach pana Hithera.

– Czy rzeczywiście odnosiła przed aresztowaniem znaczne sukcesy? – spytałam wreszcie.

Pan Hither klasnął w dłonie. Ależ tak, Boże miłosierny, jej seanse były absolutnie niewiarygodne!

– Naturalnie nigdy nie była tak znana jak najlepsze londyńskie media, pani Guppy, pan Home czy panna Cook z Hackney...

Słyszałam o nich. Podobno pan Home umiał lewitować i wyciągał z kominka rozżarzone węgle. Pani Guppy teleportowała się kiedyś z Highbury do Holborn podczas zapisywania na liście zakupów słowa "cebula".

– Teraz się pani uśmiecha – powiedział pan Hither. – Jest pani taka jak wszyscy. Im bardziej niezwykle zdolności, tym chętniej o nich słuchacie, by zaraz uznać je za brednie.

Nadal spoglądał na mnie życzliwie. Przyznałam mu pewną rację. Ale Selina Dawes: jej zdolności nie były tak spektakularne jak zdolności pana Home'a i pani Guppy, prawda?

Wzruszył ramionami, mówiąc, że nasze definicje określenia "spektakularny" wcale nie muszą się pokrywać. Znowu podszedł do półki i wyjął kolejne tomisko – był to również "Spirytysta", ale wcześniejsze numery. Po chwili odnalazł szukany fragment i wręczył mi książkę, pytając czy nazwałabym to "spektakularnym".

Artykuł zawierał opis seansu Seliny przeprowadzonego w Holborn, kiedy to w ciemności rozlegało się bicie dzwonów i ktoś szeptał przez papierową tubę. Pan Hither podał mi kolejną książkę, wydrukowaną na innym papierze, zapomniałam jej tytułu: była to relacja z prywatnego spotkania w Clerkenwell, podczas którego niewidzialne ręce upuszczały kwiaty i wypisywały kredą imiona na tabliczce. Wcześniejszy numer tej samej gazety opisywał przypadek dżentelmena w żałobie, który ku swemu zdumieniu znalazł wiadomość z zaświatów w postaci purpurowego napisu na odsłoniętym ramieniu Seliny...

Pamiętam, że opowiadała mi o tym okresie swego życia. Mówiła o nim z dumą i nazywała go szczęśliwym; jej dumą wprowadziła mnie wówczas w przygnębienie, teraz zaś poczułam jeszcze większy smutek. Kwiaty i papierowe tuby, słowa wypisane na ciele –

spektakl wydawał się tandetny, nawet jak na duchy. W Millbank Selina sprawiała wrażenie aktorki wspominającej błyskotliwą karierę. Ale rewelacje prasowe odsłoniły przede mną jej prawdziwą postać: była to kariera motyla lub ćmy, wieczna tułaczka od domu do domu, z jednej podłej dzielnicy do drugiej, cyrkowe sztuczki za grosze.

Pomyślałam o ciotce, która naraziła ją na taki los. I o tamtej zmarłej kobiecie, pani Brink. Dopiero pan Hither powiedział mi, że Selina mieszkała z panią Brink, w jej własnym domu.

O tak, potwierdził. Na tej podstawie oparto kolejne zarzuty, między innymi dotyczące oszustwa oraz użycia przemocy, tym potworniejsze, że zmarła dama ogromnie podziwiała Selinę, udzieliła jej schronienia, była dla niej niczym rodzona matka. To dzięki jej wsparciu Selina miała szansę rozwijać swój talent. I właśnie tam, w Sydenham, po raz pierwszy pojawił się Peter Quick.

– Przecież to właśnie on doprowadził do śmierci pani Brink – przypomniałam.

Pan Hither potrząsnął głową.

– Tylko duchy umiałyby to wytłumaczyć. Niestety, nie wezwano ich, by zeznawały w obronie panny Dawes.

Zaintrygowały mnie jego słowa. Popatrzyłam na pierwszą gazetę, noszącą datę aresztowania Seliny. Zapytałam o późniejsze numery. Czy zawierały opis rozprawy i uzasadnienie wyroku? Po krótkich poszukiwaniach pan Hither przyniósł żądane egzemplarze i skrzętnie uprzątnął pozostałe. Postawiwszy krzesło przy stole, usiadłam z dala od kobiety w białych rękawiczkach i zasłoniłam gazetą przeszkloną szafkę z "eksponatami". Kiedy pan Hither z uśmiechem skinął mi głową i wyszedł, pograżyłam się w lekturze. Miałam przy sobie notes z zapiskami z Muzeum Brytyjskiego. Otworzyłam go i przystąpiłam do sporządzania notatek z procesu Seliny.

Najpierw przesłuchiowano panią Silvester, Amerykankę, matkę nerwowej dziewczyny, znajomą pani Wallace:

"Kiedy poznała pani Selinę Dawes?" – "Na seansie u pani Brink, w lipcu. W Londynie opisywano ją jako medium o nieprzeciętnych zdolnościach. Chciałam zobaczyć ją na własne oczy".

"I co sobie pani o niej pomyślała?" – "Od razu zauważyłam, że istotnie jest niezwykła. Wydawała się też nadzwyczaj skromna. W spotkaniu uczestniczyło dwóch energicznych młodzieńców; sądziłam, iż będzie próbowała z nimi flirtować. Nie uczyniła tego, co bardzo mnie ujęło. Generalnie zdawała się odpowiadać powszechnemu mniemaniu na swój temat. Oczywiście w przeciwnym razie nie przystałabym na to, by moja córka utrzymywała z nią jakiegokolwiek stosunki".

"Dlaczego zależało pani na nawiązaniu owych stosunków?" – "Z powodów czysto formalnych, a dokładnie medycznych. Żywiłam nadzieję, że panna Dawes dopomoże córce w powrocie do zdrowia. Córka choruje od kilku lat. Panna Dawes przekonywała, iż jej dolegliwości są duchowej raczej niż fizycznej natury".

"Czy owa kuracja miała miejsce w Sydenham?" – "Tak".

"Jak długo trwała?" – "Dwa tygodnie. Dwa razy w tygodniu przez godzinę córka siedziała z panną Dawes w zaciemnionym pokoju".

"Czy były same?" – "Nie. Córka jest bojaźliwa, dlatego postanowiłam jej towarzyszyć".

"Czy wspomniane dwa tygodnie przyniosły jakąkolwiek zmianę w stanie zdrowia pani córki?" – "Uderzyła mnie zadziwiająca poprawa. Obecnie wszakże przypisuję ją niezdrowej ekscytacji wywołanej terapią panny Dawes".

"Dlaczego pani tak uważa?" – "Z powodu stanu, w jakim zastałam córkę feralnej nocy".

"Był to ten sam wieczór, kiedy pani Brink dostała ataku, który w efekcie spowodował jej zgon? Trzeciego sierpnia 1873 roku?" – "Tak".

"Tegoż wieczora, wbrew swym dotychczasowym zwyczajom, pozwoliła pani córce na samotną wyprawę do panny Dawes. Dlaczego tak się stało?" – "Panna Dawes twierdziła, iż moja obecność blokuje postępy Madeleine. Przekonywała o konieczności otwarcia pewnych kanałów pomiędzy nią a córką, co wymagało sesji w cztery oczy. Umiała gładko mówić, toteż uwierzyłam w tę bajeczkę".

"Proszę pozostawić wnioski sądowi. Prawda wygląda tak, że pozwoliła pani pannie Silvester na samotną wyprawę do Sydenham". – "W rzeczy samej. Towarzyszyli jej tylko pokojówka i oczywiście nasz stangret".

"Jakie wrażenie sprawiała córka?" – "Wydawała się podenerwowana. Jak już powiedziałam, teraz uważam, że była niezdrowo podekscytowana atencją panny Dawes".

"W jakim sensie podekscytowana?" – "Schlebiało jej to. Moja córka jest naiwną dziewczyną. Panna Dawes kazała jej wierzyć, iż posiada ukryte zdolności mediumiczne. Przekonywała, że jeśli je rozwinąć, Madeleine natychmiast odzyska zdrowie".

"Czy uwierzyła pani, że córka istotnie posiada takowy dar?" – "Byłam gotowa uwierzyć we wszystko, co tłumaczyło jej chorobę".

"Cóż, zapewne zostanie to pani poczytane za chlubę". – "Mam nadzieję, że tak".

"Bez wątpienia. Wspomniała pani o stanie nerwowej ekscytacji, w jakim znajdowała się córka, wyjeżdżając z domu. Kiedy ujrzała ją pani ponownie?" – "Dopiero kilka godzin później. Spodziewałam się, że wróci o dziewiątej, lecz minęło wpół do jedenastej, a ja nie miałam od niej żadnych wiadomości".

"Co pani sobie pomyślała?" – "Odchodziłam od zmysłów ze strachu! Wysłałam dorożką lokaja, aby wywiadał się, czy nic jej nie grozi. Wrócił po rozmowie z pokojówką Madeleine i oznajmił, że córka jest ranna, w związku z czym muszę niezwłocznie do niej pojechać. Co natychmiast uczyniłam".

"Proszę powiedzieć, co się działo w Sydenham, kiedy pojechała pani po córkę?" – "W domu panował istny chaos. Pozapalano wszystkie światła, a służba biegała tam i z powrotem".

"W jakim stanie zastała pani córkę?" – "Zastałam ją... ach! Zastałam ją w stanie bliskim omdlenia. Miała wymiętą odzież oraz ślady przemocy na twarzy i szyi".

"Jak zareagowała na pani widok?" – "Szok odebrał jej jasność myślenia. Odepchnęła mnie od siebie, przemawiając plugawym językiem. Była w mocy tej małej szarlatanki, panny Dawes!".

"Czy widziała pani pannę Dawes?" – "Owszem".

"Jak wyglądała?" – "Wydawała się rozkojarzona. Trudno powiedzieć, jestem pewna, że udawała. Twierdziła, że moja córka została sponiewierana przez ducha; w życiu nie słyszałam czegoś bardziej groteskowego, więc nie omieszkałam jej tego oznajmić. Wtedy stała się napastliwa. Kazała mi zamilknąć, a następnie wybuchnęła płaczem. Powiedziała, że Madeleine jest niemądra, i że przez nią straciła wszystko. Wtedy dowiedziałam się, że pani Brink zaniemogła i leży na górze. Podejrzewam, iż zmarła w chwili, gdy zajmowałam się córką".

"Czy jest pani pewna co do słów panny Dawes? Czy rzeczywiście powiedziała: Straciłam wszystko?" – "Tak".

"Co pani przez to zrozumiała?" – "Wówczas nic. Stan córki pochłaniał całą moją uwagę. Teraz wszakże rozumiem doskonale. Chciała powiedzieć, że Madeleine popsuła jej szyki. Pragnęła wkupić się w jej łaski, a następnie ogołocić z pieniędzy. Nieoczekiwany obrót wydarzeń uniemożliwił jej te zamiary...".

Reszty nie przepisywałam. Relację zawarto w jednym wydaniu; w egzemplarzach z kolejnego tygodnia widnieje zapis przesłuchania samej dziewczyny, panny Madeleine Silvester. Podjęto trzy próby, wszystkie kończyły się płaczem. Nie lubię pani Silvester, przypomina mi moją matkę. Jej córki jednak nienawidzę: przypomina mnie samą.

"Co pamięta pani z wydarzeń owego wieczora, panno Silvester?" – "Sama nie wiem. Nie jestem pewna".

"Pamięta pani, jak opuściła dom?" – "Tak, proszę pana".

"Pamięta pani, jak przyjechała do posiadłości pani Brink?" – "Tak, proszę pana".

"Co wydarzyło się zaraz po pani przyjeździe?" – "Wypiłam herbatę w towarzystwie pani Brink i panny Dawes".

"Jakie wrażenie sprawiła na pani pani Brink? Czy wydawała się w pełni sił?" – "O tak!".

"Jak zachowywała się wobec panny Dawes? Czy nie uderzyły pani jej chłód tudzież powściągliwość?" – "Zachowywała się bardzo przyjaźnie. Siedziały blisko siebie, pani Brink brała pannę Dawes za rękę, dotykała jej twarzy i włosów".

"Co mówiły?" – "Pani Brink spytała, czy jestem podekscytowana; odrzekłam, że tak. Jej zdaniem miałam dużo szczęścia, znajdując taką nauczycielkę jak panna Dawes. Potem panna Dawes poprosiła, aby pani Brink pozostawiła nas same. I pani Brink wyszła".

"Pani Brink zostawiła panią sam na sam z panną Dawes? Co się potem wydarzyło?" – "Panna Dawes zaprowadziła mnie do pokoju z zasłoną, gdzie zazwyczaj siedzialiśmy".

"Czy to ten sam pokój, w którym panna Dawes prowadziła swoje seanse, tak zwane mroczne kręgi?" – "Tak".

"A zasłona oddziela przestrzeń, gdzie panna Dawes wchodzi w trans?" – "Tak".

"Co się stało potem, panno Silvester?" – [Świadek się waha.] "Usiadłyśmy i panna Dawes trzymała mnie za rękę, po czym powiedziała, że musi się przygotować. Weszła za kurtynę i za chwilę wyszła w samej halce. Mnie również kazała zdjąć suknię, ale bez wchodzenia za kurtynę".

"Kazała pani zdjąć suknię? W jakim celu?" – "Twierdziła, że dzięki temu terapia będzie bardziej skuteczna".

"Zdjęła pani suknię? Proszę powiedzieć prawdę i nie trapić się obecnością panów". – "Tak, zdjęłam. To znaczy, panna Dawes mi pomogła, gdyż moja pokojówka znajdowała się w drugim pokoju".

"Czy panna Dawes kazała pani też zdjąć biżuterię?" – "Poprosiła mnie o odłożenie broszki, gdyż nie zdjąłabym sukni, nie drąc przy tym bielizny, do której również była przypięta".

"Co zrobiła z broszką?" – "Nie pamiętam. Moja pokojówka Lupin później mi ją przyniosła".

"Świetnie. Teraz proszę powiedzieć, co pani czuła, kiedy poproszono panią o zdjęcie sukni". – "Najpierw czułam się dziwnie, ale potem mi to nie przeszkadzało. Panował upał, poza tym panna Dawes zamknęła drzwi na klucz".

"Czy w pokoju było jasno, czy ciemno?" – "Nie było ciemno, ale i nie było jasno".

"Czy wyraźnie widziała pani pannę Dawes?" – "O tak".

"I co dalej?" – "Panna Dawes ponownie ujęła mnie za rękę i powiedziała, że nadchodzi

duch".

"Co pani czuła?" – "Strach. Zdaniem panny Dawes nie powinnam się bać, bo to tylko Peter".

"Czyli rzekomy duch zwany Peterem Quickiem?" – "Tak. Powiedziała, że to tylko Peter, i że widziałam go już wcześniej podczas seansu. Przyszedł, aby mi pomóc".

"Czy to sprawiło, że lęk panią opuścił?" – "Nie, wręcz przeciwnie. Przymknęłam oczy. Spójrz, Madeleine, on tu jest, powiedziała panna Dawes. Usłyszałam ruch świadczący o czyjejs obecności, ale nie otworzyłam oczu, za bardzo się bałam".

"Jest pani pewna, że prócz was był tam ktoś jeszcze?" – "Tak mi się wydaje".

"Co się potem stało?" – "Nie jestem pewna. Ze strachu zaczęłam płakać. Wtedy Peter Quick zapytał, dlaczego płaczę".

"Czy to na pewno nie był głos panny Dawes?" – "Tak mi się wydaje".

"Czy w którymś momencie panna Dawes i ta osoba mówiły jednocześnie?" – "Trudno powiedzieć. Przepraszam pana".

"Niech pani nie przeprasza, panno Silvester, jest pani bardzo dzielna. Proszę nam powiedzieć, co się potem wydarzyło. Pamięta pani?" – "Pamiętam, że ktoś położył na mnie bardzo zimną i szorstką rękę". [Świadek płacze.]

"Świetnie, panno Silvester, doskonale pani sobie radzi. Jeszcze tylko kilka pytań. Czy zdoła pani na nie odpowiedzieć?" – "Spróbuję".

"Dobrze. Ktoś położył na pani rękę. W którym miejscu?" – "Na przedramieniu, proszę pana. Tuż nad łokciem".

"Panna Dawes twierdzi, że w tym momencie zaczęła pani krzyczeć. Pamięta to pani?" – "Nie, proszę pana".

"Według panny Dawes dostała pani ataku. Próbowала panią uspokoić, w związku z czym musiała mocno panią przytrzymać. Czy to pani pamięta?" – "Nie, proszę pana".

"Co pani w ogóle pamięta z tamtej sytuacji?" – "Nic. Wiem tylko, że w końcu pani Brink otworzyła drzwi".

"Przyszła pani Brink. Skąd pani wiedziała, że to ona? Zdążyła już pani otworzyć oczy?" – "Nie, ponieważ nadal okropnie się bałam. Wiedziałam jednak, że to pani Brink, ponieważ słyszałam jej wołanie zza drzwi. Potem drzwi stanęły otworem i głos pani Brink zabrzmiał tuż obok mnie".

"Pani pokojówka zeznała, że słyszała pani krzyki. Podobno zawołała pani: Pani Brink, och, pani Brink, oni chcą mnie zamordować! Pamięta to pani?" – "Nie, proszę pana".

"Czy jest pani pewna, że nie pamięta tych słów?" – "Nie jestem pewna, proszę pana".

"Z jakiego powodu mogłaby je pani wypowiedzieć?" – "Nie wiem. Wiem tylko, że śmiertelnie bałam się Petera Quicka".

"Czy dlatego, że chciał panią skrzywdzić?" – "Nie, proszę pana. Dlatego, że był duchem".

"Rozumiem. Co się wydarzyło, kiedy pani Brink otworzyła drzwi? Co powiedziała?" – "«Och, panno Dawes», powiedziała, a potem znowu: "«Och!» Następnie usłyszałam, jak woła swoją matkę. Jej głos brzmiał bardzo dziwnie".

"Co znaczy: dziwnie?" – "Był bardzo wysoki i piskliwy. Potem usłyszałam, jak upadła".

"I co dalej?" – "Chyba przybiegła pokojówka panny Dawes i panna Dawes kazała jej pomóc podnieść panią Brink".

"Czy miała pani wówczas otwarte oczy?" – "Tak".

"Czy w pokoju dostrzegła pani ślady obecności ducha?" – "Nie".

"Czy zauważyła pani coś, czego nie było, zanim pani zamknęła oczy? Na przykład jakieś fragmenty garderoby?" – "Raczej nie".

"Co się potem stało?" – "Usiłowałam włożyć suknię, po chwili przybiegła Lupin, moja pokojówka. Na mój widok zalała się łzami, co i mnie znów doprowadziło do płaczu. Panna Dawes kazała nam się uciszyć i pomóc jej przy pani Brink".

"Pani Brink upadła na podłogę?" – "Tak. Panna Dawes i jej pokojówka próbowały ją podnieść".

"Czy zrobiła pani to, o co ją poproszono?" – "Nie, proszę pana, Lupin mi nie pozwoliła. Zaprowadziła mnie na dół do salonu i przyniosła wodę. Dalej nie pamiętam nic aż do przyjazdu matki".

"Pamięta pani, co powiedziała na jej widok?" – "Nie, proszę pana".

"Nie pamięta pani żadnych ostrych słów pod adresem matki? Czy nie nakłoniła pani do tego panna Dawes?" – "Nie pamiętam, proszę pana".

"Czy widziała pani pannę Dawes przed odjazdem?" – "Widziałam, jak rozmawiała z matką".

"Jak wyglądała?" – "Płakała".

Wezwano kolejnych świadków – służących, policjanta zawołanego przez panią Silvester, lekarza pani Brink, przyjaciół domu – ale gazeta nie zamieściła ich zeznań, poprzestając na zeznaniu samej Seliny. Przed przystąpieniem do lektury zawahałam się, wyobrażając sobie, jak prowadzą ją przez ponury gmach sądu. Musiała mieć piękne, bujne włosy, jaśniejące na tle czarnych surdutów. Jej twarz zapewne powlekała chorobliwa bladość. Według gazety, "trzymała się bardzo dzielnie". Podobno na rozprawie zjawilo się mnóstwo ludzi, a Selina

mówiła cichym, niekiedy drżącym głosem.

Najpierw została przesłuchana przez swojego obrońcę, Cedrica Williamsa, a potem przez oskarżyciela, pana Locke'a – czyli pana Halforda Locke'a, który kiedyś był na obiedzie na Cheyne Walk, i którego tak bardzo ceni mój brat.

Pan Locke: "Panno Dawes, mieszkała pani w domu pani Brink przez niespełna rok. Czy to prawda?" – "Tak".

"Na jakich warunkach pani tam przebywała?" – "Byłam gościem pani Brink".

"Nie płaciła jej pani za lokum?" – "Nie".

"Gdzie mieszkała pani przedtem?" – "W hotelu w Holborn, przy Lamb's Conduit Street".

"Jak długo zamierzała pani gościć u pani Brink?" – "Nie zastanawiałam się nad tym".

"W ogóle nie myślała pani o przyszłości?" – "Wiedziałam, że duchy wskażą mi odpowiedni kierunek".

"Rozumiem. Czy to ich interwencja doprowadziła panią do pani Brink?" – "Tak. Pani Brink przyjechała do wspomnianego hotelu w Holborn i poprosiła mnie, bym przeniosła się do jej domu".

"Czy odbywałyście wspólnie seanse?" – "Tak".

"Czy nadal organizowała pani płatne seanse w domu pani Brink?" – "Początkowo nie. Uczyniłam to dopiero później, pod wpływem interwencji z zaświatów. Ale uczestnicy nigdy nie byli zobligowani do zostawiania mi pieniędzy".

"Mimo to goście mieli w zwyczaju płacić za pani usługi?" – "Tak, jeśli sobie tego życzyli".

"Na czym polegały pani usługi świadczone tym ludziom?" – "Porozumiewałam się z duchami w ich imieniu".

"W jaki sposób? Czy w tym celu wprowadzała się pani w trans?" – "Zazwyczaj".

"Co się wówczas działo?" – "Cóż, w tym wypadku muszę polegać na relacjach uczestników seansu. Zwykle jednak duch przemawiał za moim pośrednictwem".

"Często ukazywał się ów... duch?" – "Tak".

"Czy to prawda, że znakomitą większość pani klientów... przepraszam, uczestników seansu, stanowiły kobiety i dziewczęta?" – "Odwiedzali mnie zarówno mężczyźni, jak i kobiety".

"Czy przyjmowała pani pojedynczych mężczyzn?" – "Nie, nigdy. Mężczyźni uczestniczyli jedynie w zbiorowych seansach, w których brały udział również panie".

"Ale robiła pani indywidualne spotkania dla dam na prywatne konsultacje ze zmarłymi i udzielała im duchowego przewodnictwa?" – "Tak".

"Czy to oznaczało, że wywierała pani na nie swój wpływ?" – "Cóż, w tym celu do mnie przychodziły".

"Proszę określić naturę owego wpływu, panno Dawes". – "Nie rozumiem".

"Czy miał on zdrowy czy niezdrowy charakter?" – "Zdrowy i na wskroś duchowy".

"Niektóre damy uważały go za zbawienny w leczeniu pewnych schorzeń. Należała do nich również panna Silvester". – "Tak. Przychodziło do mnie wiele kobiet z podobnymi symptomami".

"Takimi jak...?" – "Osłabienie, nadpobudliwość nerwowa i bóle".

"Na czym polegał charakter kuracji? [Świadek się waha.] Czy była homeopatyczna? Mesmeryczna? Galwaniczna?" – "Raczej duchowa. Niejednokrotnie stwierdzałam, że objawy, jakie zaobserwowałam między innymi u panny Silvester, świadczyły o wrażliwości duchowej, zdolności jasnowidzenia, która wymagała jednak pracy nad sobą".

"I pani miała jej w tym pomóc?" – "Tak".

"Na czym polegała pani rola? Na dotykaniu owych dam? Masowaniu ich?" – "Kładłam na nich ręce".

"Czyli robiła pani to, co mówiłem?" – "Tak".

"Czy damy musiały się w tym celu rozbierać?" – "Czasami. Suknie są nieporęczne. Lekarz poprosiłby o to samo".

"Ale sam chyba by się przy tym nie rozebrał". [Śmiech.] – "Medycyna duchowa i konwencjonalna rządzą się odmiennymi prawami".

"Miło mi to słyszeć. Proszę powiedzieć, panno Dawes: czy wiele spośród dam, które przychodziły do pani na owe pieścizoty duchowe, było osobami majątnymi?" – "Niektóre tak".

"Zakładam, że wszystkie, prawda? Nie wpuściłaby pani pod dach pani Brink osoby, która byłaby mniej niż damą?" – "Cóż. Istotnie, nie zrobiłabym tego".

"I naturalnie wiedziała pani, że Madeleine Silvester to bardzo zamożna dziewczyna. To dlatego tak pani zależało na zażyłości między wami?" – "Nie, bynajmniej. Było mi jej żal, chciałam pomóc".

"Pomagała pani wielu damom, prawda?" – "Owszem".

"Czy poda nam pani ich nazwiska?" [Świadek się waha.] – "Tak nie można. To ich prywatna sprawa".

"Ma pani rację, panno Dawes. To bardzo prywatna sprawa. Zaiste tak prywatna, że mój znakomity kolega Williams nie znalazł ani jednej damy skorej do zeznawania przed sądem na pani korzyść. Czy to nie dziwne?" [Świadek milczy.]

"Jak duży jest dom pani Brink w Sydenham, panno Dawes? Ile ma pokoi?" – "Okolo dziewięciu lub dziesięciu".

"O ile wiem, trzynaście. Ile pokoi zajmowała pani w Holborn?" – "Jeden, proszę pana".

"Jakie stosunki łączyły panią z panią Brink?" – "Co pan ma na myśli?".

"Profesjonalne? Uczuciowe?" – "Uczuciowe. Pani Brink była bezdzietną wdową. Ja jestem sierotą. Darzyliśmy się sympatią".

"Zapewne traktowała panią jak przybraną córkę?" – "Być może".

"Czy wiedziała pani, że jej patronka ma słabe serce?" – "Nie".

"Nigdy o tym z panią nie rozmawiała?" – "Nie".

"Czy kiedykolwiek wspominała o testamencie?" – "Nie, nigdy".

"Mniemam, że spędzałyście wiele godzin razem?" – "Można tak powiedzieć".

"Jej pokojówka Jennifer Wilson zeznała, że co wieczór spędzała pani co najmniej godzinę w pokoju pani Brink". – "W jej imieniu prowadziłam wówczas konsultacje z duchami".

"Co wieczór spędzałyście godzinę na konsultacjach z duchami?" – "Tak".

"Może z jednym duchem?" – [Świadek się waha.] "Tak".

"Jakich kwestii dotyczyły owe konsultacje?" – "Nie mogę powiedzieć. To była prywatna sprawa pani Brink".

"Czy duch nie wspominał o słabym sercu lub testamencie?" [Śmiech.] – "Nie".

"Co pani miała na myśli, mówiąc pani Silvester, że Madeleine Silvester jest niemądra i przez nią straciła pani wszystko?" – "Nie przypominam sobie, abym coś takiego powiedziała".

"Sugeruje pani, iż pani Silvester skłamała przed sądem?" – "Nie, po prostu nie pamiętam, że coś takiego mówiłam. Targały mną obawy o stan pani Brink. Nie powinien pan z tego żartować".

"Bała się pani, że pani Brink umrze?" – "Oczywiście".

"Dlaczego umarła?" – "Miała słabe serce".

"Przecież panna Silvester zeznała, że jeszcze dwie, trzy godziny przed śmiercią pani Brink wydawała się zupełnie zdrowa i spokojna. Wygląda na to, że zaniemogła, dopiero otworzywszy drzwi pani pokoju. Co ją tak przeraziło?" – "Zobaczyła pannę Silvester leżącą na podłodze i nagabywaną przez ducha".

"Nie zobaczyła pani, przebranej za ducha?" – "Nie. Zobaczyła Petera Quicka i ten widok wyprowadził ją z równowagi".

"Pana Quicka, powiada pani. Czy to tenże sam pan Quick, którego «materializowała»

pani podczas seansów?" – "Tak".

"Którego «materializowała» pani w poniedziałek, środę i piątek oraz w inne dni podczas prywatnych posiedzeń z damami w ciągu półrocznego pobytu w Sydenham?" – "Tak".

"Czy «zmaterializuje» pani dla nas pana Quicka, panno Dawes?" – [Świadek się waha.]
"Nie mam tu koniecznych instrumentów".

"Co takiego byłoby pani potrzebne?" – "Zasłona. Należałoby również zgasić światła. Nie, to niemożliwe".

"Niemożliwe?" – "Nie".

"Pan Quick jest zdumiewająco nieśmiały. A może boi się, że siądzie na ławie oskarżonych zamiast pani?" – "Nie może pojawić się w miejscu o tak silnej atmosferze nieufności i sceptycyzmu. Żaden duch nie zdołałby tego dokonać".

"Wielka szkoda, panno Dawes. Wobec braku jego świadectwa stawiane pani zarzuty są bowiem niepodważalne. Matka powierza pani pieczy wrażliwe dziewczę, które zostaje wyprowadzone z równowagi i potraktowane tak haniebnie, iż widok was obu okazuje się ponad siły pani czcigodnej patronki". – "Wszystko pan przekręca. Panna Silvester po prostu przełękała się Petera Quicka. Sama panu o tym mówiła!".

"Przedstawiła nam wersję, którą pani jej podsunęła. Zaiste musiała być przerażona, skoro krzyczała, że chce ją pani zamordować! Niewygodna sytuacja, prawda? Mniemam, że przedsięwzięłyby pani wszelkie środki, by ją uciszyć i uniemożliwić wezwanie pani Brink, ponieważ wówczas ta dama ujrzałaby panią w przebraniu ducha, za pomocą którego mydliła jej pani oczy od miesięcy. Ale ona i tak przyszła. I cóż ujrzała, nieszczęsna! Ów widok złamał jej serce, do tego stopnia, że w rozpaczy wezwała własną zmarłą matkę! Potem przypomniała sobie zapewne, jak ów Peter Quick nawiedzał ją każdego wieczoru, sączył w ucho pochlebstwa, nazywał panią jej przybraną córką, nakłaniał do dawania prezentów i pieniędzy". – "Nie! To nieprawda! Nigdy nie wzywałam przy niej Petera. A prezenty dawałam mi z własnej woli, bo mnie kochała".

"Potem zapewne pomyślała o damach, które składały pani wizyty. O tym, jak wkradała się pani w ich łaski, wychwalała pod niebiosa i budziła, używając określenia pani Silvester, niezdrową ekscytację. Jak wyłudzała pani od nich podarunki i pieniądze". – "Nie, nie, to nieprawda!"

"Śmiem twierdzić, że wręcz przeciwnie. Jak inaczej wytłumaczy pani zainteresowanie dziewczyną pokroju Madeleine Silvester, o tyle od pani młodszą i wyżej postawioną, dziewczyną o dużej fortunie i niepewnym zdrowiu, kruchą i bezbronną? Jakiż miała pani interes w owej przyjaźni, jeśli nie majątkowy?" – "Kierowały mną najczystsze i

najwzniejsze pobudki: pragnienie rozwinięcia jej ukrytych talentów".

"I nic poza tym?" – "Nie! Cóż jeszcze mogłoby być?".

W tym momencie z galerii dobiegają okrzyki i gwizdy. Selina mówiła prawdę: gazeta najpierw uczyniła z niej bohaterkę, potem wszakże, w miarę przebiegu rozprawy, ten entuzjazm stopniowo ostygł. "Dlaczego żadna z dam nie zdecydowała się potwierdzić skuteczności metod panny Dawes?", zapytuje dziennikarz z niejakim oburzeniem, by następnie powtórzyć owo pytanie w zgoła odmiennym tonie. Dalej następują zeznania pana Vincy'ego, właściciela hotelu w Holborn, gdzie początkowo mieszkała Selina. "Zawsze uważałem pannę Dawes za wielką spryciarke". Nazywa ją "przebiegłą", "intrygantką" oraz osobą "skorą do napadów złego humoru".

Gazeta zamieszcza też rysunek przedrukowany z "Puncha". Przedstawia on ostrolice medium zrywające sznur pereł z szyi wylęknionej młodej damy. "Czy perły też muszą zdjąć?", pyta nieśmiało dziewczę. Rysunek nosi tytuł "Wpływy nie-magnetyczne". Powstał zapewne, gdy Selina z pobladłą twarzą słuchała wyroku albo gdy prowadzono ją w kajdankach do furgonu więziennego tudzież gdy siedziała, drżąc, na krześle podczas więziennych postrzyżyn dokonywanych przez pannę Ridley.

Nie mogłam patrzeć na rysunek. Uniosłam wzrok, po czym natychmiast podchwyciłam spojrzenie kobiety siedzącej na przeciwległym krańcu stołu.

Podczas gdy ja sporządzałam notatki, ona niezmordowanie tkwiła nad książką. Spędziłyśmy obok siebie dwie i pół godziny, a ja ani razu o niej nie pomyślałam. Widząc, że unoszę głowę, uśmiechnęła się skwapliwie. Powiedziała, że w życiu nie spotkała równie gorliwej czytelniczki. W tym pomieszczeniu musi panować szczególna aura, która wywołuje wzmógłony zapał do zdobywania wiedzy.

– Czyta pani o biednej pannie Dawes – dorzuciła, wskazując na leżący przede mną tom. – Cóż za niezwykła historia! Pragnie pani wstawić się za nią? Często uczestniczyłam w jej seansach.

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem, mało nie wybuchając śmiechem. Pewnie gdybym wyszła teraz na ulicę i rzuciła hasło: "Selina Dawes", każdy miałby mi do przekazania jakiś frapujący szczegół biografii, która doprowadziła ją za bramę Millbank.

O tak, wyjaśniła kobieta na widok mojej miny. Tak, uczestniczyła w seansach w Sydenham. Często widywała pannę Dawes w transie, widziała Petera Quicka, ba, czuła na ręku jego uścisk, a kiedyś nawet musnął ustami jej palce!

– Panna Dawes była niezwykłą dziewczyną – ciągnęła. – Budziła bezbrzeżny podziw każdego, kto na nią patrzył. Pani Brink wprowadzała ją między nas, ubraną w prostą suknię,

ze złotymi włosami luźno opadającymi na plecy. Siadała i modliliśmy się przez chwilę; nim modlitwy dobiegały końca, ona zapadała w trans. Czyniła to tak niepostrzeżenie, że orientowaliśmy się dopiero, kiedy zaczynała mówić, jako że naturalnie nie mówiła wtedy swoim głosem, tylko ducha...

Dodała, że ustami Seliny przemówiła do niej własna babka. Kazała jej porzucić smutek i przekonywała o swojej miłości.

Spytałam, czy każdy z obecnych otrzymywał jakąś wiadomość.

– Panna Dawes mówiła dopóty, dopóki głosem starczało sił albo nie robiły się zbyt donośne. Czasami duchy tłoczyły się wokół niej, co ogromnie ją męczyło. Nie wszystkie bywają łaskawe! Wtedy zjawiał się Peter Quick i przeganiał je, choć bywało, że sam zachowywał się niewiele lepiej. Panna Dawes mówiła, że musimy prędko zaprowadzić ją za kurtynę, że idzie Peter, który wyssie z niej życie, jeśli natychmiast tego nie uczynimy!

Gdy spytałam o ową tajemniczą "kurtynę", kobieta wykrzyknęła ze zdziwieniem, że przecież każde medium posiada tego rodzaju ustronie. Duchy nie ukazują się w pełnym świetle, gdyż to im szkodzi. Widywała szafy wykonywane na zamówienie specjalnie w tym celu, drewniane i zamykane na klucz, ale Selina miała jedynie dwie ciężkie draperie zasłaniające wnękę w ścianie. Siadywała za nimi w mroku, czekając na nadejście Petera Quicka.

– Jak wyglądało jego przybycie? – spytałam. Wiedzieli, że nadchodzi, gdyż Selina zawsze wówczas krzyczała.

– To bardzo nieprzyjemne, albowiem przekazywała mu własną materię duchową, co sprawiało jej ogromny ból, on zaś w swej zapalczowości obchodził się z nią bardzo brutalnie. Zawsze był bardzo nieokrzesany, nawet przed śmiercią biednej pani Brink... Przychodził, Selina krzyczała, po czym stawał przed zasłoną, zrazu nie większy niżli kula eteru. Następnie kula rosła, wydłużając się i wirując, aż osiągała wysokość samej kotary, stopniowo przybierała kształty mężczyzny i stawała się mężczyzną z bokobrodami, ruchliwym i zażywnym.

– Był to najdziwniejszy widok, jaki można sobie wyobrazić – ciągnęła. – I powiem pani, że widywałam go wielokrotnie. Niezmiennie rozpoczynał od wykładu o spirytyzmie. Opowiadał, że nadciąga nowa era, kiedy ludzie uznają jego zasadność, a duchy zaludnią ulice miasta w blasku dnia. Tak właśnie mówił. Był jednak nieobliczalny. Zaczynał rozprawiać na jakiś temat, po czym prędko się tym nużył i rozglądał się po pokoju oświetlonym słabym, fosforyzującym światłem, odpowiednim dla ducha. Widzieliśmy, jak toczy wzrokiem dokoła. Wie pani, czego szukał? Najładniejszej damy! Kiedy ją znalazł, podchodził blisko i pytał, czy

nie wybrałaby się z nim na spacer londyńską ulicą. Następnie kazał jej wstać i obchodzili razem pokój, wreszcie ją całował. Podobno zawsze był skory do całowania, obsypywania podarunkami i żartów. Za dżentelmenami nie przepadał. Bywało, że którego uszczypnął albo pociągnął za brodę. Kiedyś zdzielił jednego w nos, aż poleciała krew. – Roześmiała się i zarumieniła.

Peter Quick krążył wśród nich przez około pół godziny, potem wszakże tracił siły. Wracał za zasłonę i tak jak przedtem rósł, tak teraz zaczynał się kurczyć. Wreszcie zostawała po nim na podłodze tylko plama lśniącej substancji, która jednak po chwili też bladła i znikała bez śladu.

– Wtedy ponownie rozlegał się krzyk panny Dawes – zakończyła. – Następnie zapadała cisza. Wreszcie stukaniem dawano nam znać, żebyśmy odsunęli kotarę i rozwiązali pannę Dawes...

Rozwiązali? Kobieta ponownie spurpurowiała.

– Panna Dawes sobie tego życzyła – wyjaśniła. – Nigdy nie oponowalibyśmy, gdyby zwyczajnie usiadła na krzesło, może tylko przywiązana doń zwykłą wstążką. Ale pragnęła przekonać wszystkich: ufnych i niedowiarków, w związku z czym kazała się wiązać na początku każdego seansu. Proszę zwrócić uwagę, że nigdy nie czynił tego mężczyzna: zawsze była przeszukiwana, a następnie krępowana przez damę...

Nadgarstki i kostki Seliny przywiązywano do krzesła, a końce sznurka pieczętowano woskiem; niekiedy unieruchamiano jej ręce z tyłu lub przyszywano rękawy do sukni. Oczy zasłanianio jedwabną opaską, drugą kneblowano usta, czasem też przewlekano nitkę przez dziurkę w uchu i mocowano do podłogi przed kurtyną. Zwykle jednak kazała sobie zakładać "aksamitną obróżkę", do której przyczepiano sznurek i drugi jego koniec wręczano jednej z uczestniczek seansu.

– Wraz z nadejściem Petera następowało lekkie pociągnięcie za sznurek, lecz po skończonym seansie wszystkie mocowania były nietknięte, podobnie jak wosk. Kładliśmy pannę Dawes na sofie i poiliśmy winem, a pani Brink rozcierała jej ręce. Czasem urządzała jeszcze indywidualne spotkania dla dziewcząt, ale ja zawsze wracałam do domu. Wychodziłam z założenia, że dość już ją zmęczyliśmy.

Wypowiedzi kobiety towarzyszyły liczne gesty, za pomocą których demonstrowała ułożenie więzów, pozycję Seliny oraz sposób, w jaki pani Brink rozcierała jej ręce. Koniec końców musiałam odwrócić oczy, gdyż jej słowa i ruchy zrobiły na mnie niemiłe wrażenie. Pomyślałam o medalionie, Stephenie, pani Wallace oraz swej wizycie w czytelnicy – rzecz jasna przypadkowej – tak samo jak zrządzenie losu, które doprowadziło mnie do Seliny...

Bezpownotnie straciłam ochotę do śmiechu. Czułam się dziwnie. Usłyszałam, jak kobieta wstaje i wkłada płaszcz, a mimo to nie obdarzyłam jej ani jednym spojrzeniem. Odłożyła książkę na półkę, stając tym samym blisko mnie. Odwróciwszy się, spojrzała na leżący przede mną tom i potrzęsła głową.

– To miała być panna Dawes! – prychnęła, wskazując na karykaturę ostroliciego medium – ale ktokolwiek ją widział, nie mógłby jej tak narysować. Czy pani ją znała? Ma iście anielską twarz. – Nachyliła się i przerzuciła kartki. Znalazła kolejną ilustrację, a dokładnie dwie, opublikowane miesiąc przed aresztowaniem Seliny. – Proszę zobaczyć – powiedziała. Obserwowała mnie przez chwilę, a następnie wyszła.

Portrety umieszczono obok siebie na jednej stronie. Pierwszy był ryciną sporządzoną na podstawie fotografii. Pochodził z czerwca 1872 roku i przedstawiał Selinę w wieku siedemnastu lat, dość okrągłą, o ciemnych, regularnych brwiach. Jest w sukni ze stójką, chyba z tafty, nosi naszyjnik oraz bogato zdobione kolczyki. Włosy ma w pewnym nieładzie; nazwałabym to niedzielną fryzurą sklepikarki, widać jednak, że są jasne, bujne i bardzo ładne. Wcale nie przypomina postaci z obrazu Crivellego. Tak jakby w czasach przed Millbank smutek nigdy nie gościł na jej twarzy.

Drugi portret w innych okolicznościach mogłabym uznać za zabawny. Był to szkic artysty z kręgów spirytystycznych, przedstawiający Petera Quicka podczas seansu u pani Brink. Jego ramiona spowija biała draperia, na głowie ma czapkę, również białą. Na tle bladych policzków ciemniej krzaczaste bokobrody; ciemne są też jego oczy, rzęsy i brwi. Ma twarz zwróconą w stronę portretu Seliny, tak jakby pragnął ściągnąć na siebie jej wzrok.

Takie przynajmniej odniosłam wrażenie owego popołudnia, siedziałam bowiem jeszcze długo po wyjściu tamtej, wpatrując się w ilustracje dopóty, dopóki litery nie zaczęły mi się zlewać, a twarze sportretowanych nie zadrgały, przecięte mimowolnym grymasem. W pewnej chwili przypomniałam sobie gąbłotę oraz złoty odlew ręki Petera Quicka i przysła mi do głowy osobliwa myśl. A, jeśli i ona się poruszy? Wyobraziłam sobie, jak dłoń unosi się z półki i przykleja do szyby, po czym zgięty palec przywołuje mnie do siebie!

Nie odwróciłam się w stronę gąbłoty, ale spędziłam w czytelni jeszcze chwilę, wpatrując się w ciemne oczy Petera Quicka. Wydawały mi się – jakie to dziwne! – wydawały mi się znajome, tak jakbym już je widziała, na przykład w snach.

9 grudnia 1872

Pani Brink mówi, że w żadnym wypadku nie wolno mi wstawać przed dziesiątą. Jej zdaniem musimy dokładać wszelkich starań, aby oszczędzać moje siły i je wzmacniać. Oddała mi swoją pokojówkę Ruth, a dla siebie przyjęła nową dziewczynę, Jenny. Przedkłada moją wygodę ponad swoją własną. Ruth przynosi mi śniadanie i dba o moją odzież, a gdy upadnie mi serwetka, zaraz spieszy, by ją podnieść. Na moje podziękowanie uśmiecha się, zapewniając, że wcale nie muszę jej dziękować. Jest starsza ode mnie. Pani Brink zatrudniła ją przed sześciu laty, po śmierci męża. Dzisiaj rano zapytałam ją, czy od tamtej pory pani Brink gościła u siebie wiele mediów. "Ani chybi z tysiąc, panienko! – zawołała. – Byle tylko przywołać tego jednego, biednego ducha. Wszyscy jednak okazywali się oszustami. Szybko wychodziło szydło z worka. Wolalabym po stokroć złamać własne serce niż pozwolić, by mojej pani spadł z głowy choćby jeden włos". Powiedziała to, zapinając mi suknię i spoglądając na mnie w lustrze. Wszystkie nowe suknie mają zapięcia z tyłu, toteż Ruth musi mi pomagać przy ubieraniu.

Po śniadaniu schodzę zazwyczaj do pani Brink i spędzam u niej godzinę. Czasem zabiera mnie na zakupy albo idziemy do ogrodów przy Cristal Palace. Czasami urządzamy seanse dla znajomych pani Brink. Nie mogą wyjść ze zdziwienia, że jestem taka młoda. "Jest pani młodsza od mojej córki" – mówią. Lecz po skończonym seansie biorą mnie za rękę i kręcą głowami. Pani Brink naopowiadała wszystkim, że z nią mieszkam i jaka to ze mnie szczególna osoba, ale pewnie mówiła tak o wszystkich, którzy gościli tu przede mną. "Czy jest przy mnie jakiś duch, panno Dawes? – pytają ludzie. – Proszę spytać, czy ma dla mnie jakąś wiadomość". Mam to w małym palcu, pięć lat praktyki robi swoje. Wszyscy jednak patrzą, jak siedzę w ładnej sukni w eleganckim salonie pani Brink i nie mogą się nadziwić. "O, Margery, co za talent! – szepczą do ucha pani Brink. – Przyprowadzisz ją do mojego domu? Zgodzisz się na seans dla moich przyjaciół?".

Ale pani Brink nie chce, abym trwonila swój dar na podobne błahostki. Przekonuję, że muszę nieść pomoc również innym ludziom, albowiem temu właśnie służy mój talent, na co niezmiennie odpowiada, że tak, oczywiście, w swoim czasie, teraz jednak pragnie zachować mnie tylko dla siebie. Czy pozwolę jej na to jeszcze trochę? I tak jej znajomi przychodzą zawsze po południu, nigdy wieczorem. Wieczory należą do nas. Czasem tylko Ruth przynosi wino i herbatniki, kiedy tracę siły.

28 października 1874

Millbank. Od mojej ostatniej wizyty upłynął zaledwie tydzień, lecz w całym więzieniu dokonało się przeobrazenie, jakby pod wpływem zmiany pór roku. Więzienie jest jeszcze ciemniejsze i bardziej ponure niż zwykle. Wieże wydają się wyższe i szersze, okna zaś mniejsze. Zmienił się nawet zapach: otoczenie nasiąkło wonią mgły, dymu oraz turzycy, natomiast wewnątrz, oprócz zwykłego fetoru ekskrementów oraz niemytych ciał i włosów, czuć również gaz, rdzę oraz niezaprzeczalny odór choroby. Na korytarzach ustawiono wielkie, czarne grzejniki, których żar potęguje duchotę i nie pozwala oddychać. W celach jednak nadal panuje przenikliwy chłód; wapno na pokrytych wilgocią ścianach puchnie, znacząc suknie kobiet białymi zaciekami. Dokoła niesie się echo kaszlu, a gdziekolwiek spojrzeć, widać zacięte, posmutniałe twarze i drżące sylwetki.

W budynku zapanowała ciemność, jakiej dotąd nie było mi dane oglądać. O czwartej zapalają lampy; z wąskimi oknami czerniejącymi na tle nieba, zapiaszczonymi korytarzami upstrzonymi plamami gazowego światła oraz mrocznymi celami, w których kobiety kulą się nad robotą niczym gobliny, więzienie ukazuje swe jeszcze potworniejsze i bardziej zmurszałe oblicze. Nawet strażniczki wydają się odmienione. Ciszej przemierzają korytarze, z dłońmi i twarzami zazółconymi od blasku lamp, a ich mantyle ciemnieją na tle sukien jak smugi cienia.

Dzisiaj zaprowadzono mnie do sali widzeń, gdzie więźniarki przyjmują rodzinę i przyjaciół. Jest to chyba najbardziej ponure miejsce w całym Millbank. Nosi nazwę sali, ale przypomina raczej oborę z rzędem wąskich boksów lub nisz po obu stronach długiego przejścia. Na odwiedziny strażniczka eskortuje kobietę do jednego z boksów, po czym stawia nad jej głową klepsydrę, w której sól odmierza wyznaczony czas. Na wysokości twarzy kobiety znajduje się zakratowany otwór, po drugiej stronie przejścia zaś kolejny, tym razem z siatką. Tam stają odwiedzający. Mają do dyspozycji własną klepsydrę, zsynchronizowaną z pierwszą.

Przeście między boksami liczy sobie około siedmiu stóp szerokości; strażniczka przemierza je nieustannie, bacząc, by nic nie zostało przerzucone na drugą stronę. Aby się nawzajem słyszeć, więźniarka i jej gość są zmuszeni nieco podnosić głos, przez co w pomieszczeniu panuje czasem zgiełk nie do opisania. Obie strony powinny też liczyć się z tym, że zostaną podsłuchane. Po upływie piętnastu minut wizyta dobiega końca i kobieta

wraca do celi.

Każdej więźniarce przysługuje prawo do czterech tego rodzaju wizyt rocznie.

– Czy nie mogą podejść bliżej? – spytałam dzisiaj strażniczkę, z którą spacerowałam wzdłuż przejścia. – Czy kobieta nie ma prawa uściskać męża ani pogłaskać dziecka?

Strażniczka, tym razem nie panna Ridley, lecz młodsza, jasnowłosa panna Godfrey, potrząsnęła głową.

– Takie są przepisy – oświadczyła. Ileż razy słyszałam to zdanie?

– Takie są przepisy. Wiem, że wydają się pani bardzo surowe, panno Prior. Kiedy jednak pozwalamy na bliższy kontakt, do więzienia przedostają się najróżniejsze przedmioty. Klucze, tytoń... Ci ludzie uczą dzieci, jak pod pretekstem pocałunku podać ustami scyzoryk.

Po drodze spoglądałam na więźniarki wpatrzone w bliskich siedzących po drugiej stronie przejścia. Bynajmniej nie sprawiały wrażenia, jakby uścisk miał im służyć jedynie do przekazania noża lub klucza. Na ich twarzach malował się wyraz rozpacz, jakiej nie widziałam nigdy dotąd. Jedna z nich, ta z blizną na policzku równą niczym ślad po brzytwie, przycisnęła głowę do krat, żeby lepiej słyszeć męża, który pytał, jak się czuje.

– Dobrze o tyle, o ile mi pozwalają, John, czyli nie najlepiej... – odpowiedziała.

Inna, Laura Sykes z sektora pani Jelf, bezustannie nagabująca strażniczki o wstawiennictwo u panny Haxby, próbowała rozmawiać z matką, wynędzniałą kobieciną, która wzdragała się przed dotykiem siatki i szlochała.

– Daj spokój, matko, to nic – tłumaczyła Sykes. – Mów, czegoś się dowiedziała. Rozmawiałaś z panem Crossem? – Kiedy jednak starowina usłyszała głos córki i zobaczyła przechodzącą strażniczkę, zadygotała jeszcze bardziej. Więźniarka wydała z siebie bezsilny okrzyk. Upłynęła już połowa wyznaczonego czasu, a matka tylko siedzi i płacze!

– Następnym razem przyślij Patricka. Dlaczego nie przyszedł? Po co masz tu przychodzić i płakać...

Panna Godfrey podążyła za moim wzrokiem i pokiwała głową.

– To dla nich bardzo trudne – przyznała. – Niektóre nie mogą tego wytrzymać. Wyczekują odwiedzin, niecierpliwie liczą upływające dni, a potem okazuje się, że to dla nich zbyt wielkie obciążenie. I mówią bliskim, żeby w ogóle nie przychodzili.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Zapytałam, czy są kobiety, których nikt nie odwiedza. Skinęła głową.

– Kilka. Pewnie nie mają żadnych przyjaciół ani rodziny. Nie wiem, co poczną, kiedy stąd wyjdą. Collins, Barnes, Jennings. I... – Z wysiłkiem obróciła klucz w zamku. – ...Dawes, z sektora E.

Czułam, że wymieni to nazwisko.

Nie zadawałam więcej pytań. Zaprowadziła mnie do pani Jelf. Swoim zwyczajem zajrzałam do kilku cel, stropiona tym, co dane mi było przed chwilą oglądać. Kim bowiem dla nich jestem, że mogę je nachodzić, kiedy mi się podoba, i wyciągać na zwierzenia?

Naturalnie nie mogłam przy tym zapomnieć, że mają do wyboru rozmowę ze mną albo milczenie i koniec końców pojęłam, że przyjmują moje wizyty z wdzięcznością. Wiele z nich nie czuło się najlepiej. Być może z tego powodu – a po części dlatego, że mimo grubych murów wyczuwały subtelne zmiany aury – rozmowa koncentrowała się na czasie oraz wytęsknionym dniu końca wyroku. "Zostało dokładnie siedemnaście miesięcy, psze pani!" albo: "Rok i tydzień, panno Prior!" i: "Trzy miesiące. I co pani powie?".

Ostatnie słowa pochodziły z ust Ellen Power, skazanej – jak utrzymywała – za umożliwianie młodym schadzek w swoim saloniku. Odkąd nastaly chłody, myślałam o niej nieraz. Była słaba i rozdygotana, ale nie tak chora, jak się obawiałam. Pani Jelf zamknęła nas w celi i rozmawialiśmy przez pół godziny. Wreszcie ujęłam jej dłoń, mówiąc, iż cieszy mnie tak krzepki i silny uścisk.

Zrobiła przebiegłą minę.

– Tylko proszę nic nie mówić pannie Haxby lub pannie Ridley – powiedziała. – Niech mi pani wybaczy, że o to proszę; wiem, że i tak nie pisnęłaby pani ani słóweczka. Ale prawda jest taka, że to wszystko dzięki pani Jelf. Oddaje mi mięso z własnego talerza, dostałam też od niej kawałek czerwonej flaneli do owijania gardła w nocy. A kiedy jest szczególnie zimno, naciera mnie maścią, o tutaj... – dotknęła swojej piersi i ramion – ...sama, własnymi rękoma. Wnet czuję różnicę. Jest dla mnie niczym rodzona córka. Mówi do mnie "matko". "Musisz być gotowa do wyjścia, matko". Tak właśnie mówi.

Oczy jej się zaszklily, kiedy to powiedziała. Wyjęła szorstką, niebieską chustkę i na chwilę przycisnęła ją do twarzy. Wyraziłam radość, że pani Jelf okazuje jej tyle serca.

– Jest dobra dla nas wszystkich – odrzekła Ellen Power. – To najlepsza strażniczka w całym więzieniu. – Potrząsnęła głową. – Biedaczka! Jeszcze nie zdążyła przyswoić sobie wszystkich tutejszych zwyczajów.

Zdziwiłam się: widok szarej, znękaney pani Jelf nie nasuwał przypuszczeń, że do niedawna mogła wieść normalne życie. Ale Power pokiwała głową. Tak, pani Jelf pracuje tu niespełna rok, powiedziała. Po co ktoś taki miał przychodzić do Millbank? Nigdy nie widziała osoby, która mniej pasowałaby do roli strażniczki!

O wilku mowa. W korytarzu dały się słyszeć czyjeś kroki; uniosłyśmy głowy i zobaczyłyśmy panią Jelf, która dokonywała rutynowego obchodu wzdłuż cel. Widząc nasze

twarze, zwrócone w jej stronę, zwolniła z uśmiechem.

Power poczerwieniała.

– Opowiadałam pani Prior o pani dobroci, pani Jelf – powiedziała. – Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe.

Strażniczka przycisnęła rękę do piersi i nerwowo rozejrzała się po korytarzu. Najwyraźniej lękała się, że panna Ridley może coś usłyszeć, dlatego nie wspomniałam o flaneli i dodatkowej porcji mięsa. Kiwnawszy głową Power, wskazałam ręką na kratę. Pani Jelf wypuściła mnie na korytarz, uparcie nie patrząc mi w oczy i ignorując mój uśmiech. Pragnęłam za wszelką cenę oszczędzić jej zakłopotania, dlatego zagadnęłam o wcześniejszą posadę. Gdzie pracowała, zanim trafiła do Millbank?

Starannie przypięła klucze do pasa i strzepnęła z rękawa kawałek tynku. Następnie dygnęła. Pracowała jako służąca, wyjaśniła, ale jej pani wyjechała za granicę, w związku z czym postanowiła poszukać innej posady.

Ruszyliśmy korytarzem. Zapytałam, czy lubi to zajęcie. Odpowiedziała, że byłoby jej żal zostawić Millbank.

– Obowiązki nie ciążyą pani zbyt dotkliwie? – spytałam. – A godziny pracy? Nie ma pani rodziny? Zapewne ona najbardziej odczuwa pani nieobecność.

Odparła, że żadna ze strażniczek nie ma męża, wszystkie są albo pannami, albo wdowami, jak ona.

– Trudno być jednocześnie żoną i strażniczką – dodała.

Niektóre strażniczki mają dzieci, które oddają na wychowanie niańkom, ona jednak jest bezdzietna. Bez przerwy wbijała wzrok w ziemię.

Cóż, odpowiedziałam, może istotnie nadaje się do tego zajęcia. W jej sektorach przebywa setka kobiet, wszystkie bezradne jak noworodki i skazane na jej wyłączną troskę, toteż musi być dla nich jak czuła matka.

Spod czepka błysnęły ciemne, posmutniałe oczy.

– Mam nadzieję, że tak właśnie jest, proszę pani – odpowiedziała, ponownie strzepując rękaw. Ma duże ręce, podobne do moich, szczupłe i kanciaste.

Przestałam ją wypytywać i podjęłam swój spacer. Poszłam do Mary Ann Cook, Agnes Nash, tej od fałszywych monet, na końcu zaś, jak zwykle, do Seliny.

Zdażyłam już minąć jej celę, kierując się do drugiego korytarza, odwlekałam jednak tę wizytę – podobnie jak zwlekam z opisaniem jej w dzienniku – i odwracałam twarz do ściany, aby nie patrzeć na Selinę. Był to swoisty zabobon, gdyż pomna widoku sali odwiedzin drżałam, że ktoś ustawi klepsydrę i nam: ani jedno ziarnko nie miało prawa się wysmyknąć,

nim na dobre nie przestąpię progu celi. Nawet gdy już stałam przy kracie z panią Jelf, uparcie spoglądałam w inną stronę. Odwróciłam głowę, dopiero kiedy strażniczka przekreśliła klucz w zamku, a następnie zamknęła nas w celi i odeszła. Wtedy zaś dostrzegłam, że wzrok mój, zamiast spocząć nieruchomo, mimowolnie błądzi po całej jej postaci. Zobaczyłam wystające spod czepka włosy, dawniej bujne, teraz krótkie i wystrzępione. Zobaczyłam szyję, na którą zakładano aksamitną obrozę, nadgarstki, za które przywiązywano ją do krzesła oraz asymetryczną linię ust, które kiedyś przemawiały odmienionym głosem. Ujrzałam to wszystko, owe atrybuty cudacznej kariery: zdawały się zamazywać jej kruchą postać i znaczyć ciało niczym stygmaty. Lecz to nie ona doznała przeobrażenia, tylko ja, za sprawą świeżo poznanych rewelacji. Dokonały we mnie ukradkowej i subtelnej zmiany – jak kropla wina w szklance czystej wody albo drożdże w pospolitym zlepku mąki i jaj.

Serce zabiło mi przyspieszonym rytmem i poczułam ukłucie strachu. Przycisnąwszy rękę do piersi, odwróciłam oczy.

Wówczas przemówiła głosem, który – ku mej bezbrzeżnej uldze! – zabrzmiał znajomo i całkiem zwyczajnie.

– Myślałam, że pani nie przyjdzie. Widziałam, jak pani szła do drugiego sektora.

Podeszłam do stołu i dotknęłam leżącej na nim wełny.

– Muszę odwiedzać również inne kobiety – odrzekłam. Widząc, jak pochmurnieje i spuszcza wzrok, dodałam, że jeśli chce, zawsze mogę przychodzić do niej na końcu.

– Dziękuję – powiedziała.

Jest równie spragniona rozmowy jak pozostałe kobiety. Najpierw poruszyliśmy kwestie więzienne. Wilgoć ściągnęła do cel ogromne, czarne żuki zwane tutaj "oczkami", od gry w karty; podobno zjawiają się rok w rok. Pokazała mi smugi na bielonych ścianach w miejscach, gdzie rozgniałała owady obcasem. Chodzą słuchy, że niektóre kobiety je oswajają. Inne po prostu je jedzą. Powiedziała, że nie wie, czy to prawda, tak opowiadają strażniczki...

Słuchałam jej opowieści, wzbogaconej licznymi grymasami i gestykulacją. Nie zapytałam, skąd wiedziała o medalionie. Nie wspomniałam o wizycie w siedzibie stowarzyszenia spirytystów, gdzie spędziłam dwie i pół godziny, rozmawiając o niej i sporządzając notatki. Lecz widok Seliny nieodparcie przypominał mi uzyskane informacje. Patrzyłam na jej twarz i myślałam o portretach w gazecie. Spoglądałam na dłonie i widziałam woskowe odciski w gablocie.

Naraz zrozumiałam, że nie mogę odejść, nie mówiąc na ten temat ani słowa. Poprosiłam, żeby opowiedziała mi coś więcej o dawnym życiu.

– Wspomniałaś ostatnio o okresie poprzedzającym wyjazd do Sydenham – dodałam. –

Powiedz mi, co wydarzyło się u pani Brink.

Zmarszczyła brwi i spytała, dlaczego chcę to wiedzieć. Odrzekłam, że z ciekawości. Ciekawią mnie historie innych kobiet, ale jej przypadek...

– Cóż, sama wiesz, że jest nieco bardziej niezwykły niż pozostałe...

Zatem uważam go za niezwykły, odezwała się po chwili. Lecz gdybym była spirytystką i całe życie spędziła wśród ludzi podobnych do siebie, nie znalazłabym w nim nic szczególnego.

– Powinna pani kupić naszą gazetę i przejrzeć ogłoszenia: moja pospolitość wyszłaby jak na dłoni! Doszłaby pani do wniosku, że media zaludniają ziemię gęściej niż duchy zaświaty.

Nie, wtedy gdy jeszcze mieszkała z ciotką oraz wynajmowała pokój w hotelu w Holborn, wcale nie była niezwykła...

– Dopiero spotkanie z panią Brink taką mnie uczyniło, Auroro.

Ściszyła głos; pochyliłam się, by zrozumieć jej słowa. Słyszając to nedorzeczne imię, poczułam, że się rumienię.

– Co wywołało tę zmianę? – spytałam. – Co takiego zrobiła pani Brink?

Pani Brink przyjechała do niej do Holborn.

– Zrazu uważałam ją za zwykłą klientkę, lecz wkrótce wyszło na jaw, że została do mnie przyprowadzona. Przyjechała z misją, którą tylko ja mogłam wypełnić.

– Mianowicie?

Selina przymknęła oczy, a kiedy znów je otworzyła, wydawały się nieco większe i zielone jak u kota. Przemówiła uroczyście, jakby opowiadała o czymś szczególnie doniosłym.

– Pragnęła odwiedzin pewnego ducha – wyjaśniła. – Miałam przekazać swoje ciało na jego użytek.

Wytrzymała mój wzrok; kątem oka dostrzegłam na podłodze jakiś ruch. Oczami wyobraźni ujrzałam wygłodniałą więźniarkę, która zdiera z owada pancerz, wysysa sok, odgryza wierzgające nogi.

Potrząsnęłam głową.

– Trzymała cię u siebie i zmuszała do różnych sztuczek – powiedziałam.

– Pomogła mi odnaleźć własne życie – odrzekła. Dokładnie pamiętam jej słowa. – Własną istotę, która czekała na mnie w jej domu. Przywiodła mnie tam, gdzie zostałam odnaleziona przez duchy. Przywiodła mnie do... – Urwała.

– Petera Quicka – dokończyłam za nią. Skinęła głową. Przypomniałam sobie słowa prawników, aluzje na temat charakteru przyjaźni z panią Brink.

– Sprowadziła cię do siebie, abys nocą mogła go zabierać do jej pokoju...?

Twarz Seliny uległa raptownej zmianie; wydawała się niemal wstrząśnięta.

– Nigdy go do niej nie zabierałam – zaprotestowała. – Nigdy nie zabierałam Petera do pani Brink. Nie sprowadziła mnie z jego powodu.

Nie z jego powodu? Wobec tego z czyjego? Nie odpowiadała, odwróciła tylko oczy i potrząsnęła głową.

– Kogo do niej zabierałaś – powtórzyłam pytanie – jeśli nie Petera Quicka? Kogo? Jej męża? Siostrę? Dziecko?

Uniosła rękę do ust.

– Jej matkę, Auroro – odrzekła cicho. – Matkę, która odumarła ją we wczesnym dzieciństwie. Obiecała, że nie odejdzie, że wróci. Ale nie wróciła. Przez dwadzieścia lat poszukiwań pani Brink nie znalazła medium, które umiałoby ją sprowadzić. Wreszcie spotkała mnie. Przyszłam do niej we śnie. Jej matkę i mnie łączyło pewne podobieństwo, pewna... pewna więź. Widząc to, pani Brink zabrała mnie do Sydenham i oddała mi rzeczy swojej matki, która zaczęła przychodzić za moim pośrednictwem i ją odwiedzać. Przychodziła w ciemności i... i niosła jej otuchę.

Wiem, że nie zeznała tego w sądzie; owe słowa musiały ją kosztować mnóstwo wysiłku. Wahala się zdradzić coś więcej i czułam, że na wpół pragnie, bym sama to sobie dopowiedziała. Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, co też to mogło być. Było wszak dziwne i niepokojące, że dama pokroju pani Brink mogła dostrzec w siedemnastoletniej Selinie Dawes cień zmarłej matki i zapragnęła nadać mu nocą rzeczywistą postać.

Nie podjęliśmy tego tematu. Zapytałam tylko o Petera Quicka. Czy zatem przychodził wyłącznie do niej? Potwierdziła. Dlaczego? Był jej duchem, opiekunem. Jej atrybutem.

– Przychodził – odrzekła z prostotą – więc cóż mogłam na to poradzić? Należałam do niego.

Na pobladłej twarzy Seliny wykwitły plamy rumieńców. Wyczułam w niej narastające podniecenie, prawie namacalne w stęchłym powietrzu celi. Ogarnęło mnie uczucie bliskie zazdrości.

– Co czułaś, gdy przychodził? – spytałam cicho.

Potrząsnęła głową. Och, jakżeby to ująć? To było niczym utrata własnego ja, odrzucała je jak suknię, pończochy lub rękawiczki...

– Brzmi strasznie! – zawołałam.

– To było straszne! – potwierdziła. – Ale też cudowne. Tyle dla mnie znaczyło, odmieniło moje życie. Mogłam wstępować w inny, lepszy wymiar, jak duch.

Zmarszczyłam brwi, nie rozumiejąc. Nie wiedziała, jak mi to wyjaśnić. Nie mogła

znaleźć odpowiednich słów... Rozejrzała się; jej wzrok spoczął na czymś, co leżało na półce i na ustach Seliny zaigrał tajemniczy uśmiezek.

– Wspomniałaś o sztuczkach – powiedziała. Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę, jakby chciała, bym ją ujęła. Niepewnie pomyślałam o medalionie i dziwnej wiadomości w notesie.

– Podnieś mi rękaw – poprosiła łagodnie, nie przestając się uśmiechać.

Nie wiedziałam, do czego zmierza. Rzuciwszy niepewne spojrzenie na jej twarz, ostrożnie podciągnęłam rękaw aż do łokcia. Odwróciła rękę, pokazując mi wewnętrzną stronę przedramienia, bardzo białą, gładką i ciepłą.

– A teraz zamknij oczy – poleciła.

Po chwili wahania spełniłam prośbę i zaczerpnęłam powietrza, przygotowując się na to, co może nastąpić. Ale ona tylko wzięła coś ze stołu, po czym podeszła do półki i sięgnęła po kolejną rzecz. Następnie zapadła cisza. Miałam zamknięte oczy, ale powieki drgały mi mimowolnie. Przedłużająca się cisza potęgowała moją niepewność.

– Chwileczkę – powiedziała Selina, widząc moje zniecierpliwienie. I dodała zaraz: – Już możesz patrzeć.

Powoli uniosłam powieki. Oczami wyobraźni ujrzałam skórę rozciętą tępym nożem. Ale ramię nadal wydawało się gładkie i nienaruszone. Podsunęła je w moim kierunku, choć nie tak blisko jak poprzednio; przedtem oglądałam je w pełnym świetle, teraz zaś spowijał je cień rękawa. Gdybym przyjrzała się uważniej, być może dostrzegłabym pewną skazę lub zaczerwienienie. Lecz Selina nie pozwoliła mi się przyjrzeć. Podczas gdy mrugałam i wytrzeszczałam oczy, uniosła drugą rękę i mocno przesunęła nią po obnażonej skórze. Zrobiła to raz, potem drugi, wreszcie trzeci i czwarty; ujrzałam, jak na ciele występuje szkarłatne słowo, niewyraźne, lecz doskonale czytelne.

Było to słowo: PRAWDA.

Kiedy litery nabrały wyrazistości Selina odsunęła rękę i popatrzyła na mnie uważnie. Spytała, czy jestem pod wrażeniem. Nie odpowiedziałam. Podsunęła rękę bliżej i kazała mi jej dotknąć, kiedy zaś to uczyniłam, poleciła, bym uniosła palce do ust i dotknęła ich językiem.

Z wahaniem uniosłam rękę i popatrzyłam na koniuszki palców. Widniała na nich biaława substancja; eter, pomyślałam, materia duchowa. Czując mdłości, nie odważyłam się skosztować. Widząc to, Selina wybuchnęła śmiechem. Następnie pokazała mi, co wzięła z półki i stołu.

Był to drewniany drut oraz pojemnik z solą. Drutem wydrapała słowo na skórze, a sól nadała literom szkarłatną barwę.

Ponownie ujęłam jej rękę. Litery zdążyły zblednąć. Pomyślałam o "cudach" opisywanych przez gazety spirytystyczne. Miały rzekomo stanowić dowód jej mocy. Ludzie w to uwierzyli, pan Hither i ja również.

– Pokazywałaś to tym nieszczęśliwym biedakom, którzy przychodzili do ciebie po pomoc? – spytałam.

Cofnęła rękę i opuściwszy rękaw, wzruszyła ramionami. Gdyby nie takie znaki, odparła, nadal trwaliby w swoim nieszczęściu. Czy szczypta soli na skórze albo rzucenie w ciemności kwiatka na kolana damy wykluczają istnienie duchów?

– Media, o których opowiadałam – dodała – te z ogłoszeń, w żadnym wypadku nie zawahałyby się sięgnąć po takie środki. Nigdy. – Znała kobiety, które chowały we włosach igły do cerowania, aby wypisywać nimi wiadomości na ciele. Znała mężczyzn, którzy kryli w zanadru papierowe rulony, by w mroku nadać głosowi obce brzmienie. – To w naszej profesji chleb powszedni – wyjaśniła – jednego dnia duchy przychodzą, drugiego potrzebują wsparcia...

Tak wyglądało jej życie, nim zamieszkała u pani Brink. Później... cóż, później owe sztuczki przestały się liczyć. Przed wyjazdem do Sydenham cała jej "moc" mogła być jednym wielkim oszustwem!

– Rozumiesz, o czym mówię? Moje dotychczasowe umiejętności były niczym w porównaniu z siłą, którą zyskałam za pośrednictwem Petera.

Popatrzyłam na nią bez słowa. Wiem, że być może nie zdradziła tego nikomu przede mną. Co do mocy, o której teraz mówiła – owej niezwykłości – cóż, odczułam przecież jej wpływ, prawda? Nie sposób zaprzeczyć; wiem, że to musi coś znaczyć. Mimo to wciąż spowijała ją tajemnica, dostrzegałam w niej pewną lukę, cień...

Powiedziałam – podobnie jak wcześniej panu Hitherowi – że nie rozumiem. Owa niezwykła moc przywiodła ją tutaj, do więzienia Millbank. Pomimo opieki Petera Quicka poważnie ucierpiały dwie osoby, w tym jedna poniosła śmierć! Ileż warta jest taka opieka? Ileż wart jest teraz jej talent?

Odwróciła wzrok, powtarzając słowa pana Hithera.

– Duchy rządzą się własnymi prawami – powiedziała – których człowiekowi nie dane jest pojąć.

Zaiste, nie pojmuję praw, które zesłały na nią ten los!

– Chyba że z zazdrości pragnęły, byś umarła i dołączyła do ich grona.

Ale ona tylko zmarszczyła brwi. Nie rozumiała, o czym mówię. Odrzekła powoli, że istnieją duchy, zazdroszczące żywym. Ale nawet one nie pozazdrościłyby jej obecnej sytuacji.

Uniosła rękę do szyi i potarła białą skórę.

Znowu pomyślałam o obrożu oraz więzach krępujących jej nadgarstki.

W celi panował chłód, zadrzałam. Nie wiem, jak długo rozmawialiśmy – padło chyba więcej słów, niż tu zapisałam – kiedy jednak spojrzałam w okno, na zewnątrz było zupełnie ciemno. W dalszym ciągu trzymała dłoń przy szyi, kaszlnęła, po czym przełknęła ślinę. Powiedziała, że kazałam jej zbyt dużo mówić. Podeszła do półki, wzięła dzbanek i wypila nieco wody, a następnie znowu zakaszła.

W tej samej chwili przy kracie stanęła pani Jelf i zlustrowała nas uważnym spojrzeniem, co ponownie nasunęło mi podejrzenie, że siedziałam tu zbyt długo. Niechętnie podniosłam się z miejsca i skinęłam ręką strażnicze. Popatrzyłam na Selinę. Powiedziałam, że następnym razem podejmiemy przerwany wątek – kiwnęła głową. Nadal pocierała gardło; na ten widok oczy pani Jelf zaszyły mgłą. Wypuściła mnie na korytarz, po czym stanęła koło Seliny.

– Co się stało? – zapytała. – Jesteś chora? Mam sprowadzić lekarza?

Patrzyłam, jak prowadzi ją do światła. Naraz usłyszałam swoje nazwisko i zobaczyłam Nash, tę od monet, stojącą za kratą sąsiedniej celi.

– Pani jeszcze tutaj? – zapytała. Następnie wskazała głową celę Seliny i dodała cichym, przesadnym tonem: – Myślałam, że ona panią zaczarowała, zmieniła w żabę lub mysz albo kazała porwać swoim duchom. – Wstrząsnął nią dreszcz. – Duchy! Czy pani wie, że odwiedzają ją nocą? Słyszę, jak przychodzą do jej celi. Słyszę, jak z nimi rozmawia, śmieje się, czasami płacze. Wszystko bym dała, byle tylko nie słyszeć ich głosów. – Ponownie zadrzała i wykrzywiła się.

Może żartowała ze mnie tak jak kiedyś, ale tym razem się nie śmiała. Przypomniawszy sobie słowa panny Craven, powiedziałam, że to pewnie cisza podsyci jej fantazję. Prychnęła. Fantazję? Chyba umie odróżnić duchy od fantazji! Fantazję? Powinnam spędzić jedną noc w jej celi, ciekawe co wówczas powiedziałabym o fantazji!

Wróciła do szycia, mamrocząc pod nosem i potrząsając głową, a ja ponownie znalazłam się przed celą Seliny. Obie kobiety nadal stały pod lampą: strażniczka poprawiła chustkę na szyi Seliny i poklepała ją delikatnie. Nie patrzyły w moją stronę. Może myślały, że odeszłam. Naraz ujrzałam, jak Selina dotyka miejsca, gdzie pod rękawem widniał blednący napis PRAWDA; widząc to, uniosłam palce do ust i poczułam smak soli.

Kiedy pani Jelf wyszła na korytarz, aby zaprowadzić mnie do wyjścia, wciąż stałam z dłonią przy ustach. Po drodze zaczęła nas Laura Sykes, pytając, czy nie przekazałybyśmy od niej słówka pannie Haxby. Jeśli panna Haxby pozwoli na odwiedziny jej brata, jeśli pozwoli przekazać mu list, na pewno dojdzie do apelacji. O ile tylko panna Haxby zechce jej

wysłuchać, wyjdzie stąd w przeciągu miesiąca!

17 grudnia 1872

Dziś rano pani Brink przyszła do mnie, kiedy byłam już ubrana. "Musimy coś ustalić, panno Dawes – powiedziała. – Czy jest pani pewna, że nie mam jej wypłacać pensji?". Od początku nie przyjmowałam od niej pieniędzy i teraz też powiedziałam, że jej gościna starczy za całe honorarium, a poza tym nie mogłabym przyjąć pieniędzy za pośrednictwo duchowe. "Wiedziałam, że to powiesz, drogie dziecko". Zaprowadziła mnie do matczynej szkatułki, która wciąż stoi na toaletce i otworzyła ją. "Nie weźmiesz pieniędzy – powiedziała – ale z pewnością nie odmówisz podarunku. Mam tu coś, co z całego serca pragnę ci ofiarować". Mówiła o naszyjniku ze szmaragdów. Włożyła mi go na szyję, po czym stanęła bardzo blisko, aby go zapiąć. "Nigdy nie sądziłam, że oddam komuś coś, co należało do mojej matki, ale czuję, że pani ma do niego największe prawo. Och! Pasuje jak ulał! Szmaragdy podkreślają barwę pani oczu, tak jak niegdyś jej".

Podeszłam do lustra. Istotnie, te kamienie niezwykle do mnie pasują, chociaż są takie stare. Powiedziałam zgodnie z prawdą, że nikt nie dał mi nigdy tak ładnego prezentu i z pewnością nie zasługuję na niego za to tylko, że wypełniam wolę duchów. Odrzekła, że doprawdy nie wie, kto zasługuje nań bardziej niż ja.

Wówczas znowu podeszła do mnie i położyła rękę na zapięciu naszyjnika. "Marzę tylko, aby wzmocnić drzemiące w pani siły. Uczyniłabym wszystko, by do tego doprowadzić. Pani wie, jak długo czekałam. Usłyszeć wreszcie słowa, które mi pani przekazuje, och! Myślałam, że to już nigdy nie nastąpi! Ale, panno Dawes, apetyt Margery rośnie. Tak bardzo pragnęłaby ujrzeć kształt lub poczuć na sobie dotyk ręki. Cóż! Wie, że są na świecie ludzie, którzy dokonują podobnych cudów. I bez żalu oddałaby takiej osobie całą szkatułkę klejnotów".

Gładziła naszyjnik i moją skórę. Dotąd każda próba materializacji, którą przeprowadzałam z panem Vincym i panną Sibree, kończyła się fiaskiem. "Czy pani wie, że medium musi mieć specjalną kotarę? – spytałam. – Jest to niezwykle ważne i bardzo niedoceniane". Odrzekła, że wie. Zobaczyłam w lustrze jej twarz; wpatrywała się we mnie. Zobaczyłam też własne oczy, zielone od blasku naszyjnika, zupełnie jakby należały do kogo innego. I chociaż je przymknęłam, wydawało mi się, że wciąż widzę to samo: wpatrzoną we mnie panią Brink oraz moją szyję otoczoną szmaragdami, których łączenia nie były jednak złote, lecz szare, niczym z ołowiu.

19 grudnia 1872

Dzisiaj wieczorem w salonie pani Brink zastałam Ruth. Właśnie przyszyła do pręta ciemną draperię i wieszala ją w poprzek alkowy. Przypatrzywszy się bliżej, zobaczyłam, że to aksamit. "Piękny, prawda? – zapytała, widząc że go dotykam. – Sama go wybrałam. Dla panienki. Moim zdaniem zasługuje panienka na aksamit. To wielki dzień dla panienki, dla pani Brink i dla nas wszystkich. Już nie jest panienka w Holborn". Spojrzałam na nią w milczeniu. Z uśmiechem uniosła materiał do mojej twarzy. Kiedy stałam przy nim w swojej starej, czarnej aksamitnej sukience, Ruth powiedziała: "Zupełnie jakby pochłaniał panienkę cień! Widzę tylko twarz i jasne włosy".

Przysła pani Brink i ją odprawiła. Spytała, czy jestem gotowa; odrzekłam, że chyba tak, nie dowiem się, póki nie zaczniemy. Posiedziałyśmy przez chwilę przy przygaszonym świetle. Wreszcie powiedziałam: "Myślę, że już czas". Weszłam za kotarę, a pani Brink zgasiła światło. Na chwilę ogarnął mnie strach. Nie wiedziałam, że mrok okaże się tak duszący i nieprzenikniony. Ciasna przestrzeń, w której się znajdowałam, nasunęła obawy, że lada chwila zabraknie mi powietrza. Zawołałam: "Pani Brink, sama nie wiem!", lecz ona odrzekła tylko: "Proszę spróbować, panno Dawes. Niech pani spróbuje, dla dobra Margery! Żadnego znaku, nic?". Głos dochodzący zza kotary był wysoki, odmieniony i zdawał się czepiać mnie niby mackami. Czułam, jakby ciągnął mnie ku sobie, wreszcie wydało mi się, że zdarł ze mnie suknię. Ni stąd, ni zowąd mrok rozblysnął kolorami. Ktoś krzyknął: "Och! Jestem tutaj!", a pani Brink zawołała "Widzę cię! Ach, widzę!".

Kiedy po wszystkim wyszłam zza zasłony, płakała. "Proszę nie płakać – poprosiłam. – Czyż nie jest pani szczęśliwa?". Odpowiedziała, że płacze ze szczęścia. Następnie zadzwoniła po Ruth. Oświadczyła: "Ruth, w tym pokoju dokonano dziś wieczorem niemożliwego. Widziałam, jak matka kiwa do mnie ręką, ubrana w świetlistą szatę". Ruth odrzekła, że wierzy, gdyż salon wyglądał jakoś inaczej i dziwnie pachniał. "To oznacza, że gościły wśród nas anioły – oświadczyła. – Gdy anioły zstępują między ludzi, niosą z sobą cudowny zapach". Powiedziałam, że nigdy o czymś podobnym nie słyszałam, na co popatrzyła na mnie i kiwnęła głową. "O tak, to szczerą prawdą" – odrzekła i położyła palec na wargach. Podobno ta woń wydobywa się z anielskich ust.

8 stycznia 1873

Przez dwa tygodnie prawie nie opuszczaliśmy domu, dzień w dzień czekając zmroku, żeby przysposobić pokój na nadejście ducha. Uprzedziłam panią Brink, by nie oczekiwała codziennych odwiedzin matki, że czasem ujrzy tylko jej białą dłoń lub twarz. Zapewniła mnie, że wie, lecz mimo to co wieczór z zapalem przyciąga mnie do siebie, pytając: "Przyjdiesz? Dlaczego nie podejdziesz bliżej? Znasz mnie? Pocałujesz?".

Lecz trzy dni temu, gdy wreszcie doczekała się pocałunku, krzyknęła, przyciskając rękę do piersi, przez co mało nie umarłam ze strachu. Kiedy do niej wyszłam, Ruth stała obok; przybiegła pędem i zapaliła lampę. "Wiedziałam, że tak będzie – oświadczyła. – Czekala na to tak długo, a teraz nie może tego znieść". Pani Brink wzięła sole trzeźwiące i uspokoiła się nieco. "Następnym razem będzie inaczej – zapewniła. – Następnym razem będę gotowa. Ale musisz być przy mnie, Ruth. Usiądziesz przy mnie, podasz mi swą mocną dłoń, wtedy się nie przestraszę". Ruth obiecała, że tak zrobi. Tamtego wieczora zaprzestaliśmy dalszych prób, ale teraz, kiedy wychodzę zza kotary, Ruth siedzi u boku pani Brink i patrzy. Pani Brink pyta: "Widzisz ją, Ruth? Widzisz moją mamę?", a Ruth odpowiada: "Tak, proszę pani. Widzę ją". Potem jednak pani Brink o niej zapomina. Ujmuje dłonie matki w swoje i mocno trzyma. Pyta: "Czy Margery jest grzeczna?". Matka odpowiada: "Jest bardzo, bardzo grzeczna. Dlatego do niej przychodzę". A potem pyta: "Jak bardzo jest grzeczna? Jest warta dziesięć czy dwadzieścia całusów?". Matka odpowiada: "Jest warta trzydzieści całusów". Wtedy pani Brink zamyka oczy, a ja pochylam się i całuję jej oczy i policzki, nigdy usta. Otrzymawszy swoich trzydzieści całusów wzdycha, po czym obejmuje mnie ramionami i składa głowę na piersi. Siedzi tak przez pół godziny, aż materiał sukni wilgotnieje, po czym mówi: "Teraz Margery jest szczęśliwa" albo: "Teraz Margery jest syta".

Przez cały ten czas Ruth siedzi i patrzy. Ale mnie nie dotyka. Mówię, że nikt oprócz pani Brink nie może dotykać ducha, albowiem jest to jej duch i do niej przychodzi. Więc Ruth tylko patrzy na nas swoimi czarnymi oczyma.

Gdy znów stoję się sobą, odprowadza mnie do pokoju i zdejmuje mi sukienkę. Sama dba o moją odzież; uważa, że to zajęcie niegodne damy. Wiesza i wygładza suknię, ściąga mi buty, po czym każe usiąść na krześle i szczotkuje moje włosy. "Wiem, jak należy szczotkować piękne włosy damy – mówi. – Proszę spojrzeć na moje silne ramię. Umieję wyszczotkować włosy od czubka głowy aż do pasa, póki nie spływają jak woda albo jedwab". Swoje czarne włosy chowa pod czepkiem; czasem dostrzegam przedziałek, biały i prosty jak

nóż. Dzisiaj jak zwykle kazała mi usiąść, lecz kiedy zaczęła rozczesywać włosy, wybuchnęłam płaczem. "Dlaczego panienka płacze?". Odpowiedziałam, że szczotka szarpie mi włosy. "Też coś, płakać z powodu szczotki!". Śmiała się, po czym przejechała mi szczotką po włosach jeszcze mocniej. Powiedziała, że zrobi to sto razy i kazała mi liczyć.

Następnie odłożyła szczotkę i zaprowadziła mnie do lustra. Przytrzymała mi rękę nad głową, a naelektryzowane włosy przylgnęły jej do skóry. Wtedy przestałam płakać. Stała i patrzyła. Zapytała: "Czyż nie wygląda pani prześlicznie, panno Dawes? Nie wygląda pani jak prawdziwa dama, za którą obejrzy się każdy dżentelmen?".

2 listopada 1874

Wróciłam do swojego pokoju, gdyż zamieszanie panujące na dole jest nie do opisania. Z każdym dniem, który przybliżył nas do ślubu Pris, obie wynajdują coś, co potęguje ogólny chaos – wczoraj krawcowe, przedwczoraj kucharki i fryzjerki. Nie czuję się na siłach, aby stawić im czoło. Zapowiedziałam, że Ellis uczesze mnie jak zawsze, co do stroju zaś – choć przystałam na zwężone spódnice – pozostanę przy szarej sukni i czarnym płaszczu. Oczywiście matka jest wściekła. Dosłownie ziele ogniem. Gdy nie ma pod ręką mnie, wyładowuje złość na Ellis lub Vigers, a nawet na Guliwerze, papudze Prissy. Łaje go, aż zdenerwowane ptaszysko poświsztuje i bije w pręty biednymi, skrępowanymi skrzydłami.

Pris tkwi pośród tego wszystkiego niewzruszona niczym czółno w oku cyklonu. Do czasu ukończenia portretu postanowiła zachować kamienną twarz. Jej zdaniem pan Cornwallis jest nadzwyczaj skrupulatny. I jako modelka nie może sobie pozwolić na zmarszczki i cienie, które będzie musiał przenieść na płótno.

Wolę spędzać czas z więźniarkami w Millbank niż w towarzystwie Priscilli. Wolę rozmawiać z Ellen Power niż wysłuchiwać utyskiwań matki. Wolę odwiedzać Seline niż jechać do Garden Court do Helen, której również udzieliła się przedślubna gorączka. Selina natomiast znajduje się poza wszelkimi konwenansami i emocjami, zupełnie jakby żyła na Księżycu, chłodna i dystygowana.

Takie przynajmniej odnosiłam wrażenie, zanim nastał dzisiejszy dzień. Kiedy jednak po południu pojechałam do więzienia zastałam w nim chaos, który udzielił się wszystkim dokoła, w tym także Seline.

– Przyjechała pani w złą porę – powiedziała od razu strażniczka. – Straciliśmy kontrolę nad jedną z więźniarek i nastąpiło straszne zamieszanie.

Spojrzałam na nią osłupiała: oczywiście w pierwszej chwili pomyślałam, że doszło do ucieczki. Gdy zapytałam o to, strażniczka roześmiała się pobłaźliwie. Odparła, że nic podobnego, po prostu raz na jakiś czas kobiety wpadają w szał i niszczą, co im wpadnie w ręce. Panna Haxby wyjaśniła mi to szczegółowo. Spotkałam ją na schodach prowadzących do jednej z wież. Wspinała się mozolnie, mając u boku pannę Ridley.

– To doprawdy osobliwe zjawisko – powiedziała. – Typowe dla kobiecych więzień. – Dodała, że więźniarki mają ku temu szczególną skłonność, każda ulega jej prędzej czy później. – A jeśli są młode, silne i zdeterminowane... cóż, przeobrażają się w istne dzikuski. Wrzeszczą i miotają się bez opamiętania. Żadna z nas nie może się do nich zbliżyć, musimy

posyłać po mężczyzn. Hałas słyhać w całym więzieniu; uspokojenie pozostałych więźniarek stanowi nie lada wysiłek. Jeden incydent wyzwała lawinę następnych; budzi uspięone skłonności, które zazwyczaj biorą górę nad rozsądkiem.

Przesunęła ręką po twarzy. Tym razem sprawa dotyczyła Phoebe Jacobs, złodziejki z sektora D. Wraz z panną Ridley szły ocenić rozmiar szkód.

– Pójdzie pani z nami do zniszczonej celi? – spytała. Zapamiętałam sektor D, z drzwiami pozamykanymi na głucho, apatycznymi pensjonariuszkami oraz smrodliwym powietrzem wypełnionym strzępkami włókien jako najokropniejszy zakątek więzienia. Obecnie wydawał się jeszcze posepniejszy i uderzająco cichy. Na końcu korytarza spotkałyśmy panią Pretty: podwijała rękawy, skubiąc palcami wilgotną górną wargę, jakby dopiero co zeszła z ringu. Na mój widok z aprobatą skinęła głową.

– Przyszła pani obejrzeć pobojuwisko? Cóż... cha, cha... jest na co popatrzeć! – Poszłyśmy za nią w kierunku otwartych na oścież drzwi. – Uwaga na suknie – uprzedziła, kiedy panna Haxby i ja stanęłyśmy w progu. – Ta diablica przewróciła kubek z nieczystościami...

Dziś wieczorem próbowałam opisać stan zrujnowanej celi Helen i Stephenowi; kręcili głowami, ale widziałam, że opowieść nie wywarła na nich większego wrażenia.

– Skoro te pomieszczenia są tak brzydkie – spytała Helen w pewnej chwili – jakim cudem można je zniszczyć lub uczynić jeszcze brzydszymi?

Scena, którą dzisiaj ujrzałam, przerastała ich wyobraźnię. Cella Jacobs przypominała komnatę piekielną albo jeszcze lepiej: przegrodę w mózgu epileptyka po ataku.

– Ich pomysłowość jest zadziwiająca – zauważyła panna Haxby ściszoneg głosem, kiedy rozglądałyśmy się dokoła. – Okno: proszę spojrzeć, wyrwała kratę, żeby stłuc szybę. Rura gazowa, to samo; musiałyśmy zatkać otwór szmatą, aby uchronić pozostałe więźniarki przed zaczadzeniem. Koc nie jest podarty, ale rozerwany na strzępy. Robią to zębami. Bywa, że kilka sobie przy tym wyłamia...

Przypominała agenta nieruchomości z inwentarzem szkód: wymieniała jedną po drugiej, kierując moją uwagę na szczegóły owego zniszczenia. Drewniana prycza rozbita na drzazgi, solidne drzwi ze śladami wgnieceń od więziennego trzewika, kartka z regulaminem zerwana ze ściany i podeptana, Biblia (to było najgorsze ze wszystkiego, Helen zbladła, kiedy jej opowiedziałam) podarta i wepchnięta na dno przewróconego wiadra z nieczystościami. Panna Haxby snuła wyliczankę cichym, jednostajnym głosem, a gdy zadałam jej pytanie normalnym tonem, uniosła palec do ust.

– Nie należy mówić zbyt głośno – powiedziała. Obawiała się, że zachęczone przykładem

Jacobs kobiety powtórzą jej zuchwały wyczyn.

Wreszcie stanęła obok pani Pretty, aby zarządzić sprzątnięcie tego bałaganu. Następnie wyjęła zegarek.

– Jacobs przebywa w ciemnicy... jak długo, panno Ridley?

Strażniczka odrzekła, że blisko godzinę.

– Chodźmy do niej. – Zawahała się, po czym spojrzała w moją stronę. Zapytała, czy mam ochotę im towarzyszyć. Czy chciałabym zobaczyć ciemnicę?

– Ciemnicę? – Wydawało mi się, że obeszłam cały pięciobok z tuzin razy, a jeszcze nikt nie wymienił przy mnie tej nazwy. – Ciemnicę? – powtórzyłam. – A cóż to takiego?

Przyjechałam do Millbank tuż po czwartej, potem była wspinaczka do zniszczonej celi oraz gruntowne oględziny. W tym czasie korytarze zasnuł półmrok. Jeszcze nie przywykłam do gęstych, więziennych ciemności rozproszonych mętnym światłem kaganków; pogrążone w ciszy cele i wieże ni stąd, ni zowąd wydały mi się obce. Weszliśmy w nieznaną mi korytarz we trzy: panna Ridley, panna Haxby i ja. Ku memu zdumieniu prowadził on w kierunku przeciwnym do położenia sektorów, prosto do serca Millbank. Biegł w dół krętymi schodami i stromymi przejściami, aż wreszcie powietrze stało się jeszcze bardziej lodowate, cuchnące i jakby słone, przez co nabrałam pewności, że znajdujemy się poniżej gruntu, a może nawet pod poziomem samej Tamizy. Wreszcie skręciłyśmy w nieco szerszy korytarz, gdzie zobaczyłam kilkoro starych, drewnianych drzwi. Panna Haxby stanęła przed pierwszymi; na jej znak panna Ridley przekręciła klucz w zamku i pospieszyła oświetlić leżące dalej pomieszczenie.

– Skoro już tu jesteśmy – powiedziała do mnie panna Haxby, kiedy weszliśmy do środka – proszę rzucić na to okiem. To nasz skład broni. Trzymamy tu kajdany, kaftany i tym podobne rzeczy.

Wskazała na ściany. Popatrzyłam na nie z przerażeniem. Nie były pokryte wapnem, jak ściany na górze, lecz pozostały chropawe, niewykończone i połyskiwały od wilgoci. Na każdej wisiało mnóstwo żelastwa – pierścieni, łańcuchów, kajdan oraz innych skomplikowanych przyrządów, których przeznaczenia mogłam tylko dociekać z drżeniem serca.

Na widok mojej miny panna Haxby uśmiechnęła się posepnie.

– Większość z tych rzeczy pochodzi z dawnych czasów Millbank – wyjaśniła. – Wiszą tu jedynie jako eksponaty. Są jednak czyste i dobrze naoliwione: nigdy nie wiadomo, czy nie okażą się jeszcze potrzebne! Tutaj mamy kajdanki, proszę spojrzeć, niektóre przewidziano dla dziewcząt, są delikatne jak bransoletki! Tutaj kneble... – Pokazała mi skórzane pasy z

dziurami, które miały umożliwić swobodne oddychanie, ale "zapobiegały krzykom". Były też pęta, stosowane tylko w przypadku kobiet, nigdy mężczyzn.

– Sięgamy po nie wówczas, gdy więźniarka (co zdarza się nader często!) umyśli sobie położyć się na podłodze i kopać w drzwi. Widzi pani, jak to działa? Ten pas łączy kostkę z udem, ten krępuje ręce. Kobieta jest zmuszona klęczeć i strażniczka karmi ją łyżką. Jest to bardzo męczące i niebawem delikwentka potulnieje jak baranek.

Dotknęłam uniesionego pasa. Widniał na nim wyraźny ślad klamry. Spytałam, czy często używano podobnych przyrządów. Panna Haxby odpowiedziała, że tak często, jak trzeba, jakieś pięć, sześć razy do roku.

– Prawda, panno Ridley?

Panna Ridley skinęła głową.

– Jednak zasadniczą formą przymusu – ciągnęła panna Haxby – zresztą nader skuteczną, jest kaftan. Proszę zobaczyć. – Podeszła do szafy, z której wyjęła dwa ciężkie, płócienne egzemplarze czegoś tak szorstkiego i bezkształtnego, że zrazu wzięłam je za worki. Podąła jeden pannie Ridley, drugi zaś przyłożyła do siebie, jakby mierzyła suknię przed lustrem. Wówczas zrozumiałam, iż rzeczywiście były to fragmenty garderoby, tyle że w pasie i na rękawach zamiast tasiemek lub wstążek widniały paski.

– Wkładamy je kobietom na więzienne suknie, by uchronić odzież przed zniszczeniem – wyjaśniła. – Proszę spojrzeć na zapięcia. – Na paskach nie było klamer tylko solidne, mosiężne wkrety. – Mamy do nich specjalne klucze. Trzymają jak złoto. Panna Ridley natomiast ma w ręku kaftan bezpieczeństwa.

Ujrzałam nienaturalnie długie rękawy ze smolistej skóry o zaszytych mankietach zakończonych pasami. Podobnie jak paski na pętach, te również nosiły ślady wielokrotnego użytku. Kiedy na nie patrzyłam, czułam jak dłonie zaczynają mi się pocić w rękawiczkach. Teraz też wilgotnieją na samo wspomnienie, chociaż noc jest bardzo zimna.

Kaftany zostały schowane, po czym opuściliśmy upiorną izbę i ruszyliśmy dalej korytarzem, by wreszcie dojść do niskiego, kamiennego łuku. Było tu tak wąsko, że nasze spódnice ledwie mieściły się między ścianami. Panna Haxby uniosła jedyną świecę rozpraszając mrok i osłaniając płomień ręką, aby nie zgasł od słonego, podziemnego przeciągu, oświetlała drogę. Rozejrzałam się dokoła. Nie miałam pojęcia, że w Millbank znajduje się takie miejsce. Odczułam nagły przypływ paniki. Chcą mnie zamordować, pomyślałam. Zabiorą świecę i zostawią mnie tu na pastwę losu, bym sama znalazła drogę do światła lub postradała zmysły!

Ujrzałam czworo drzwi. Pani Haxby stanęła przed pierwszymi. Panna Ridley niemal po

omacku odszukała właściwy klucz.

Wbrew moim oczekiwaniom drzwi przesunęły się raczej, niż otworzyły: zobaczyłam, że były grube i obite tkaniną jak materac, co miało na celu stłumienie przekleństw i szlochów uwięzionej kobiety. Jacobs musiała jednak usłyszeć szmer, gdyż w ciasnej, mrocznej przestrzeni rozległ się niespodziewany łoskot. Łup! A potem jeszcze raz. Łup!

– Suko! – wrzasnęła. – Przyszłaś zobaczyć, jak gniję! Niech cię diabli, jeśli następnym razem nie poderżnę sobie gardła!

Panna Ridley odsunęła klapkę wizjera z kolejnych drzwi. Zobaczyłam kraty, za którymi panowała ciemność tak gęsta i nieprzenikniona, że nie było na czym zawiesić oczu. Zapatrzwszy się w nią mimowolnie, uświadomiłam sobie, że głowa pęka mi z bólu. Krzyk ustał, z pomieszczenia nie dochodziły najłżejsze odgłosy. Naraz z mroku wychynęła jakaś twarz i przywarła do krat. Oblicze budziło grozę: blade i posiniaczone, o zakrwawionych, pokrytych pianą ustach i dzikich oczach zmrużonych w blasku świecy. Na ten widok panna Haxby drgnęła, a ja zrobiłam krok do tyłu. Więźniarka popatrzyła w moją stronę.

– Co się gapisz? – wrzasnęła.

Panna Ridley huknęła otwartą dłonią w drzwi.

– Uważaj, co mówisz, Jacobs, bo posiedzisz tutaj miesiąc, słyszysz?

Kobieta oparła głowę o kraty i zacisnąwszy usta, dalej świdrowała nas obłąkańczym wzrokiem. Panna Haxby przysunęła się do niej nieco.

– Postąpiłaś bardzo nierozsądnie, Jacobs – powiedziała. – Pani Pretty, panna Ridley i ja jesteśmy bardzo rozczarowane twoją postawą. Zniszczyłaś celę. Zraniłaś się w głowę. Czy tego chciałaś, zranić się w głowę?

Kobieta spazmatycznie chwyciła powietrze.

– Musiałam kogoś zranić – odparła. – Co do pani Pretty... suka! Rozerwę ją na kawałki, choćbyście kazali mi tu siedzieć sto lat!

– Wystarczy! – powiedziała panna Haxby. – Dosyć tego. Jutro znowu do ciebie przyjdę. Zobaczymy, jak zaśpiewasz po nocy spędzonej w ciemności. Panno Ridley.

Strażniczka podeszła z kluczem. Na twarzy Jacobs odbił się zwierzęcy strach.

– Nie waż się zamknąć tych drzwi, jędzo! Nie zabierajcie świecy! Och! – Przycisnęła twarz do krat i nim panna Ridley zasunęła wizjer, dostrzegłam w przelocie kaftan. Był to chyba kaftan bezpieczeństwa, z czarnymi rękawami, zapinany na klamry. Kiedy drzwi zostały zamknięte, rozległ się kolejny łoskot (musiała uderzyć w nie głową), po którym nastąpił stłumiony krzyk o nieco innym zabarwieniu: – Proszę mnie nie zostawiać, panno Haxby! Och! Panno Haxby, obiecuję, że będę posłuszna!

Ów krzyk był gorszy od przekleństw. Popatrzyłam na strażniczki, mówiąc, że chyba nie zamierzają zostawić jej samej w takich ciemnościach. Panna Haxby stała jakby kij połknęła. Powiedziała obojętnie, że przyślą tu wartowników, a za godzinę Jacobs dostanie chleb.

– Ale takie ciemności, panno Haxby! – powtórzyłam.

– To kara – odrzekła z prostotą. Odsunęła się, zabierając świecę, jej siwe włosy jaśniały w półmroku. Panna Ridley zamknęła obite drzwi. Krzyki kobiety ucichły, lecz wciąż słyszałam każde słowo.

– Suki! – wrzasnęła. – Niech was piekło pochłonie... i damulkę też! – Na chwilę znieruchomiałam, odprowadzając wzrokiem roztańczony płomyk świecy, po czym ruszyłam za nim tak pospiesznie, że omal się nie potknęłam. Głos stał się jeszcze bardziej przeraźliwy. – Suki, suki! – powtarzała Jacobs. Może nadal krzyczy. – Umrę w tych ciemnościach... słyszysz, paniusiu? Zdechnę tu jak śmierdzący szczur!

– Wszystkie to powtarzają – zauważyła z przekąsem panna Ridley. – Szkoda, że żadna nie dotrzymuje obietnicy.

Myślałam, że panna Haxby ją skarci. Ona jednak tego nie uczyniła. Szła przed siebie, mijając upiorny skład i kierując się w stronę stromego korytarzyka wiodącego do cel. Wreszcie zostawiła nas, by wrócić do swego oświetlonego gabinetu. Ja z panną Ridley poszłyśmy wyżej. Minęłyśmy celę Jacobs, gdzie pani Pretty wraz z inną strażniczką nadzorowały pracę dwu więźniarek szorujących zabrudzoną podłogę. Następnie zostałam przekazana pani Jelf. Spojrzałam na nią i po odejściu panny Ridley uniosłam ręce do oczu.

– Była pani w ciemnicy – mruknęła domyślnie pani Jelf. Potwierdziłam, pytając, czy godzi się tak traktować kobiety. Pani Jelf tylko odwróciła wzrok i potrząsnęła głową.

W jej sektorach panowała równie niezwykła cisza jak gdzie indziej, kobiety zaś zachowywały się czujnie i nienaturalnie. Widząc mnie w progu, natychmiast zaczynały mówić o incydencie; każda pragnęła wiedzieć, co uległo zniszczeniu, kto zawinił i jak został ukarany.

– Poszła do ciemnicy, prawda? – pytały, wstrząsane dreszczami.

– Siedzi w lochach, panno Prior? Czy to była Morris?

– Burns?

– Czy bardzo ucierpiała?

– Pewnie teraz ma się z pyszna!

– Ja też kiedyś byłam w ciemnicy, pszepani – powiedziała Mary Ann Cook. – To najstraszniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam. Niektóre dziewczęta nie boją się ciemności, ale nie ja, pszepani. Nie ja.

– Ja też do nich nie należę, Cook – odrzekłam. Nawet Selina uległa ogólnemu nastrojowi. Krążyła po celi, porzucona robótka leżała na stole. Na mój widok zamrugła powiekami, a następnie skrzyżowała ręce na piersi, cały czas przestępując z nogi na nogę, aż zapragnęłam podejść i położyć dłonie na jej ramionach, by ją uspokoić.

– Była awantura – rzuciła, kiedy pani Jelf zamknęła nas w celi. – Kto to? Hoy? Czy Francis?

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć – odparłam z lekką urazą.

Odwróciła głowę. Odrzekła, że chciała mnie tylko poddać próbie, dobrze wie, iż chodzi o Phoebe Jacobs. Zabrali ją do ciemnicy i wsadzili w kaftan. Czy moim zdaniem to miłe?

Po chwili wahania spytałam, czy miłe było zniszczenie celi, jak uczyniła to Jacobs?

– Myślę, że wszystkie tutaj zapomniałyśmy znaczenia tego słowa – odpowiedziała. – I wcale by go nam nie brakowało, gdyby pewne damy nie przychodziły popisywać się dobrymi manierami!

Jej głos zabrzmiał równie szorstko jak głosy Jacobs i panny Ridley. Usiadłam na krześle i położyłam ręce na stole; prostując palce, zobaczyłam, że drżą. Wyraziłam nadzieję, że nie mówiła poważnie. Burknęła, że wręcz przeciwnie. Czy mam pojęcie, co to za przeżycie słuchać, jak więźniarka obok rujnuje celę?

Zupełnie jakby ktoś sypał ci piaskiem w oczy, nie pozwalając ich zamknąć. To jest jak ból, jak świąd, musisz krzyżeć, inaczej umrzesz! Ale jeśli naprawdę krzykniesz, będziesz... będziesz zwierzęciem! Przychodzą panna Haxby, kapelan, ty... wtedy nie możemy być zwierzętami, musimy być kobietami. Wolałabym, żebyś wcale nie przychodziła!

Nigdy nie widziałam jej równie roztrzęsionej i zdenerwowanej. Powiedziałam, że jeśli dzięki moim wizytom czuje się kobietą, jestem gotowa przychodzić częściej.

– Ach! – zawołała, zaciskając palce na rękawach sukni, aż kostki jej zbieleły. – Ach! Oni mówią dokładnie to samo!

Ponownie zaczęła krążyć od okna do kraty, a gwiazda na jej rękawie odbijała blask lampy gazowej, błyskając niczym snop ostrzegawczego światła. Przypomniałam sobie słowa panny Haxby, o tym jak łatwo kobietom udziela się destruktywny nastrój innej więźniarki. Nie mogłam wyobrazić sobie nic gorszego od Seliny zamkniętej w lochach, Seliny w kaftanie, z obłąkaną i zakrwawioną twarzą.

– Kto tak mówi, Selino? – zapytałam, siląc się na spokój. – Masz na myśli pannę Haxby? Pannę Haxby i kapelana?

– Ha! Gdybyż oni przemawiali tak rozsądnie!

– Sza – powiedziałam. Bałam się, że hałas ściągnie panią Jelf. Doskonale wiedziałam, o

kim mówiła. – Masz na myśli swoich przyjaciół – dodałam.

– Tak – odrzekła. – Ich.

Ich. Nocą, w ciemności, wydają się istnieć naprawdę. Lecz w dniu, który obfitował w tak dramatyczne wydarzenia, uderzyła mnie niedorzeczność jej słów. Chyba zasłoniłam ręką oczy.

– Jestem dzisiaj zbyt zmęczona, żeby wysłuchiwać o duchach – powiedziałam.

– Ty jesteś zmęczona! – wykrzyknęła. – Ty, której nigdy żaden duch nie szeptał do ucha, nie wołał, nie szarpał za rękaw... – Jej oczy pociemniały od łez. Stała w miejscu, mocno obejmując się rękami i dygocząc na całym ciele.

Oświadczyłam, że nie miałam pojęcia, iż jej przyjaciele są takim ciężarem; uważałam, że przynoszą otuchę. Powiedziała, że owszem, przynoszą.

– Przychodzą jednak tak jak ty, a potem znowu mnie opuszczają. A ja zostaję jeszcze bardziej rozbita i zniewolona... jak one. – Wskazała głową na ścianę.

Oddechnęła głęboko i przymknęła oczy. Kiedy tak stała z zaciśniętymi powiekami, podeszłam do niej wreszcie i ujęłam jej dłonie z czystym pragnieniem podniesienia jej na duchu. Chyba mi się udało. Otworzyła oczy; czułam, jak porusza palcami. Wzdrygnęłam się mimowolnie, czując, jak bardzo są zimne i zeszywniałe. Przestałam się troszczyć o zasady. Zdjęłam rękawiczki i włożyłam je na dłonie Seliny, ponownie ujmując jej palce.

– Tak nie można – powiedziała, ale nie cofnęła rąk. Po chwili poczułam, jak lekko napina palce, jakby kontemplowała nieznaną dotyk rękawiczek na skórze.

Stałyśmy tak może minutę.

– Żałuję, że nie możesz ich zatrzymać – powiedziałam. Potrząsnęła głową.

– Wobec tego poproś swoje duchy o rękawiczki. Są bardziej praktyczne niż kwiaty.

Odwróciła się, szepcząc cicho, że wstydziłaby się opowiedzieć mi o rzeczach, o które czasem prosiła. Że prosiła o jedzenie, wodę i mydło, a nawet lusterko, aby móc się przejrzeć. Dodała, że w miarę możliwości przyjaciele spełniali jej prośby.

– Lecz co do innych rzeczy...

Podobno kiedyś poprosiła o klucze do wszystkich zamków w Millbank, zwykły strój i pieniądze.

– Uważasz to za nikczemność? – spytała. Zaprzeczyłam, dodając, iż fakt niespełnienia owej prośby przynosi mi wielką ulgę, gdyż ucieczka nie byłaby dobrym pomysłem. Skinęła głową.

– To samo mi powiedzieli.

– Są mądrzy.

– Są bardzo mądrzy. Czasem tylko trudno pogodzić się z tym, że każą mi tu pozostać, chociaż mogliby mnie uwolnić.

Chyba dostrzegła, że zeszywniałam, słuchając tych słów, gdyż dodała pospiesznie:

– O tak, to oni mnie tu trzymają! Mogliby uwolnić mnie w mgnieniu oka. Nawet teraz, kiedy trzymamy się za ręce. Oni nie musieliby się martwić zamkami.

Zagalopowała się nieco. Cofnęłam dłonie. Powiedziałam, że dobrze, jeśli owe myśli dodają jej otuchy, nie powinny wszakże przesłaniać rzeczywistości.

– To pani Haxby cię tu trzyma, Selino – dodałam. – Pani Haxby, pan Shillitoe i strażniczki.

– To duchy – oświadczyła stanowczo. – Każą mi tu pozostać, dopóki...

– Dopóki co?

– Dopóki nie osiągną celu.

Potrząsnęłam głową, pytając, o jaki cel chodzi. Czy ma na myśli odbycie kary? Jeśli tak, to co z Peterem? Czy to aby nie on powinien zostać ukarany?

– Ależ nie – odrzekła prawie niecierpliwie. – Nie miałam na myśli tego argumentu, argumentu panny Haxby! Miałam na myśli...

Miała na myśli cel duchowy.

– Wspominałaś już o tym – odpowiedziałam. – Nie rozumiałam cię ani wówczas, ani nie rozumiem cię teraz. Myślę, że sama też tego nie rozumiesz.

Kiedy ponownie przeniosła na mnie wzrok, na jej twarzy malował się wyraz powagi. Odezwała się szeptem:

– Chyba zaczynam rozumieć i... bardzo się boję.

Owe słowa, jej twarz oraz gęstniejący mrok sprawiły, że mimo poprzedniej urazy i zakłopotania ponownie uścisnęłam ręce Seliny, po czym zdjawszy rękawiczki, rozgrzałam dłońmi jej palce. Co się stało, spytałam. Czego się boi? Odwróciła się w milczeniu. Rękawiczki spadły na podłogę; schyliłam się, aby je podnieść.

Spadły na chłodne, czyste kamienie. Obok rękawiczek zobaczyłam białą plamę. Lekko połyskiwała; kiedy jej dotknęłam, pękła. Nie była to wilgoć z ociekających ścian.

To był воск.

Wosk. Utkwiłam w nim spojrzenie, czując jak zaczynam dygotać na całym ciele. Wstałam i popatrzyłam na Selinę. Dostrzegła moją bladość, lecz nie odgadła jej przyczyny.

– Co się stało? – spytała. – Co się stało, Auroro? – Drgnęłam, słysząc te słowa, albowiem posłyszałam w nich echo głosu Helen, Helen, która niegdyś nazwała mnie tym

imieniem bohaterki poematu^{*}, i dla której nigdy nie mogłam znaleźć lepszego imienia, gdyż jej własne pasowało do niej jak ulał...

– Co się stało?

Położyłam ręce na jej ramionach. Pomyślałam o Agnes Nash, która twierdziła, że z celi Seliny dochodzą w nocy głosy duchów.

– Czego się boisz? – zapytałam. – Cóż to takiego? Czy to on? Nadal cię nawiedza? Przychodzi do ciebie nocą, nawet tu, nawet teraz?

Pod rękawami więziennej sukni wyczuwałam kruche ramiona z wyraźnie zarysowanymi kośćmi. Wciągnęła powietrze, jakbym sprawiła jej ból; słysząc to, rozluźniłam uścisk i zawstydzona cofnęłam się o krok. Pomyślałam bowiem o woskowej dłoni Petera Quicka. Była ona wszak zamknięta w gablocie o milę stąd, jedynie nieszkodliwy i bezużyteczny odcisk.

A jednak, jednak... ach, tkwiła w tym upiorna logika, która przyprawiła mnie o dreszcze. Dłoń była woskowa, ale ja pomyślałam o czytelniku. Jak tam jest w nocy? Cicho, ciemno i nieruchomo, lecz w gablotach panuje zamieszanie. Wosk łamie się, odcisnięte wargi przeszywa grymas, odlewy przewracają oczami, pogłębia się dołek w rozprostowanej ręce niemowlęcia. Ujrawszy to z całą wyrazistością, odskoczyłam od Seliny i zadrżałam od stóp do głów. Obrzmiałe palce Petera Quicka – widziałam je, widziałam! – prostują się i pełzną po półce, wlokąc za sobą zdrewniałą dłoń. Uchylają szybę, pozostawiając smugi na szkle.

Pozostałe odlewy ozywają i również suną przez pustą czytelnikę; po drodze miękną i zlewają się w jedno, tworząc strumień wosku. Widzę, jak wypływa na ulicę i sunie do Millbank, do uśpionego więzienia: podąża zwirowym językiem przez dziedziniec, sączy się szczelinami, przenika przez kraty, siatki, dziurki od klucza. Wosk bieli się w blasku gazowych lamp, lecz pełnie niezauważony, pełnie bezszelestnie, nie zwracając niczyjej uwagi. Tylko Selina łowi nikły szmer z korytarza. Zobaczyłam, jak wosk wędruje po bielonych ceglach obok jej drzwi, dociera do szczeliny i sączy się do mrocznej celi, by znieruchomieć na lodowatej, kamiennej podłodze. Zobaczyłam, jak rośnie, zrazu ostry jak stalagmit i coraz twardszy.

Następnie przybiera postać Petera Quicka i chwyta ją w objęcia.

Wizja była tak sugestywna, że poczułam mdłości. Selina raz jeszcze podeszła bliżej, a ja ponownie się odsunęłam, po czym spojrzawszy na nią, wybuchnęłam śmiechem, który zabrzmiał potwornie nawet w moich własnych uszach.

^{*} Nawiązanie do poematu Elizabeth Barrett Browning "Aurora Leigh".

– Niewiele masz dziś ze mnie pożytku, Selino – powiedziałam. – Chciałam cię pocieszyć, a sama wystraszyłam się z byle powodu.

Ale to nie był byle powód. Wiedziałam, że to nie byle powód.

Plama wosku odcinała się bielą na podłodze obok buta Seliny. Skąd się tam wzięła? Selina zrobiła jeszcze jeden krok; wosk znalazł się w cieniu jej sukni, a następnie zniknął.

Zabawiłam u niej jeszcze chwilę, zakłopotana i rozkojarzona. Co powiedziałyby strażniczka, widząc mnie w takim stanie? Zapewne dostrzegłaby jakiś znak, jakąś poświęcę lub skazę w moim wyglądzie. Zawsze żywiłam podobne obawy wobec matki, po powrocie od Helen. Zawołałam panią Jelf. Ona jednak patrzyła raczej na Selinę niż na mnie. W milczeniu ruszyliśmy korytarzem. Dopiero przy wyjściu z sektora uniosła rękę do gardła i przemówiła.

– Kobiety były dziś bardzo zdenerwowane, prawda? Biedactwa, po takiej awanturze to normalne.

Naraz uświadomiłam sobie własną niegodziwość. Jak mogłam zostawić Selinę samą, po tym wszystkim, co mi powiedziała! I to z powodu małej plamy zaschniętego wosku! Ale nie śmiałam do niej wrócić. Z wahaniem przystanąłam przy kracie, czując na sobie łagodne spojrzenie ciemnych oczu pani Jelf. Odpowiedziałam, że istotnie były zdenerwowane, a Dawes – Selina Dawes – wydawała się najbardziej poruszona ze wszystkich.

– Cieszę się, że spośród wszystkich strażniczek to właśnie pani sprawuje nad nią pieczę, pani Jelf – dodałam.

Skromnie spuściła wzrok, zapewniając, że ma nadzieję jednakowo służyć pomocą wszystkim więźniarkom.

– Co do Seliny Dawes... cóż, panno Prior, może pani być pewna, że dopóki ja tu jestem, włos jej z głowy nie spadnie.

Włożyła klucz do zamka i dostrzegłam w cieniu błądy zarys jej dużej dłoni. Znowu pomyślałam o strudze wosku i fala mdłości powróciła.

Zapadł zmrok, gęstniejąca mgła zacierała kontury ludzi i przedmiotów. Kiedy po długich poszukiwaniach dorożki usiadłam wreszcie w powozie, oblepiona mgłą suknia zdawała się ciężać ku podłodze. Opary wędrują coraz wyżej. Tak wysoko, że widzę, jak przenikają przez zasłony. Gdy Ellis na polecenie matki przyszła zawołać mnie na kolację, zobaczyła, jak stałam obok lustra, uszczelniając okiennice zwitkami papieru. Zapytała, co robię; przeziebię się i pokaleczę dłonie.

Odrzekłam, że boję się, iż mgła w ciemności wypełni do pokoju i mnie udusi.

25 stycznia 1873

Dziś rano poszłam do pani Brink i oznajmiłam, że muszę jej coś wyznać. Zapytała, czy to dotyczy duchów, a kiedy potwierdziłam, zaprowadziła mnie do swojego pokoju i usiadłyśmy, trzymając się za ręce. "Miałam gościa, pani Brink" – powiedziałam. Zmieniła się na twarzy; wiedziałam, o kim pomyślała, i zawołałam czym prędzej: "Nie, to nie była ona, tylko całkiem nowy duch. To był mój przewodnik, pani Brink, atrybut, na który czeka każde medium. Przyszedł, wreszcie mi się pokazał!". "On do ciebie przyszedł" – odezwała się zakłopotana, na co pokręciłam głową, zapewniając, że w zaświatach płęć traci swe ziemskie znaczenie. Jednakże ów duch był za życia mężczyzną, dlatego nawiedza mnie właśnie w tej postaci. "Przybył, by głosić prawdy spirytyzmu. I pragnie czynić to w pani domu, pani Brink!".

Myślałam, że się ucieszy, ale nie. Wyrwała mi ręce i stanąwszy do mnie tyłem, powiedziała: "Ach, wiem co to znaczy, panno Dawes! To koniec naszych wspólnych seansów! Wiedziałam, że wkrótce panią utracę. Ale nigdy nie sądziłam, że nastąpi to w taki sposób!".

Wówczas zrozumiałam, dlaczego strzegła mnie tak zazdrośnie, prezentując jedynie garstce przyjaciółek. Ze śmiechem ujęłam jej ręce. "Ejże, jak to tak? Czyż mojej mocy nie starczy dla całego świata i pani poza tym? Czy Margery boi się, że mateczka znów ją opuści i więcej nie wróci? Ba, myślę, że jej mateczce będzie łatwiej przyjść, gdy znajdzie się ktoś, kto weźmie ją za rękę i poprowadzi! Jeżeli wszakże odrzucimy pomoc przewodnika, mój talent może okrutnie ucierpieć. Wtenczas trudno byłoby przewidzieć konsekwencje".

Spojrzała na mnie z pobladłą twarzą i zapytała szeptem: "Co mam robić?". Przekazałam jej to, co miałam do przekazania: że powinna zaprosić na jutrzejszy seans sześcioro lub siedmioro przyjaciół, i należy przenieść kotarę do drugiej alkowy, albowiem miałam wizję, że magnetyzm jest tam lepszy niż w pierwszej. Trzeba również przygotować słój nafosforyzowanego oleju, w świetle którego zobaczymy ducha, ja zaś mam dostać do jedzenia tylko odrobinę białego mięsa i kapkę czerwonego wina. Wiem, że to widowisko będzie wspaniałe i zadziwiające, zapewniłam ją na koniec.

Jednakże wcale nie byłam tego pewna i okropnie się bałam. Ale pani Brink zadzwoniła po Ruth i przekazała jej moje słowa, po czym wysłała ją z zaproszeniami do przyjaciółek. Po powrocie oznajmiła, że siedem dam zgłosiło chęć przybycia, a pani Morris zapytała, czy może przyprowadzić siostrzenice, dwie panny Adair, które bawią właśnie u niej i również pragnęłyby się przyłączyć. Tym sposobem gości będzie dziewięcioro; nigdy nie

uczestniczyłam w równie licznych zgromadzeniach. Pani Brink zobaczyła moją minę. "Jakże to, boi się pani? – spytała. – Po tym wszystkim, co mi pani powiedziała?", a Ruth dodała: "Czego tu się bać? Będzie wspaniale".

26 stycznia 1873

Ponieważ była niedziela, rano jak zwykle poszłam do kościoła z panią Brink. Potem jednak siedziałam w swoim pokoju, zesłam na dół tylko po kawałek zimnego kurczaka i rybę, którą Ruth przyrządziła specjalnie dla mnie. Po wypiciu kieliszka grzanego wina uspokoiłam się nieco i nasłuchiwałam głosów nadchodzących gości. Lecz gdy pani Brink wprowadziła mnie do salonu i zobaczyłam krzesła ustawione wokół alkowy, zadrżałam pod baczynym wzrokiem dam. "Nie wiem, co się dziś wydarzy – powiedziałam – zwłaszcza, że są tu obcy. Ale mój przewodnik rozkazał mi to zrobić, muszę więc być mu posłuszna". Ktoś zapytał: "Dlaczego przeniesiono kotarę do alkowy z drzwiami?". Pani Brink powiedziała o lepszym magnetyzmie i poprosiła, aby nie zważać na drzwi, ponieważ nie były otwierane, odkąd pokojówka zgubiła klucz. Poza tym są zasłonięte.

Wszyscy spoglądali na mnie w milczeniu. Oznajmiłam, że powinniśmy usiąść po ciemku i czekać na wiadomość. Po dziesięciu minutach rozległo się pukanie; wyjaśniłam, że to znak, bym zajęła miejsce za kotarą, i kazałam otworzyć słoje z olejem. Moja prośba została spełniona i zobaczyłam niebieskawe światło na suficie ponad zasłoną. Następnie kazałam im śpiewać. Odśpiewały całe dwa hymny, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle coś z tego wyjdzie i nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy martwić. Lecz w chwili kiedy to pomyślałam, coś poruszyło się obok mnie i zawołałam: "Nadchodzi!".

Potem wszystko potoczyło się inaczej, niż oczekiwałam, albowiem ujrzałam mężczyznę: szerokie ramiona, czarne wąsy, czerwone usta. Spojrzałam nań i zapytałam szeptem: "O mój Boże, czy ty istniejesz naprawdę?". Usłyszałam mój drżący głos, jego czoło stało się gładkie niczym tafła wody i z uśmiechem skinął głową. Pani Brink zawołała: "Co się stało, panno Dawes, kto tam jest?". "Nie wiem, co odpowiedzieć" – zwróciłam się do niego, na co nachylił się do mego ucha i szepnął: "Powiedz, że to twój pan". Posłusznie powtórzyłam jego słowa, a on wyszedł zza kotary i usłyszałam okrzyki: "O!", "Litości!", "To duch!". "Kim jesteś, duchu?" – zapytała pani Morris. "Moje pozaziemskie imię brzmi Nieodparty, ale za życia nazywałem się Peter Quick. Wy, śmiertelnicy, nazywajcie mnie ziemskim imieniem, albowiem przychodzę do was jako człowiek!". Któraś z dam powiedziała na głos: "Peter

Quick", a ja powtórzyłam to za nią, gdyż sama słyszałam owo nazwisko po raz pierwszy.

Usłyszałam, jak pani Brink pyta: "Wejdiesz między nas, Peterze?", ale on nie chciał, stał tylko i odpowiadał na pytania, budząc tym samym wielkie zdumienie, ponieważ udzielał odpowiedzi zgodnych z prawdą. Następnie wypalił podanego papierosa, po czym chwycił szklanekę lemoniady, skosztował i zauważył ze śmiechem, że przydałoby się dolać do niej łyżeczkę spirytusu. Gdy ktoś zapytał go, gdzie będzie lemoniada po jego odejściu, odrzekł po chwili namysłu: "W żołądku panny Dawes". Widząc, jak trzyma szklanekę, pani Reynolds spytała, czy może ująć go za rękę. Ogarnęły go wątpliwości, lecz wreszcie pozwolił jej podejść bliżej. "I cóż?" – zapytał, a ona odrzekła: "Jest ciepła i twarda!". Wybuchnął śmiechem. "Och, pragnąłbym, aby pottrzymała ją pani dłużej. Pochodzę z pogranicza, gdzie nie uświadczysz równie pięknych pań". Powiedział to zwrócony w stronę kptary, nie żeby mi dokuczyć, ale jakby chciał rzec: "Słyszysz? Cóż ona może wiedzieć o tym, kogo uważam za piękność?". Ale pani Reynolds zachichotała uszczęśliwiona. Gdy wrócił za zasłonę i dotknął mojej twarzy, doleciało do mnie echo tego śmiechu. Następnie zawołałam, żeby znowu zaczęły śpiewać. Ktoś się zaniepokoił, czy aby nic mi nie jest, a pani Brink odpowiedziała, że materia duchowa wstępuje we mnie na powrót i nie wolno mi przeszkadzać, dopóki ów proces nie dobiegnie końca.

Ponownie zostałam sama. Poleciałam zapalić światło i wyszłam zza kotary, lecz dygotałam tak mocno, że ledwie mogłam utrzymać się na nogach. Widząc to, położyli mnie wnet na sofie. Pani Brink zadzwoniła na służbę; najpierw przybiegła Jenny, a potem Ruth, która zawołała: "Co się stało? Czy to było wspaniałe? Dlaczego panna Dawes jest taka blada?". Kiedy usłyszałam jej głos, zadygotałam jeszcze gwałtowniej, na co pani Brink chwyciła mnie za rękę, pytając, czy nie jestem zbyt osłabiona, a Ruth zdjęła mi pantofle, po czym ujęła moje stopy i pochyliwszy się, ogrzała je swym oddechem. Wreszcie starsza panna Adair kazała jej przestać, po czym sama usiadła obok mnie, a inna pani wzięła mnie za rękę. Panna Adair powiedziała cicho: "Och, panno Dawes, w życiu nie widziałam nic, co mogłoby się z tym równać! Co pani czuła, kiedy przyszedł do pani w ciemności?".

Przed wyjściem dwie lub trzy zostawiły dla mnie pieniądze; słyszałam, jak wręczają je Ruth. Byłam jednak tak znużona, że nie dbałam o wysokość kwoty, najchętniej wpełzłabym w jakiś ciemny zakątek i usnęła. Leżałam na sofie, słuchając jak Ruth zasuwa rygle, a pani Brink krząta się na piętrze w swoim pokoju, a następnie kładzie do łóżka i czeka. Wiedziałam, na kogo czeka. Podeszłam do schodów, unosząc rękę do twarzy. Ruth obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem i kiwnęła głową. "Grzeczna dziewczynka" – powiedziała.

Część trzecia

5 listopada 1874

Wczoraj minęły dwa lata od śmierci mego kochanego ojca, dzisiaj zaś, w kościele w Chelsea, moja siostra Priscilla poślubiła Arthura Barclaya. Opuściła Londyn przynajmniej do początku przyszłego sezonu. Wyjeżdżają na dziesięć tygodni do Włoch, po czym wrócą już prosto do Warwickshire, gdzie mamy do nich pojechać w styczniu i spędzić wspólnie czas aż do wiosny. Na razie wolę o tym nie myśleć. Siedziałam w kościele z matką i Helen, Pris przeszła przez kościół ze Stephenem, a jedno z małych Barclayatek niosło w koszyku jej kwiaty. Miała na głowie biały, koronkowy welon; kiedy podeszła i Arthur podniósł go do góry – cóż, kamienna twarz, jaką zachowywała od sześciu tygodni najwyraźniej przyniosła upragniony rezultat, ponieważ nigdy nie wydawała mi się równie piękna. Matka przycisnęła chusteczkę do oczu, a Ellis łkała w drzwiach. Pris ma teraz, rzecz jasna, własną pokojówkę, przyslaną przez gospodynię z Marishes.

Sądziłam, że widok siostry idącej główną nawą kościoła okaże się dla mnie ciężkim przeżyciem. Ale tak nie było; niewesoły nastrój ogarnął mnie dopiero w chwili pożegnania, gdy zobaczyłam spakowane kufry oraz Priscillę, urocą w musztardowej pelerynce (pierwszy kolorowy ubiór w rodzinie od dwudziestu czterech miesięcy). Obiecała nam paczki z Mediolanu. Podchwyciłam jedno czy dwa zaciekawione lub współczujące spojrzenia rzucone w mój kierunek, lecz nie było ich tyle, co na ślubie Stephena. Wówczas stanowiłam dla matki ciężar. Teraz stałam się jej pociechą. Słyszałam, jak goście mówili to podczas śniadania: "Co za szczęście, że ma pani Margaret, pani Prior. Tak bardzo przypomina ojca! Będzie dla pani pociechą".

Nie jestem dla niej pociechą. Nie chce widzieć w córce twarzy i nawyków męża. Po odejściu gości zobaczyłam, jak krąży po domu, potrząsając głową i wzdychając: "Jak tu cicho!". Zupełnie jakby Pris była dzieckiem, którego okrzyki umilkły zniemacka, pograżając dom w głuchej ciszy. Obie stanęłyśmy na progu jej sypialni i spojrzaliśmy na opróżnione półki. Wszystko zostało spakowane i wysłane do Marishes, nawet zabawki; pewnie Pris zachowa je dla własnych córek.

– Stajemy się domem pustych pokoi – powiedziałam, a matka wydała z siebie kolejne westchnienie.

Następnie podeszła do łóżka i odsunęła jedną z zasłon, a potem narzute, "żeby wilgoć się nie wdała". Zadzwoiła na Vigers i kazała jej zdjąć prześcieradło, wytrześć chodniczki oraz wyczyścić palenisko. Siedziałyśmy w salonie, nasłuchując hałaśliwych odgłosów, a matka

wykrzykiwała z rozdrażnieniem, że Vigers jest niezdarna jak krowa, albo z westchnieniem zerkała na zegar, mówiąc: "Priscilla jest już pewnie w Southampton" bądź: "Pewnie przepływają kanał...".

– Ależ ten zegar hałasuje! – powiedziała za którymś razem. Następnie przeniosła wzrok na miejsce, gdzie dawniej siedziała papuga. – Jak tu cicho, kiedy nie ma Guliwera. Oto minus trzymania zwierząt – dodała – człowiek się przyzwyczaja, a potem tęskni.

Zegar wybijał kolejne godziny. Porozmawiałyśmy o ślubie, gościach, pokojach w Marishes oraz ładnych siostrach Arthura i ich sukniach; wreszcie matka wyciągnęła robótkę i przystąpiła do szycia. Kiedy o dziewiątej jak zwykle wstałam i życzyłam jej dobrej nocy, obrzuciła mnie dziwnym, ostrym spojrzeniem.

– Chyba nie zostawisz mnie tu samej jak palec – burknęła. – Idź po swoją książkę. Poczytasz na głos, od śmierci twojego ojca nikt mi nie czytał.

W przypiływie rosnącej paniki odparłam, że przecież moja książka na pewno jej się nie spodoba. Kazała więc przynieść coś innego, powieść lub zbiór listów; kiedy nie zareagowałam, wstała, podeszła do półki obok kominka i wzięła jakąś książkę. Był to pierwszy tom "Małej Dorrit".

Zaczęłam czytać, podczas gdy ona szyla, co rusz rzucając spojrzenie na zegar. Kazała przynieść herbatę oraz ciasto i cmoknęła, gdy Vigers przechyliła filiżankę. Z Cremorne dobiegł huk fajerwerków przetykany okrzykami i wybuchami śmiechu. Czytałam dalej; słuchała raczej nieuważnie i obojętnie, kiedy jednak umilkłam, skinęła głową, mówiąc:

– Czytaj, Margaret. Czytaj do końca rozdziału.

Czytałam zatem, obserwując matkę spod rzęs, i raptem doznałam przerażającej wizji.

Zobaczyłam, jak się starzeje. Jak robi się stara, przygarbiona, wiecznie zboląta i może trochę głucha. Zobaczyłam, jak gorzknieje, ponieważ gdyby nie jej niezamężna latorośl – jej pociecha, która od wystawnych kolacji i sukien woli wizyty w więzieniu oraz poezję, przez co wcale nie jest taką pociechą – domy syna i ulubionej córki, wesołe, wypełnione szczebiotem dziatwy i wieczną krzątaniną młodych, stanęłyby dla niej otworem. Dlaczego myśląc o odejściu Pris, nie przewidziałam takiego obrotu sprawy? Koncentrowałam się wyłącznie na własnej zawiści. Siedziałam teraz, obserwując matkę, i bałam się, zawstydzona własnym strachem.

Gdy wreszcie poszła spać, podeszłam do okna i stanęłam przy szybie. Pomimo deszczu, za drzewami, na Cremorne, nadal puszczano fajerwerki.

Tak było dzisiaj. Jutro przychodzi Helen ze swą przyjaciółką, panną Palmer. Panna Palmer wkrótce wychodzi za mąż.

Mam dwadzieścia dziewięć lat. Za trzy miesiące skończę trzydzieści. Matka stanie się zboląla i przygarbiona, a ja? Jaka ja wtedy będę?

Będę sucha, blada i cienka jak papier – jak liść zaszuszonej między kartkami grubej księgi i zapomniany. Wczoraj natknęłam się na taki liść – listek bluszczu – wśród książek na półkach za biurkiem papy. Poszłam tam pod pretekstem uporządkowania jego listów, lecz tylko pograżyłam się w rozmyślaniach. Pokój wygląda dokładnie tak, jak go zostawił, pióro na bibule, lak, obcinarka do cygar, lustro...

Pamiętam, jak stanął przed nim dwa tygodnie po ostatecznej diagnozie, po czym z okropnym uśmiechem odwrócił twarz. W dzieciństwie usłyszał od piastunki, że chorzy nie powinni spoglądać na własne odbicie, ponieważ dusze mogą ulecieć w zwierciadło, pozbawiając ich życia.

Długo stałam przez lustrem, szukając w nim jego odbicia, jakiegokolwiek widoku z okresu, zanim umarł. Zostałam tylko ja jedna.

10 listopada 1874

Dziś rano zastałam na dole trzy kapelusze taty na wieszaku oraz jego laskę na dawnym miejscu pod ścianą. Ze strachu stanęłam jak skamieniała. Przypomniałam sobie medalion. Pomyślałam: To sprawka Seliny, jak ja to teraz wytłumaczę? Przyszła Ellis, spojrzała na mnie dziwnie i pospieszyła z wyjaśnieniami. Matka kazała jej przynieść tutaj kapelusze; uważa, iż rzekoma obecność pana domu odstraszy włamywaczy! Poprosiła również policjanta, by patrolował Cheyne Walk; kiedy wychodzę, mężczyzna patrzy w moją stronę i dotyka czapki, mówiąc: "Dzień dobry, panno Prior". Pewnie niedługo mama rozkaże kucharce sypiać z nabitymi pistoletami pod poduszką, jak u państwa Carlyle. Kiedyś biedaczka przewróci się nieszczęśliwie z boku na bok i broń wypali jej prosto w czaszkę, a matka wyrazi ubolewanie z powodu utraty tak wybornej kucharki, bo przecież nikt nie potrafi robić tak pysznych kotletów i *ragout* jak pani Vincent...

Ale, ale, robię się cyniczna. Helen mi to powiedziała. Przyszła dziś wieczorem ze Stephenem. Pozostawiłam ich oboje wraz z matką, lecz chwilę później Helen zastukała do moich drzwi. Robi to często, przychodzi życzyć mi dobrej nocy, zdążyłam do tego przywyknąć. Tym razem jednak miała w ręku fiolkę z chloralem.

– Twoja matka zobaczyła, że idę do ciebie i zapytała, czy mogę zanieść ci lekarstwo – powiedziała, unikając mojego wzroku. – Odpowiedziałam, że pewnie ci się to nie spodoba.

Ale ona narzeka na schody, tłumacząc, że od wchodzenia bołą ją nogi. Wolała powierzyć to zadanie mnie niż służącej.

Żałuję, że nie powierzyła go Vigers.

– Niedługo każe mi je wypijać przy gościach – odparłam. – Byłaś w jej pokoju? Dostałaś przywileju, wiesz, gdzie je trzyma. Mnie nie chce powiedzieć.

Patrzyłam, jak niewprawnie miesza proszek w szklance. Kiedy podała mi lekarstwo, odstawiłam je na biurko.

– Muszę zostać, dopóki nie wypijesz – powiedziała. Zapewniłam, że zrobię to za chwilę. Dodałam, aby się nie martwiła, nie będę zwlekać po to tylko, żeby ją dłużej zatrzymać. Słyszac te słowa, poczerwieniała i odwróciła głowę.

Rankiem przyszedł list od Pris i Arthura; porozmawialiśmy o tym trochę.

– Czy masz pojęcie, jak się tu duszę od ich wesela? – spytałam. – Myślisz, że jestem samolubna?

To zrozumiałe, że przeżywam trudne chwile, odrzekła po chwili wahania.

Spojrzałam na nią, potrząsając głową. Ach, tyle razy to słyszałam! Kiedy miałam dziesięć lat, Stephen poszedł do szkoły: mówiono, że "przeżywam trudne chwile", gdyż mimo bystrości umysłu muszę zadowolić się guwernantką. Sytuacja powtórzyła się, jak wyjechał do Cambridge oraz po jego powrocie, kiedy został wpisany do palestry. Gdy Pris wyrosła na śliczną panienkę, też przeżywałam trudne chwile: jakże by inaczej, skoro sama nie grzeszyłam urodą. Dalej były ślub Stephena, śmierć taty, narodziny Georgy'ego – każde wydarzenie wiodło do następnego i wszyscy twierdzili, że owo ukłucie żalu jest w wypadku starszych, niezamężnych sióstr zjawiskiem całkowicie naturalnym.

– Ale Helen, Helen – dodałam – skoro ich zdaniem to takie trudne, dlaczego odrzucają możliwość zmian, aby uczynić moje życie nieco lżejszym? Czuję, że gdybym miała więcej swobody...

– Swobody? Do czego? – zapytała.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, oznajmiła, że muszę częściej wpadać na Garden Court.

– By oglądać ciebie i Stephena – odrzekłam bezbarwnym głosem. – I dziecko.

Po powrocie Pris na pewno zaprosi nas do Marishes, zapewniła Helen. To pozwoli mi oderwać się od szarej rzeczywistości.

– Marishes! – wykrzyknęłam. – Przy obiedzie posadzą mnie obok syna wikarego i będę spędzać czas w towarzystwie niezamężnej kuzynki Arthura, pomagając jej układać żuki na zielonej tablicy z rypsu.

Helen przyjrzała mi się uważnie. I właśnie wtedy powiedziała, że staję się cyniczna.

Zawsze taka byłam, odparłam, z tą różnicą, że nigdy tak mnie nie nazywała. Wolała mówić, że jestem odważna. Oryginalna. Nawet mnie za to podziwiała.

Raz jeszcze poczerwieniała, a potem westchnęła. Odeszła ode mnie i stanęła przy łóżku.

– Nie podchodź do łóżka! – zawołałam natychmiast. – Nie wiesz, że krążą tam duchy naszych dawnych pocałunków? Nawiedzą cię i przestraszą.

– Och! – zawołała, uderzając pięścią w słupek. Następnie usiadła na łóżku i zasłoniła rękami twarz.

Zapytała, czy mam zamiar dręczyć ją aż do śmierci. Naprawdę uważała mnie za odważną i nie zmieniła zdania. Lecz ja mówiłam o niej to samo.

– Ale ja nigdy nie byłam odważna, Margaret. Nie potrafiłam zdobyć się na to, czego ode mnie oczekiwałaś. Teraz zaś, kiedy mogłybyśmy nadal być przyjaciółkami... ach! Tak gorąco pragnę twej przyjaźni! Lecz ty robisz z tego istną batalię! Bardzo mnie to męczy. – Potrząsnęła głową i przymknęła oczy. Poczulałam płynące od niej znużenie, które ogarnęło i mnie. Ciężko bardziej niż najsilniejsze lekarstwo, ciężko jak nie przymierzając sama śmierć. Popatrzyłam na łóżko. Czasem naprawdę widywałam tam nasze pocałunki; wisiały w fałdach kotar jak nietoperze, gotowe zanurkować w dół. Teraz przyszło mi do głowy, że gdybym potrząsnęła łóżkiem, pospadałyby na ziemię i roztrzaskały się w pył.

– Przepraszam – powiedziałam, dodając niezgodnie z prawdą: – Cieszę się, że spośród wszystkich mężczyzn wybrałaś właśnie Stephena. Musi być dla ciebie bardzo dobry.

Odrzekła, że jest najlepszym człowiekiem, jakiego zna. Następnie zawahała się i wyraziła nadzieję... bo gdybym częściej bywała w towarzystwie... jest przecież wielu dobrych mężczyzn...

Niech sobie będą dobrzy, pomyślałam. Rozsądni i szlachetni. Nigdy nie będą tacy jak ty.

Ale nie powiedziałam tego głośno. Wiem, że to dla niej bez znaczenia. W odpowiedzi rzuciłam jakieś uprzejme, zdawkowe słowa, których nawet nie pamiętam. Po chwili ucałowała mnie w policzek i wyszła.

Zabrała fiolkę z chloralem, lecz zapomniała poczekać, aż wypiję lekarstwo, które nadal stało na moim biurku: woda czysta i rozrzedzona jak łzy, zmętniały chloral na dnie. Przed chwilą odlałam wodę, po czym wybrałam lek łyżeczką. Resztki wygarnęłam palcem do czysta. W ustach mam gorycz, język zdrętwiał do cna. Mogłabym go przygryźć do krwi i wcale bym nie poczuła.

14 listopada 1874

Mam za sobą lekturę dwudziestu rozdziałów "Małej Dorrit" i od tygodnia jestem nienagannie dobra i cierpliwa. Byłyśmy z matką na podwieczorku u państwa Wallace oraz na kolacji w Garden Court z panną Palmer i jej narzeczonym, poszłyśmy nawet wybierać suknie na Hanover Street. Ach, cóż to za obrzydliwe zajęcie, oglądać defilujące dziewczęta o delikatnych podbródkach, afektowanych twarzyczkach i pulchnych szyjkach, podczas gdy sprzedawczyni podnosi fałdy sukni w celu zademonstrowania *faille*, *groseille* bądź *foulard* pod spodem. Zapytałam, czy nie mają nic szarego. Sprzedawczyni spojrzała z powątpiewaniem. A czegoś dopasowanego i prostego? Pokazano mi dziewczynę w sukni przypominającej zbroję. Była drobna i ładnie zbudowana, wyglądała jak kostka w kształtnym buciku. Ja w tej samej sukni prezentowałabym się jak nie przymierzając miecz w pochwie.

Kupiłam parę szarych rękawiczek z kozłej skórki, żałując, że nie mogę dokupić jeszcze tuzina, by ogrzać zmarznięte dłonie Seliny.

Matka zapewne była zdania, że poczyniłyśmy ogromne postępy. Dzisiaj rano podczas śniadania dostałam od niej prezent w srebrnej kasetce. Była to kolekcja zamówionych przez nią bilecików wizytowych. Wzdłuż brzegów biegnie czarny zawijas, pośrodku zaś widnieją nasze imiona, jej wyżej, moje pod spodem, wydrukowane nieco mniej wyszukaną czcionką.

Na ich widok poczułam, jak mój żołądek zaciska się niczym pięść.

Przez blisko dwa tygodnie nie jeździłam do więzienia ani nawet o nim nie wspominałam, wszystko po to, aby jej towarzyszyć. Sądziłam, że odgadła moje intencje i należycie je doceniła. Kiedy jednak wręczyła mi wizytówki, pytając, czy pojedę z nią w odwiedziny, czy też wolę zostać w domu i poczytać, odrzekłam, że najpewniej wybiorę się do Millbank. Spojrzała na mnie ostro i z niekłamanym zdumieniem.

– Do Millbank? – powtórzyła. – Myślałam, że już z tym skończyłaś.

– Skończyłam? Jak mama mogła tak pomyśleć?

Hałaśliwie zatrzasnęła kasetkę.

– Zrobisz, jak zechcesz – oświadczyła. Odrzekłam, że będę postępować tak, jak przed wyjazdem Priscilli.

– Przecież nic prócz tego nie uległo zmianie, prawda?

Nie odpowiedziała.

Jej świeża nerwowość, tydzień spędzony na cierpliwym składaniu wizyt oraz lekturze "Małej Dorrit" i wstrętne, niedorzeczne przekonanie, że skończyłam z wypadami do Millbank

bynajmniej nie poprawiły mi nastroju. Samo więzienie, jak zwykle po dłuższej przerwie, wydało mi się szczególnie posepne, kobiety zaś zgnębione jak nigdy. Ellen Power ma gorączkę i kaszel. Kaszląc, dygocze cała i pluje krwią. Jak widać, dodatkowe mięso i czerwona flanela od dobrej pani Jelf nie przyniosły spodziewanych rezultatów. "Czarnooka Sue", młoda Cyganka od przerwanej ciąży, nosi na twarzy brudny bandaż i musi jeść baraninę palcami. Po niespełna trzytygodniowym pobycie w Millbank, tknięta rozpaczą lub szaleństwem, próbowała wyłupić sobie nożem oko. Podobno je przebiła, powodując trwałą ślepotę. W celach nadal panuje przejmujący ziąb. Zapytałam pannę Ridley, czemu służy przetrzymywanie kobiet w tak nieludzkich warunkach. Rozprzestrzenianiu chorób? W czym ma im pomóc?

– Nie jesteśmy tu po to, aby im pomagać, łaskawa pani – odparła – tylko po to, aby je ukarać. Na świecie żyje zbyt wiele cnotliwych kobiet dotkniętych nędzą, głodem lub chorobą, byśmy zawracały sobie głowę tymi niegodziwymi. – Dodała też, że byłoby im cieplej, gdyby tylko "szyły dostatecznie zwawo".

Jak już wspomniałam, odwiedziłam Power, potem Cook i jeszcze jedną kobietę, Hamer, na końcu zaś zajrzałam do Seliny. Słyszając moje kroki, uniosła głowę; kiedy ponad zgarbionym ramieniem strażniczki napotkała mój wzrok, jej oczy rozbłysły. Wówczas zrozumiałam, ile wysiłku kosztował mnie pobyt nie tylko z dala od Millbank, ale z dala od niej. Poczulałam lekki dreszcz emocji. Chyba takie właśnie doznania towarzyszą kobiecie, gdy po raz pierwszy czuje w łonie ruchy dziecka.

Czy owo nieme, tajemne uczucie w moim przypadku cokolwiek znaczy?

Przestałam się nad tym zastanawiać.

Powitała mnie z taką radością!

– Zeszłym razem okazałaś mi wiele cierpliwości – powiedziała. – A potem, kiedy nie zjawiałaś się tak długo... wiem, że nie minęło wiele czasu, ale godziny w Millbank dłużą się niemiłosiernie. Kiedy nie przychodziłaś, obawiałam się, że zmieniłaś zdanie i postanowiłaś więcej mnie nie odwiedzać...

Przypomniałam sobie ostatnią wizytę, niepokój, jaki we mnie zasiała. Odpowiedziałam, że nie wolno jej tak myśleć; mówiąc to, omiotłam spojrzeniem kamienną podłogę celi: tym razem nie było na niej żadnych plam. Wyjaśniłam, że nie mogłam przychodzić. Obowiązki na pewien czas zatrzymały mnie w domu.

Skinęła głową, ale minę miała niewesołą. Zapytała, czy ma wielu przyjaciół. Powiedziała, że na moim miejscu też wolałaby spędzać czas z nimi zamiast przychodzić do Millbank.

Gdyby tylko wiedziała, jak niemrawo i jednostajnie płyną moje dni! Usiadłam na krześle, opierając rękę o stół. Wytlumaczyłam jej, że Priscilla wyszła za męża, w związku z czym byłam teraz bardziej potrzebna matce.

Pokiwała głową.

– Twoja siostra wyszła za męża. Czy to dobre małżeństwo? – Odpowiedziałam, że bardzo dobre.

– Musisz być z tego powodu bardzo szczęśliwa. – Uśmiechnęłam się bez słowa. Podeszła nieco bliżej.

– Myślę, Auroro, że chyba trochę zazdrościsz siostrze. – Odrzekłam, że tak, istotnie.

– Ale nie dlatego, że ma męża, o nie! – wyjaśniłam. – Dlatego, że... jak to określić? Ponieważ "awansowała", podobnie jak twoje duchy. Poszła o krok dalej, podczas gdy ja tkwię w punkcie wyjścia bardziej niż kiedykolwiek.

– Dokładnie tak jak ja – zauważyła. – Jak wszystkie kobiety w Millbank.

Przytaknęłam. Tylko każda z nich miała w perspektywie koniec wyroku...

Opuściłam wzrok, czując na sobie jej spojrzenie. Poprosiła, abym opowiedziała coś więcej o siostrze. Odrzekłam, że uzna mnie za samolubną.

– Ach! – zawołała natychmiast. – Nawet nie przyszłoby mi to do głowy.

– Ależ tak. Czy uwierzysz, że nie mogłam na nią patrzeć, kiedy wyjeżdżała na miesiąc miodowy. Nie mogłam jej uściskać ani pożegnać. Wtedy rzeczywiście byłam zazdrosna! Zupełnie jakby w moich żyłach nie płynęła krew, tylko ocet! – Urwałam.

Nadal studiowała mnie badawczo. Wreszcie powiedziała cicho, że w Millbank mogę bez przeszkód zdradzać swe najskrytsze tajemnice. Tutaj usłyszą mnie tylko nieme ściany – i ona, nakazem zmuszona do milczenia. Mówiła to już wcześniej, lecz dopiero teraz uderzyło mnie znaczenie tych słów; gdy się wreszcie odezwałam, czułam, jakby zdania, nawlezione dotąd w mej piersi na niewidzialną nitkę, wydzierano ze mnie przemocą.

– Moja siostra pojechała do Włoch, Selino – wyrzuciłam z siebie. – Też miałam tam kiedyś jechać, wraz z ojcem i... i przyjaciółką.

Oczywiście nigdy dotąd nie wspominałam w Millbank o Helen. Teraz powiedziałam tylko, że planowaliśmy wizytę w Rzymie i Florencji, że ojciec pragnął zajrzeć do tamtejszych archiwów i galerii, a moja przyjaciółka i ja miałyśmy mu pomagać. Wyznałam, że Włochy stały się moją obsesją, rodzajem symbolu.

– Chcieliśmy pojechać tam przed ślubem Priscilli, żeby nie zostawiać matki samej. Teraz Priscilla wyszła za męża. I pojechała do Włoch, nie oglądając się na moje uczucia. A ja...

Pomimo że nie płakałam od wielu miesięcy, ku swemu przerażeniu poczułam że

wstydem, że łzy cisną mi się do oczu. Zwróciłam twarz ku zawilgoconej ścianie. Kiedy ponownie odwróciłam się do Seliny, stała bardzo blisko mnie. Nachylona nad stołem, opierała twarz na rękach.

Podobnie jak Helen przed tygodniem, powiedziała, że jestem bardzo odważna. Słyszac to ponownie, mało nie wybuchnęłam śmiechem. Odważna! Zaiste, mężnie znoszę własne utyskiwanie! Najchętniej wyparłabym się samej siebie, ale nie, nie mogę, nie wolno mi nawet tego...

– Odważna – powtórzyła, potrząsając głową – ponieważ przychodzisz tutaj, do Millbank, do tych, które na ciebie czekają...

Stała blisko mnie, wokół nas panował przenikliwy ziąb. Czułam płynące od niej ciepło. Nie odrywając ode mnie spojrzenia, wyprostowała się i przeciągnęła.

– Zazdrościsz siostrze – ciągnęła. – Czy tak naprawdę masz jej czego zazdrościć? Na czym polegają jej dokonania? Uważasz, że wspięła się o szczebel wyżej, ale czy rzeczywiście? Czy aby nie zrobiła dokładnie tego, co wszyscy wokół? Po prostu zyskała więcej tego samego. Czy wymagało to szczególnej mądrości?

Pomyślałam o Pris, która – podobnie jak Stephen – zawsze lepiej porozumiewała się z matką, podczas gdy ja wołałam ojca. Wyobraziłam ją sobie za dwadzieścia lat, jak strofuje córki. Odparłam, że ludzie nie oczekują mądrości, przynajmniej nie ze strony kobiet.

– Kobiety przychodzą na świat, aby zyskiwać więcej tego samego – dorzuciłam. – Na tym polega ich rola. Jedynie osoby takie jak ja kwestionują istniejący system i podkopują jego fundamenty...

– Powtarzalność czynności – odpowiedziała Selina – trzyma nas przy ziemi, podczas gdy powinniśmy ulecieć ponad nią, lecz dopóki się nie zmienimy, dopóty nie mamy co na to liczyć. A co do kobiet i mężczyzn... cóż, w pierwszej kolejności należałoby wyeliminować właśnie to.

Nie zrozumiałam. Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Czyżbyś sądziła, że wstępując do wyższej sfery, zabierzemy ze sobą nasze ziemskie cechy? Tylko nowe, oszołomione duchy poszukują w sobie oznak cielesności. Widzą przewodnika i nie wiedzą, jak się doń zwracać. Pytają: "Jesteś kobietą czy mężczyzną?". Lecz przewodnik jest zarówno obojgiem, jak i żadnym z nich. Dopiero kiedy to pojmą, mogą ruszyć w dalszą drogę.

Próbowałam wyobrazić sobie świat, o którym mówiła, świat zamieszkały przez ojca. Wyobraziłam sobie tatę, nagiego i bezpłciowego, oraz siebie u jego boku. Wizja była tak zatrważająca, że pot wystąpił mi na czoło.

Nie, jej słowa były pozbawione sensu. To niemożliwe. Jakim cudem? Nastalby chaos!

– Nastalaby wolność.

– Mielibyśmy do czynienia ze światem pozbawionym cech indywidualnych. Ze światem bez miłości.

– Ze światem stworzonym z miłości. Czy uważasz, że istnieje tylko rodzaj miłości, jaką twoja siostra darzy męża? Myślisz, że tu na przykład stoi wąsaty mężczyzna, a tam kobieta w sukni? Czy ci nie mówiłam, że w wyższej sferze nie ma podziału na wąsy i suknie? Co zrobi twoja siostra, jeśli jej mąż umrze, a ona weźmie sobie następnego? Do kogo poleci, kiedy już dokona żywota? Albowiem nie ma wątpliwości, że do kogoś poleci, wszyscy do kogoś polecimy, powrócimy do fragmentu lśniącej materii, od którego przemocą nas oderwano, a z którym tworzymy całość. Może tak się składać, że obecny mąż twej siostry stanowi jej drugą połówkę tworzącą więź z jej duszą. Oby tak właśnie było. Może być nią jednak kolejny mąż, albo żaden z nich. Może być to ktoś, na kogo za życia nigdy by nie spojrzała, od kogo dzieli ją jakaś fałszywa bariera.

Aż dziw bierze, jakże niezwykła była ta nasza rozmowa, prowadzona za zamkniętą kratą, pod czujnym okiem patrolującej pani Jelf, wśród kaszlu i utyskiwania trzystu kobiet oraz grzechotu kluczy i rygli. Lecz pod spojrzeniem zielonych oczu Seliny zapomniałam o bożym świecie. Patrzyłam tylko na nią, słyszałam jej głos, kiedy zaś wreszcie udało mi się przemówić, zadałam jej pytanie:

– Jak rozpoznać ową pokrewną duszę, Selino?

– To się czuje – odparła. – Czy szukasz powietrza, chcąc głęboko odetchnąć? Owa miłość przyjdzie, a gdy to nastąpi, będziesz wiedziała. Wówczas uczynisz wszystko, aby ją zatrzymać, ponieważ utrata oznaczałaby twoją śmierć.

W dalszym ciągu spoglądała na mnie, lecz teraz jej spojrzenie nabrało dziwnego wyrazu. Popatrzyła na mnie, jak gdyby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Następnie odwróciła się, jakby zawstydzona własną otwartością.

Raz jeszcze spojrzałam na podłogę. Plama wosku zniknęła.

20 listopada 1874

Kolejny list od Priscilli i Arthura, tym razem z Włoch, z Piacenzy. Kiedy opowiedziałam o nim Selinie, kazała mi powtórzyć nazwę miejscowości trzy– albo czterokrotnie: "Piacenza, Piacenza..." – i uśmiechnęła się, zasłuchana.

– Brzmi bardzo poetycznie – stwierdziła.

Wyznałam, że dawniej podzielałam jej zdanie. Za życia taty leżałam często w łóżku z otwartymi oczami i zamiast pacierza, odmawiałam litanie włoskich miast – Weronę, Reggio, Rimini, Como, Parma, Piacenza, Cosenza, Mediolan... I godzinami wyobrażałam sobie podróż do tych miejsc.

– Przecież jeszcze nic straconego – odrzekła.

– Chyba jednak tak – powiedziałam z uśmiechem.

– Przed tobą wiele lat życia – zaproponowała.

– Ale już nigdy nie pojedę tam taka, jak wówczas.

– Ale taka, jak teraz – odparta. – Albo taka, jaka wkrótce będziesz.

I popatrzyła mi w oczy, aż byłam zmuszona odwrócić głowę.

Następnie zapytała, na czym polegała moja fascynacja tym krajem.

– Ach, Włochy muszą być najdoskonalszym miejscem na ziemi! – zawołałam bez chwili zastanowienia.

Spędziłam tyle lat, pomagając ojcu w pracy, widziałam w książkach i na rycinach tyle cudownych obrazów i posągów – w czerni, bieli, szarości, przydymionym szkarłacie.

– Ale odwiedzić Uffizi, Watykan – dodałam – wejść do wiejskiego kościoła ozdobionego freskami byłoby niczym wstąpić w świat barwy i światła!

Opowiedziałam Selinie o domu we Florencji, na Via Ghibellina, gdzie można obejrzeć pokoje Michała Anioła, zobaczyć jego pantofle i laskę, sekretarzyk, na którym pisał. To dopiero coś! Albo odwiedzić mauzoleum Dantego w Rawennie.

– Wyobraź sobie dni, długie i ciepłe przez okrągły rok. Wyobraź sobie place z fontannami i obsypane kwieciami drzewka pomarańczowe; ich słodka woń wypełnia ulice, podczas gdy nasze wypełnia tylko mgła! Ludzi, szczerych i prostolinijnych. My, Angielki, możemy tam spacerować bez przeszkód. Tylko pomyśl, jak migocze tamtejsze morze! Wyobraź sobie Wenecję, która tak dalece do niego przynależy, że musisz wynająć łódź, by dopłynąć na drugi koniec miasta...

Bez opamiętania mówiłam dalej. Naraz dotarło do mnie brzmienie tych słów i zobaczyłam, jak Selina przysłuchuje się im z uśmiechem. Stała z twarzą na wpół zwróconą do okna; padające światło łagodziło ostre, asymetryczne rysy, nadając im subtelną linię. Przypomniałam sobie, co czułam, widząc ją po raz pierwszy, jak dalece przypominała "Veritas" Crivellego. Musiałam zmienić się na twarzy, gdyż spojrzała na mnie pytająco. Dlaczego umilkłam? O czym myślę?

Wy tłumaczyłam, że myślę o galerii we Florencji i jednym z wiszących tam obrazów.

Zapytała, czy o tym, który miałam oglądać wraz z ojcem i przyjaciółką? Zaprzeczyłam; nie, wówczas jeszcze ów obraz nic dla mnie nie znaczył...

Zmarszczyła brwi, kiedy zaś odmówiłam dalszych wyjaśnień, potrząsnęła głową i wybuchnęła śmiechem.

Musi uważać, by więcej tego nie zrobić. Bowiem gdy pani Jelf wypuściła mnie z celi i dotarłam do bramy dzielącej więzienie dla kobiet od więzienia dla mężczyzn, usłyszałam wołanie. Rozejrzawszy się, zobaczyłam pannę Haxby, która zmierzała ku mnie z oficjalnym wyrazem twarzy. Nie widziałam przełożonej od czasu wyprawy do lochów; trzymałam się jej wówczas tak kurczowo, że samo wspomnienie wywołało u mnie rumieniec. Zapytała, czy poświęcę jej chwilę. Kiedy skinęłam głową, odprawiła towarzyszącą mi strażniczkę i sama wyprowadziła mnie przez bramę.

– Jakże się pani miewa, panno Prior? – spytała. – Widziałyśmy się ostatnio w nader niesprzyjających okolicznościach, w związku z czym nie miałam okazji zapytać o pani postępy. Musi pani uważać mnie za opieszłą.

Dodała, że w rzeczywistości opiekę nad mną powierzyła strażniczkom; słały jej sprawozdania, "zwłaszcza moja zastępczyni, panna Ridley", wedle których radziłam sobie świetnie bez niczyjej pomocy.

Dotąd nie przyszło mi do głowy, iż mogę być tematem "sprawozdań" tudzież jakiegokolwiek wymiany poglądów pomiędzy panną Haxby a jej podwładnymi. Pomyślałam o wielkiej księdze spoczywającej na biurku przełożonej. Ciekawe, czy widnieje tam specjalny dział poświęcony damom wizytującym.

Mimo to odrzekłam, że wszystkie strażniczki okazały mi wiele wsparcia i życzliwości. Stanęłyśmy przed kolejną bramą, czekając, aż strażnik przekręci klucz w zamku; oczywiście klucze panny Haxby są tutaj bezużyteczne. Zapytała mnie, co sądzę o więźniarkach. Dodała, że kilka z nich – Ellen Power, Mary Ann Cook – wypowiadało się o mnie z wielką sympatią.

– Zaskarbiła sobie pani ich przyjaźń! – powiedziała. – Doceniają to. Uwaga damy budzi w nich bowiem zainteresowanie własnym losem.

Wyraziłam nadzieję, iż tak właśnie jest. Panna Haxby zerknęła na mnie przelotnie.

– Naturalnie zawsze istnieje ryzyko – zauważyła – że owa przyjaźń zwiedzie więźniarkę na manowce, powodując nadmierne zainteresowanie własną osobą. Nasze podopieczne spędzają większość czasu w samotności, co niekiedy pobudza ich wyobraźnię. Przychodzi dama, nazywa je przyjaciółkami, po czym wraca do swojego świata, o którym więźniarka nie ma zwykle bladego pojęcia.

Miała nadzieję, że jestem świadoma owego niebezpieczeństwa. Kiedy zapewniłam, że

tak, odparła, iż znajomość teorii nie zawsze sprawdza się w praktyce.

– Zastanawiam się – powiedziała wreszcie – czy nie darzy pani niektórych pensjonariuszek specjalnymi... względami.

Chyba na moment zwolniłam kroku, a następnie ruszyłam naprzód nieco energiczniej niż poprzednio. Naturalnie wiedziałam, kogo ma na myśli, odgadłam to natychmiast.

– Których, panno Haxby? – zapytałam przekornie.

– Zwłaszcza jednej, panno Prior. – Uparcie unikałam jej spojrzenia.

– Domyślam się, że chodzi o Selinę Dawes? – zapytałam. Kiwnęła głową. Oświadczyła, że według relacji strażniczek najwięcej czasu spędzam właśnie w celi Dawes.

Panna Ridley ma długi język, pomyślałam z goryczą. Ale tego należało się spodziewać. Odebrali jej włosy, ubrania. Kazał jej się pocić we wstrętnej, więziennej sukni, niszczyć delikatne dłonie bezsensowną pracą: to oczywiście, że zechcą pozbawić ją również okruczeństwa i otuchy, jaką czerpie z moich wizyt. I ponownie przypomniałam sobie chwilę, kiedy ujrzałam Selinę po raz pierwszy, z fiołkiem. Od początku było dla mnie jasne, że gdyby znaleźli u niej ten kwiat, zabraliby go i podeptali. Tak samo teraz chcieli zdeptać naszą przyjaźń. Była "wbrew przepisom".

Miałam dość oleju w głowie, by ukryć rozgoryczenie. Wyjaśniłam, że owszem, zainteresował mnie przypadek Dawes; sądziłam, że wizytujący ma prawo traktować każdego więźnia indywidualnie. Tak jest, odrzekła panna Haxby. Moje poprzedniczki niosły wsparcie wielu dziewczętom, znajdowały im pracę i pomagały zacząć nowe życie, z dala od wstydlivej przeszłości i starych wpływów, a niekiedy z dala od samej Anglii, w koloniach, gdzie znajdowały mężów.

Czy mam tego rodzaju plany wobec Seliny Dawes, zapytała, obrzucając mnie bystrym spojrzeniem.

Odpowiedziałam, że nie mam wobec Seliny żadnych planów. Chciałam jedynie dodać jej otuchy, której tak bardzo potrzebuje.

– Przecież pani o tym wie – dorzuciłam. – Zna pani jej losy. I wie, że znalazła się w szczególnej sytuacji. To nie dziewczyna, której można znaleźć posadę pokojówki. Jest wrażliwa i myśląca. Więzienny rygor stanowi dla niej ciężką próbę, cięższą niż dla pozostałych kobiet.

– Przyniosła pani do nas swój pogląd na świat – odparła po chwili panna Haxby. – My jednak mamy nieco zawężoną perspektywę. – Uśmiechnęła się, ponieważ właśnie zmuszone byłyśmy spłaszczyć suknie i iść jedna za drugą. Dodała, że "specjalne traktowanie" nie jest wskazane, chyba że sama uzna je za stosowne. Dawes dostała już tego przywileju. Jeśli zaś

nadal będę wyróżniać jedną więźniarkę, nie tylko spotęguje to jej niezadowolenie z własnego losu, ale i wzbudzi niechęć pozostałych kobiet.

Krótko mówiąc, ona i jej podwładne będą mi głęboko wdzięczne, jeśli w przyszłości ograniczę wizyty u Dawes i postaram się je skrócić.

Odwróciłam głowę. Początkowe rozgoryczenie przemieniło się w lęk. Przypomniałam sobie śmiech Seliny: podczas moich pierwszych wizyt nawet się nie uśmiechała, była smutna i zasepiona. Zapewniała, że wyczekuje moich odwiedzin, gdyż czas w Millbank dłuży się tak bardzo, iż moja nieobecność budzi w niej dotkliwie rozczarowanie. Jeśli teraz przestanie mnie widywać, pomyślałam, równie dobrze mogliby zamknąć ją w lochu!

Niech więc zamkną i mnie, dorzucił głos w mojej głowie.

Postanowiłam nie dać nic po sobie poznać. Panna Haxby wciąż patrzyła na mnie badawczo; strażnik przy bramie również rzucił mi zaciekawione spojrzenie. Poczułam, że się rumienię i mocno spłotłam przed sobą ręce. Za naszymi plecami zabrzmiały kroki; odwróciwszy się, zobaczyłam pana Shillitoe. Zawołał mnie.

– Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności – powiedział. Skinął głową pannie Haxby i ujął moją dłoń, pytając o przebieg wizyt.

– Wizyty nie budzą moich zastrzeżeń – odrzekłam. Na szczęście mój głos zabrzmiał spokojnie. – Panna Haxby udzieliła mi jednak pewnych wskazówek.

– Ach tak? – zainteresował się pan Shillitoe.

Panna Haxby wtrąciła, że przestrzegła mnie przed faworyzowaniem niektórych więźniarek. Owa "protekcja" mogłaby bowiem okazać się nieprzewidywalna w skutkach. Chodzi o Dawes, tę spirytystkę.

– Ach tak – powtórzył nieco innym tonem pan Shillitoe. Dodał, iż często rozmyśla o Selinie Dawes i o tym, jak odbiera swe nowe położenie.

Bardzo źle, odpowiedziałam. Dodałam, że jest słaba, co bynajmniej go nie zdziwiło. Wszystkie osoby jej pokroju łatwo podupadają na zdrowiu; czyni je to bardziej podatnymi na nienaturalne wpływy, które określają mianem "duchowych". Duchowe czy nie, nie ma w nich pierwiastka boskiego – żadnego dobra ani świętości – co zawsze w końcu odsłania ich prawdziwe, nikczemne oblicze. Dawes stanowi doskonale potwierdzenie tej teorii! Najchętniej ujrzałby obok niej wszystkich spirytystów z całej Anglii!

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Panna Haxby szczerzej otuliła się mantylą. Po chwili przyznałam mu rację. Moim zdaniem Dawes istotnie padła ofiarą jakiejś niewytłumaczalnej siły. Była jednak wrażliwą dziewczyną i ciężko znosiła więzienny żywot. Potrzebowała wsparcia.

– Ma wsparcie strażniczek – wtrąciła panna Haxby. – Podobnie zresztą jak jej współtowarzyszki.

Wyjaśniłam, że potrzebowała wsparcia wizytującej – przyjaciela, osoby z zewnątrz. Potrzebowała czegoś, na czym może skupić swe myśli podczas pracy i odpoczynku, a szczególnie nocą, gdy wokół zalega cisza.

– Wtedy bowiem najbardziej odczuwa działanie owych niszczycielskich sił. Jak wspomniałam, jest słaba. One zaś wzmagają jej lęki.

Panna Haxby odrzekła, że gdyby miała pobłażać każdej więźniarce, którą dopadają "lęki", musiałyby zatrudnić cały zastęp wizytujących!

Ale pan Shillitoe zmrużył oczy i postukał butem o kamienną podłogę, pogrążony w głębokim namyśle. Obie utkwiliśmy wzrok w jego twarzy: stałyśmy przed nim niczym dwie zawzięte matki – prawdziwa i fałszywa – przed Salomonem, wyklócając się o dziecko...

Wreszcie pan Shillitoe popatrzył na pannę Haxby i powiedział, iż jest skłonny przyznać mi rację. Cięży na nich bowiem podwójny obowiązek wobec więźniarek: zarówno by je karać, jak i chronić. Być może w przypadku Dawes należałoby stosować to drugie, choć z nieco większą... rozważą. A zastęp wizytujących istotnie byłby jak znalazł!

– Powinniśmy być wdzięczni panie Prior za jej starania.

Panna Haxby pospieszyła z zapewnieniem o swojej wdzięczności. Dygnęła; klucze u jej pasa zadźwięczały. Kiedy odeszła, pan Shillitoe ponownie ujął moją rękę.

– Ojciec byłby z pani bardzo dumny!

10 marca 1873

Na seanse przychodzi teraz tyle osób, że gdy pokój wypełni się cały, Jenny staje w drzwiach i zbiera bileciki, prosząc, aby goście zjawili się kiedy indziej. Przychodzą głównie kobiety, choć bywa, że niektóre przyprowadzają dżentelmenów. Peter woli damy. Podchodzi blisko nich, pozwala wziąć się za rękę i dotknąć wąsów. Przypalają mu papierosy. Mówi: "Do kaduka, ależ z pani ślicznotka! Po tej stronie rajy nie widziałem ładniejszej!". One wtedy wybuchają śmiechem i karcą go żartobliwie. Myślą, że pocałunki ducha się nie liczą.

Panom dokucza. "Ten jegomość złożył w zeszłym tygodniu wizytę całkiem niebrzydkiej panience – oznajmia. – Bukiet bardzo jej się spodobał!". Następnie kieruje wzrok na żonę i gwizdząc pod nosem, dodaje: "Taaakie buty, ani słowa więcej, umiem dochować tajemnicy!". Dzisiaj wieczorem towarzyszył nam niejaki pan Harvey, który przyszedł w jedwabnym kapeluszu. Peter wziął ów kapelusz i paradował w nim po salonie. "Patrzcie, jaki ze mnie elegant. Jestem Peter Quick z Savile Row. Szkoda, że nie widzą mnie inne duchy". Pan Harvey pozwolił mu zatrzymać kapelusz, za co Peter był niezmiernie wdzięczny. Kiedy jednak wrócił za kotarę, nachylił się ku mnie i spytał szeptem: "Co mam z nim teraz zrobić? Wsadzić do nocnika pani Brink?". Parsknęłam śmiechem, co nie uszło uwadze obecnych i musiałam zawołać, że Peter mi dokucza.

Kiedy później zajrzeli za zasłonę, oczywiście nic tam nie było i wszyscy kręcili głowami, wyobrażając sobie, że Peter wrócił w zaświaty w kapeluszu pana Harveya. Kapelusz znalazł się w przedpokoju; miał zniszczone rondo i dziurawe denko. Pan Harvey doszedł do wniosku, że pewnie był zbyt "namacalny", by przetrwać podróż w zaświaty i że Peter wykazał zadziwiającą odwagę, próbując go zabrać. Trzymał kapelusz tak, jakby miał w ręku cenny eksponat. Powiedział, że umieści go w gablotce jako trofeum spirytystyczne.

Ruth powiedziała mi potem, że kapelusz nie pochodził wcale z Savile Row, tylko od taniego krawca z Bayswater. I że pan Harvey może udawać bogacza, ale na kapeluszach nie zna się w ogóle.

21 listopada 1874

Jeszcze nie ma północy; jest okropnie zimno i ponuro, a ja czuję się wyczerpana i oszołomiona chloralem, ale w domu panuje spokój, dlatego muszę to napisać. Otrzymałam kolejny znak od duchów Seliny. A gdzież mogę o nim opowiedzieć, jeśli nie tutaj?

Wydarzyło się to, kiedy przebywałam w Garden Court. Poszłam tam dzisiaj rano i zabawiłam do trzeciej, po powrocie zaś swoim zwyczajem udałam się prosto na górę, do pokoju. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak. W pomieszczeniu panował mrok, dlatego bardziej wyczułam zmianę, niż ją dostrzegłam. Uderzyła mnie straszna myśl, że może matka znalazła dziennik i go przeczytała.

Ale nie chodziło o dziennik; postąpiwszy kolejny krok do przodu, zrozumiałam. Na biurku stały kwiaty w wazonie przestawionym z półki nad kominkiem. Były to kwitnące gałązki drzewka pomarańczowego... drzewko pomarańczowe, w samym sercu angielskiej jesieni!

Nie mogłam się ruszyć z miejsca. Stałam w płaszczu, z rękawiczkami w zaciśniętej pięści. Płonął ogień w kominku, powietrze było ciepłe i przesycone aromatem kwiatów: to właśnie ów zapach musiał zwrócić moją uwagę, gdy tylko weszłam do pokoju. Zadrżałam. Chciała zrobić mi przyjemność, pomyślałam, a przeraziła mnie śmiertelnie. Kwiaty wzbudziły we mnie paniczny strach!

Ależ z ciebie idiotka, zawstydzila mnie kolejna myśl. A kapelusze taty na wieszaku? Kwiaty z całą pewnością pochodzą od Priscilli. Musiała przysłać je z Włoch... Podeszłam do wazonu i wtuliłam w nie twarz. Prezent od Pris, pomyślałam. Od Pris. I ogarnęło mnie rozczarowanie, równie dotkliwe jak poprzedni strach.

Mimo to nadal nie byłam pewna. Uznałam, że muszę to wyjaśnić. Odstawiwszy wazon, zadzwoniłam po Ellis i spacerowałam po pokoju, dopóki nie usłyszałam pukania. Ale to nie była Ellis: zamiast niej zjawiała się Vigers, jakby bledsza i szczuplejsza niż zwykle, z rękawami podwiniętymi do łokci. Wyjaśniła, że Ellis nakrywa do stołu, i tylko ona lub kucharka mogły przyjść na moje wezwanie.

- Nie szkodzi – odrzekłam. – Wszystko jedno. – Kto przyniósł te kwiaty? – zapytałam.
- Obrzuciła bezmyślnym spojrzeniem biurko i wazon, po czym znów popatrzyła na mnie.
- Że jak, panienko?

Kwiaty! Przecież nie było ich tu, kiedy wychodziłam. Ktoś przyniósł je do domu i ustawił w wazonie z majoliki. Ona? Nie, nie ona. Czy spędziła w domu cały dzień? Tak jest.

Wobec tego musiał przyjść posłaniec z przesyłką. Od kogo nadeszła? Od mojej siostry, panny Priscilli – pani Barclay – z Włoch?

Vigers nie miała pojęcia.

Zapytałam, czy ma pojęcie o czymkolwiek. Kazałam jej sprowadzić Ellis. Posłusznie zbiegła na dół, po czym obie stanęły w drzwiach i patrzyły, jak krążę po pokoju, gestykulując nerwowo. Kwiaty! Kwiaty! Kto przyniósł je do mojego pokoju i postawił w wazonie? Kto odebrał paczkę przysланą przez siostrę?

– Paczkę, panienko? – Nie było żadnych paczek. Żadnych paczek od Priscilli? Od nikogo. Ponownie owładnął mną strach. Podniosłam rękę do ust; jej drżenie nie uszło uwagi Ellis. Zapytała, czy ma zabrać kwiaty. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie wiedziałam, co rzec ani jak się zachować. Pokojówki spoglądały na mnie wyczekująco. Nagle z dołu usłyszałam trzaśnięcie drzwi i szelest matczynej sukni.

– Ellis? Ellis, czy ty tam jesteś? – Matka dzwoniła na nią i zirytowana długim czekaniem wyszła na korytarz.

– Dostyc już, wystarczy! – powiedziałam szybko. – Zostawcie kwiaty i idźcie!

Ale matka okazała się szybsza niż ja. Popatrzawszy w górę, zobaczyła obie pokojówki stojące w progu mojego pokoju.

– O co chodzi, Ellis? Czy to ty, Margaret? – Na schodach zabrzmiały jej kroki. Usłyszałam, jak Ellis odwraca się i mówi, że panna Margaret pyta o kwiaty. Kwiaty? Jakże znowu kwiaty?

– Nic się nie stało, mammo! – zawołałam. Ellis i Vigers nadal sterczały w drzwiach. – Idźcie sobie – poleciłam. – No idźcie.

Ale matka wyrosła za ich plecami, zastępując drogę. Spojrzała na mnie, a potem na biurko.

– Cóż za śliczny bukiet! – Ponownie przeniosła na mnie wzrok. – O co chodzi? – zapytała. – Dlaczego jesteś taka błada? I dlaczego tu tak ciemno?

Kazała Vigers zapalić lampę.

Odrzekłam, że nic się nie stało. Pomyliłam się i niepotrzebnie zawracałam głowę służącym.

– Pomyliłaś się – powtórzyła matka. – A cóż to ma znaczyć? Ellis?

– Panna Prior mówiła, że nie wie, kto przyniósł kwiaty, psze pani.

– Nie wie? Margaret, jak możesz tego nie wiedzieć?

Odpowiedziałam, że wiem, tylko coś mi się pomieszało. Powiedziałam... powiedziałam, że sama przyniosłam kwiaty. Nie patrząc jej w oczy, widziałam wyraźnie, jak marszczy brwi.

Wreszcie mruknęła coś do pokojówek, które natychmiast opuściły pokój, po czym weszła do środka i zamknęła drzwi. Poczułam się nieswojo: zwykle zagląda tu tylko wieczorami. Zapytała, co to za brednie. Wciąż unikając jej wzroku, odrzekłam, że to nie żadne brednie, lecz niemądra pomyłka. I lepiej niech idzie, bo muszę zdjąć buty i zmienić suknię. Zaczęłam krzątać się po pokoju, powiesiłam płaszcz i upuściłam rękawiczki. Podniosłam je, po czym upuściłam ponownie.

Jak to: pomyłka? Jak mogłam kupić kwiaty, a potem o tym zapomnieć? Gdzie ja miałam głowę? I jak mogłam stracić panowanie nad sobą w obecności pokojówek...

Odpowiedziałam, że wcale nie straciłam panowania nad sobą; głos zadrżał mi jednak niebezpiecznie. Podeszła trochę bliżej. Wykonałam niezdarny gest, kładąc sobie dłoń na ramieniu, zanim zdążyła zacisnąć na nim palce, i stanęłam do niej bokiem. Wówczas mój wzrok padł na kwiaty i złowiłam w nozdrza ich zapach, mocniejszy niż przedtem. Odwróciłam się gwałtownie. Jeśli matka zaraz stąd nie wyjdzie, pomyślałam, rozplaczę się albo ją uderzę!

Ona jednak nie dawała za wygraną.

– Dobrze się czujesz? – spytała, a gdy milczałam, sama odpowiedziała: – Niedobrze.

Widziała, co się święci. Zbyt często przebywałam poza domem, co dla mnie niewskazane. Sama się prosiłam o nawrót choroby.

– Ale ja czuję się doskonale! – zaoponowałam.

Doskonale? Czy aby na pewno słyszę swój głos? Czy zdaję sobie sprawę, jak rozmawiałam ze służącymi? Pewnie siedzą teraz na dole i szepczą...

– Nie jestem chora! – wykrzyknęłam. – Jestem zdrowa jak ryba, a po mojej chorobie nie zostało ani śladu! Wszyscy tak mówią. Pani Wallace też.

Pani Wallace nie widziała mnie w takim stanie, odparła kategorycznie matka. Nie widziała, jak wracam z Millbank, blada niczym upiór. Nie widziała, jak do późnych godzin nocnych przesiaduję przy biurku, napięta i niespokojna...

Słuchając jej, zrozumiałam, że pomimo podejmowanych przeze mnie środków ostrożności, pomimo mej skrytości i milczenia, obserwowała mnie tak, jak czynią to panna Ridley i panna Haxby. Odrzekłam, że zawsze cierpiałam na bezsenność, nawet przed śmiercią taty, nawet w dzieciństwie. I że to o niczym nie świadczy, a poza tym lekarstwo zawsze przynosi mi spodziewaną ulgę. Natychmiast oświadczyła, że w dzieciństwie nadmiernie mi pobbłazano. Zbyt dużo czasu spędzałam z ojcem, który psuł mnie niemiłosiernie, co spowodowało wzmożony żal po jego utracie.

– Zawsze to powtarzałam! A teraz znów konsekwentnie zmierzasz w kierunku choroby...

W odpowiedzi krzyknęłam, że jeśli nie zostawi mnie w spokoju, to naprawdę się rozchoruję! Pospiesznie podeszłam do okna i stanęłam twarzą do szyby. Nie pamiętam, jak to skomentowała: puściłam jej słowa mimo uszu, nie siląc się na odpowiedź. Wreszcie poleciła mi zejść na dół, aby dotrzymać jej towarzystwa, a jeśli nie zrobię tego w ciągu dwudziestu minut, przyśle Ellis. I wyszła.

Stałam, wyglądając przez okno. Na rzece zobaczyłam łódź, na której jakiś mężczyzna uderzał młotkiem w blachę. Śledziłam ruchy jego ramienia, które na przemian wznosiło się i opadało. Iskry uciekały spod młotka, lecz huk docierał do mnie z pewnym opóźnieniem: nim zdążył wybrzmieć do końca, młotek ponownie wędrował w górę.

Naliczywszy trzydzieści uderzeń, zeszłam do matki.

Nie odezwała się ani słowem, widziałam jednak, że uważnie spogląda na moje dłonie i twarz, próżno wypatrując oznak słabości. Później spokojnie poczytałam jej "Małą Dorrit", a teraz siedzę przy przygaszonej lampie, starannie zapisując to wszystko – pomimo chloralu pewnie trzymam pióro. Mogłaby przycisnąć ucho do drzwi, a i tak nie złowiłaby najłżejszego szmeru. Mogłaby uklęknąć i zajrzeć przez dziurkę od klucza. Zasłoniłam ją kawałkiem tkaniny.

Gałązki drzewka pomarańczowego stoją na wprost mnie. W dusznym pokoju ich intensywna woń przyprawia mnie o zawrót głowy.

23 listopada 1874

Dzisiaj ponownie odwiedziłam czytelnię stowarzyszenia spirytystów. Raz jeszcze chciałam przeczytać historię Seliny, spojrzeć na niepokojący portret Petera Quicka i stanąć przed gablotą z odlewami. Naturalnie wyglądała tak samo jak ostatnio, zakurzone bryły wosku i gipsu tkwiły na swoich miejscach.

Kiedy tak stałam, przyglądając im się uważnie, przyszedł do mnie pan Hither, tym razem obuty w tureckie sandały, z kwiatem w butonierce. Oznajmił, że wraz z panną Kislingbury spodziewali się mojego powrotu ("I oto znowu gości pani u nas, cóż za radość!"). Następnie zlustrował mnie baczny spojrzeniem.

– Ale cóż to? Skąd ta ponura mina? Widzę, że nasze eksponaty skłaniają panią do myślenia. To dobrze. Nie powinny jednak wzbudzać w pani smutku, panno Prior, lecz wywoływać na twarzy uśmiech.

Uśmiechnęłam się, na co odpowiedział mi tym samym, spoglądając na mnie z

niespotykaną szczerością i życzliwością. Jako że czytelnia świeciła pustką, spędziliśmy na rozmowie blisko godzinę. Zapytałam go między innymi, od jak dawna określa się mianem spirytysty i co sprawiło, że nim został.

– Mój brat wstąpił do stowarzyszenia pierwszy – odpowiedział. – Uważałem go za bardzo naiwnego: wierzyć w takie bzdury! Twierdził, że widział naszych rodziców w niebie, skąd śledzą wszystkie nasze poczynania. W życiu nie wyobrażałem sobie czegoś bardziej absurdalnego!

Co zatem wpłynęło na zmianę jego nastawienia? Po chwili wahania pan Hither odrzekł, że jego brat umarł. Natychmiast pospieszyłam z kondolencjami, on jednak potrząsnął głową i mało się nie roześmiał.

– Ależ proszę tak nie mówić, nie tutaj. Albowiem w ciągu miesiąca od swojej śmierci brat mój powrócił. Przyszedł i mnie objął, równie rzeczywisty jak teraz pani, bardziej krzepki niż za życia i bez żadnych śladów choroby. Przyszedł i kazał mi uwierzyć. Ja jednak nadal wzbraniałem się przed przyjęciem prawdy. Wytłumaczyłem sobie jego wizytę jako projekcję własnej fantazji; tak samo postąpiłem z kolejnymi znakami. To zdumiewające, ileż człowiek potrafi sobie wytłumaczyć, tkwiąc w swoim uporze! Lecz wreszcie przejrzałem na oczy. Teraz brat jest moim najdroższym przyjacielem.

– I jest pan świadomy ciągłej obecności duchów? – zapytałam.

Ach, owszem, jeśli to do niego przychodzą. Nie posiada mocy potężnego medium.

– Chwytam ledwie namiastkę, "półcień, mistyczną wzmiankę", jak powiada pan Tennyson, a nie całą perspektywę. Słyszę poszczególne nuty, czasem prostą melodię, o ile mi się poszczęści. Inni, panno Prior, słyszą całe symfonie.

Być świadomym obecności duchów...

– Ależ z chwilą, gdy je pani zobaczy, nie ma już innego wyjścia! Chociaż... – Uśmiechnął się. – Niekiedy widok ów bywa przerażający.

Skrzyżował ręce na piersi, a następnie podał mi osobliwy przykład. Powiedzmy, że dziewięć dziesiątych mieszkańców Anglii cierpi na przypadłość, która uniemożliwia im rozpoznanie, dajmy na to, czerwieni. Poprosił, bym wyobraziła sobie, że do nich należę. Jadę przez Londyn, widzę błękitne niebo, żółte kwiaty i dochodzę do wniosku, że świat jest nad wyraz piękny. Nie mam pojęcia, iż moja dolegliwość nie pozwala mi w pełni docenić jego uroku, kiedy zaś usłyszę o tym od specjalisty, sądzę, że mam do czynienia z głupcem. Przyjaciele gorliwie przyznają mi rację, podobnie gazety. Wszystko, co czytam, utwierdza mnie w przekonaniu, że wspomniany specjalista jest człowiekiem niespełna rozumu, co zresztą potwierdzają karykatury w "Punchu"! Bawią mnie do łez, i bardzo jestem z siebie

zadowolona.

– Wówczas przychodzi rano – ciągnął pan Hither – kiedy budzi się pani z wyleczonym wzrokiem. Dostrzega pani skrzynki pocztowe i usta, maki, wiśnie oraz mundury gwardzistów. Jednym słowem wszystkie cudowne odcienie czerwieni: purpurę, szkarłat, rubin, cynober, goździki, róże... Zdjęta podziwem i strachem zrazu chce pani zasłonić oczy. Potem zaczyna pani patrzeć i opowiada o tym bliskim, którzy ją wyszydzają, trapią się, gniewają i odsyłają do lekarza. To bardzo trudne doświadczenie. A jednak – niechże pani sama przyzna, panno Prior – czy po czymś takim mogłaby pani ponownie spojrzeć na świat i zobaczyć tylko błękit, żółć oraz zieleń?

Milczałam, gdyż jego słowa skłoniły mnie do głębokiego namysłu.

– A jeśli przyjmujemy, iż taka osoba rzeczywiście istnieje? – spytałam wreszcie, myśląc rzecz jasna o Selinie. – Jeśli ona widzi czerwień. Co powinna zrobić?

– Musi szukać podobnych do siebie – odrzekł natychmiast. – Oni wskażą jej właściwą drogę i uchronią od niebezpieczeństw...

Zdolności medium to poważna sprawa, która niestety wciąż nie cieszy się należywym zrozumieniem. U wspomnianej osoby wystąpią liczne zmiany na ciele oraz umyśle. Stanie na progu tamtego świata i będzie mogła zajrzeć do środka, lecz oprócz mądrych przewodników, gotowych jej służyć radą, napotka również złe, natrętne duchy, które pod pozorem życzliwości zapragną wykorzystać ją do własnych celów. Będzie musiała zaprowadzić je do ziemskich dóbr, które utraciły, a które nade wszystko pragną odzyskać...

Zapytałam, co zrobić, aby się przed tym ustrzec. Pan Hither odparł, że należy wykazać ostrożność w doborze przyjaciół.

– Ileż dziewcząt zostało doprowadzonych do rozpaczki – ba, nawet szaleństwa! – wskutek niewłaściwego użycia ich mocy! Każe im się przywoływać duchy dla rozrywki, czego w żadnym razie czynić nie należy. Każe im się zbyt często uczestniczyć w seansach, w przypadkowym gronie, co je męczy i prowadzi do demoralizacji. Niekiedy za czyimś podszeptem robią to w samotności: trudno o gorszy sposób wykorzystania ich talentów. Znałem kiedyś człowieka, młodzieńca ledwie, z bardzo dobrej rodziny. Poznałem go, gdyż trafił pod opiekę mojego znajomego księdza, który pracował w szpitalu. Znalezione go bliskiego śmierci, z paskudną raną na szyi. Opowiedział memu przyjacielowi zadziwiającą historię. Był biernym skrybą; zna pani to określenie? Za namową bezmyślnego kolegi siadał z kartką i piórem, a po pewnym czasie za sprawą mimowolnych ruchów ręki mógł zapisywać wiadomości z zaświatów. ...

Zdaniem pana Hithera jest to niezwykła umiejętność często wykorzystywana przez

media, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Ów młodzieniec okazał się wszakże bardzo nierozważny. Czynił to sam, nocą, przez co wiadomości poczęły napływać coraz szybciej. Zdarzało się, że budziły go ruchy ręki bezładnie drgającej na kołdrze. Trwało to dopóty, dopóki nie włożył w nią pióra i nie pozwolił pisać wówczas zapełniała zdaniem kartki, ściany pokoju, a nawet jego własne ciało! Pisał, aż palce pokrywały mu się pęcherzami. Początkowo sądził, że wiadomości pochodzą od jego zmarłych krewnych, ale żadna pocziwa dusza nie dręczyłaby medium tak bezlitośnie. Wszystko było dziełem jednego, złośliwego ducha.

Duch ów ujawnił się wreszcie w przerażający sposób.

– Przybrawszy postać ropuchy, wstąpił w ciało młodzieńca, o tutaj – pan Hither lekko dotknął swojego barku – tuż przy szyi. Nieszczęśnik znalazł się w jego mocy, panno Prior. Był całkowicie bezradny wobec podszeptów, które zmuszały go do najstraszliwszych czynów... Była to istna tortura. Wreszcie duch kazał młodzieńcowi wziąć brzytwę i odciąć sobie palec. Mężczyzna posłusznie chwycił brzytwę, lecz zamiast odciąć palec, przystawił ją sobie do szyi. Rozumie pani, usiłował pozbyć się ducha, w wyniku czego trafił do szpitala. Tam go odratowano, lecz nadal pozostawał w mocy siły nieczystej. Wrócił do dawnych nawyków i koniec końców uznano go za niespełna rozumu. O ile wiem, obecnie przebywa w zakładzie dla obłąkanych. Nieszczęsny! Jego losy potoczyłyby się inaczej, gdyby tylko poszukał ludzi podobnych do siebie, którzy ofiarowaliby mu mądrą radę...

Pamiętam, że przy ostatnich słowach zniżył głos, spoglądając na mnie znacząco, jakby dając do zrozumienia, że ma na myśli Seline Dawes, o którą tak wypytywałam ostatnim razem. Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Patrzył na mnie z wyczekiwaniem, wyraźnie zaniepokojony, co odpowiem. Nie było mi to jednak dane, gdyż przerwała nam panna Kislingbury, która zajrzała do czytelnicy, wołając pana Hithera.

– Chwileczkę, panno Kislingbury! – odrzekł, po czym kładąc mi dłoń na ramieniu wyszeptał: – Szkoda, że nie możemy dłużej rozmawiać, prawda? Proszę znów do nas zajrzeć. Porozmawiamy przy najbliższej okazji, kiedy nie będę zajęty, dobrze?

Ja również żałowałam, że mnie opuszcza. Chętnie poznałabym jego opinię na temat Seliny. Chciałabym wiedzieć, jak to jest widzieć czerwień, o której tyle opowiadał. Wiem, że początkowo bardzo się bała, choć kiedyś wyznała, że miała szczęście, albowiem otaczali ją mądrzy ludzie, którzy potrafili wykorzystać jej talent i ukierunkowali go na właściwie.

Przynajmniej tak mówiła. Lecz kogo naprawdę miała? Ciotkę, która zrobiła z niej dziwoląga. Panią Brink z Sydenham, która sprowadzała do niej nieznajomych i powiesiła kotarę, aby sadzać za nią Seline, przywiązana do krzesła. Dama ta zazdrośnie trzymała ją przy

sobie przez wzgląd na zmarłą matkę, nieświadomie wydając dziewczynę na pastwę Petera Quicka.

Cóż takiego jej zrobił, do czego zmusił, że znalazła się w Millbank?

Kto teraz sprawuje nad nią pieczę? Panna Haxby, panna Ridley, panna Craven. W całym więzieniu nie ma ani jednej życzliwej duszy poza dobrą panią Jelf.

Z sąsiedniego pomieszczenia usłyszałam głosy pana Hithera, panny Kislingbury oraz jeszcze jednej osoby, lecz drzwi do czytelnicy pozostały zamknięte. W dalszym ciągu stałam przed gablotą z eksponatami; pochyliłam się, żeby lepiej je widzieć. Ręka Petera Quicka wciąż spoczywała na najniższej półce, tępo zakończone palce i obrzmiały kciuk tkwiły tuż przy szybie. Ostatnim razem ta dłoń wydała mi się dotkliwie namacalna, dziś jednak stanęłam z boku, by spojrzeć na nią z innej perspektywy. Odlew kończył się dokładnie na wysokości nadgarstka. Wewnątrz był pusty. Na zażółconej powierzchni wosku wyraźnie dostrzegłam załamania oraz wgłębienia kłykci.

Dotąd myślałam, że to ręka; gwoli ścisłości jest to rodzaj rękawiczki. Zrzuciona przed chwilą, nie ostygła jeszcze od ciepła palców. Poczułam się nieswojo, sama w pustej sali. Opuściwszy czytelnice, wróciłam do domu.

Przyszedł Stephen i właśnie słyszę, jak rozmawia z matką podniesionym, zirytowanym głosem. Jutro miała się odbyć rozprawa, ale jego klient uciekł do Francji i policja jest bezradna. Stephen straci wynagrodzenie. Ponownie słyszę jego głos, bardziej donośny niż przedtem.

Dlaczego głosy mężczyzn niosą się wyraźnie, podczas gdy głosy kobiece tak łatwo stłumić?

24 listopada 1874

Wybrałam się do Millbank i Seliny. Najpierw odwiedziłam jedną lub dwie kobiety, ostentacyjnie zapisując ich słowa w notatniku, po czym udałam się do niej. Od razu spytała, co myślę o kwiatkach. Przysłała je, żeby przypomnieć mi o Włoszech, o tamtejszych upalnych dniach.

– Duchy je przyniosły. Postoją miesiąc i nie zwiędną. Wyznałam, że budzą mój strach.

Spędziłam z nią pół godziny. Wreszcie rozległo się trzaśnięcie furty prowadzącej do sektora i z korytarza dały się słyszeć czyjeś kroki.

– Panna Ridley – powiedziała cicho Selina. Stanęłam przy kracie i gdy strażniczka

przechodziła obok, dałam jej znak, żeby mnie wypuściła.

– Do widzenia, Dawes – powiedziałam.

Selina stała z dłońmi splecionymi przed sobą i potulnym wyrazem twarzy.

– Do widzenia, panno Prior – odrzekła, dygając. Wiem, że zrobiła tak przez wzgląd na strażniczkę.

Patrzyłam, jak panna Ridley zamyka kratę i przekręca klucz w opornym, więziennym zamku. Wiele bym dała, aby był to mój klucz.

2 kwietnia 1873

Peter mówi, że trzeba mnie wiązać. Zjawiwszy się dziś wieczorem, mocno ścisnął mnie za rękę i wyszedł zza kotary. "Nie mogę wejść pomiędzy was – powiedział – dopóki nie wypełnię danego mi zadania. Wiecie, że mam głosić prawdy spirytyzmu. Niestety, w tym mieście jest dużo niedowiarków, którzy wątpią w istnienie duchów. Wysztydzają oni talenty mediów, uważając seanse za czcze przebieranki. Owa atmosfera zwątpienia i niewiary nie sprzyja naszym odwiedzinom". Wówczas pani Brink odpowiedziała: "Tutaj nie ma niedowiarków, Peter, możesz przyjść do nas, jak zwykleś przedtem", na co odrzekł: "Nie, najpierw muszę zrobić coś jeszcze. Spójrzcie na medium i napiszcie o tym, wówczas może niedowiarki przejrzą na oczy". I chwyciwszy kotarę, odsunął ją powoli...

Nigdy dotąd tego nie robił. Mimo transu poczułam na sobie spojrzenia obecnych. "Widzicie ją?" – zapytała jakaś kobieta.

"Widzę jej zarys na krześle" – zabrzmiała odpowiedź. "Wasze spojrzenia sprawiają jej ból – oznajmił Peter. – Istnieje wszakże jeszcze jedna rzecz, która potwierdzi moją prawdomówność. Otwórzcie szufladę w stole i przynieście mi to, co tam znajdziecie". Usłyszałam szelest otwieranej szuflady. "Tu są sznurki" – powiedział czyjś głos. "Tak, podajcie je" – polecił Peter. Następnie przywiązał mnie do krzesła ze słowami: "Musicie to robić podczas każdego seansu. Jeśli nie, próżno będziecie na mnie czekać". Związał moje kostki i nadgarstki, po czym założył mi opaskę na oczy. Następnie wyszedł na środek pokoju i usłyszałam szuranie krzesła. "Chodź ze mną" – powiedział. Przyprowadził do mnie damę, niejaką pannę d'Esterre. "Czy widzi pani, panno d'Esterre, jak zacisnąłem więzy? Proszę sprawdzić, czy uczyniłem to dostatecznie mocno. Niech pani zdejmie rękawiczkę". Kobieta zsunęła rękawiczkę i poczułam na przegubie jej palce. Peter ścisnął je swą gorącą dłonią. "Ona drży!" – zawołała panna d'Esterre. "Czynię to przez wzgląd na jej dobro" – oznajmił Peter. Odesłał na miejsce pannę d'Esterre, nachylił się ku mnie i szepnął: "Robię to dla ciebie". "Tak, Peter" – odpowiedziałam. "Jestem twoją siłą" – dodał, na co odrzekłam, że wiem.

Następnie zasłonił mi usta jedwabną taśmą, zaciągnął zasłonę i wkroczył pomiędzy zebranych. "Sam nie wiem, Peter – powiedział jakiś mężczyzna – czuję się bardzo niezręcznie. Czy więzy nie osłabiają mocy panny Dawes?". Peter wybuchnął śmiechem. "Ależ byłaby kiepskim medium, gdyby parę jedwabnych sznurków miało wpłynąć na jej moc!". Dodał, że więzy krepują moje ciało, lecz nie ducha, który żadną miarą nie da się skrepować.

Żadne więzy ani zamki nie są przeszkodą dla ducha.

Kiedy jednak przyszli mnie rozwiązać, zobaczyli, że sznurki poprzecinały mi skórę aż do krwi. "Cóż za okrutnik – zawołała Ruth – tak krzywdzić moją biedną panią! Panno d'Esterre, pomoże mi pani zaprowadzić pannę Dawes do jej pokoju?". Poszły ze mną na górę, gdzie Ruth nasmarowała zranione miejsca maścią. Panna d'Esterre trzymała słoik. Wyznała, iż Peter zdumiał ją niezmiernie, prosząc, by towarzyszyła mu za kotarę. Ruth wyjaśniła, że musiał dostrzec w niej coś szczególnego, czego nie miała żadna z pozostałych dam. Panna d'Esterre popatrzyła na nią, a potem na mnie. "Naprawdę tak sądzicie? – spytała, po czym dodała: – Istotnie, czasem czuję to w sobie", i utkwiała wzrok w podłozie.

Ruth nie spuszczała z niej oczu. "Ruth ma rację – odezwałam się nieoczekiwanie, zdziwiona własnymi słowami. – Peter nie bez przyczyny wybrał właśnie panią. Może powinna pani przyjść i zobaczyć go po raz drugi, dyskretniej. Chciałaby pani? Przyjdzie pani, abym spróbowała znów go przywołać, tylko dla nas dwu?". Panna d'Esterre w milczeniu spoglądała na słoik z maścią. "Proszę pomyśleć o nim dziś wieczorem – powiedziała po chwili Ruth – gdy będzie pani sama w cichym pokoju. Spodobała mu się pani. Może się zdarzyć, że zapragnie odwiedzić panią bez udziału medium. Lepiej jednak, by stało się to tutaj, w obecności panny Dawes, niż w zaciszu ciemnej sypialni", na co panna d'Esterre odparła pospiesznie: "Będę dzisiaj spać z siostrą". "Znajdzie panią i tam" – odrzekła Ruth, po czym zakręciła słoik i powiedziała do mnie: "Zaraz będzie paniencie lepiej". Panna d'Esterre bez słowa zeszła na dół.

Gdy poszłam do pani Brink, myślałam o niej przez cały czas.

28 listopada 1874

Wizyta w Millbank – coś okropnego, aż wstydzę się o tym pisać.

Przy furcie żeńskiego więzienia czekała na mnie grubo ciosana panna Craven: przysłano ją zamiast panny Ridley, którą obowiązki zatrzymały gdzie indziej. Ucieszyłam się na jej widok. Dobrze, pomyślałam. Każę zaprowadzić się do celi Seliny, a panna Ridley i panna Haxby nie muszą o tym wiedzieć...

Ale nie poszliśmy prosto do cel, gdyż panna Craven zapytała po drodze, czy nie chciałabym obejrzeć najpierw jakiejś innej części więzienia.

– Czy może woli pani od razu iść do kobiet? – dodała. Oprowadzała mnie po raz pierwszy i pewnie chciała dostarczyć mi szczególnych atrakcji. Lecz jej głos zabrzmiał znacząco, co skłoniło mnie do podejrzeń, że otrzymała polecenie, aby nie spuszczać z oka kłopotliwej wizytującej. Postanowiłam mieć się na baczności. Powiedziałam, by prowadziła mnie dokąd zechce; więźniarki mogą przecież jeszcze chwilę zaczekać.

– Z całą pewnością, proszę pani – zgodziła się panna Craven.

Zaprowadziła mnie do łaźni i magazynu więziennych ubrań.

Niewiele można powiedzieć o tych pomieszczeniach. Pośrodku łaźni stoi wielkie koryto, w którym odbywa się zbiorowa kąpiel tuż po przyjęciu skazanych do więzienia, dzisiaj puste, jeśli nie liczyć pół tuzina czarnych robaków pełzających w grubej warstwie brudnego osadu. W magazynie leżą brunatne suknie i białe czepki we wszystkich możliwych rozmiarach oraz pudła z butami powiązаныmi za sznurowadła. Panna Craven uniosła parę, która jej zdaniem pasowałaby na mnie – trzewiki były naprawdę gigantyczne; odniosłam wrażenie, że strażniczka uśmiecha się pod nosem. Powiedziała, że więzienne buty są bardzo solidne, solidniejsze nawet od żołnierskich. Kiedyś jedna z więźniarek pobiła strażniczkę i zbiegła, odebrawszy jej klucze i płaszcz. Niezatrzymywana przez nikogo dotarła do wyjścia, gdzie strażnik rozpoznał ją właśnie po trzewikach – i tak niedoszła uciekiniarka została ujęta i osadzona w ciemnicy.

Uraczywszy mnie tą historią, panna Craven wrzuciła buty z powrotem do pudła i wybuchnęła śmiechem. Następnie przeszliśmy do pomieszczenia o nazwie "Pokój Rzeczy Własnych". Jest to depozytornia (dotąd nie przyszło mi do głowy, że przecież musi istnieć coś takiego), gdzie przechowuje się należące do więźniarek suknie, kapelusze, buty oraz drobiazgi rekwirowane po przyjeździe do Millbank.

Owo miejsce i znajdujące się w nim przedmioty mają w sobie coś niezwykłego, a

zarazem potwornego. Zgodnie z powszechnym tu zamiłowaniem do geometrii ściany tworzą kształt sześciokąta. Od sufitu do podłogi ciągną się półki zastawione pudłami z szarego kartonu wzmocnionego na krawędziach mosiężnymi okuciami; są podłużne, wąskie i mają tabliczki z nazwiskami więźniarek. Przypominają małe trumny. Ogólnie rzecz biorąc, pomieszczenie wywarło na mnie przygnębiające wrażenie, wygląda bowiem jak dziecięce mauzoleum albo kostnica.

Wzdrygnęłam się, co nie uszło uwagi panny Craven.

– Niesamowite, prawda? – odezwała się, wspierając ręce na biodrach i patrząc dookoła. – Wie pani, co myślę, kiedy tu wchodzę? Myślę sobie: bzz, bzz. To samo musi czuć pszczoła lub osa, wracając do swego przytulnego gniazdka.

Stałyśmy obok siebie, spoglądając na półki. Zapytałam, czy każda z więźniarek ma tu swoje pudełko.

Okazuje się, że każda. Znajdzie się jeszcze nawet kilka zapasowych.

Panna Craven podeszła do półek, wybrała na chybił trafił jedno pudło i postawiła przed sobą: w pokoju są też biurko oraz krzesło. Spod uniesionej pokrywy doleciał zapach siarki. Strażniczka wyjaśniła, że muszą gotować wszystkie przechowywane ubrania, gdyż większość jest zawszona. Niestety, niektóre rzeczy "znoszą to gorzej niż inne".

Wyjęła ubranie znajdujące się wewnątrz pudła. Była to cienka, wzorzysta suknia, której dezynfekcja najwyraźniej nie wyszła na dobre, gdyż kołnierzyk wisiał w strzępach, a mankiety wydawały się spalone do cna. Pod spodem leżały znoszone, czerwone buty ze skóry, komplet pożółkłej bielizny, kapelusz ze szpilką ozdobioną łuszczącą się perełką oraz szerniała obrączka. Zerknęłam na tabliczkę z nazwiskiem. "Mary Breen". Odwiedziłam ją kiedyś; miała na ramieniu ślady własnych zębów będące rzekomo szczurzymi ugryzieniami.

Kiedy panna Craven zamknęła pudło i odłożyła je z powrotem na półkę, podeszłam do ściany, przeglądając od niechcienia tabliczki z nazwiskami. Strażniczka ruszyła przed siebie, otwierając wieka i zaglądając do środka.

– To niesamowite – powiedziała – jak żałosne śmieci kryją niektóre z nich.

Stanęłam obok niej i zerknęłam do kolejnego. Zobaczyłam zrudziałą, czarną suknię, płócienne pantofle oraz klucz zawieszony na sznurku. Ciekawe, do jakich drzwi pasował. Panna Craven zamknęła pudło, cmokając pod nosem.

– Nie ma nawet chustki na głowę.

Poszłam za nią, błędząc wzrokiem po pudłach. W jednym z nich znajdowała się bardzo ładna sukienka i aksamitny kapelusz z wypchanym ptakiem błyskającym szklanym oczkiem, bielizna natomiast była tak czarna i podarta, jakby zdeptał ją tabun koni. W innym tkwiła

halka upstrzona brązowymi plamami; zadrżałam, domyślając się, że są to plamy krwi. Widok zawartości kolejnego pudła przyprawił mnie o wstrząs: oprócz sukni, halek, butów i pończoch leżały tam bowiem kasztanowe włosy, przypominające koński ogon tudzież dziwaczny biczyk. Były to włosy obcięte tuż po przyjeździe do więzienia.

– Trzyma je na perukę – oznajmiła panna Craven. – Próżny trud! To włosy Chaplin, pamięta pani? Trucicielka, która cudem uniknęła stryczka. Kiedy wyjdzie, jej piękne, rude włosy będą już zupełnie siwe!

Zamknęła pudło i rzuciła je na półkę wyćwiczonym, poirytowanym gestem. Jej własne włosy wystające miejscami spod czepka miały barwę mysiego futerka. Przypomniałam sobie, jak rejestratorka dotykała obciętych splotów Cyganki, Czarnookiej Sue; oczami wyobraźni zobaczyłam, jak wraz z panną Craven szepczą nad mizernym dobytkiem więźniarek: "No przymierz, co ci szkodzi! Twój kochaś byłby zachwycony! Przecież nikt nie zauważy!".

Obraz i szepty były tak sugestywne, że musiałam przycisnąć palce do twarzy, aby je odpędzić; kiedy ponownie spojrzałam na pannę Craven, rechotała już nad zawartością kolejnego pudła. Obserwowałam ją przez chwilę, uderzona ohydą przepatrywania owych smętnych, uśpionych szczątków dawnego życia. Zupełnie jakbyśmy istotnie miały przed sobą trumny i bez żenady zaglądały do środka, podczas gdy nieświadome niczego matki trwały w żałobie tuż nad naszymi głowami. Owo zajęcie miało jednak w sobie coś fascynującego, toteż gdy panna Craven przeszła od niechcenia do następnej półki, mimowolnie podążyłam za nią. Obejrzałyśmy pudła Agnes Nash, tej od monet, i biednej Ellen Power. Wśród rzeczy tej ostatniej znajdowało się zdjęcie dziewczynki, pewnie wnuczki. Być może Power liczyła, że postawi je w celi.

Naraz wpadła mi do głowy nieunikniona myśl i poczęłam błędzić wzrokiem po tabliczkach z nazwiskami, szukając pudełka Seliny. Jak by to było obejrzeć jego zawartość? Przyszło mi do głowy, że z całą pewnością dostrzegłabym coś – nie wiem, co – stanowiącego jej własność bądź integralną część, coś, co pomogłoby rozwiązać dręczącą zagadkę i przybliżyć mnie do samej Seliny... Panna Craven przeglądała kolejne pudła, wykrzykując nad żalonymi lub ładnymi ubraniami, tudzież wyszydając niemodny krój sukni czy bluzki. Stałam blisko niej, lecz nie patrzyłam na to, co pokazywała, tylko wyżej, na półki. Spytałam o porządek, w jakim ustawiono pudełka.

W momencie gdy strażniczka przystąpiła do szczegółowych objaśnień, znalazłam to, czego szukałam. Pudło Seliny stało dość wysoko, poza zasięgiem panny Craven; dostrzegłam opartą o półki drabinę, z której dotychczas nie skorzystała. Zobaczyłam jak wyciera palce, gotowa zakończyć oględziny i zaprowadzić mnie do cel. Oparłszy ręce na biodrach, podniosła

wzrok i usłyszałam, jak mruczy pod nosem: bzzz, bzzz...

Musiałam jej się pozbyć i przyszło mi do głowy tylko jedno możliwe rozwiązanie.

– Ach! – zawołałam, unosząc rękę do czoła. – Ach, od tego patrzenia zakręciło mi się w głowie! – Szczerze powiedziawszy, nie było to dalekie od prawdy, gdyż prawie osłabłam ze strachu i musiałam chyba zblednąć, bo na widok mojej twarzy panna Craven krzyknęła i podbiegła bliżej. Nie odrywałam dłoni od czoła. Nie, nie zemdleję, ale czy byłaby tak dobra i przyniosła mi... jeśli to możliwe... szklanek wody?

Posadziła mnie na krześle.

– Nie wiem, czy mogę zostawić panią bez opieki – powiedziała. – W gabinecie lekarza są sole trzeźwiące, tylko że to kawałek stąd i chwilę potrwa, zanim wezmę klucze od panny Ridley. Jeśli pani zemdleje...

Zapewniłam ją, że nie. Załamała ręce: ów nieoczekiwany zwrot akcji przerósł jej najśmielsze oczekiwania! Następnie spiesznie opuściła pomieszczenie. Usłyszałam brzęk kluczy, szybkie kroki oraz trzaśnięcie kraty.

Natychmiast wstałam i chwyciwszy drabinę, przeniosłam ją we właściwe miejsce, po czym wspięłam się po szczeblach, przysunęłam do siebie pudło Seliny i strąciłam wieko.

Mocna, gryząca woń siarki kazała mi odwrócić twarz i przymknąć oczy. Następnie okazało się, że zasłaniam sobą światło, w związku z czym musiałam odchylić się ostrożnie, wspierając policzek o twardą krawędź półki. Dostrzegłam zarys ubrań: kapelusz, płaszcz, suknia z czarnego aksamitu, buty, halki oraz białe, jedwabne pończochy...

Dotykałam wszystkiego po kolei, szukając sama nie wiem czego. Odzież nie kryła w sobie nic szczególnego. Suknia i płaszcz wydawały się nowe, prawie nienoszone. Podeszwy sztywnych, wypolerowanych butów nie miały najmniejszych śladów zderzenia. Nawet proste kolczyki z gagatami, które znalazłam zawiązane w chusteczkę, sprawiały wrażenie prosto ze sklepu, a ich druciki były gładkie i nietknięte rdzą, sama chustka zaś, czarne cudeńko z czarną, jedwabną lamówką, była czysta i wyprasowana. Żaden z przedmiotów nie przykuwał uwagi. Zupełnie jakby chwilę przed aresztowaniem dokonała zakupu w sklepie z odzieżą żałobną. Nie znalazłam ani śladu jej dotychczasowego życia, nic, co nosiłoby jakiegokolwiek ślady indywidualności. Nic.

Tak przynajmniej myślałam, kiedy bowiem ostatni raz zajrzałam pod suknię, ujrzałam coś, co tkwiło pod spodem splecione w cieniu niczym śpiący wąż...

Jej włosy. Włosy, splecione w warkocz i związane szorstkim, więziennym szpagatem. Dotknęłam ich palcami. Były ciężkie i suche w dotyku, tak jak sucha jest podobno skóra węży, pomimo jej połysku i śliskości. Padające światło wydobywało ich złocisty odcień, lecz

było to złoto gdzieniegdzie przetykane srebrem, a nawet barwą zbliżoną do zieleni.

Przypomniałam sobie portret Seliny oraz misterne zwoje na jej głowie. Czyniły ją rzeczywistą i namacalną. Tymczasem cmentarne tło dusznego pomieszczenia robiło piorunujące wrażenie. Gdyby tak udostępnić im odrobinę powietrza i światła, pomyślałam... I ponownie stanął mi przed oczami obraz szepczących strażniczek. A jeśli przyjdą i zaczną wyśmiewać odcięte sploty albo macać je kanciastymi łapskami?

Ogarnęła mnie niezbita pewność, że jeśli nie zabiorę włosów, czeka je niechybne splugawienie. Chwyciłam warkocz i zwinęłam, chcąc wcisnąć go do kieszeni albo za pazuchę. Nim jednak zdążyłam to uczynić, wciąż odchyłona niewygodnie na drabinie, boleśnie zawadziłam policzkiem o brzeg półki. W tym samym momencie usłyszałam w oddali trzaśnięcie drzwi oraz szmer głosów. Panna Craven przyprowadziła pannę Ridley! Ze strachu mało nie spadłam z drabiny. Odrzuciłam warkocz od siebie, jak gdyby śpiący wąż ożył i zniecka pokazał zęby, po czym zamknęłam pudło i ciężko zeskoczyłam na podłogę: głosy zbliżały się z każdą chwilą.

Zastały mnie z ręką na oparciu krzesła, rozdygotaną ze wstydu i przerażenia, w zakurzonym płaszczu i z siniakiem od półki na twarzy. Panna Craven przystawiła mi pod nos sole trzeźwiące, lecz w zmrużonych oczach panny Ridley malował się wyraz chłodnej dociekliwości. W pewnej chwili wydało mi się, że obrzuca wzrokiem drabinę, regał oraz pudełka, których w pośpiechu może nie ustawiłam jak należy. Uparcie kierowałam spojrzenie w przeciwną stronę. Popatrzwszy przelotnie na strażniczkę, odwróciłam się i zadrżałam jeszcze mocniej, albowiem dopiero widok owych nagich powiek i bezwzględного wzroku przyprawił mnie o stan bliski omdlenia. Jednocześnie zrozumiałam, jaki widok ukazałby się oczom panny Ridley, gdyby zjawiła się zaledwie minutę wcześniej. Zobaczyłam go wówczas i widzę nadal, w całym jego potwornym i niezaprzeczalnym wymiarze.

Ujrzałam siebie, starą pannę, bladą, brzydką i spoconą, która stoi na rozchwianej drabinie, ściskając w ręku złocisty warkocz pięknej dziewczyny...

Nie protestowałam, gdy panna Craven przechyliła mi do ust szklanekę z wodą. Wiedziałam, że Selina siedzi zasmucona w zimnej celi, ale nie byłam w stanie do niej iść: chyba bym się za to znieawidziła. Oświadczyłam, że tego dnia rezygnuję z wizyt. Panna Ridley poparła moją decyzję, a następnie osobiście odprowadziła mnie do stróżówki.

Kiedy wieczorem czytałam matce, zapytała o ślad widniejący na moim policzku. Popatrzwszy do lustra, zobaczyłam siniak. Nie mogąc dłużej czytać, odłożyłam książkę. Kazałam Vigers napełnić wannę przed kominkiem; położyłam się z podkulonymi nogami, dokładnie oglądając każdy skrawek swego ciała, po czym zanurzyłam twarz w stygnącej

wodzie. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam Vigers czekającą z ręcznikiem; jej spojrzenie pociemniało, a twarz wydawała się równie blada, jak moja.

– Zraniła się panienka w policzek – zauważyła. Powiedziała, że zrobi mi okład z octu. Podałam się zabiegowi, potulna jak dziecko.

Szkoda, że dzisiaj nie było mnie w domu, dodała. Przyszła pani Prior z wizytą, to znaczy pani Helen Prior, moja bratowa. Przyszła z synkiem i bardzo żałowała, że mnie nie ma. Prześliczna kobieta, prawda?

Słyszac to, odepchnęłam jej rękę i powiedziałam, że od octu zrobiło mi się niedobrze. Kazałam jej wylać wodę i przekazać matce, aby przyniosła lekarstwo: chcę natychmiast zażyć moje lekarstwo. Niebawem matka stanęła w drzwiach.

– Co się z tobą dzieje? – spytała.

– Nic, mam – odpowiedziałam, lecz ręka zadrżała mi tak gwałtownie, że matka wołała sama przytrzymać szklanke, podobnie jak wcześniej panna Craven.

Chciała wiedzieć, czy w więzieniu zdarzyło się coś, co wyprowadziło mnie z równowagi. Jeśli tak, powinnam niezwłocznie zrezygnować z wizyt.

Po jej wyjściu krążyłam po pokoju, załamując ręce. Myślałam sobie: ty głupia... Następnie sięgnęłam po dziennik i zaczęłam przerzucać kartki. Przypomniałam sobie słowa Arthura, że dzieła autorstwa kobiet mogą przybierać jedynie formę "dzienników serca". Sądziłam, że relacje z wypraw do Millbank zadadzą kłam jego opinii, że spiszę swój życiorys w postaci książki pozbawionej wszelkich oznak życia tudzież miłości, będącej tylko katalogiem, swoistą listą wydarzeń. Teraz wszakże widzę, że moje serce niepostrzeżenie wpęzło między stronicę; dostrzegam szlak, którym podążało, z każdym dniem coraz wyraźniejszy, aż wreszcie układa się w imię...

SELINA.

Niewiele brakowało, a spaliłabym dziennik, tak jak spaliłam poprzedni. Ale nie mogłam. Kiedy jednak uniosłam głowę, mój wzrok padł na wazon z gałązkami drzewka pomarańczowego: zgodnie z obietnicą zachowały niezmienną barwę i woń. Podeszłam do biurka i wyjęłam z wody ociekające gałązki, a następnie wrzuciłam je do ognia i patrzyłam, jak płoną. Zachowałam tylko jedną. Włożyłam ją między kartki dziennika. Nie będę ich otwierać. Jeśli to zrobię, jej zapach napłynie do mnie niczym ostrzeżenie, szybki, ostry i niebezpieczny. Jak nóż.

2 grudnia 1874

Nie wiem, jak to opisać. Doprawdy nie wiem, jak siadać, stać, chodzić, mówić bądź wykonywać jakiegokolwiek prozaiczne czynności. Przez półtora dnia znajdowałam się w stanie bliskim obłądu. Wezwano doktora, przysłała Helen. Zjawił się nawet Stephen; stanął u wezgłowia i patrzył, jak leżę w koszuli nocnej w łóżku. Słyszałam, jak szepczą, kiedy myśleli, że śpię. Przez cały czas towarzyszyło mi przekonanie, że poprawa nastąpi z chwilą, gdy zostawią mnie w spokoju, pozwolą bez przeszkód myśleć i pisać. Posadzili Vigers na korytarzu i zostawili otwarte drzwi, na wypadek gdybym wołała, ja jednak po cichutku podeszłam do biurka i wyjęłam dziennik, nareszcie. Tylko w ten sposób mogę zdobyć się na absolutną szczerość, choć zachowanie szyku zdań kosztuje mnie dużo wysiłku.

Zamknęli Selinę w ciemnicy! I to z mojego powodu. Powinnam do niej iść, ale tak bardzo się boję.

Po ostatnim incydencie w więzieniu podjęłam gorzką decyzję o zaprzestaniu wizyt w jej celi. Widziałam, że po tych odwiedzinach tracę jasność myślenia, nie jestem sobą – gorzej, jestem sobą za bardzo, odzyskuję dawną postać, postać Aurory. Kiedy jednak usiłowałam na powrót stać się Margaret, nie mogłam tego uczynić. Odnosiłam wrażenie, jakby się skurczyła, niczym za ciasne ubranie. Nie potrafiłam powiedzieć, co robiła, mówiła, jak się poruszała. Siedziałam z matką, bezwolna niczym kukła. Kiedy przychodziła Helen, nie mogłam na nią patrzeć. A gdy mnie całowała, drżałam, świadoma suchości policzka pod jej wargami.

I tak mijały dni od ostatniej wyprawy do Millbank. Wczoraj poszłam sama do National Gallery, w nadziei, że obrazy zajmą nieco moją uwagę. Właśnie odbywały się zajęcia dla studentów; zobaczyłam dziewczynę, która rozłożyła sztalugi przed "Zwiastowaniem" Crivellego i szkicowała na płótnie zarys twarzy oraz rąk Dziewicy Maryi. Oblicze należało do Seliny i wydało mi się bardziej rzeczywiste niż moje własne. I naraz nie wiedziałam, dlaczego od niej stroniłam. Było wpół do szóstej, matka zaprosiła na ten wieczór gości, lecz nie bacząc na nic, pojechałam prosto do Millbank i kazałam zaprowadzić się do cel. Kobiety kończyły kolację, wycierały talerze skórkami od chleba; kiedy znalazłam się w sektorze Seliny, usłyszałam głos pani Jelf. Stała na łuku korytarza, odmawiając wieczorną modlitwę; akustyka otoczenia nadawała jej głosowi osobliwe drzenie.

Na mój widok drgnęła. Zaprowadziła mnie do dwu czy trzech kobiet. Ostatnia, Ellen Power, bardzo odmieniona wskutek choroby, była mi tak wdzięczna za przybycie, że nie miałam serca skrócić wizyty. Usiadłam, wzięłam ją za rękę i gładziłam opuchnięte kłykcie.

Każde zdanie wyrywało z jej piersi rżący kaszel. Lekarz dał jej lekarstwo, ale nie mogą jej przyjąć do szpitala, gdyż łóżka są pozajmowane przez młodsze kobiety. Obok niej leży włóczka i na wpół dokończone pończochy: pomimo zaawansowanej choroby nadal musi siedzieć i dziergać. Twierdzi, że woli to niż beczyność.

– Tak nie można – powiedziałam. – Porozmawiam o tym z panną Haxby.

Power odparła natychmiast, że to nic nie da i lepiej, bym tego nie robiła.

– Zostało mi jeszcze siedem tygodni – wyjaśniła. – Jeśli zacznę sprawiać kłopoty, znajdą pretekst, aby zatrzymać mnie dłużej.

Odrzekłam, że to ja będę sprawiać kłopoty, nie ona; w chwili gdy to mówiłam, poczułam ukłucie haniebnego strachu, że panna Haxby wykorzysta moją ewentualną interwencję na swój własny, przebiegły sposób, na przykład zabraniając mi dalszych wizyt...

– Proszę w ogóle nie brać tego pod uwagę – powtórzyła Power. – Naprawdę. – Wyjaśniła, że widziała na spacerze ze dwadzieścia kobiet w równie oplakanyim stanie, im też należało się lepsze traktowanie. – A niby czym miałybyśmy sobie na nie zasłużyć? – Poklepała się po piersi. – Mam swoją flanelę – dodała, próbując do mnie mrugnąć. – Chwała Bogu, jeszcze ją mam!

Po wyjściu z celi zapytałam panią Jelf, czy to prawda, że Power nie została przyjęta do szpitala. Odpowiedziała, że na jej prośby lekarz oświadczył bez ogródek, że on zna się na rzeczy najlepiej. Nazwał Power "rajfurką".

– Panna Ridley – podjęła pani Jelf – mogłaby spróbować na niego wpłynąć, ma jednak dość radykalne poglądy w kwestii kar. I tak się składa, że to przed nią odpowiadam, a nie... – odwróciła głowę – ...a nie przed Ellen Power czy jakąkolwiek inną więźniarką.

Tkwisz w szponach Millbank tak samo, jak pozostałe, pomyślałam.

Potem zaprowadziła mnie do Seliny. Zapomniałam o Ellen Power. Stałam przy kracie, dygocząc od stóp do głów. Pani Jelf nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Pani jest zziębnięta! – zauważyła.

Mogłam być choćby zdrętwiała z zimna i zamarznięta na kość, lecz spojrzenie Seliny z powrotem tchnęło we mnie życie, co było cudowne, a zarazem niezwykle trudne do zniesienia i bolesne. Wówczas zrozumiałam, jakąż głupotą było unikanie jej widoku. Zamiast przywrócić mnie do normalności wywołało to ból i desperację.

Popatrzyła na mnie lękliwie.

– Przepraszam – szepnęła.

– Za co? – spytałam.

– Chociażby za kwiaty – odrzekła.

Miały być miłym podarunkiem. Potem zaś, kiedy tak długo nie przychodziłam, przypomniała sobie, jak powiedziałam, że mnie przerażyły. Przyszło jej do głowy, że może chciałam ją ukarać.

– Ach, jak mogłaś tak pomyśleć? – zawołałam. – Nie przychodziłam, gdyż bałam się...

Bałam się swojej namiętności, dokończyłam w myślach. Ale nie wyznałam tego głośno. Ponownie nawiedziła mnie odrażająca wizja starej panny, ściskającej warkocz...

Ujęłam rękę Seliny, po czym zaraz pozwoliłam jej opaść w dół.

– Niczego się nie bałam – dokończyłam, odwracając się. Dodałam, że obowiązki związane z wyjazdem Priscilli zatrzymały mnie w domu.

W podobnym duchu prowadziłyśmy dalszą rozmowę: ona czujna i wciąż nieco zalękniona, ja półprzytomna. Bałam się podejść zbyt blisko czy choćby dłużej się w nią wpatrywać. Nagle usłyszałyśmy kroki i na progu stanęła pani Jelf w towarzystwie jeszcze jednej strażniczki. Tę ostatnią rozpoznałam dopiero po skórzanej torbie: panna Brewer, pomocnica kapelana, która roznosi listy. Uśmiechnęła się do mnie i do Seliny: był to uśmiech porozumiewawczy. Wyglądała jak ktoś, kto szykuje jakąś niespodziankę. Ona przynosi coś, co zakłóci nasz spokój, pomyślałam. Przynosi kłopoty.

Słyszę, jak Vigers wierci się na krześle i wzdycha. Muszę pisać cicho, cichutko, inaczej przyjdzie, zabierze mi dziennik i zapędzi z powrotem do łóżka. Jak mogę spać, wiedząc to, co wiem? Panna Brewer weszła do celi. Pani Jelf przymknęła kratę i odeszła, nie zamykając jej na klucz. Usłyszałam, jak przystaje w pewnej odległości od celi Seliny, pewnie po to, by zajrzeć do innej więźniarki. Panna Brewer okazała radość na mój widok; powiedziała, że ma dla Dawes wiadomość, która z pewnością mnie ucieszy. Dłoń Seliny powędrowała do gardła. Wiadomość? Panna Brewer poróżnowiała z zadowolenia.

– Zostaniesz przeniesiona! – oznajmiła. – Za trzy dni przenoszą cię do Fulham.

– Przeniesiona – powtórzyła Selina. – Przeniesiona do Fulham?

Panna Brewer kiwnęła głową. Nadeszło rozporządzenie, na mocy którego wszystkie więźniarki klasy oznaczonej gwiazdą mają zostać przeniesione. Panna Haxby kazała niezwłocznie je o tym poinformować.

– Proszę pomyśleć – zwróciła się do mnie. – To zakład o znacznie łagodniejszym rygorze: kobiety pracują razem, mogą nawet rozmawiać. Lepsze posiłki. Proszę sobie wyobrazić, że zamiast herbaty podają tam czekoladę! I co ty na to, Dawes?

Selina milczała. Stała sztywno, z ręką wciąż przyciśniętą do gardła. Poruszała tylko oczami jak lalka. Słowa panny Brewer sprawiły, że serce zamarło mi w piersi, wiedziałam jednak, że muszę coś powiedzieć i nie dać nic po sobie poznać.

– Do Fulham, Selino – odezwałam się, myśląc jednocześnie: Jak, ach, jak będę cię tam odwiedzać?

Głos i wyraz twarzy musiały mnie zdradzić. Panna Brewer zrobiła zdumioną minę. Selina odzyskała mowę.

– Nie pojedę – oznajmiła. – Nie opuszczę Millbank.

Panna Brewer rzuciła mi przelotne spojrzenie. Jak to? Co Dawes ma na myśli? Ona nic z tego nie rozumie. Przecież nie chodzi o karę.

– Nie chcę tam jechać – dodała Selina.

– Ależ musisz!

– Musisz – powtórzyłam jak echo. – Skoro oni ci każą.

– Nie. – Oczami nadal błędziła po celi, unikając mojego spojrzenia. – Dlaczego mnie odsyłają. – spytała. – Czy źle się sprawuję? Niedobrze wykonuję swoją pracę? Nie robię wszystkiego, co mi każą, nie skarżąc się ani słowem? – Jej głos brzmiał dziwnie, jakby pochodził od kogoś innego. – Nie modlę się w kaplicy? Nie odrabiam zadanych lekcji? Nie jem zupy? Nie pilnuję porządku w celi?

Panna Brewer z uśmiechem potrząsnęła głową. Ależ tak, odrzekła, dlatego właśnie zostanie przeniesiona. Czy nie chce być nagrodzona za swój trud? Jej głos przybrał łagodny ton.

– Jesteś po prostu zaskoczona – stwierdziła. – Kobietom z Millbank czasami trudno pojąć, że są na świecie inne, przyjemniejsze miejsca. – Zrobiła krok w stronę wyjścia. – Zostawiam cię z panną Prior – powiedziała na koniec. – Ona pomoże ci oswoić się z tą myślą.

Dodała, że później przyjdzie panna Haxby, by udzielić dokładniejszych informacji.

Być może oczekiwała odpowiedzi, gdyż nie słysząc jej, ponownie zrobiła zdumioną minę. Nie mam co do tego pewności. Wiem, że zwróciła się w kierunku kraty, może nawet wyciągnęła ku niej rękę, trudno powiedzieć. Selina wykonała nagły ruch tak gwałtownie, że ruszyłam ku niej w obawie, że straci przytomność. Ona jednak nie zemdląca. Podskoczywszy do półki, chwyciła coś, co na niej leżało. Kiedy blaszany kubek, łyżka i Biblia spadły na podłogę, nagły łomot oczywiście zwrócił uwagę panny Brewer. Odwróciła się i jej twarz przeciął nagły grymas. Selina natarła na nią z uniesioną ręką, w której tkwił drewniany talerz. Panna Brewer próbowała zasłonić się ramieniem, lecz nie uczyniła tego dostatecznie szybko. Krawędź talerza trafiła ją w okolice oka; natychmiast zasłoniła je palcami, a następnie ręką, by uchronić twarz od dalszych ciosów.

Upadła jak długa; zadarta spódnica ukazała szorstkie, wełniane pończochy, podwiązki, różowy pasek uda.

Wszystko rozegrało się szybciej, niż mogę to opisać i ciszej, niż zdołałabym to sobie wyobrazić; po łoscocie upadającej łyżki i kubka rozległ się jedynie okropny stukot talerza, a potem urywany oddech panny Brewer oraz zgrzyt klamry jej torby o ścianę. Przycisnęłam ręce do twarzy. Wykrztusiłam chyba tylko: "O mój Boże", czując powiew słów na palcach, po czym ruszyłam w kierunku panny Brewer. Naraz mój wzrok padł na talerz, wciąż zaciśnięty w dłoni Seliny. Ujrzałam jej odmienioną twarz, pobladłą i wilgotną od potu.

I na wspomnienie tamtej dziewczyny, panny Silvester, pomyślałam: Uderzyłaś ją! A ja jestem sama z tobą w celi! Cofnęłam się przerażona, kładąc ręce na oparciu krzesła.

Selina upuściła talerz i oparła się ciężko o złożony hamak. Wtedy zobaczyłam, że jest jeszcze bardziej rozdygotana niż ja.

Panna Brewer jęknęła, czepiając się stołu i ścian; podbiegłam do niej i uklęknęłam. Położyłam drżącą dłoń na jej głowie.

– Niech pani się nie rusza – powiedziałam. – Proszę się nie ruszać, panno Brewer. – Kobieta wybuchnęła płaczem. – Pani Jelf! – zawołałam. – Och, pani Jelf, niech pani tu prędko przyjdzie!

Przybiegła od razu i przytrzymała się kraty, aby utrzymać równowagę. Krzyknęła.

– Panna Brewer jest ranna – wyjaśniłam, dodając ciszej: – Została uderzona w głowę.

Pani Jelf zbieła na twarzy i popatrzawszy dziko na Selinę, przycisnęła rękę do serca, a następnie pchnęła kratę, która zahaczyła o nogi i spódnicę panny Brewer: upłynęła długa chwila, nim obciągnęłyśmy halki i przesunęłyśmy leżącą na bok. Selina stała jak skamieniała, nie spuszczać z nas spojrzenia. Oczy panny Brewer spuchły tak, że nie mogła ich otworzyć, na białych policzkach i czole wykwitły purpurowe siniaki, a na sukni i czepku widniały liczne smugi tynku.

– Niech pani pomoże mi ją przenieść do mojego pokoju, panno Prior – poprosiła pani Jelf. – Potem jedna z nas musi iść po lekarza i... po pannę Ridley. – Chwilę patrzyła na mnie z uwagą, po czym raz jeszcze spojrzała na Selinę, która tymczasem podciągnęła kolana pod brodę i spuściła głowę. Krzywo przyszyta na rękawie gwiazda jaśniała w mroku. Naraz wydało mi się potworne, że zostawię ją w takim stanie, bez słowa pocieszenia, na pastwę tego, co nieuniknione.

– Selino – powiedziałam, nie dbając, czy strażniczka usłyszy. Dziewczyna poruszyła głowę. Jej spojrzenie było puste i rozkojarzone: nie wiem, czy patrzyła na mnie, na panią Jelf, czy może na szlochającą kobietę, którą podtrzymywałyśmy między sobą. Chyba na mnie. Nie wyrzekła jednak ani słowa. Strażniczka ponagliła mnie, zamknęła kratę, a następnie po chwili namysłu zatrzasnęła drewniane drzwi i zasunęła rygiel.

Ruszyliśmy w kierunku pokoju pani Jelf. Jakież to było okropne! Kobiety bowiem, zwabione moim wołaniem, krzykiem strażniczki i płaczem panny Brewer, stanęły na progu cel i z twarzami przyciśniętymi do krat śledziły naszą powolną, niezdarną wędrówkę. Jedna z nich zawołała: "Kto zranił pannę Brewer?". "Dawes", zabrzmiała natychmiast odpowiedź. "Selina Dawes zdemolowała celę!" "Selina Dawes uderzyła pannę Brewer w twarz!" "Selina Dawes!" Nazwisko przechodziło z ust do ust, z jednej celi do drugiej niczym struga brudnej wody. Pani Jelf krzykiem kazała im zamilknąć, lecz rozkaz nie poskutkował i zewsząd wciąż dobiegały nawoływania. Nagle jeden głos zabrzmiał ponad wszystkimi; tym razem nie było w nim zdumienia, lecz śmiech: Selina Dawes wpadła w szal! Selina Dawes w kaftan i do ciemnicy!

– Boże, czyż one nigdy nie przestaną! – powiedziałam. Przecież doprowadzą ją do szaleństwa! W chwili kiedy to pomyślałam, rozległ się kolejny niewyraźny okrzyk i głosy zamilkły jak ucięte nożem; ukazały się panna Ridley i pani Pretty, które przyszyły z dołu zwabione hałasem. Stanęłyśmy przed drzwiami pokoju strażniczki. Pani Jelf otworzyła drzwi i doprowadziwszy pannę Brewer do krzesła, zmoczyła chusteczkę na okład.

– Czy naprawdę wsadzą Seline do ciemnicy? – wyszeptalam pospiesznie.

– Tak – odrzekła równie ściszym tonem. Następnie ponownie nachyliła się nad panną Brewer.

– Pani Jelf, panno Prior – odezwała się panna Ridley, stając w progu. – O co chodzi w tej pożałowania godnej sprawie? – Jej twarz nie nosiła śladów żadnych emocji.

– Selina Dawes uderzyła pannę Brewer talerzem – odrzekła pani Jelf.

Panna Ridley uniosła głowę i podeszła do panny Brewer, wypytyując, jak się czuje.

– Nic nie widzę – jęknęła panna Brewer. Słyszając to, pani Pretty stanęła bliżej krzesła, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Panna Ridley odchyliła chustkę.

– Ma pani spuchnięte oczy – oznajmiła. – Poza tym chyba wszystko w porządku. Na wszelki wypadek pani Jelf pójdzie po lekarza.

Pani Jelf natychmiast opuściła pokój. Panna Ridley ponownie umieściła chustkę na oczach panny Brewer, drugą ręką przytrzymując jej kark. Nie zwracając na mnie uwagi, zwróciła się do pani Pretty.

– Dawes – powiedziała tylko. Kiedy strażniczka wyszła na korytarz panna Ridley dodała: – Proszę zawołać, jeśli zacznie wierzgać.

Nie pozostawało mi nic innego, tylko stać i nasłuchiwać. Usłyszałam ciężkie, energiczne kroki pani Pretty, a następnie trzask odsuwanych rygli i zgrzyt klucza w zamku. Następnie pomruk, może okrzyk, nie jestem pewna. Potem nastąpiła cisza, po raz kolejny zakłócona

odgłosem ciężkiego stąpania, połączonego z tupotem lekkich stóp, utykających tudzież wleczonych po zapiaszczonej podłodze. Trzasnęły drzwi. Cisza.

Poczułam na sobie spojrzenie panny Ridley.

– Była pani z więźniarką, gdy doszło do awantury? – zapytała.

Skinęłam głową. Zapytała o jej przyczynę. Oświadczyłam, że nie wiem.

– Dlaczego Dawes zaatakowała pannę Brewer, a nie panią?

Ponownie odrzekłam, że nie wiem, nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle to zrobiła.

– Panna Brewer przyniosła dla niej wiadomość – dodałam.

– I ta wiadomość wyprowadziła ją z równowagi?

– Tak.

– Czego dotyczyła owa wiadomość, panno Brewer?

– Dawes ma zostać przeniesiona – odpowiedziała płaczliwie panna Brewer. Oparła rękę o stół, burząc porządek kart do pasjansa, starannie ułożonych przez panią Jelf. – Ma zostać przeniesiona do więzienia w Fulham.

Panna Ridley prychnęła.

– Miała zostać przeniesiona – uściśliła z gorzką satysfakcją.

Naraz jej twarz drgnęła, podobnie jak tarcza zegara wstrząsana ruchami mechanizmu, i jej oczy ponownie spoczęły na mnie.

Odgadłam, co sobie pomyślała. I westchnęłam w duchu: Mój Boże!

Stałam do niej tyłem. Nie powiedziała nic więcej; po chwili wróciła pani Jelf z lekarzem. Mężczyzna skłonił się na mój widok, po czym zbliżył się do panny Brewer i cmokając, dokonał oględzin spuchniętej twarzy. Następnie wyjął z kieszeni jakiś proszek i kazał pani Jelf rozpuścić w wodzie. Poznałam ten zapach. Patrzyłam, jak panna Brewer pije; kiedy uroniła kilka kropel, odruchowo chciałam podbiec i łapać rozlany płyn.

– Nie obejdzie się bez siniaków – oznajmił lekarz. Zapewnił jednak, że wkrótce znikną; na szczęście ciosy ominęły nos i kość policzkową. Założywszy opatrunek, popatrzył na mnie.

– Była pani przy tym? – zapytał. – Wszystko w porządku?

Zapewniłam, że bynajmniej nie ucierpiałam. Odparł, że szczerze w to wątpi: podobne incydenty zawsze odbywają się ze szkodą dla dam, które biorą w nich udział. Poradził, bym posłała po pokojówkę i niezwłocznie wróciła do domu. Kiedy panna Ridley zaprotestowała, mówiąc, że jeszcze nie złożyłam sprawozdania pannie Haxby, oświadczył, że w wypadku panny Prior niewielkie opóźnienie zapewne nie sprawi wielkiej różnicy. Przypominam sobie teraz, że był to ten sam człowiek, który nie przyjął do szpitala biednej Ellen Power. Wówczas jednak o tym nie myślałam: przepełniała mnie głęboka wdzięczność, gdyż wobec

ewentualnych dociekań oraz podejrzeń panny Haxby doszczętnie straciłabym głowę. Ruszyłam wraz z nim przez korytarz; na wysokości celi Seliny zwolniłam kroku i zajrzałam do środka. Zadrżałam na widok panującego tam rozgardiaszu – drzwi otwartych na oścież, porozrzucanych drobiazgów, hamaka, dalekiego od przepisowego ładu, oraz Biblii, podartej i ubrudzonej tynkiem. Lekarz podążył, za moim spojrzeniem i potrząsnął głową.

– Pomyślałby kto, że taka spokojna dziewczyna – powiedział. – Ale nawet najłagodniejsza suka wyszczerzy kiedyś zęby na swoją panią.

Doradził, bym posłała po służącą i wzięła dorożkę, lecz nie zniósłabym pobytu w zamkniętej przestrzeni, wiedząc, że Selina ma wokół siebie jeszcze mniej miejsca. Ruszyłam pieszo w ciemność, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Dopiero na końcu Tite Street zwolniłam kroku, chłodząc na wietrze rozpaloną twarz. Matka może zapytać o przebieg wizyty, moja odpowiedź nie powinna budzić wątpliwości. Przecież nie mogę wyznać, że jedna z więźniarek pobiła strażniczkę. Że wpadła w szal, powodując tym samym nieopisany chaos. Ta wersja jest niedopuszczalna. Nie tylko dlatego, by podtrzymać iluzję o rzekomym posłuszeństwie i uległości kobiet z Millbank, nie. Po prostu wówczas nie obyłoby się bez szlochów i łez oraz wyznania prawdy.

Selina Dawes uderzyła strażniczkę i trafiła do lochu, dlatego że nie zniósłaby wyjazdu z Millbank i rozłąki ze mną.

Postanowiłam więc zdobyć się na opanowanie i bez słowa pójść do swojego pokoju. Liczyłam, że jeśli wymówię się złym samopoczuciem, dadzą mi spokój. Kiedy jednak Ellis otworzyła drzwi, rzuciła mi dziwne spojrzenie; przechodząc obok niej, zobaczyłam zastawiony stół w jadalni, kwiaty, świece i porcelanę. Matka podeszła do schodów, błada z niepokoju i irytacji.

– Ach! Jak śmiesz być taka bezmyślna! Jak możesz tak mnie dręczyć!

Na śmierć zapomniałam, że było to pierwsze przyjęcie po ślubie Prissy. Lada chwila mieli przyjść goście. Matka podeszła bliżej i uniosła rękę; myśląc, że chce mnie uderzyć, zrobiłam unik.

Nie uderzyła jednak. Ściągnęła ze mnie płaszcz i sięgnęła do mojego kołnierza.

– Pomóż mi ją rozebrać, Ellis! – zawołała. – Nie możemy dopuścić, by zaniósła ten brud na górę i wdeptała go w dywan.

Wówczas zobaczyłam, że na moim ubraniu widnieją liczne ślady tynku; musiałam się ubrudzić, pomagając pannie Brewer. Stałam oszołomiona, podczas gdy matka trzymała jeden z moich rękawów, a Ellis złapała za drugi. Zerwały ze mnie górę kostiumu, pozwalając bym sama wyplątała się ze spodnicy. Następnie zabrały kapelusz, rękawiczki i zabłocone buty.

Ellis wyniosła odzież, matka zaś chwyciła mnie za ramię i zaciągnawszy do jadalni, zamknęła drzwi.

Zgodnie ze swym wcześniejszym zamiarem oświadczyłam, że źle się czuję. Słyszając to, zaśmiała się ironicznie.

– Źle? – powtórzyła. – O nie, Margaret. Pogrywasz tą kartą wedle własnych zachcianek. Czujesz się źle, kiedy jest ci to na rękę.

– Jestem chora – odrzekłam. – A mama sprawia, że czuję się jeszcze gorzej.

– Jak mniemam, jesteś dostatecznie zdrowa, by chodzić do Millbank! – Uniosłam rękę do czoła. Odepchnęła ją. – Jesteś samolubna – dodała. – I uparta. Dość tego.

– Proszę – powiedziałam. – Proszę. Chciałabym pójść do swojego pokoju i się położyć...

Odparła, że mam iść do swojego pokoju i się ubrać. Mam zrobić to sama, gdyż służące mają w tej chwili inne rzeczy na głowie. Zaprotestowałam, mówiąc, że nie dam rady, że byłam przed chwilą świadkiem potwornej sceny w więzieniu.

– Twoje miejsce jest tutaj! – oświadczyła. – A nie w więzieniu. Pora, żebyś przyjęła to do wiadomości. Teraz, kiedy Priscilla wyszła za męża, nie możesz dłużej wykręcać się od obowiązków. Twoje miejsce jest tutaj, tutaj, powiadam! Zajmiesz je u boku matki, by w odpowiedniej chwili powitać gości...

I tak dalej. Kiedy wtrąciłam, że będą przy niej Helen ze Stephenem, głos matki nabrał jeszcze ostrzejszych tonów. Nie! Ona tego nie wytrzyma! Nie zniesie, by znajomi uznali mnie za słabą lub... lub ekscentryczną! Ostatnie słowo niemal wypłuła.

– Nie jesteś panią Browning*, Margaret, choćbyś nie wiem jak tego chciała. W ogóle nie jesteś panią! Jesteś tylko panną Prior. I twoje miejsce – ileż razy muszę to powtarzać? – jest tu, u boku matki.

Miałam wrażenie, że głowa zaraz mi pęknie. Kiedy powiedziałam o tym matce, zbyła mnie machnięciem ręki i kazała wziąć chloral. Ona nie ma czasu go przynieść, mogę to zrobić sama. I powiedziała, gdzie go trzyma. W szufladzie sekretarzyka.

Poszłam do swojego pokoju. W korytarzu minęłam Vigers; odwróciłam twarz na widok zdumionego spojrzenia, jakim obrzuciła moje nagie ramiona, halki oraz pończochy. Na łóżku znalazłam przygotowaną suknię i broszkę, którą miałam do niej przypiąć. Mocując się z haftkami usłyszałam, jak pod dom podjeżdża pierwsza dorożka: byli to Helen ze Stephenem. Ubieranie się bez niczyjej pomocy kosztowało mnie wiele wysiłku; w pasie poluzował się jeden z fiszbinów i nie wiedziałam, jak go poprawić. Pulsowanie w głowie zaćmiewało mi

* Elizabeth Barrett Browning (1806–1861) – poetka angielska.

wzrok. Wyczesalam tynk z włosow, wzdygajac sie pod klujacym dotykiem szczotki. Popatrzylam do lustra: mialam podsinione oczy, a obojczyki sterczaly mi niby druty. Z dolu dal sie uslyszec glas Stephena; upewniwszy sie, ze drzwi salonu zostaly zamkniete, pobieglam do pokoju matki i znalazlam chloral. Wsyपालam dwadzieścia miareczek. Kiedy nie podzialaly, wzielam kolejne dziesiec.

Wreszcie krew zapulsowala mi w zyloch, skora na twarzy stezala i bol w czole zelzal. Odlozylam chloral na miejsce, matka bylaby zadowolona. Nastepnie zeslam na dol, by zgodnie z poleceniem stanac u jej boku. Zerknela na mnie przelotnie, chcac ocenic moj wyglad, po czym nie obdarzyla mnie ani jednym spojrzeniem. Helen podeszla, zeby sie przywitac.

– Poklócilyście się, wiem – szepnela.

– Och, Helen – odrzeklam. – Jak bardzo zaluje, ze Priscilla wyjechala!

Naraz ogarnal mnie strach, ze wyczuje lekarstwo. By zabic jego zapach, siegnelam po kieliszek wina z tacy Vigers. Vigers spojrzala na mnie uwaznie.

– Szpilki panience wychodza – powiedziala cicho. Oparla tace na biodrze i poprawila mi włosy; byl to chyba najcieplejszy gest, jakim kiedykolwiek mnie obdarzono.

Ellis uderzyla w gong. Stephen poszedl do jadalni z matka, Helen z panem Wallace'em. Mnie towarzysyl pan Dance, narzeczony panny Palmer. Pan Dance ma wasy i krzaczaste brwi. Powiedzialam do niego – choc mialam wrazenie, jakby slowa te wyszly z ust innej kobiety:

– Ma pan nader osobliwa twarz, panie Dance! Ojciec zwykl rysowac mi podobne twarze, kiedy bylam dzieckiem. Kiedy odwrócic je do gory nogami, ujawniaja nowe, nieznanne oblicze. Stephen, pamietasz te rysunki? – Pan Dance wybuchnal smiechem. Helen popatrzyla na mnie ze zdziwieniem. – Niech pan stanie na glowie, panie Dance – dodalam – byśmy ujrzeli te druga, ukryta twarz!

Pan Dance znów sie rozesmial. Pamietam, ze chichotal przez caly obiad; wreszcie jego smiech zmeczył mnie niezmiernie i przycisnelam palce do powiek.

– Margaret jest dzisiaj zmeczona – zauwazyła pani Wallace. – Jesteś zmeczona, Margaret? Za bardzo sie poswiecasz swoim podopiecznym.

Otworzylam oczy. Swiatla wokol stolu wydalaly sie naraz bardzo jasne. Pan Dance zapytal, o jakie podopieczne chodzi. Pani Wallace odpowiedziala w moim imieniu, ze odwiedzam wiezienie Millbank i zaprzyjaznilam sie z przebywajacymi tam kobietami. Pan Dance wytarl usta. Niesamowite, uznal. Fiszbin nadal klul mnie w bok, mocniej niz przedtem.

– Z opowiadania Margaret wnosze, ze panuje tam bardzo ostry rygor – mowila pani

Wallace. – Ale te osoby naturalnie przywykły do trudnych warunków.

Popatrzyłam na nią, a potem na pana Dance'a.

– A panna Prior chodzi tam, by studiować ich obyczaje? – zapytał. – Krzewić wiedzę?

– By nieść im pociechę i inspirację – odrzekła pani Wallace. – Przewodnictwo duchowe, jako dama.

– Ach, jako dama...

W tym momencie to ja wybuchnęłam śmiechem. Pan Dance popatrzył na mnie i zamrugął.

– Domyślam się, że bywała pani świadkiem wielu drastycznych scen – powiedział.

Pamiętam, że utkwiałam wzrok w jego talerzu, w leżącym na nim herbatniku, kawałku sera naznaczonego błękitnymi żyłkami oraz nożu z rączką z kości słoniowej, na którym widniał płatek masła, zroszony wilgocią niczym kroplami potu.

– Owszem – odrzekłam z wolna – widywałam podobne sceny. Widywałam kobiety zmuszone do milczenia, ponieważ tak nakazują przepisy. Widywałam kobiety, które dokonywały samookaleczeń, by przerwać monotonię więziennego życia. Kobiety doprowadzone do obłędu. Jedna umiera, ponieważ trzymano ją w chłodzie i odmawiano treściwego pożywienia. Inna własnoręcznie wyłupiła sobie oko...

Pan Dance, który tymczasem ujął nóż, ponownie odłożył go na talerz. Panna Palmer krzyknęła. Matka upomniała mnie surowo. Zobaczyłam, jak Helen zerka na Stephena. Ale słowa uciekały mi z ust, czułam niemal ich smak i kształt. Mogłam tam siedzieć i zwymiotować na stół, a i tak by mnie nie uciszyli.

– Widziałam piwnicę i lochy – podjęłam. – W piwnicy trzymają kaftany, pęta i łańcuchy. Pęta unieruchamiają nadgarstki i stopy kobiety, przez co trzeba karmić ją łyżką, jak dziecko, a gdy narobi pod siebie, musi tkwić we własnych nieczystościach. – Matka powiedziała coś ostrzej niż poprzednio, Stephen jej zawtórował. – W drzwiach prowadzących do lochu – ciągnęłam – widnieje krata, za którą są kolejne drzwi, a potem jeszcze jedne, wypchane słomą. Kobiety trafiają tam ze skrupowanymi rękami, mrok otacza je ze wszystkich stron. Obecnie przebywa tam pewna dziewczyna i... wie pan co, panie Dance? – Nachyliłam się ku niemu i wyszeptalam: – Tak naprawdę to ja powinnam znajdować się na jej miejscu. Nie ona, tylko ja!

Pan Dance przeniósł wzrok na panią Wallace, która krzyknęła, słysząc moje słowa. Ktoś zapytał nerwowo, co to ma znaczyć. Cóż takiego mam na myśli?

– Czyżby pan nie wiedział – dodałam – że niedoszłe samobójczynie również trafiają do więzienia?

Matka zareagowała natychmiast.

– Po śmierci swego biednego ojca Margaret bardzo ciężko chorowała – wyjaśniła. – I w roztargnieniu spowodowanym chorobą (cóż za niefortunny zbieg okoliczności!) pomyliła dawki lekarstwa...

– Wzięłam morfinę, panie Dance! – krzyknęłam. – Umarłabym, gdyby mnie nie znaleziono. Fatalne niedopatrzenie z mojej strony. Ale ja nie poniosłam żadnych konsekwencji, rozumie pan? Czy to nie dziwne? Kobieta z pospólstwa wypija morfinę i trafia za to do więzienia, a ja zostaję odratowana i odwiedzam ją w celi, dlatego tylko, że jestem damą!

Odchodziłam od zmysłów bardziej niż kiedykolwiek, przemawiałam wszakże z jasnością, która mogła wskazywać na manifestacyjny wybuch złości. Rozejrzałam się; wszyscy unikali mojego wzroku, z wyjątkiem matki, która patrzyła tak, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

– Helen, odprowadzisz Margaret do jej pokoju? – poprosiła wreszcie ściszym tonem.

Następnie wstała, a pozostałe panie poszły za jej przykładem, panowie zaś kurtuazyjnie unieśli się z miejsc. Krzesła zgrzytnęły o podłogę, talerze i szklanki zakołysały się na stole. Helen podeszła bliżej.

– Ty nie będziesz mnie dotykać! – warknęłam. Wzdrygnęła się, pewnie ze strachu przed tym, co jeszcze mogę powiedzieć. Mimo to objęła mnie ręką w talii i wyprowadziła z jadalni, mijając po drodze Stephena, pana Wallace'a, pana Dance'a i Vigers stojącą przy drzwiach. Matka przeszła z paniami do salonu; przez chwilę podążałyśmy za nimi, a następnie ruszyłyśmy dalej.

– Co się stało, Margaret? – zapytała Helen. – Nigdy nie widziałam cię tak... niepodobną do siebie.

Uspokoiliłam się trochę. Odrzekłam, żeby nie zwracała na mnie uwagi, jestem po prostu zmęczona, boli mnie głowa, a suknia pije. Nie pozwoliłam jej wejść do pokoju, przekonując, że powinna wrócić na dół i pomóc matce. Ja tymczasem pójdę spać, a jutro obudzę się w lepszym nastroju. Spojrzała z powątpiewaniem, kiedy jednak dotknęłam jej twarzy – z czystej życzliwości, na poparcie swych słów! – drgnęła; zrozumiałam, że boi się tego, co nieopatrznie mogę powiedzieć lub zrobić. Roześmiałam się; wtedy zeszła na dół, spoglądając na mnie po drodze. Patrzyłam, jak jej twarz w cieniu schodów robi się coraz mniejsza, bledsza i coraz bardziej niewyraźna.

W pokoju panowały ciemność i spokój, wygasły kominek żarzył się smętnie, na skraju żaluzji majaczyło światło ulicznej latarni. Mrok sprawił mi ulgę, ani myślałam zapalić lampę.

Krałęyłam od drzwi do okna i z powrotem; usiłowalam poluzowac ciasnà suknie, lecz palce odmowily mi posluszenstwa: zsunalam jà tylko troche, przez co zdawala sie uwierac jeszcze dotkliwiej. Nadal chodzila po pokoju. Naraz uderzyla mnie pewna mysl. Jest nie dosc ciemno! Pragnalam, aby bylo jeszcze ciemniej. Rozejrzalam sie w poszukiwaniu najmroczniejszego zakatka. Mój wzrok padl na uchylone drzwi szafy: w jednym rogu panowal nieprzenikniony mrok. Wpelzlam do srodka i skuliwszy sie w kacie, oparlam glowe na kolanach. Suknia trzymala mnie teraz jak w imadle, lecz im bardziej probowalam ja rozluznic, tym bardziej zaciskaly sie tasiemki. Naraz doznalam olsnienia. Tam jest sruba, pomyslam. Dokrecaja ja coraz mocniej!

Wiedzialam, gdzie sie znajduje. Bylam z nia, blisko, blizej niz... uzywajac jej okreslenia, niz wosk. Poczulam napierajace sciany celi, kaftan na grzbiecie...

Jednoczesnie odnioslam wrazenie, jakbym miala na oczach jedwabna opaske, a na szyi aksamitna obroze.

Nie wiem, jak dlugo tam siedzialam. W pewnej chwili na schodach zabrzmialy kroki, po czym ktos delikatnie zastukal do drzwi i wyszeptal: "Spisz?". Mogla to byc Helen albo ktoras z dziewczat, na pewno nie matka. Tak czy inaczej, nie odpowiedzialam; nie weszla do srodka, zapewne przeswiadczona, ze spie. Ciekawe, co pomyslalyby na widok pustego lozka. Z dolu dobiegly glosy gości, Stephen gwizdnal na dorozke, pan Dance rozesmial sie pod moim oknem. Trzasnely frontowe drzwi, a matka dogladala gaszenia kominkow, nawolujac cos ostrym tonem. Zatkalam uszy. Opuściwszy rece, uslyszalam tylko kroki Vigers na gorze, a nastepnie jek oraz westchnienie sprzyn jej lozka.

Gdy spröbowalam wstac, zachwialam sie na nogach: kolana zdrötwialy mi z zimna, a takze od niewygodnej pozycji, i za nic nie chialy sie rozprostowac, suknia zas nadal krepowala ruchy. Kiedy jednak wreszcie zdolalam wstac, opadla z latwoscia. Nie wiem, czy to za sprawa leku, ale nieoczekiwanie chwycily mnie mdlosci. Po omacku przeslam przez pokój i umylam twarz, po czym stalam pochylona nad miednica, czekajac, az przestanie mnie mdlic. W kominku zarzily sie jeszcze dwa lub trzy wegielki; podeslam blizej i ogrzawszy sobie rece, zapalilam swiece. Moje usta, jezyk i oczy zdawaly sie nalezec do kogos innego. Postanowilam przejrzec sie w lustrze, ciekawa, czy zauwazę jakas zmianę. Lecz gdy sie odwröcilam, omiatajac wzrokiem lozko, zobaczylam cos na poduszce i rece zadygotaly mi tak gwałtownie, ze swieca upadla na podloge. Pomyslalam, ze to glowa. Pomyslalam, ze widzę własna glowe, tuz nad krawędzia koldry. Skamienialam z przerazenia, owladnieta przekonaniem, ze oto leze w lozku, przespalam czas letargu w szafie, a teraz obudze sie, wstanę i chwycę sie w objecia. Swiatlo! Musze zapalic swiatlo! Nie moge dopuscic, aby

tamta podeszła do mnie po ciemku! Nachyliwszy się, odnalazłam świecę, zapaliłam ją i osłaniając płomień, raz jeszcze popatrzyłam na poduszkę.

To nie była głowa. Miałam przed sobą warkocz jasnych włosów, gruby na dwie pięści. Włosów, które próbowałam wykraść z Millbank, włosów Seliny. Wysłała je do mnie z lochów, pod osłoną nocy. Wtuliłam w nie twarz. Pachniały siarką.

Obudziłam się o szóstej rano, przekonana, że słyszę dzwon Millbank. Obudziłam się jakby ze snu wiecznego, w okowach ciemności, na wpół przysypana ziemią. Włosy Seliny spoczywały obok mnie, miejscami lekko zmatowiały. Zabrałam je nocą do łóżka. Ich widok przypomniał mi wydarzenia ubiegłego wieczoru i zadrżałam, starczyło mi wszakże rozsądku, by owinąć je szalem i schować do szuflady, gdzie trzymam dziennik. Dywan pod moimi stopami zdawał się kołysać niczym pokład statku, a gdy z powrotem padłam na łóżko, bynajmniej nie spoczął nieruchomo. Przyszła Ellis, po czym natychmiast pobiegła po matkę, która zjawiała się z marsem na czole, gotowa do dalszych połajanek. Kiedy jednak mnie zobaczyła, bladą i roztrzęsioną, wydała z siebie przeraźliwy okrzyk. Wysłała Vigers po doktora Ashe'a. Gdy przyszedł, nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Powiedziałam mu, że to tylko comiesięczna przypadłość, nic więcej. Polecił mi zamiast chloralu brać laudanum i nie wychodzić z domu.

Po jego wyjściu matka kazała Vigers przygotować gorący okład na mój rzekomo bolący brzuch. Następnie przyniosła laudanum. Przynajmniej smakuje lepiej niż chloral.

– Gdybym wiedziała, że jesteś taka chora – powiedziała – oczywiście nie kazałabym ci wczoraj siadać z nami do stołu.

Dodała, że w przyszłości należy zwracać bacniejszą uwagę na to, jak spędzam wolny czas. Sprowadziła Helen i Stephena; słyszałam, że coś szepczą nad łóżkiem. W pewnym momencie zapadłam w sen, po czym obudziłam się z płaczem i krzykiem, i przez pół godziny nie mogłam dojść do siebie. Przestraszyłam się, że w gorączce powiem coś, co dotrze do niepowołanych uszu. Kazałam im wyjść, co napotkało stanowcze protesty. "Jak to, mamy cię zostawić, żebyś tu leżała sama i chora?". Podejrzewam, że matka nosiła się z zamiarem pozostania przy mnie przez całą noc. Wreszcie mój spokój przekonał ich, że wystarczy zostawić jedną z dziewcząt. Vigers ma siedzieć pod drzwiami aż do świtu. Matka kazała jej pilnować, bym nie wstawała i nie męczyła się niepotrzebnie; jeśli jednak nawet pochwyciła szelest tych kartek, nie zajrzała do środka. Raz tylko weszła cicho do pokoju, przynosząc mi filiżankę mleka zagęszczonego jajkiem z melasą. Oświadczyła, że jedna taka filiżanka dziennie wkrótce postawi mnie na nogi. Ale nie mogłam tego wypić. Po godzinie Vigers

zabrała filiżankę, a jej nieładna twarz posmutniała. Nie biorę do ust nic prócz wody i odrobiny chleba, leżę przy zasuniętych żaluzjach i zapalonej świecy. Gdy matka przyniosła jaśniejszą lampę, odwróciłam twarz. Światło raziło mnie w oczy.

26 maja 1873

Tego popołudnia, kiedy siedziałam cicho w swoim pokoju, zabrzmiał dzwonek u drzwi i Ruth przyprowadziła gościa. Była to panna Isherwood, obecna na seansie w zeszłą środę. Spojrzała na mnie i wybuchnęła płaczem, mówiąc że od tamtej pory nie zmrużyła oka. Wszystko przez Petera Quicka – dotknął jej twarzy i rąk, pozostawiając na nich niewidoczne ślady, z których niczym woda sączy się jakaś substancja. "Proszę podać mi rękę – poleciłam. – Czy teraz czuje pani na sobie ową substancję?". Potwierdziła. Obserwowałam ją przez chwilę, po czym powiedziałam: "Ja również". Spojrzała na mnie z niedowierzaniem, a ja się roześmiałam. Naturalnie znałam naturę jej dolegliwości. "Jest pani taka jak ja, panno Isherwood, choć sama pani o tym nie wie – oznajmiłam. – Ma pani wielką moc! Materia duchowa sączy się z pani, pragnąc znaleźć ujście. Musimy jej to umożliwić, wówczas pani moc ujawni się z należytą siłą, zgodnie z przeznaczeniem. Potrzebuje rozwoju. Jeśli zignorujemy tę potrzebę, pani moc zaniknie albo wzburzy się wewnątrz organizmu, doprowadzając do choroby." Popatrzyłam na jej pobladłą twarz. "Myślę, że już czuje pani w sobie tę burzę, prawda?". Odpowiedziała, że tak. "Cóż, nie będzie więcej pani doskwierać – dodałam. – Czy już nie czuje się pani lepiej za sprawą mojego dotyku? Pomogę pani, a Peter Ouick poprowadzi moją rękę". Poleciłam Ruth przygotować salonik, Jenny zaś przykazałam przez godzinę trzymać się z dala zarówno od tego pokoju, jak i sąsiednich.

Odczekawszy chwilę, sprowadziłam pannę Isherwood na dół. Po drodze minęłyśmy panią Brink. Wyjaśniłam, że panna Isherwood przyszła na prywatny seans. "Ma pani szczęście, panno Isherwood – zawołała pani Brink. – Ale chyba nie zmęczy pani zbytnio mojego aniołka?". Panna Isherwood przyrzekła, że nie. Po wejściu do salonu zobaczyłyśmy, że Ruth zawiesiła kotarę, ale ponieważ nie było czasu przygotować nafosforyzowanego oleju, zostawiła przygaszoną lampę. "Niech się pali – zdecydowałam. – Gdy uzna pani, że Peter Quick znajduje się w tym pokoju, proszę dać mi znać. Jeżeli istotnie ma pani w sobie moc, on przyjdzie. Nie muszę siadać za kotarę, czynię to jedynie podczas seansów, by uchronić się przed emanacjami płynącymi z oczu niewtajemniczonych".

Przesiedziałyśmy tak może ze dwadzieścia minut, panna Isherwood wierciła się nerwowo przez cały czas. Wreszcie coś zastukało w ścianę. "Co to było?" – spytała szeptem. "Nie wiem" – odrzekłam. Wówczas rozległo się głośniejsze pukanie i panna Isherwood zawołała: "On tu chyba jest!". Wtedy Peter wyszedł zza kotary, jęcząc i potrząsając wielką głową. "Dlaczego sprowadzacie mnie o tak dziwnej porze" – zapytał. "Jest tutaj pewna dama, która

potrzebuje twojej pomocy – oznajmiłam. – Moim zdaniem posiada moc przywoływania duchów, ale owa moc jest słaba i wymaga wzmocnienia. Sądzę, że to ty dałeś jej powołanie". "Czy to panna Isherwood? – zapytał Peter. – Tak, widzę ślady, jakimi ją nazaczyłem. Cóż, panno Isherwood, powołanie to nie przelewki, trzeba je traktować z należytą powagą. Posiada pani coś, co niekiedy określa się mianem daru śmiertelnego. Wydarzenia, które mają miejsce w tym pokoju, nie wzbudziłyby zrozumienia niedowiarków. Musi pani dochować tajemnicy, inaczej ściągnie pani na siebie gniew duchów. Potrafi pani to zrobić?". "Chyba tak, proszę pana – odrzekła panna Isherwood. – Sądzę, że słowa panny Dawes nie są dalekie od prawdy. Posiadam naturę podobną do jej natury, a na pewno bardzo zbliżoną".

Popatrzyłam na Petera i ujrzałam uśmiech na jego twarzy. "Natura mojej podopiecznej jest bardzo szczególna – oświadczył. – Według pani być medium oznacza zrzec się własnego ducha i przyjąć innego. Lecz rzeczywistość wygląda inaczej. Człowiek staje się sługą duchów, narzędziem w ich rękach. Pozwala się wykorzystać i tak też ma brzmieć jego modlitwa. Niechaj zostanę wykorzystany. Powtórz, Selino". Powtórzyłam. Peter zwrócił się do panny Isherwood. "Niech pani każe jej to powtórzyć". "Proszę to powiedzieć, panno Dawes" – poleciła panna Isherwood. "Niechaj zostanę wykorzystana" – powtórzyłam. "Widzi pani? Moje medium spełnia każde moje życzenie. Wydaje się świadoma, lecz tak naprawdę jest w transie. Niech pani każe jej coś zrobić".

Usłyszałam, jak panna Isherwood przetyka ślinę. "Zechce pani wstać, panno Dawes?". Peter natychmiast jej przerwał. "Niech pani nie prosi, tylko rozkazuje. Niech pani wstanie, panno Dawes!". Wstałam. "Proszę jeszcze coś jej rozkazać" – polecił Peter. Kazała mi złożyć ręce, otworzyć i zamknąć oczy, a następnie powiedzieć "amen". Posłusznie wykonałam polecenie, a Peter wybuchnął śmiechem, aż jego głos przybrał wysokie tony. "Niech panią pocałuje" – powiedział. "Niech pani mnie pocałuje, panno Dawes". "Teraz niech pocałuje mnie!" – zawołał. "Niech pani pocałuje Petera, panno Dawes". "A teraz proszę rozkazać jej zdjąć suknię!". "Ależ nie mogę tego uczynić" – zaproponowała panna Isherwood. "Niech pani to zrobi!". Usłuchała. "Proszę pomóc jej rozpiąć guziki" – dodał. Panna Isherwood posłusznie spełniła polecenie, wołając: "Ach, jak szybko bije jej serce!".

"Medium zostało obnażone – oznajmił Peter. – Podobnie dzieje się z duchem, kiedy pozbywa się ciała. Niech pani położy na niej ręce, panno Isherwood. Czy jest gorąca?". Panna Isherwood odpowiedziała, że jestem bardzo gorąca. "To dlatego, że jej duch znajduje się tuż pod powierzchnią ciała – wyjaśnił Peter. – Panią również należy rozgrzać". Panna Isherwood zapewniła, że jest jej bardzo gorąco. "Nasze zadanie wymaga czegoś więcej – odparł. – Medium sprawi, że stanie się pani jeszcze gorętsza. Proszę zdjąć suknię i objąć pannę

Dawes". Poczułam, jak wypełnia rozkaz; nadal miałam zamknięte oczy, gdyż Peter nie pozwolił mi ich otworzyć. Poczułam, jak mnie obejmuje, zbliżając twarz do mojej twarzy. "Co pani czuje, panno Isherwood?" – zapytał Peter. "Nie jestem pewna, proszę pana" – odrzekła. "Proszę przypomnieć, jak brzmi pani modlitwa" – polecił. "Niechaj zostaną wykorzystana" – powiedziała. "Proszę powtórzyć". Powtórzyła, po czym kazał jej uczynić to jeszcze szybciej. Następnie podszedł i położył dłoń na jej karku. Podskoczyła. "O, widzę, że pani duch nie jest jeszcze dostatecznie gorący – stwierdził. – Niech pani poczuje, jak topnieje, ustępując miejsca mojemu duchowi!". Objął ją i poczułam na sobie jego rękę; panna Isherwood znalazła się między nami i zadrżała jak osika. Peter zapytał: "Jak brzmi modlitwa medium, panno Isherwood? Jak brzmi modlitwa medium?". Powtarzała ją raz za razem, aż wreszcie jej głos ucichł, a Peter szepnął do mnie: "Otwórz oczy".

11 grudnia 1874

Od tygodnia budzę się na dźwięk dzwonu Millbank wzywającego kobiety do pracy. Wyobrażam sobie, jak wstają, naciągają wełniane pończochy i serżowe suknie. Wyobrażam sobie, jak stają przy kratach z nożami i talerzami, grzeją ręce o kubki z herbatą, po czym siadają do pracy i znowu marzną im dłonie. Selina musi znajdować się wśród nich, gdyż ciemność ustąpiła nieco z tej części mej istoty, która dzieliła z nią celę. Ale wiem, że jest nieszczęśliwa, a ja nie mogę jej odwiedzić.

Zrazu powstrzymywały mnie wstyd i strach. Teraz czyni to matka. W miarę jak dochodzę do siebie, ona odzyskuje dawną zręczliwość. Dzień po wizycie lekarza usiadła przy moim łóżku i widząc, jak Vigers niesie kolejny okład, pokręciła głową.

– Nie cierpiałabyś tak – powiedziała – gdybyś była mężatką.

Wczoraj asystowała przy kąpieli, ale nie pozwoliła mi ubrać. Uznała, że zostanę w koszuli i nie będę wychodzić z pokoju. Vigers wyjęła z szafy kostium, który kazałam uszyć specjalnie na wizyty w Millbank. Przed pamiętną kolacją wciśnięto go tam i o nim zapomniano, pewnie chciała go odświeżyć. Widok licznych plam przywołał wspomnienie panny Brewer osuwającej się po ścianie. Rzuciwszy mi przelotne spojrzenie, matka kazała Vigers wyczyścić i schować ów strój. Gdy zaoponowałam, mówiąc, że będzie mi potrzebny, odparła, że nie zamierzam chyba kontynuować odwiedzin w więzieniu, nie po tym, co się stało?

Popatrzyła na służącą.

– Zabierz ten kostium i idź – dodała nieco ciszej. Vigers rzuciła mi przelotne spojrzenie i wyszła. Usłyszałam, jak pospiesznie zbiega po schodach.

Nie oznaczało to bynajmniej końca sprzeczki.

– Nie pozwalam na dalsze wyprawy do Millbank – oznajmiła kategorycznie matka. – Stanowczo nie wychodzi ci to na zdrowie.

Oznajmiłam, że jej zakaz nie wpłynie na moją decyzję.

– A co z twoim poczuciem przyzwoitości? – spytała. – Lojalnością wobec matki?

Odpowiedziałam, że wizyty w Millbank nie mają nic wspólnego ani z brakiem przyzwoitości, ani lojalności. Jak może tak myśleć? A o czym świadczy moje zachowanie podczas kolacji, w obecności pana Dance'a i panny Palmer, spytała, jeśli nie o braku lojalności? Ona od początku wiedziała, że Millbank nie wpłynie dobrze na moje zdrowie. Doktor Ashe całkowicie się z nią zgadza. Miałam za dużo swobody, co w połączeniu z moim

temperamentem okazało się fatalne w skutkach. Byłam zbyt podatna na wpływy, obcowanie z prostytutkami sprawiło, że zapomniałam o konwenansach. A brak lepszych zajęć wzniecił skłonność do ekstrawagancji i tak dalej, i tak dalej.

– Pan Shillitoe – powiedziała na koniec – przysłał list z pytaniem o twoje samopoczucie.

Okazało się, że list przyszedł dzień po mojej ostatniej wizycie. Matka oznajmiła, że sama skreśli odpowiedź i nie omieszka napisać, iż stan mego zdrowia nie pozwala na dalsze wizyty.

Pomimo zmęczenia wywołanego ową uciążliwą wymianą zdań poczułam nagły przypływ gniewu. Niech cię diabli, ty suko! Te słowa zadźwięczały mi w głowie tak wyraźnie, że drgnęłam w obawie, czy aby nie dotrą do uszu matki. Ona jednak podeszła do drzwi, nie oglądając się za siebie; widząc, jak zdecydowanie rusza naprzód, błyskawicznie obmyśliłam plan działania. Sięgnęłam po chustkę i wytarłam usta. Następnie zawołałam, żeby nie pisała listu. Sama wyślę odpowiedź panu Shillitoe.

Przyznałam jej rację. Zrezygnuję z odwiedzin w Millbank. Powiedziałam to, unikając jej wzroku, co zapewne odczytała jako przejaw wstydu, gdyż ponownie zbliżyła się do łóżka i położyła mi rękę na policzku.

– Mam na uwadze jedynie twoje dobro – oświadczyła.

Jej pierścionki chłodziły moją skórę. Przypomniałam sobie, jak przyszła do mnie po incydencie z morfiną. Zjawiała się w czarnej sukni, z rozpuszczonymi włosami. Położyła mi głowę na piersi, aż koszula nocna zamokła doszczętnie od łez.

Teraz wręczyła mi kartkę i pióro, po czym stanęła u wezgłowia i patrzyła, jak piszę. Napisałam:

Selina Dawes

Selina Dawes

Selina Dawes

Selina Dawes

Ujrawszy, że pióro biegnie po papierze, wyszła z pokoju. Spaliłam kartkę w kominku.

Następnie zadzwoniłam po Vigers i powiedziałam, że nastąpiła zmiana: ma wyczyścić kostium i przynieść go, kiedy matka wyjdzie z domu. Przykazałam, aby nie wspominała o tym pani Prior i Ellis.

Zapytałam, czy są do wysłania jakieś listy. Kiedy pokiwała głową, mówiąc, że ma jeden, poleciłam jej natychmiast pójść z nim do skrzynki, a gdyby ktoś pytał, powiedzieć, że to list ode mnie. Dygnęła, nie odrywając oczu od podłogi. To było wczoraj. Potem przyszła matka i

ponownie dotknęła mojej twarzy. Tym razem jednak udawałam, że śpię, i nie otworzyłam oczu.

Z ulicy dochodzi turkot powozu. Pani Wallace zabiera matkę na koncert. Matka zaraz tu będzie, żeby przed wyjściem dać mi lekarstwo.

Byłam w Millbank i widziałam Seline. Nic już nie jest takie, jak przedtem.

Czekali na mnie, jakże by inaczej. Dozorca miał za zadanie wyglądać mojego przybycia, gdyż popatrzył znacząco, a kiedy dotarłam do więzienia dla kobiet, strażniczka zaprowadziła mnie prosto do gabinetu panny Haxby, gdzie oprócz przełożonej czekali już pan Shillitoe i panna Ridley. Sytuacja przypominała moją pierwszą wizytę w więzieniu: teraz mam wrażenie, że było to w innym życiu, choć jeszcze po południu wcale tak nie myślałam. Odczułam wszakże pewną różnicę, gdyż panna Haxby wcale się nie uśmiechała, a i pan Shillitoe miał na twarzy wyraz niecodziennej powagi.

Oznajmił, że mój widok sprawia mu ogromną radość. Bardzo się zmartwił, kiedy jego list pozostawał bez odpowiedzi, obawiał się bowiem, czy zeszlotygodniowa awantura na dobre nie zniechęciła mnie do Millbank. Wyjaśniłam, że trochę chorowałam, list zaś zapodział się w wyniku lekkomyślności służącej. Zobaczyłam, iż panna Haxby lustruje moje zapadnięte policzki i oczy, pociemniałe od laudanum. Musiałam je zażyć; ponad tydzień nie opuszczałam pokoju i lekarstwo dodało mi sił.

Wyraziła nadzieję, że w pełni powróciłam do zdrowia; żałowała też, że nie miałyśmy okazji porozmawiać zaraz po owym przykrym incydencie z udziałem Dawes.

– Mogliśmy liczyć tylko na relację biednej panny Brewer. Obawiam się, że Dawes wykazała w tym względzie niespotykany upór.

Panna Ridley szurnęła butami, przybierając wygodniejszą pozycję. Pan Shillitoe milczał. Zapytałam, jak długo Selina przebywała w ciemnicy. Okazało się, że trzy dni. Był to najdłuższy okres, jaki kobieta może tam spędzić bez "formalnego rozporządzenia".

– To bardzo surowa kara – zauważyłam.

Za napaść na strażniczkę? Panna Haxby nie podzielała mojej opinii. Oznajmiła, że panna Brewer doznała takiego szoku, że odeszła z Millbank i w ogóle zrezygnowała z pracy w więziennictwie. Pan Shillitoe potrząsnął głową.

– Bardzo przykra sprawa – powiedział. Skinęłam głową, po czym zapytałam o Seline.

– Dostała to, na co zasłużyła – oświadczyła panna Haxby. – Przebiera włókno kokosowe w sektorze pani Pretty, a plany przeniesienia jej do Fulham zostały naturalnie puszczone w niepamięć. – Wbiła we mnie spojrzenie. – Przynajmniej to powinno panią ucieszyć – dodała.

Wiedziałam, że to powie. Odrzekłam spokojnie, że owszem, bardzo się cieszę. Dawes potrzebuje teraz wsparcia. Współczucie i troska wizytującej przydadzą jej się bardziej niż kiedykolwiek...

– Nie – odrzekła panna Haxby. – Nie, panno Prior. Jak mogę tak mówić, skoro moja dotychczasowa troska skłoniła Dawes do pobicia strażniczki i zniszczenia celi? Skoro moje zainteresowanie jej osobą stałą się bezpośrednią przyczyną owego kryzysu?

– Określa się pani mianem jej przyjaciółki! – zawołała. – Zanim panią poznała, była najspokojniejszą więźniarką w Millbank! Cóż to za przyjaźń, która wywołuje podobne emocje?

– Zatem nie życzy pani sobie dalszych odwiedzin? – zapytałam.

– Życzę sobie, by zachowała spokój, dla swojego własnego dobra. W pani obecności nie będzie jej to dane.

– Beze mnie też nie!

– Zatem będzie musiała się tego nauczyć.

– Panno Haxby... – zaczęłam, po czym ugryzłam się w język, gdyż mało nie powiedziałam "matko"! Przycisnęłam rękę do gardła i popatrzyłam na pana Shillitoe.

– Nie można zlekceważyć tego incydentu, panno Prior – oświadczył. – A jeśli następnym razem zaatakuje panią?

– Nie! – odparłam.

Czy nie rozumieją, że moje wizyty łagodzą jej oplakaną sytuację? Dawes to dziewczyna inteligentna, wrażliwa... najspokojniejsza dziewczyna w całym Millbank! Niech pomyślą, ile znaczy dla niej pobyt w więzieniu; nie czyni jej lepszą ani bardziej skruszoną, lecz tak nieszczęśliwą, do tego stopnia niezdolną wyobrazić sobie świata poza celą, że postanawia uderzyć strażniczkę, która przychodzi z decyzją o przeniesieniu!

– Przymusowe milczenie i odosobnienie – zakończyłam – doprowadzi ją do obłądki... albo śmierci.

Nie byłabym bardziej elokwentna, gdyby chodziło o moje własne życie; teraz wiem, że istotnie ważyły się jego losy, a słowa płynące z moich ust pochodziły od kogoś innego. Pan Shillitoe pograżył się w głębokim namyśle. Nie pamiętam, co sobie wówczas powiedzieliśmy. Wiem tylko, że pozwolił mi widywać Dawes, oni zaś ze swej strony będą obserwować jej postępy.

– Pani Jelf również rozmawiała ze mną w tej sprawie – dodał. Widać był to dla niego ostateczny argument.

Zobaczyłam, że panna Haxby wpatruje się w podłogę; dopiero gdy pan Shillitoe wyszedł,

a ja wstałam, by udać się do cel, przełożona ponownie skierowała na mnie wzrok. Wyraz jej twarzy sprawił mnie w najwyższe zdumienie, gdyż nie zobaczyłam w niej złości, tylko pewne zakłopotanie. Poniosła porażkę, pomyślałam, i teraz się wstydzi.

– Nie sprzecajmy się, panno Haxby – rzuciłam pojednawczo.

Natychmiast odrzekła, że ani myśli się sprzeczać. Wszak przybyłam do więzienia, nie wiedząc o nim zgoła nic... Tutaj zawahała się i zerknęła na pannę Ridley.

– Odpowiadam przed panem Shillitoe, naturalnie – dodała. – Lecz pan Shillitoe nie może narzucać mi swojej woli, gdyż jesteśmy w więzieniu dla kobiet. Pan Shillitoe nie rozumie charakteru tego miejsca. Niegdyś w rozmowie z panią zażartowałam, że mam za sobą wiele wyroków: to szczerą prawdą, panno Prior, poznałam wszystkie tutejsze kręte ścieżki i zawiłości. Myślę, że podobnie jak pan Shillitoe nie zna pani ani nie jest w stanie pojąć natury... – Szukała odpowiedniego słowa, po czym powtórzyła: –...charakteru, osobliwości charakteru dziewczyny pokroju Dawes, która została zamknięta w celi...

Dobór właściwych słów sprawiał jej wiele trudności, w czym przypominała swe podopieczne, nieumiejące używać określeń spoza potocznego słownika Millbank. Mimo to w lot pojęłam, co miała na myśli. Lecz ów charakter, o którym mówiła, dotyczył odrażających, trywialnych relacji łączących Jane Jarvis i Emmę White, nie miał jednak nic wspólnego z Seliną bądź ze mną. Nim zdążyła dodać coś jeszcze, pospieszyłam z zapewnieniami, iż wezmę jej przestrogi pod rozwagę. Obdarzywszy mnie na pożegnanie kolejnym baczny spojrzeniem, pozwoliła, by panna Ridley towarzyszyła mi w drodze do cel.

Kiedy mijałyśmy białe, więzienne korytarze, czułam silne działanie lekarstwa; uczucie to przybrało na sile w sektorach, gdzie przeciąg kołysze płomykami palników gazowych, przez co wszystkie nieruchome powierzchnie zdają się przesuwac, wybrzuszac i falowac. Jak zwykle uderzyły mnie posępna aura więzienia, cuchnące powietrze oraz cisza; na mój widok pani Pretty uśmiechnęła się szeroko, a jej twarz wydała mi się rozlazła i obca niczym odbicie w wygiętym arkuszu metalu.

– No, no, panna Prior – powiedziała. Jestem pewna, że użyła właśnie tych słów. – Wraca pani do swej zbłąkanej owieczki? – Zaprowadziła mnie do drzwi, po czym ostrożnie zajrzała przez wizjer. Następnie przekręciła klucz w zamku i otworzyła kratę znajdującą się za pierwszymi drzwiami. – Proszę bardzo – oznajmiła. – Od pobytu w lochach chodzi jak w zegarku.

Obecna cela Seliny jest mniejsza od poprzedniej, a zakratowane okienko w połączeniu z siatką osłaniającą palnik nadaje pomieszczeniu wyjątkowo przygnębiający wygląd. Nie ma tu krzesła ani stołu: Selina siedziała na twardej pryczy, pochylona nad tacą z włóknem

kokosowym. Słyszając szcęk otwieranych drzwi, odłożyła tacę i próbowała wstać, w wyniku czego straciła równowagę i musiała złapać się ściany. Odebrano jej gwiazdę i ubrano w suknię, która sprawiała wrażenie zbyt obszernej. Miała blade policzki oraz zsiniałe usta i skronie, na czole widniał żółty siniak. Jej paznokcie są połamane aż do krwi od przebierania włókna. Pył pokrywa dosłownie wszystko.

Kiedy zamknęły się drzwi, postąpiłam krok w jej kierunku. Przedtem spoglądałyśmy na siebie bez słowa, z jednakim przestraszaniem w oczach, teraz jednak wyszeptaliśmy:

– Co oni ci zrobili? Co zrobili?

Selina drgnęła; uśmiech zamajaczył na jej wargach, po czym w jednej chwili zbladł i zniknął niczym plama z wosku. Uniosła rękę do twarzy i zaszlochała. Nie pozostawało mi nic innego, jak podejść bliżej, otoczyć ją ramieniem i pogłodzić jej biedną, posiniaczoną twarz. Wreszcie doszła do siebie. Siedziała z głową na moim ramieniu, mocno obejmując mnie rękami.

– Musisz uważać mnie za strasznie słabą – szepnęła.

– Słabą, Selino?

– Tak bardzo pragnęłam, żebyś przyszła.

Zadrżała, po czym jej ramiona znieruchomiały. Ujęłam jej dłoń, lamentując nad połamanymi paznokciami. Powiedziała, że codziennie musi przebrać cztery funty włókna, inaczej następnego dnia pani Pretty "przynosi więcej". Pył włókna unosi się dokoła i dusi w gardle. Jako pożywienie dostaje tylko wodę i ciemny chleb, do kaplicy zaś może iść tylko w kajdanach. Nie mogłam tego słuchać. Kiedy jednak ponownie chwyciłam jej dłoń, zeszywniała i cofnęła rękę.

– Pani Pretty – szepnęła. – Przychodzi nas skontrolować...

Wówczas usłyszałam szmer przy drzwiach, klapka wizjera poruszyła się i białe, tępo zakończone palce powoli odsunęły ją na bok.

– Nie musi pani nas pilnować, pani Pretty! – zawołałam, na co odparła ze śmiechem, że w tym sektorze musi pilnować wszystkich. Następnie zasunęła wizjer i odeszła, by zajrzeć do innej celi.

Siedziałyśmy w milczeniu. Popatrzyłam na żółty siniak na czole Seliny: wyjaśniła, że potknęła się w ciemnicy. Na samo wspomnienie przebiegł ją gwałtowny dreszcz.

– To musiało być straszne – powiedziałam. Kiwnęła głową.

– Ty wiesz – odrzekła. – Nie mogłabym tego znieść, gdybyś nie wzięła części ciemności na siebie.

Zdumiona utkwiałam w niej spojrzenie.

– Wtedy zrozumiałam – dodała – jaka byłaś dobra, przychodząc do mnie po tym wszystkim, co widziałas. Wiesz, czego najbardziej się bałam w czasie pierwszej godziny? Ach, to była istna tortura! Najbardziej przerażała mnie myśl, że odstraszyłam cię tym, czym pragnęłam zachować cię blisko siebie!

Wiedziałam, lecz owa świadomość zesłała na mnie chorobę. Pragnęłam, by Selina umilkła.

– Nie wolno ci, nie wolno! – zawołałam, na co odpowiedziała buntowniczo: "Wolno!". Och, biedna panna Brewer! Nie chciała zrobić jej krzywdy. Ale zostać przeniesioną, zyskać tak zwaną swobodę rozmowy z innymi więźniarkami!

– Po cóż miałabym z nimi rozmawiać, skoro nie mogłabym rozmawiać z tobą?

W tym momencie chyba położyłam dłoń na jej ustach. Powtórzyłam, że nie wolno jej tego mówić. Oderwała moje palce, mówiąc, iż dlatego właśnie zraniła pannę Brewer i po to zniosła kaftan oraz lochy. Jak teraz mogłabym skłonić ją do milczenia?

Zacisnęłam palce na jej ramionach, zniżając głos niemal do syku. I co dzięki temu zyskała? To jedynie, że będą teraz baczniej śledzić nasze poczynania! Czy wie, że panna Haxby chciała zabronić mi dalszych odwiedzin? Że panna Ridley będzie kontrolować czas trwania naszych spotkań? Tak samo pani Pretty, a nawet pan Shillitoe?

– Czy wiesz, jakie teraz musimy być ostrożne, jak czujne?

Mówiąc to, przyciągnęłam ją do siebie. Naraz uświadomiłam sobie bliskość jej oczu i ust, ciepły powiew kwaśnego oddechu. Usłyszałam swój głos i dotarło do mnie znaczenie wypowiedzianych słów.

Odwrociłam się zawstydzona.

– Aurora – powiedziała.

– Nie mów tego – odrzekłam natychmiast. Ale ona nie usłuchała.

– Aurora. Aurora.

– Tak nie można.

– Dlaczego? To samo mówiłam w lochu, a ty z radością podchwyciłaś moje słowa i odpowiedziałaś! Dlaczego teraz przede mną uciekasz?

– Muszę. – Wstałam.

– Dlaczego musisz?

Oświadczyłam, że nie powinnyśmy siedzieć tak blisko siebie. To wbrew przepisom. Lecz ona również wstała. Ciasna przestrzeń celi uniemożliwiła mi ucieczkę. Zawadziłam spódnicą o tacę z włóknem, wzbijając obłok pyłu. Selina stanęła obok mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Chcesz, żebym była blisko – powiedziała, a gdy odparłam, że wcale nie, dodała: – Owszem, chcesz. Inaczej po co zapisywałybyś moje imię na kartach dziennika? Po co suszyłybyś moje kwiaty? Dlaczego, dlaczego, Auroro, zachowywałybyś moje włosy?

– Sama mi je przysłałaś! – zawołałam. – Nie prosiłam o nie!

– Nie mogłabym ich przysłać – odrzekła z prostotą –gdybyś nie pragnęła ich tak silnie.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć; widząc moją minę, Selina cofnęła się o krok i wyraz jej twarzy uległ raptownej zmianie. Poprosiła, bym zachowała spokój, gdyż pani Pretty może lada chwila zajrzeć do celi. Muszę koniecznie wysłuchać, co ma mi do powiedzenia. Była w lochach i wie wszystko. Teraz ja też muszę się dowiedzieć...

Nie spuszczać ze mnie wzroku, lekko pochyliła głowę; jej oczy wydały się nagle większe i ciemne jak u iluzjonisty. Czy nie mówiła, że jej pobyt w więzieniu kryje w sobie głębszy cel? Czy nie wspominała, że któregoś dnia go pozna?

– Przyszły do mnie, gdy siedziałam w lochu, Auroro. Przyszły i powiedziały. Nie domyślasz się prawdy? Ja się domyśliłam. I to tak strasznie mnie przeraziło.

Przesunęła językiem po wargach i przelknęła ślinę. Obserwowałam ją, nie ruszając się z miejsca. Jak to, spytałam. O cóż więc chodzi? Dlaczego tu jest?

– Dla ciebie – oznajmiła. – Po to, abyśmy mogły się spotkać, poznać, a potem połączyć...

Zupełnie jakby wsadziła mi nóż w pierś i obróciła ostrze. Serce zabiło mi mocno. Jednocześnie poczułam w tle owo znajome uczucie, silniejsze niż kiedykolwiek. Czułam, że w niej narasta to samo...

Był to stan bliski agonii.

Jej słowa wzbudziły we mnie zgrozę.

– Nie wolno ci tak mówić! – zaprotestowałam. – Dlaczego wymyślasz takie rzeczy? Jakie znaczenie ma to, co usłyszałaś od duchów? Te ich szalone historie... My nie możemy pozwolić sobie na obłąd, musimy wykrzesać z siebie spokój, zachować trzeźwość umysłu. Jeśli nadal mam cię odwiedzać, dopóki twój wyrok nie dobiegnie końca...

– Cztery lata – odpowiedziała. Czy uważam, że pozwolą mi tu przychodzić przez tyle czasu? Czy panna Haxby do tego dopuści? A moja matka? Nawet jeśli tak będzie, czy zadowolę się owym pół godziny wykradzionym raz w tygodniu, raz w "miesiącu?"

Odrzekłam, że do tej pory jakoś to znosiłam. Poza tym możemy się odwołać od wyroku. Wystarczy odrobina wysiłku...

– A czy zdołasz to znieść po dzisiejszym dniu? – spytała beznamiętnym tonem. – Zdobędziesz się na doskonały chłód i stoicki spokój? Nie... – Powstrzymała mnie, gdyż przysunęłam się o krok. – Nie ruszaj się! Trzymaj się ode mnie z daleka. Pani Pretty może

zobaczyć...

Wykręciłam dłonie, aż skóra pod rękawiczkami zapiekła.

– Cóż innego nam pozostaje! – wykrzyknęłam. Dręczyła mnie! Mówić, że musimy się połączyć, połączyć tutaj, w Millbank! Dlaczego duchy wygadywały jej takie rzeczy? Czemu powtarzała je w mojej obecności?

– Dlatego – odrzekła tak cicho, że musiałam zanurkować w zakurzoną przestrzeń, by pochwycić jej słowa – ponieważ mamy wybór i ty musisz go dokonać. Mogę uciec.

Chyba roześmiałam się mimowolnie. Tak, położyłam rękę na ustach, tłumiąc śmiech. Spoglądała na mnie wyczekująco. Była poważna; wówczas po raz pierwszy przeszło mi przez myśl, że może pobyt w ciemnicy zmącił jej rozum. Popatrzyłam na trupioblady policzek, posiniaczone czoło i też spoważniałam.

– Powiedziałas za dużo – wyszeptałam.

– Mogę to zrobić – odrzekła niewzruszenie. Nie, to byłoby bardzo złe.

– Owszem, według ich zasad.

Nie. Zresztą, przecież to niemożliwe. Zamknięte korytarze, rzesze strażników... Rozejrzałam się dokoła, omiatając spojrzeniem drewniane drzwi, zakratowane okna.

– Potrzebowałabyś kluczy – tłumaczyłam. – Potrzebowałabyś... całej masy przedmiotów. Jeśli nawet ci się uda, jeśli zdołasz zbiec... Dokąd pójdziesz?

Nadal obserwowała mnie uważnie ciemnymi oczami.

– Z pomocą duchów klucz nie będzie mi do niczego potrzebny – oświadczyła. – I pójdę do ciebie, Auroro. Wyjedziemy stąd razem.

Rzuciła to tak, po prostu. Jak gdyby nigdy nic. Tym razem się nie śmiałam. Spytałam, czy myśli, że zechcę jej towarzyszyć.

Odparła, że nie mam innego wyjścia.

Czy myśli, że zostawię...

– Co? Kogo?

Matkę. Helen i Stephena, małego Georgy'ego oraz kolejne dzieci, które przyjdą na świat. Grób ojca. Kartę do czytelnicy w Muzeum Brytyjskim.

– Moje życie – odpowiedziałam w końcu. Odrzekła, że da mi w zamian lepsze.

– Zostaniemy bez środków – zauważyłam.

– Będziemy miały twoje pieniądze.

– To pieniądze mojej matki!

– Przecież musisz mieć coś swojego. Coś, co mogłabyś sprzedać...

To głupie, uznałam. Nie, gorzej niż głupie, idiotyczne, nedorzeczne! Jakim sposobem

mogłybyśmy żyć razem, same? Dokąd pojedziemy?

W tym momencie popatrzyłam jej w oczy i zrozumiałam...

– Tylko pomyśl! – zawołała. – Mieszkać tam, w promieniach słońca wiecznie padających z nieba. Pomyśl o miejscach, które pragnęłaś zwiedzić, o Reggio, Parmie, Mediolanie i Wenecji. Mogłybyśmy zamieszkać w którymś z tych miast. Byłybyśmy wolne.

Spoglądałam na nią bez słowa. Naraz z korytarza dobiegły kroki pani Pretty, piasek zazgrzytał pod jej obcasem.

– Jesteśmy szalone, Selino – szepnęłam. – Uciec z Millbank! To niemożliwe. Od razu by cię schwytano.

Odpowiedziała, że przyjaciele zadbaliby o jej bezpieczeństwo, a gdy zaoponowałam, wołając, że nie mogę w to uwierzyć, zapytała: dlaczego? A rzeczy, które mi przysłała? Dlaczego nie mogłaby wysłać również siebie?

– Niemożliwe – powtórzyłam. – Gdyby to była prawda, uciekłabyś stąd dawno temu.

Odparła, że czekała, potrzebowała mnie, by mieć dokąd pójść. Potrzebowała mnie, by mieć do kogo się zwrócić.

– Jeśli mnie nie przyjmiesz... – dodała. – Co zrobisz, kiedy zabronią ci mnie odwiedzać? Dalej będziesz zazdrościć siostrze? Na zawsze dasz się zamknąć w swojej celi?

Ponownie ujrzałam wizję postarzałej, zrędlivej matki, narzekającej na moje zbyt ciche lub zbyt szybkie czytanie. I siebie u jej boku, w sukni koloru błota.

– Znajdą nas – perswadowałam. – Znajdą i aresztują.

– Z chwilą gdy opuścimy Anglię, policja będzie bezradna.

Ludzie dowiedzą się o naszym postępku. Zobaczą mnie, stanę się rozpoznawalna. Zostaniemy wyrzucone poza nawias społeczeństwa!

Spytała, odkąd to zależy mi na przynależności do takiego społeczeństwa? Po cóż martwić się jego opiniami? Znajdziemy schronienie z dala od tego wszystkiego. Miejsce, o jakim marzyłyśmy. A ona wypełni zadanie, do którego została stworzona...

Potrząsnęła głową.

– Przez całe życie – ciągnęła – przez wszystkie tygodnie, miesiące i lata sądziłam, że wiem. Ale nie miałam o niczym pojęcia. Myślałam, że widzę, podczas gdy błądziłam w ciemności! Każda nieszczęśliwa dama, która przychodziła do mnie po pomoc, dotykała mojej ręki, czerpała z mego ducha, była ledwie cieniem. Auroro, każda z nich była cieniem twojej osoby! Szukałam cię, tak jak ty szukałaś mnie. Czulaś łączącą nas więź. Jeśli więc teraz pozwolisz, by nas rozdzielili, boję się, że obie umrzemy!

Więź. Czy rzeczywiście ją czułam? Ona twierdzi, że tak.

– Czulaś ją, odgadłaś prawdę. Zaiste, myślę, że mnie w tym ubiegłaś! Stało się to wówczas, kiedy ujrzałaś mnie po raz pierwszy.

Przypomniałam sobie ów dzień, widok Seliny z twarzą uniesioną do słońca i fiołkiem w dłoni. Czyż fakt, że nie odwróciłam wtedy wzroku, potwierdzał prawdę jej słów?

Uniosłam rękę do ust.

– Nie jestem pewna – powiedziałam. – Sama nie wiem.

– Nie wiesz? Spójrz na własne palce. Nie wiesz, czy należą do ciebie? Spójrz na jakąkolwiek inną część swego ciała: równie dobrze mogłabyś spojrzeć na mnie! Jesteśmy takie same, ty i ja. Stanowimy dwie połówki identycznego fragmentu lśniącej materii. Ach, mogłabym powiedzieć "kocham", wyrzec te same banalne słowa, które mówi do męża twoja siostra. Mogłabym powtórzyć je w więziennym liście, cztery razy do roku. Lecz duch mój nie kocha twego: jest z nim spleciony. Nasze ciała nie kochają; stanowią jedność i pragną się połączyć. Muszą to uczynić, inaczej zginą! Jesteś taka, jak ja. Wiesz, jak to jest, wyjść poza ramy własnego życia, własnej osoby, strząsnąć je z siebie jak suknię. Powstrzymali cię, zanim zdążyłaś przeprowadzić to do końca. Złapali cię i z powrotem wtłoczyli w ciasne ramy, chociaż tak bardzo tego nie chciałaś...

Czy duchy pozwoliłyby na to, ciągnęła, gdyby nie widziały w tym głębszego sensu? Czy moim zdaniem ojciec nie przyjąłby mnie do siebie, gdyby tak należało postąpić?

– Odesłał cię z powrotem – dodała. – Teraz należysz do mnie. Nie szanowałaś własnego życia, lecz obecnie stanowi ono moją własność. Dalej będziesz oponować?

Serce kołatało mi w piersi. Biło tam, gdzie zwykł spoczywać medalion. Boleśnie czułam każde uderzenie.

– Mówisz, że jestem taka jak ty – odrzekłam. – Że moje członki mogłyby należeć do ciebie, że powstałam ze lśniącej materii. Chyba nie przyjrzałaś mi się uważnie...

– Wręcz przeciwnie – odparła cicho. – Czy uważasz jednak, że spoglądam na ciebie ich oczami? Że nie widziałam cię w chwili, gdy odkładasz wąskie, szare suknie, rozpuszczasz włosy i leżysz w ciemności, biała jak mleko...? Czy myślisz, że będę jak ona, która zamiast ciebie wybrała twego brata?

Wówczas zrozumiałam. Zrozumiałam, że wszystko, każde wypowiedziane przez nią słowo było prawdą. Zapłakałam. Stałam tak, płacząc i drżąc, a ona nie zrobiła nic, by mnie pocieszyć. Patrzyła tylko, po czym wreszcie skinęła głową.

– Teraz już wiesz – powiedziała. – Rozumiesz, dlaczego czujność i ostrożność to za mało. Wiesz, co cię ku mnie przyciąga, dlaczego nasze ciała dążą do zbliżenia i czego pragną. Pozwól im na to, Auroro. Pozwól im dążyć...

Jej głos przeszedł w żarliwy szept. Lekarstwo zapulsowało mi w żyłach. Naraz poczułam jej moc. Poczułam czar wabiący mnie ku sobie poprzez gęste od pyłu powietrze prosto do szepczących ust. Chwyciłam się ściany, lecz była gładka i śliska od wilgoci, wymykała mi się z rąk. Przyszło mi do głowy, że rozciągam się i puchnę, twarz wylewa mi się z kołnierza, palce rozsadzają rękawiczki...

Popatrzyłam na swoje dłonie. Powiedziała, że należą do niej, lecz były duże i dziwne. Czulałam ich powierzchnię, rysy i zagłębienia.

Czulałam, jak twardnieją i stają się kruche.

Czulałam, jak miękną i zaczynają kapać.

Wtenczas zrozumiałam, czyje to ręce. Nie należały do niej, lecz do niego: to z nich pochodził woskowy odlew, one też gościły nocą w jej celi, pozostawiając na podłodze białe smugi. Były to moje dłonie, dłonie Petera Quicka! Ostatnia myśl zjeżyła mi włosy na głowie.

– Nie, to niemożliwe – oświadczyłam. – Nie zrobię tego! – Zamęt w myślach ustał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; podeszłam do drzwi i położyłam na nich rękę: moją własną dłoń w rękawicze z czarnego jedwabiu.

– Auroro – powiedziała.

– Nie nazywaj mnie tak, to nieprawda! – przerwałam. – To nigdy nie była prawda, nigdy! – Załomotałam pięścią w drzwi. – Pani Pretty! Pani Pretty! – Kiedy ponownie spojrzałam na Selinę, na twarz miała czerwony ślad, jak od policzka. Stała sztywna, zaszokowana i nieszczęśliwa. Zaczęła płakać.

– Znajdziemy inny sposób – zapewniłam ją. Lecz ona potrząsnęła głową i wyszeptała:

– Nie rozumiesz? Nie rozumiesz, że nie ma innego sposobu? – Łza zalśniła w kącie jej oka, a następnie zadrżała, spłynęła po policzku i wsiąkła w pył.

Pani Pretty otworzyła kratę; wyszłam, nie oglądając się za siebie, wiedziałam bowiem, że jeśli to zrobię, łyzy Seliny, jej posiniaczona twarz oraz moja własna tęsknota każą mi do niej wrócić, na zatracenie. Drzwi zostały ponownie zamknięte, a ja odeszłam, tak jak mógłby odejść ktoś nękany straszliwymi torturami, zakneblowany i żywcem obdzierany ze skóry.

Dotarłam do schodów prowadzących na wieżę. Pani Pretty pozostawiła mnie tam, sądząc zapewne, że sama znajdę drogę do wyjścia. Ale nie ruszyłam się z miejsca. Stałam w cieniu, opierając głowę o lodowatą, białą ścianę, i tkwiłam tak dopóty, dopóki dochodzący z góry odgłos kroków nie wyrwał mnie z zamyślenia. Sądząc, że to panna Ridley, oderwałam się od ściany i przetałam policzek w obawie, że zauważy tynk lub łyzy. Kroki zbliżały się nieubłaganie.

To nie była panna Ridley. Ujrzałam przed sobą panią Jelf.

Na mój widok zamrugła niepewnie. Słyszała kroki na schodach, wyjaśniła, i chciała sprawdzić... Potrząsnęłam głową. Kiedy powiedziałam, że wracam z celi Seliny Dawes, zdrząła; wydawała się niemal tak przygnębiona jak ja.

– Teraz, kiedy jej nie ma – wyznała – mój sektor wydaje się odmieniony. Wszystkie kobiety z klasy oznaczonej gwiazdą odeszły, ich miejsce zajęły nowe więźniarki, niektórych w ogóle nie znam. A Ellen Power... Ellen Power też odeszła.

– Power odeszła? – powtórzyłam bezmyślnie. – Przynajmniej jej się powiodło. Może w Fulham będzie lepiej traktowana.

Lecz słysząc moje słowa, pani Jelf jeszcze bardziej posmutniała.

– Ona nie pojechała do Fulham – wyjaśniła. Bardzo jej przykro, że o tym nie wiedziałam, dodała, ale pięć dni wcześniej Power została wreszcie przeniesiona do lecznicy, gdzie zmarła. Wnuczka zabrała ciało. Dobroć pani Jelf poszła na marne, gdyż pod suknią Power znaleziono kawałek czerwonej flaneli i strażniczka otrzymała surową reprimendę. Za karę nie otrzyma pensji.

Słuchałam tego odrętwiała ze zgrozy.

– Boże jedyny – wykrztusiłam wreszcie. – Jak my to znosimy? Jak dalej będziemy to znosić? – I dokończyłam w myślach: przez kolejne cztery lata.

Pani Jelf potrząsnęła głową, po czym zasłoniła ręką twarz i się odwróciła. Niebawem usłyszałam szuranie jej trzewików na schodach, po czym zapadła cisza.

Zeszłam na dół, do sektorów panny Manning, spoglądając po drodze na kobiety w celach: wszystkie co do jednej skulone i drżące, nieszczęśliwe i wygłodniałe, chore bądź na skraju wycieńczenia, z palcami spękanyimi od zimna i ciężkiej pracy. Na końcu sektora spotkałam strażniczkę, która towarzyszyła mi do bramy pięcioboku numer dwa, skąd jakiś mężczyzna przeprowadził mnie przez więzienie dla mężczyzn. Przez całą drogę nie odezwałam się ani słowem. Stanąwszy na czubku żwirowego chodnika wiodącego do budki dozorca, przekonałam się, że zapadł zmierzch, a wiatr wiejący od rzeki przybrał na sile. Dokoła mnie majaczyło Millbank, ponure niczym obelisk, pogrążone w ciszy, choć wypełnione rzeszą nieszczęśliwych żywotów. Nigdy dotąd tak mocno nie poczułam brzemienia ich zbiorowej rozpacz. Pomyślałam o Ellen Power, która udzieliła mi niegdyś błogosławieństwa, a teraz sama nie żyła. Pomyślałam o Selinie, posiniaczonej i szlochającej, mówiącej o więzi pomiędzy nami, przez którą szukałyśmy się nawzajem i jeśli teraz się utracimy, przyjdzie nam zginąć. Pomyślałam też o swoim pokoju z widokiem na Tamizę i Vigers na krześle przed drzwiami. Dozorca trzymał w ręku rozkołysane klucze, właśnie wysłał człowieka z poleceniem sprowadzenia dla mnie dorożki. Która godzina, pomyślałam. Równie dobrze

mogła być szósta, jak i północ. Co powiem, jeśli zastanę w domu matkę? Mam na sobie ślady tynku oraz zapach więzienia. A jeżeli napisze do pana Shillitoe albo pośle po doktora Ashe'a? Ogarnęło mnie wahanie. Stałam przy drzwiach stróżówki. Nade mną rozciągało się brudne, zasnuwane mgłą londyńskie niebo, pod stopami miałam cuchnącą ziemię Millbank, na której nie wyrosnie żaden kwiat. Padający grad kłuł mnie w twarz jak igły. Dozorca patrzył wyczekująco, ale nie ruszałam się z miejsca.

– Panno Prior? – odezwał się. – Coś się stało? – I otarł ręką moką twarz.

– Zaraz – powiedziałam, zrazu bardzo cicho; dozorca nachylił się ze zmarszczonymi brwiami, gdyż nie dosłyszał. – Zaraz – powtórzyłam głośniej. – Proszę poczekać, muszę wrócić, muszę koniecznie wrócić! – Wybełkotałam, że o czymś zapomniałam, o czymś niecierpiącym zwłoki!

Być może rzucił coś w odpowiedzi, ale nie usłyszałam. Zawróciwszy, z powrotem wkroczyłam w strefę cienia rzucanego przez mury. Prawie biegłam, ślizgając się na żwirze. Każdemu napotkanemu strażnikowi mówiłam to samo: muszę wrócić! Muszę wrócić do sektora dla kobiet!

I choć patrzyli ze zdumieniem, nikt nie próbował mnie zatrzymać. Przy bramie żeńskiego więzienia spotkałam pannę Craven, która właśnie objęła posterunek. Znała mnie na tyle, by bez zbędnych ceregieli otworzyć bramę, a gdy oświadczyłam, że nie potrzebuję przewodnika, że muszę tylko załatwić jeszcze pewną nic nieznaczącą sprawę, obojętnie pozwoliła mi iść dalej. To samo powtórzyłam piętro wyżej, a następnie weszłam na górę. Odczekawszy, aż pani Pretty znajdzie się w bezpiecznej odległości, podbiegłam do drzwi celi Seliny i przez wizjer zajrzałam do środka. Siedziała pochylona nad tacą z włóknem, niemrawo przebierając w nim krwawiącymi palcami. Nadal miała mokre i zaczerwienione oczy, jej ramiona drgały. Nie zawołałam, ona jednak uniosła głowę i podskoczyła ze strachu.

– Szybko, szybko, podejdź do drzwi! – wyszeptałam. Podbiegła bliżej i oparła się o ścianę. Jej twarz znalazła się blisko mojej, ciepły oddech owiał mi policzek.

– Uczynię to – oświadczyłam. – Pojadę z tobą. Kocham cię i nie mogę cię stracić. Powiedz tylko, co mam robić!

Wówczas ujrzałam jej czarne oko i własną pobladłą twarz, dryfującą w nim niczym perła. A potem było jak z tatą i lustrem. Poczułam, że moja dusza ulatuje ku Selinie i zanurza się w jej ciele.

30 maja 1873

Zeszłej nocy miałam straszny sen. Śniło mi się, że się obudziłam i nie mogłam poruszyć rękami ani nogami, oczy zaklejała mi jakaś dziwna substancja, która rozlała się na ustach, zlepiając również wargi. Chciałam zawołać Ruth albo panią Brink, ale nie mogłam, słyszałam tylko swoje zduszone jęki. Przestraszyłam się, że będę tak leżeć, dopóki się nie uduszę albo nie umrę z głodu; owa myśl sprawiła, że zaczęłam płakać. Łzy rozpuściły substancję zalepiającą mi oczy, tak że mogłam wreszcie przez szparkę spojrzeć na świat. Przyszło mi do głowy, że przynajmniej zobaczę własny pokój, okazało się jednak, że nie jestem w Sydenham, tylko w swoim pokoju w hotelu pana Vincy'ego.

Lecz kiedy popatrzyłam uważnie, zobaczyłam, że otaczają mnie nieprzeniknione ciemności i zrozumiałam, iż spoczywam w trumnie, do której złożono mnie, sądząc, że mam być martwa. Leżałam i płakałam, aż wreszcie łzy rozpuściły substancję zalepiającą mi usta i zawołałam w nadziei, że ktoś usłyszy i przyjdzie mnie uwolnić. Ale nikt nie przyszedł; kiedy uniosłam głowę, uderzyłam w wieko trumny i sądząc po odgłosie, zrozumiałam, że trumna znajduje się już pod ziemią. Byłam w grobie. Wiedziałam, że nikt nie usłyszy mojego wołania, choćbym krzyczała ile sił w płucach.

Znieruchomiałam, rozmyślając, co by tu zrobić. Naraz tuż obok zabrzmiał czyjś głos, tak blisko że ciarki przeszły mi po plecach. "Myślałaś, że jesteś sama – zapytał. – Nie wiedziałaś, że tu jestem?". Rozejrzałam się, szukając właściciela owego głosu, ale było tak ciemno, że czułam tylko wargi szepczące mi do ucha. Nie wiedziałam, czy to usta Ruth, pani Brink czy cioteczki, a może kogoś jeszcze innego. Lecz sądząc z brzmienia słów, musiały się uśmiechać.

Część czwarta

21 grudnia 1874

Znaki od Seliny nadchodzą teraz każdego dnia. Czasem w postaci kwiatów, niekiedy zapachów, innym razem jest to drobna zmiana wystroju: krzywo ustawiona figurka, drzwi otwarte na oścież, ślady palców na aksamitnych i jedwabnych sukniach, wgłębienie na poduszce, jakby przed chwilą spoczywała tam czyjaś głowa. Nigdy nie następują w mojej obecności. Szkoda. Nie przerażyłyby mnie. Byłabym przerażona, gdyby ustały! Albowiem one właśnie zagęszczają dzielącą nas przestrzeń. Tworzą rozedrgane pasmo ciemnej materii łączące Millbank z Cheyne Walk, dzięki któremu Selina odzyska wolność.

Najgrubsze staje się nocą, kiedy leżę otumaniona laudanum. Dlaczegoż wcześniej nie odkryłam owej zależności? Tym chętniej przyjmuję teraz lekarstwo. Czasami, kiedy matka wychodzi (należy zadbać o pasmo również w dzień), idę do jej szuflady i ukradkiem pociągam łyk z butelki.

Kiedy dotrzemy do Włoch, laudanum naturalnie nie będzie mi już potrzebne.

Matka wykazuje iście anielską cierpliwość.

– Margaret nie była w Millbank od trzech tygodni – chwali mnie przed Helen i państwem Wallace. – Widzicie zmianę, jaka w niej zaszła?

Twierdzi, że od śmierci papy nie wyglądałam równie kwitnąco. Nie wie o potajemnych wizytach w więzieniu. Nie wie, że szary kostium spoczywa w szafie (Vigers, poczciwa dusza, starannie dochowuje sekretu, ona też mnie teraz ubiera). Nie wie o złożonej przeze mnie obietnicy, skandalicznym planie ucieczki.

Kiedy o tym myślę, czasami przechodzą mnie dreszcze.

Ale muszę o tym myśleć. Mroczne pasmo utworzy się samoistnie, lecz jeśli mamy naprawdę wyjechać, jeśli ona naprawdę ucieknie (ach, jak to dziwnie brzmi! Zupełnie jakbyśmy były parą drobnych złodziejek z taniej powieści), wszystko należy starannie zaplanować i liczyć się z podejmowanym ryzykiem. Muszę stracić jedno życie, aby zyskać kolejne. To będzie jak śmierć.

Kiedyś myślałam, że umrzeć to nic trudnego, lecz rzeczywistość przerosła moje oczekiwania. Teraz zaś... teraz chyba będzie jeszcze trudniej.

Odwiedziłam ją dzisiaj, wykorzystując nieobecność matki. Nadal przebywa w sektorze pani Pretty, jest znękana do granic wytrzymałości, a palce krwawią jej bardziej niż kiedykolwiek, ale nie płacze.

– Mogę znieść wszystko – mówi – skoro wiem już, po co.

Czuję w niej płomień dawnej żarliwości, lecz ukrywa go skrętnie pod kloszem opanowania. Drzę ze strachu, że strażniczki dostrzegą go i odgadną prawdę. Boję się, że wyczytają coś z moich oczu, jak dzisiaj, gdy chyłkiem przemykałam przez więzienie. Podobnie jak za pierwszym razem uświadomiłam sobie ogrom budowli i jej przytłaczający ciężar: mury, rygle i zamki, czujnych strażników w wełnianych uniformach, wszechobecny smród i zgiełk. Idąc, pomyślałam, że byliśmy głupie, wierząc, że można stąd uciec! I dopiero na widok jej żarliwości zwątpienie minęło jak ręką odjął.

Rozmawialiśmy o koniecznych przygotowaniach. Mówi, że będziemy potrzebowały pieniędzy, wszystkich pieniędzy, jakie zdołam zebrać, a także ubrań, butów oraz kufrów. Aby nie wzbudzać podejrzeń w pociągu, nie możemy zwlekać z ich kupnem do przyjazdu do Francji: musimy wyglądać jak dama i jej towarzysza, dlatego bagaż jest niezbędny. W przeciwieństwie do niej nie wzięłam tego pod uwagę. Myśląc o tym w zaciszu swojego pokoju, miałam świadomość, że nasze zamiary są absurdalne. Lecz gdy słuchałam, jak z roziskrzonym wzrokiem układała plany i wydawała polecenia, sytuacja wyglądała zgoła inaczej.

– Będą nam potrzebne bilety na pociąg i prom – szeptała. – I paszporty.

Mogę je zdobyć, z opowiadań Arthura pamiętam, że to nic trudnego. Zaiste, znam wszystkie kwestie dotyczące wyjazdu do Włoch; siostra nie szczędziła nam szczegółów swej podróży poślubnej.

– Kiedy do ciebie przyjdę, musisz być gotowa – dodała Selina. Dotąd nie wspominała, jak dokładnie zamierza to uczynić, dlatego zatrzęsłam się od stóp do głów.

– Boję się! Czy to będzie bardzo dziwne? Mam siedzieć po ciemku albo wypowiedzieć jakieś magiczne zaklęcie?

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Myślisz, że to potrzebne? Wystarczy kochać i pragnąć. Jeśli pragniesz mnie dostatecznie mocno, przyjdę.

Kazała mi tylko robić dokładnie to, o co prosi.

Dziś wieczorem, gdy matka zażyczyła sobie, bym jej poczytała, sięgnęłam po "Aurorę Leigh". Jeszcze miesiąc temu nigdy bym się na to nie odważyła. Spojrzała na okładkę.

– Przeczytaj fragment opisujący powrót Romneya. Biedak, taki skrzywdzony i zaślepiiony.

Ale ja nie chciałam. Chyba już nigdy nie będę mogła tego przeczytać. Wybrałam księgę siódmą, gdzie Aurora wygłasza mowę do Marian Erie. Czytałam godzinę, a kiedy skończyłam, matka zauważyła z uśmiechem:

– Jak słodko brzmi dzisiaj twój głos, Margaret!

Nie wzięłam dziś Seliny za rękę. Nie pozwala mi na to, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Podczas naszej rozmowy usiadłam, a ona stanęła bardzo blisko. Dotknęłam butem jej trzewika. I odrobinę uniosłyśmy suknie, wizytową i więzienną, by stopy złączyły się w pocałunku.

23 grudnia 1874

Dzisiaj otrzymaliśmy przesyłkę od Pris i Arthura z listem zawierającym dokładne informacje na temat ich powrotu szóstego stycznia oraz zaproszeniem do Marishes, gdzie matka, ja, Stephen, Helen i Georgy mielibyśmy zabawić aż do wiosny. Rozmawialiśmy o tym od miesięcy, nie wiedziałam jednak, że matka pragnie jechać tak szybko. Postanowiła wyruszyć dziewiątego, czyli za niespełna trzy tygodnie. Wiadomość ta wzbudziła we mnie panikę. Zapytałam, czy państwo młodzi istotnie życzą sobie tak rychłych odwiedzin. Przecież Pris będzie teraz panią wielkiego domu. Może powinniśmy dać jej trochę czasu na przyzwyczajenie się? Otrzymałam odpowiedź, że właśnie na tym etapie młoda żona potrzebuje matczynej rady. Nie możemy bowiem polegać na życzliwości sióstr Arthura.

Następnie matka wyraziła nadzieję, że przynajmniej teraz okażę Priscilli więcej serca niż podczas ślubu.

Myśli, że przejrzała wszystkie moje słabości. Lecz największa z nich znajduje się poza zasięgiem jej wzroku. Prawdę powiedziawszy, od ponad miesiąca nie myślałam o Priscilli i jej trywialnych sukcesach. Zostawiłam to daleko za sobą. Ba, powoli odgradzam się od wszystkich aspektów dawnego życia. Od ludzi także – od matki, Stephena, Georgy'ego...

Pomiędzy Helen a mną również wyrosła niewidzialna bariera. Była tu wczoraj wieczorem.

– Czyżby matka miała rację, mówiąc, że odzyskałaś spokój i nabierasz sił? – Dodała, że nie może oprzeć się myśli, iż po prostu stałam się bardziej skryta.

Popatrzyłam na jej miłą twarz o regularnych rysach. Powiedzieć czy nie powiedzieć, zastanawiałam się w duchu. Jakież byłoby jej zdanie? I pod wpływem nagłego impulsu pomyślałam: powiem! Trudno wyobrazić sobie coś prostszego i bardziej oczywistego, któż bowiem zrozumiałby mnie lepiej niż Helen? Wyznać: Zakochałam się, Helen! Zakochałam! Poznałam cudowną, niezwykłą dziewczynę i oddałam jej swoje życie!

Wizja była tak wyrazista, iż żar owych słów niemal wycisnął mi łzy z oczu i poczułam

się, jakbym naprawdę je wyrzekła. Ale nie, Helen wciąż spoglądała na mnie z życzliwą troską i czekała, co powiem. Wówczas wskazałam na obraz Crivellego przypięty nad biurkiem i musnąwszy go palcami, zapytałam na próbę:

– Podoba ci się?

Zamrugła. Odrzekła, że na swój sposób jest bardzo ładny. Nachyliła się, żeby lepiej widzieć.

– Rysy dziewczyny są bardzo niewyraźne – dodała. – Biedactwo wygląda, jakby ktoś wymazał jej twarz.

Wtedy zrozumiałam, że nie może się dowiedzieć. Gdybym jej cokolwiek wyjawiała, nie usłyszałaby mnie. Gdybym przyprowadziła do niej Selinę, nie dostrzegłaby jej twarzy, podobnie jak nie widziała ostrych, ciemnych konturów "Veritas". Są dla niej zbyt subtelne.

Ja też staję się subtelna, niematerialna. Ewoluuje. Oni niczego nie zauważają. Patrzą na mnie i widzą uśmiechy oraz rumieńce; matka twierdzi nawet, że przytyłam! Nie mają pojęcia, że trwam wśród nich wyłącznie za sprawą silnej woli. To ogromnie wyczerpujące. Gdy siedzę sama, jak teraz, jest inaczej. Spoglądam na własną skórę i widzę pod nią blade zarysy kości. Z każdym dniem robię się coraz bledsza.

Moje ciało niknie w oczach. Staję się własnym duchem!

Z chwilą gdy rozpocznę nowe życie, będę chyba nawiedzać ten pokój.

Lecz stare jeszcze trwa. Dzisiejszego popołudnia w Garden Court, kiedy matka i Helen zabawiały Georgy'ego, podeszłam do Stephena, aby go o coś zapytać.

– Wyjaśnij mi kwestię pieniędzy moich i mamy – powiedziałam. – Nic o tym nie wiem.

Swoim zwyczajem odparł, że nie muszę wiedzieć, gdyż to on jest moim pełnomocnikiem, ale tym razem nie ustąpiłam. Wyraziłam wdzięczność, że po śmierci taty wspaniałomyślnie wziął na siebie odpowiedzialność za nasze sprawy, ale sama też chciałabym zyskać pewne rozeznanie.

– Podejrzewam, że matka lęka się o losy naszego domu – dodałam – oraz bezpieczeństwo dochodów, które miałabym uzyskać po jej śmierci. – Gdybym orientowała się w tej kwestii, wyjaśniłam, mogłybyśmy ją sobie omówić.

Po chwili wahania położył dłoń na moim nadgarstku. Zapewne mnie też dręczą pewne obawy, odrzekł ściszone głosem. Powinnam jednak wiedzieć, że drzwi domu jego i Helen zawsze będą dla mnie otwarte.

"Najlepszy człowiek, jakiego znam" – powiedziała kiedyś Helen. Teraz jego dobroć wydała mi się upiorna. Jak bardzo ucierpi, przyszło mi nagle do głowy, jak bardzo ucierpi jako prawnik, jeśli zrealizuję swoje plany? Przecież po naszym wyjeździe wszyscy pomyślą,

że to nie duchy, lecz ja pomogłam Selinie w ucieczce. Dowiedzą się o biletach, paszportach...

Wtedy przypomniałam sobie, jak ona ucierpiała w wyniku poczynań prawników, dlatego podziękowałam mu tylko, nie mówiąc więcej ani słowa.

– Co do losów domu – podjął – nie potrzebujesz się o to zamartwiać! – Tata okazał się bardzo przezorny. Wielka szkoda, że wielu innych ojców, których spraw bronił w sądzie, nie poszło za jego przykładem! Matka jest kobietą zamożną, i nią pozostanie. – Ty również posiadasz wcale niemały majątek, Margaret – zakończył.

Naturalnie zawsze byłam tego świadoma, lecz dotąd nie miało to większego znaczenia, gdyż i tak nie wiedziałabym, na co przeznaczyć te pieniądze. Zerknęłam na matkę. Trzymała na druciku małą, czarną lalkę i odgrywała przedstawienie przed Georgym. Porcelanowe nóżki stuknęły o blat stołu. Nachyliłam się bliżej do Stephena. Powiedziałam, że chciałabym znać wysokość posiadanej przeze mnie kwoty. Co składało się na mój majątek i w jaki sposób można by go spieniężyć.

– Oczywiście teoretycznie – zapewniłam go pospiesznie. Jakże by inaczej, odparł ze śmiechem. Zawsze przecież oceniałam wszystko z teoretycznego punktu widzenia.

Nie mógł jednak udzielić mi natychmiastowych informacji, gdyż większość potrzebnych papierów znajdowało się tu, w gabinecie ojca. Umówiliśmy się na jutrzejszy wieczór.

– Nie przeszkadza ci, że to Wigilia? – zapytał. Rzeczywiście, zapomniałam, że są święta, co ponownie go rozbawiło.

Matka zawołała, że koniecznie musimy przyjść i zobaczyć, jak Georgy śmieje się do lalki. Widząc moją zamyśloną twarz, dodała:

– Stephen, coś ty naopowiadał siostrze? Nie życzę sobie takich ponurych min! Na szczęście za miesiąc lub dwa Margaret zapomni o smutku.

Zapewnia, że na przyszły rok zaplanowała dla mnie wiele atrakcji.

24 grudnia 1874

Właśnie zakończyłam pouczającą rozmowę ze Stephenem. Wypisał na kartce wszystkie cyfry. Spoglądając na nie, zadrzałam.

– Jesteś zdziwiona – zauważył; chodziło mi jednak o coś innego.

Zadrzałam, ponieważ uderzyła mnie myśl o pieczołowitości, z jaką tata zadbał o mój majątek. Jak gdyby dzięki swej chorobie przewidział moje plany i chciał dopomóc mi w ich realizacji. Selina utrzymuje, że widzi go, jak spogląda na mnie z góry i uśmiecha się, ale ja

nie mam co do tego pewności. Czy istotnie mógłby widzieć moje pragnienia i tęsknoty, obłudę i desperacki plan, i tak po prostu "się uśmiechać"? Selina tłumaczy, że ojciec ogląda wszystko oczami ducha, dlatego też świat wydaje mu się odmieniony.

Usiadłam przy jego biurku.

– Jesteś zdziwiona – powtórzył Stephen. – Nie sądziłaś, że jest tego tak wiele. – Znaczna część majątku ma oczywiście charakter czysto abstrakcyjny: są to pieniądze zamrożone w nieruchomościach i akcjach. Całość wszakże, wraz z kwotą pozostawioną dla mnie przez ojca, stanowi moją niepodzielną własność. – Chyba że – dodał – wyjdiesz za mąż.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, choć podejrzewam, że z zupełnie innych powodów. Zapytałam, czy mogę podjąć pieniądze bez względu na miejsce zamieszkania. Odrzekł, że jak najbardziej, nie muszę przecież na zawsze pozostać na Cheyne Walk. Ale nie to miałam na myśli. A jeśli na przykład wyjadę za granicę? Stephen wytrzeszczył oczy. Powiedziałam, żeby się nie dziwił, ponieważ postanowiłam wybrać się w podróż z "przyjaciółką". Naturalnie jeśli matka wyrazi na to zgodę.

Pewnie wyobraża sobie, że w Millbank albo Muzeum Brytyjskim zaprzyjaźniłam się z inną starą panną. Mój plan bardzo przypadł mu do gustu. Co do pieniędzy, należą do mnie: mogę wydawać je, jak chcę i gdzie chcę. On nie ma na to żadnego wpływu.

A jeśli miałabym przy tym postąpić wbrew woli matki?

Powtórzył, że pieniądze należą do mnie, a nie do matki, i dopóty, dopóki on jest pełnomocnikiem, nikt nie ma prawa ingerować w to, jak zamierzam nimi dysponować.

– A jeśli miałabym postąpić wbrew twojej woli, Stephen?

Popatrzył na mnie uważnie. Skądś dobiegł nas głos Helen; wołała synka. Pozostawiliśmy ich oboje z matką pod pretekstem omówienia spraw związanych z literacką spuścizną papy, co wzbudziło niezadowolenie mamy i uśmiech Helen. Stephen dotknął leżących przed nim papierów, mówiąc, że ani myśli kwestionować ostatnią wolę ojca.

– Dopóki jesteś w pełni władz umysłowych – dodał – i nie padniesz ofiarą czyjegoś zgubnego wpływu, który skłoni cię do wydania pieniędzy ze szkodą dla siebie... cóż, dopóty możesz liczyć na moje pełne wsparcie.

Tak właśnie powiedział. Mówiąc to, roześmiał się; wówczas ogarnęło mnie podejrzenie, że jego przychylność jest pozorna, gdyż w gruncie rzeczy przejrzał moje zamiary i słowa jego wynikały z czystego okrucieństwa. Nie byłam pewna. Zapytałam więc, czy gdybym potrzebowała pieniędzy w Londynie – to znaczy, więcej pieniędzy, niż dostaję od matki – to w jaki sposób mogę je podjąć?

Wyjaśnił, że muszę tylko iść do banku i wycofać je, przedstawiając czek, na którym

widnieje również jego podpis. Z tymi słowy wyjął czek spomiędzy dokumentów, po czym sięgnął po pióro. Muszę złożyć podpis obok jego nazwiska i sprecyzować kwotę.

Spojrzałam na podpis, zastanawiając się, czy jest prawdziwy. Doszłam do wniosku, że tak. Stephen nie spuszczał ze mnie oczu.

– Możesz dostać ode mnie taki czek, kiedy tylko zechcesz – oświadczył.

Popatrzyłam na czek, który trzymałam w ręku. Widniało na nim miejsce, gdzie należało wpisać żadaną sumę; podczas gdy Stephen składał dokumenty, ja wlepiłam w nie wzrok: zdawało się powiększać, aż osiągnęło rozmiar mej ręki. Stephen musiał zauważyć moje dziwne spojrzenie, gdyż dotknął palcami świstka i zniżył głos.

– Oczywiście nie muszę ci tłumaczyć – powiedział – że masz postępować z nim bardzo ostrożnie. Pokojówki w żadnym razie nie powinny tego oglądać.i... – Uśmiechnął się. – ...chyba nie zaniesiesz go do Millbank, prawda?

Przestraszyłam się, że zechce odebrać mi czek. Złożyłam go i umieściłam za paskiem sukni. Wstaliśmy.

– Wiesz dobrze, że nie chodzę już do Millbank – odparłam. – Wyszliśmy na korytarz i zamknęliśmy drzwi gabinetu papy. – Temu właśnie zawdzięczam poprawę samopoczucia – dodałam.

No tak, odpowiedział, całkiem zapomniał. Helen wspominała mu wielokrotnie, że czuję się znacznie lepiej... Rzucił mi kolejne badawcze spojrzenie, a gdy chciałam odejść, położył dłoń na moim ramieniu.

– Nie myśl, że się wtrącam, Margaret – rzucił pospiesznie. – Naturalnie matka i doktor Ashe wiedzą, co dla ciebie najlepsze. Ale podobno każą ci teraz łykać laudanum. Nie mogę oprzeć się myśli, że po chloralu... cóż, nie jestem pewien co do skutków, jakie daje połączenie tych dwóch medykamentów.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. Poczzerwieniał; czułam, że ze mną dzieje się to samo.

– Nie masz żadnych symptomów? – drążył. – Żadnych... żadnych koszmarów, lęków ani fantazji?

Jemu chodzi nie o pieniądze, pomyślałam. Chodzi mu o lekarstwo! Chce nas rozdzielić! Zażyje je i sprawi, by Selina przyszła do niego!

Jego dłoń nadal spoczywała na moim ramieniu, widziałam zielonkawę żyły porośnięte czarnymi włosami. Naraz na schodach rozległy się czyjeś kroki i zobaczyliśmy jedną z pokojówek, Vigers z wiadrem węgla. Na jej widok Stephen cofnął rękę. Odwróciłam się, mówiąc, że czuję się świetnie, każdy może to potwierdzić.

– Zapytaj Vigers. Vigers, powiedz panu Priorowi, że czuję się doskonale.

Zamrugła, po czym schowała za plecami wiaderko z węglem. Jej policzki poróżnowiały: teraz rumieniliśmy się wszyscy troje!

– Ma się rozumieć, panienko – odrzekła. Następnie popatrzyła na Stephen'a. Ja również przeniosłam na niego wzrok.

– Cóż, bardzo się cieszę – odpowiedział zmieszany. Zrozumiał, że nie może mi jej odebrać. Skłoniwszy się, poszedł do salonu. Usłyszałam trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

Poszłam na górę, do swojego pokoju. Usiadłam i wyjąwszy czek, ponownie zapatrzyłam się na miejsce, gdzie należało wpisać sumę. I znów urosło w moich oczach. Odniosłam wrażenie, jakby pokrywała je zamarznięta szyba; lód rozpuścił się pod moim spojrzeniem i czekałam, że zaraz ujrzę pod spodem kontury i barwy przyszłego życia.

Z dołu dały się słyszeć jakieś odgłosy; otworzyłam szufladę i wyjęłam dziennik, aby schować czek między kartkami. Lecz pamiętnik był jakiś dziwnie wybrzuszony; kiedy go przechyliłam, ze środka wysunął się jakiś wąski, czarny przedmiot. Spadł na moją spódnicę i znieruchomiał. Gdy go dotknęłam, wydał się ciepły.

Widziałam go pierwszy raz w życiu, a mimo to natychmiast rozpoznałam. Aksamitna obróżka z miedzianym zapięciem. Dawniej należała do Seliny, teraz była nagrodą za moją przebiegłość w rozmowie ze Stephenem!

Stałam przed lustrem i włożyłam ją na szyję. Odrobinę ciśnie: czuję pod nią bicie własnego serca. Zupełnie jakby Selina pociągała za niewidzialną nić, przypominając mi o swym istnieniu.

6 stycznia 1875

Od ostatniej wizyty w Millbank minęło pięć dni, lecz teraz, kiedy wiem, że mnie odwiedza – że wkrótce przybędzie, by zostać na zawsze! – nie czuję wielkiej potrzeby, by tam chodzić. Z przyjemnością zostaję w domu, rozmawiam z gośćmi, a nawet z matką. Ona bowiem też ostatnio rzadziej opuszcza dom. Godzinami przygotowuje suknie na wyjazd i każe pokojówkom znosić ze strychu kufry, pudła oraz osłony, które położą na meble i dywany po naszym wyjeździe.

Napisałam: po naszym wyjeździe. Poczyliłam pewne postępy. Znalazłam sposób, jak wykorzystać jej plany jako przykrywkę dla własnych.

Tydzień temu spędzałyśmy razem wieczór: ona z kartką i piórem, zajęta sporządzaniem list, ja z książką na kolanach i nożem w ręku. Rozcinałam kartki, w pewnej chwili jednak utkwiałam wzrok w ogniu i zastygłam bez ruchu. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki matka nie uniosła głowy i nie cmoknęła. Jakim cudem stać mnie na taką beczynność i spokój? Za dziesięć dni wyjeżdżamy do Marishes i zostało jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Czy wydałam Ellis polecenia co do swoich sukien?

Nie odrywając wzroku od kominka, powoli przeciągnęłam nożem wzdłuż zagięcia.

– Cóż za odmiana – odparłam. – Jeszcze miesiąc temu mama ganiła mnie za ruchliwość. Czyżby teraz należało udzielać mi reprimendy za nadmiar spokoju?

Zwykle rezerwuję ten ton wyłącznie na użytek dziennika. Matka natychmiast odłożyła swoją listę. Spokój, dobre sobie, powiedziała. Na naganę zasługuje raczej moja impertynencja!

Spojrzałam na nią wyniośle. Rozleniwienie minęło jak ręką odjął. Czułam się – być może to Selina przemawiała za moim pośrednictwem! – czułam się ozłocona blaskiem, który nie pochodził ode mnie, o nie.

– Nie jestem posługaczką, żeby mnie rozstawiać po kątach – odparłam. – I, jak mama słusznie kiedyś zauważyła, nie jestem dzieckiem. A mimo to mama nadal mnie tak traktuje.

– Dosyć! – zawołała. – Nie pozwolę, by córka mówiła do mnie w ten sposób pod moim własnym dachem. W Marishes też na to nie pozwolę...

Nie, odpowiedziałam. Oczywiście, że nie. Nie pojedę do Marishes, przynajmniej nie od razu. Postanowiłam zostać tu sama, ona niech jedzie z Helen i Stephenem.

Zostać tutaj, sama? Cóż to znowu za brednie? Wcale nie brednie, odrzekłam. Wręcz przeciwnie, doskonale wiem, o czym mówię.

– Przemawia przez ciebie twój dawny upór, ot co! Margaret, rozmawiałyśmy o tym setki razy...

– Dlatego tym bardziej nie powinnyśmy teraz się kłócić. Uważam temat za zamknięty. Z radością spędzę samotnie tydzień lub dwa. I jestem pewna, że sprawi to wszystkim niemałą ulgę!

Nie odpowiedziała. Ponownie zaczęłam rozcinać kartki, tym razem szybciej; szmer sprawił, że zamrugała powiekami. Zapytała, co pomyślą o niej znajomi, jeśli wyjedzie i zostawi mnie samą? Odparłam, że niech sobie myślą, co chcą, odparłam, może im powiedzieć, co jej się żywnie podoba. Na przykład, że przygotowuję listy taty do publikacji: wymarzone zajęcie w pustym domu.

Potrząsnęła głową.

– Dopiero co byłaś chora – nie ustępowała. – A jeśli znowu zachorujesz i nie będzie nikogo, kto by się tobą zajął?

Nie zachoruję, zresztą nie zostanę sama, tylko z kucharką: ona może sprowadzić chłopca, który będzie sypiał na dole, tak jak po śmierci taty. Poza tym będzie też Vigers. Niech zostawi Vigers i zabierze do Warwickshire Ellis...

Tak powiedziałam. Nie myślałam o tym wcześniej: zupełnie jakby słowa wyfruwały z książki za każdym płynnym ruchem noża. Na twarzy matki pojawił się wyraz głębokiego namysłu, nadal jednak marszczyła brwi.

– Jeśli zachorujesz... – powtórzyła.

– Dlaczego miałabym zachorować? Niech mama zobaczy, jak dobrze wyglądam!

Popatrzyła. Spojrzała mi w oczy, ożywione laudanum, i na policzek, zaróżowiony od ognia albo energicznych ruchów ręki trzymającej nóż. Spojrzała na moją suknię, starą, śliwkową suknię, którą kazałam Vigers wyjąć z szafy i dopasować, gdyż żadna z moich czarnych i szarych nie zakrywała aksamitnej obróżki, którą nosiłam na szyi.

I chyba suknia ostatecznie ją przekonała.

– Niech mama powie, że się zgadza – nalegałam. – Przecież nie musimy wszędzie jeździć razem, prawda? Czy Stephen i Helen nie będą zadowoleni, mogąc spędzić trochę czasu beze mnie?

Było to sprytnie posunięcie, lecz powiedziałam tak całkiem bezwiednie. W życiu nie przyszło mi do głowy, że matka posiada wyrobioną opinię na temat moich uczuć wobec Helen. Że śledzi moje spojrzenia, nasłuchuje, w jaki sposób wymawiam imię bratowej i widzi, jak odwracam wzrok, kiedy całuje Stephena. Teraz usłyszała mój lekki, obojętny ton i kiedy popatrzyłam na jej twarz, ujrzałam na niej może nie ulgę i satysfakcję, lecz coś bardzo do nich zbliżonego, i zrozumiałam, że właśnie to robiła. Robiła to wszystko od ponad dwóch lat.

I zastanawiam się, co by było, gdybym skrzętniej skrywała swoje uczucia lub w ogóle ich nie żywiła. Czy to wpłynęłoby na nasze stosunki?

Poruszyła się na krześle i wygładziła spódnice. Powiedziała, że nadal ma pewne wątpliwości. Ale skoro zostanę z Vigers i przyjdę do nich po trzech, czterech tygodniach...

Oświadczyła, że przed podjęciem ostatecznej decyzji musi skonsultować się z Helen i Stephenem. I kiedy odwiedziliśmy ich następnym razem, w wigilię Nowego Roku... cóż, nie odczuwam teraz żadnej potrzeby, by patrzeć na Helen, a gdy Stephen pocałował ją o północy, tylko uśmiechnęłam się lekko. Matka opowiedziała im o moich planach; spojrzeli na mnie, zapewniając ją, że to przecież nic złego, przecież przywykłam do samotności. Pani Wallace

zaś, która również gościła w Garden Court, dodała, iż z pewnością rozsądniej jest pozostać na Cheyne Walk niż narażać na szwank zdrowie, podróżując pociągiem!

Wróciłyśmy do domu o drugiej nad ranem. Długo stałam w płaszczu przy uchylonym oknie, pozwalając, by noworoczny deszczyk zrosił mi twarz. Jeszcze o trzeciej słyszałam dzwonki i nawoływania dochodzące od strony rzeki oraz okrzyki wyrostków biegających po ulicy. Lecz w pewnej chwili zgiełk ustał i wokół zapanowała niezmacona cisza. Kropił lekki deszcz, zbyt delikatny, by zmącić lśniąca jak szkło powierzchnię Tamizy; w miejscach, gdzie lampy mostu i schodów prowadzących ku wodzie rozjaśniały tafłę, widać było rozedrgane serpentyny żółtego i czerwonego światła. Chodniki połyskiwały błękitem jak porcelanowe talerze.

Nigdy bym nie pomyślała, że ciemna noc kryje w sobie tyle barw.

Następnego dnia pod nieobecność matki poszłam do Millbank, do Seliny. Przenieśli ją z powrotem do poprzedniego sektora, dzięki czemu znów dostaje normalne posiłki i wełnę do robienia na drutach zamiast włókna. Jest pod opieką dobrej pani Jelf. Szłam do celi Seliny, wspominając, jak odwlekałam dawniej te wizyty i zaglądałam najpierw do innych kobiet. Ba, nie chciałam nawet na nią patrzeć, dopóki nie mogłam czynić tego swobodnie! Jak mogłabym teraz od niej stronić? Cóż znaczą dla mnie opinie innych kobiet? Zajrzałam do jednej czy dwu cel, aby życzyć więźniarkom szczęśliwego Nowego Roku i uścisnąć ich dłonie; sektor zdawał się odmieniony, zaludniony rzeszą bladych istot w sukniach koloru błota. Dwie lub trzy znane mi więźniarki zostały przeniesione do Fulham, Ellen Power nie żyje, a kobieta, która obecnie zajmuje jej celę, w ogóle mnie nie zna. Mary Ann Cook ucieszyła się na mój widok, tak samo Agnes Nash. Ale tak naprawdę przyszłam tu do Seliny.

Zapytała o postępy w przygotowaniach. Powtórzyłam jej słowa Stephena. Selina uważa, że nie możemy być pewne co do pieniędzy; radzi mi iść do banku i podjąć możliwie jak największą kwotę, po czym przechować ją bezpiecznie aż do naszego wyjazdu. Z uśmiechem wysłuchała opowieści o podróży do Marishes.

– Jesteś sprytna, Auroro – powiedziała. Odrzekłam, iż cały mój spryt pochodzi od niej, jestem tylko narzędziem w jej rękach.

– Moim medium – uzupełniła.

Następnie podeszła bliżej; zobaczyłam, że spogląda na moją suknię. Przeniosła wzrok w okolice szyi.

– Czujesz, że jestem blisko? – spytała. – Czujesz moją obecność? Mój duch przychodzi do ciebie nocą.

– Wiem – odrzekłam.

– Nosisz obrózkę? Pokaż.

Odsunęłam kołnierz i pokazałam jej aksamitną tasiemkę ciasno opasującą szyję. Skinęła głową; obroza zacisnęła się jeszcze mocniej.

– Bardzo dobrze – szepnęła; jej głos brzmiał niczym najczulsza pieśczoła. – Ona w mroku wskaże mi drogę. Nie... – Zrobiłam krok, żeby stanąć bliżej niej. – Nie. Jeśli nas teraz zobaczą, mogą zabronić ci dalszych wizyt. Musisz poczekać. Wkrótce będę twoja. Tak blisko, jak tylko zechcesz.

Poczułam zamęt w głowie.

– Kiedy, Selino?

Odrzekła, że decyzja należy do mnie. Wtedy, kiedy na pewno będę sama, któreś nocy po wyjeździe matki, gdy zgromadzę wszystkie rzeczy potrzebne na podróż.

– Matka wyjeżdża dziewiątego – odrzekłam. – Zatem któreś kolejnej nocy...

Naraz przyszła mi do głowy pewna myśl. Uśmiechnęłam się, może nawet roześmiałam, pamiętam bowiem, że powiedziała: "Cii, bo pani Jelf usłyszy!".

– Przepraszam – odrzekłam. – Chodzi o to, że... pomyślałam o pewnej nocy, jeśli oczywiście nie uznasz tego za nedorzeczość. – Spojrzała zdziwiona. Znów mało się nie roześmiałam. – Dwudziestego stycznia, Selino. Wigilia świętej Agnieszki!

Jej oczy nadal wyrażały kompletną pustkę. Czy to moje urodziny?

Potrząsnęłam głową.

– Wigilia świętej Agnieszki! Wigilia świętej Agnieszki!

Jak zjawy suną przez pasaż ogromny.

Do ciężkich dźwierzy w sień płyną jak zjawy.

Odźwierny chrapie we śnie nieprzytomnym (...)

Łatwo zsuwają się rygle, antaby.

Łańcuch już leży na wytartych płytach.

Wnet się dźwierze otworzą.

*Klucz w kłódce już zgrzyta...**

Stała, patrząc na mnie i nie rozumiejąc, nie rozumiejąc! Umilkłam, czując w piersi na poły urazę, na poły strach i miłość. Wreszcie pomyślałam: skąd mogła wiedzieć? Kto miał ją tego nauczyć?

I dodałam w duchu: już niedługo.

* John Keats (1795–1821) "St Agnes' Eve", przeł. Zofia Kierszys.

14 czerwca 1873

Seans, a potem spotkanie z panną Driver. To przyjaciółka panny Isherwood, która w zeszłym miesiącu odbyła indywidualne spotkanie z Peterem. Twierdzi, że panna Isherwood w życiu nie czuła się lepiej, co zawdzięcza interwencji z zaświatów. "Czy Peter nie mógłby pomóc i mnie, panno Dawes – zapytała. – Dręczy mnie straszny niepokój i ulegam osobliwym wahaniom nastroju. Mniemam, iż cierpię na tę samą przypadłość, co panna Isherwood". Spędziła u nas półtorej godziny. Poddaliśmy ją tej samej kuracji, co pannę Isherwood, ale trwała nieco dłużej. Według Petera konieczna będzie kontynuacja. 1 funt.

21 czerwca 1873

Panna Driver, kontynuacja. 1 godzina, 2 funty.

Pani Tilney i panna Noakes. Panna Noakes narzeka na bóle w stawach. 1 funt.

25 czerwca 1873

Panna Noakes, kontynuacja. Peter trzymał ją za głowę, podczas gdy ja przyklękałam i grzałam ją swym oddechem. 2 godziny, 3 funty.

2 lipca 1873

Panna Mortimer, dolegliwości związane z kręgosłupem. Zbyt nerwowa. Panna Wilson, bóle. Według Petera zbyt brzydka.

15 stycznia 1875

Wszyscy pojechali do Warwickshire, tydzień temu. Stałam w drzwiach i patrzyłam, jak ładują bagaże, a potem odjeżdżają, machając do mnie przez okna powozu. Następnie wróciłam na górę i wybuchnęłam płaczem. Matce pozwoliłam się pocałować. Helen odciągnęłam na stronę. "Niech Bóg ma cię w swojej opiece" – powiedziałam. Nic innego nie przyszło mi do głowy. Ona jednak roześmiała się tylko: nigdy nie słyszała ode mnie podobnych słów.

– Zobaczymy się za miesiąc – odrzekła. – Napiszesz?

Nigdy dotąd nie rozstawałyśmy się na tak długo. Obiecałam, że napiszę, lecz minął już tydzień, a nie wysłałam żadnego listu. Prędzej czy później to zrobię. Ale jeszcze nie teraz.

Nie pamiętam podobnej ciszy. Bratanek kucharki przychodzi na noc i śpi na dole; kiedy to piszę, wszyscy są już w łóżkach. Po tym jak Vigers przyniosła mi węgiel i wodę, nie mieli nic więcej do roboty. O wpół do dziesiątej zamknęli frontowe drzwi.

Jak tu cicho! Gdyby moje pióro umiało szeptać, kazałabym mu to uczynić: Mam nasze pieniądze. Tysiąc trzysta funtów. Wczoraj wyjęłam je z banku. Choć należą do mnie, czułam się jak złodziej. Gdy przedstawiłam czek, urzędnik zrobił dość dziwną minę, po czym poszedł skonsultować się z jakimś starszym mężczyzną i wrócił z pytaniem, czy jestem pewna, że życzę sobie podjąć taką ilość gotówki? Odrzekłam, że jak najbardziej. Dygotałam przy tym na całym ciele, przekonana, że odkryją moje zamiary i poślą po Stephena. Cóż jednak mieli robić? Jestem damą, a te pieniądze to moja własność. Przynieśli mi całą sumę w papierowej kopercie. Kasjer skłonił się uprzejmie.

Powiedziałam mu, że pragnę przeznaczyć tę kwotę na cele dobroczynne i umożliwić wyjazd za granicę biednym dziewczętom z marginesu. Urzędnik odparł z kwaśną miną, iż cel jest zaiste szczytny.

Po wyjściu z banku pojechałam dwukółką na dworzec Waterloo, aby kupić bilety na pociąg. Potem udałam się na stację Victoria, do biura podróży, gdzie otrzymałam paszport dla siebie i swojej towarzyszki. Powiedziałam, że nazywa się Marian Erie. Sekretarka zanotowała dane jak gdyby nigdy nic, upewniając się tylko co do pisowni. Ileż miejsc mogłabym odwiedzić, jakich kłamstw naopowiadać! Zastanawiam się, ilu ludzi zdołałabym oszukać, zanim by mnie złapano.

Rankiem stanęłam przy oknie i zobaczyłam policjanta patrolującego ulicę. Matka prosiła, by podczas jej nieobecności zwrócił baczniejszą uwagę na dom. Na mój widok skinął głową. Serce podskoczyło mi w piersi. Kiedy jednak wspomniałam dziś o tym Selmie, popatrzyła na

mnie z uśmiechem.

– Boisz się? – spytała. – Bez obaw! Dlaczego miałiby mnie szukać u ciebie?

Utrzymuje, że upłynie wiele dni, zanim przyjdzie im to do głowy.

16 stycznia 1875

Dzisiaj zajrzała do mnie pani Wallace. Powiedziałam jej, że zajmuję się listami taty i mam nadzieję, iż nikt nie będzie mi zakłócał spokoju. W razie jej kolejnej wizyty Vigers powie, że mnie nie ma. Oczywiście za pięć dni naprawdę mnie nie będzie. Ach, nie mogę się doczekać! Nie pozostało mi nic prócz tęsknoty. Wszystko inne straciło sens: z każdym drgnięciem wskazówki na bladym obliczu zegara coraz bardziej oddalam się od tego miejsca. Matka zostawiła mi trochę laudanum. Zażyłam wszystko i kupiłam więcej. Wystarczyło pójść do aptekarza i poprosić! Mogę teraz robić, co dusza zapagnie. Jeśli zechcę, mogę siedzieć po nocach i spać w dzień. Pamiętam pewną zabawę z dzieciństwa: "Powiedz, co zrobisz, kiedy dorośniesz i zamieszkaż w swoim własnym domu?" – "Wybuduję wieżę na dachu i będę strzelał z armaty!" "Nie będę jadła nic prócz anyżu!". "Każę swoim psom nosić liberię!". "Pozwolę myszy spać na swojej poduszce...". Mam więcej wolności niż kiedykolwiek, a robię tylko to, co zawsze. Dotychczas były to puste czynności, lecz Selina nadała im sens, wykonuję je dla niej. Czekam na nią, lecz "czekać" to w tym wypadku za mało. Odliczam upływające minuty. Czuję drzenie własnego ciała; jest jak morze poruszone bliskością księżycy. Gdy sięgam po książkę, mam wrażenie, jakbym zaglądała do niej po raz pierwszy, albowiem każdy wers kryje wiadomość przeznaczoną specjalnie dla mnie. Godzinę temu przeczytałam:

*Krew nasłuchuje w głębi mego ciała
Zastępy cieni, zwarte i gromadne,
Padają na me oczy pełne łez... **

Tak jakby każdy poeta opiewający miłość w gruncie rzeczy pisał o mnie i o Selinie. Moja krew – nawet teraz – krew, mięśnie, każdy skrawek mej istoty, wyczekuje jej przybycia.

* Percy Bysshe Shelley (1792–1822) jeden z czołowych przedstawicieli romantyzmu angielskiego. Cytat pochodzi z wiersza "To Constantia, Singing".

Kiedy zasypiam, śnię o niej. Gdy widzę cienie przesuwane się pod powiekami, wiem, że pochodzą od Seliny. Cisza w pokoju jest tylko pozorna, gdyż pośród nocy wyraźnie płynie do mnie bicie jej serca. Jest ciemno, lecz mrok utracił swe dawne znaczenie. Poznałam jego wielorakie głębie i odcienie: ciemność jak aksamit, jak filc, ciemność szeleszcząca niczym więzienne włókno lub wełna.

Za moją sprawą dom stał się inny, spokojny. Zaczarowany! Służba mechanicznie wypełnia swe zwykłe obowiązki na podobieństwo figurek z zegara: rozpała ogień w pustych pokojach, wieczorami zaciąga zasłony, by rankiem odsunąć je ponownie, choć nie ma nikogo, kto mógłby wyrzucić przez okno. Kucharka przysłała mi tace z jedzeniem. Prosiłam, aby nie trudziła się przygotowywaniem wielu dań i gotowała tylko zupę albo rybę czy kurczaka, ale nie potrafi przelamać starych nawyków. A ja skruszona odsyłam tace, ukrywając mięso pod porcją rzepy czy ziemniaków, jak dziecko. Straciłam apetyt. Pewnie jej bratanek wszystko to zjada. Sądzę, że teraz sobie dogadzą. Chciałabym zejść do nich i powiedzieć: "Jedzcie! Jedzcie wszystko! Jakie to ma obecnie znaczenie?".

Nawet Vigers pilnuje dawnego porządku dnia i zrywa się o szóstej, jakby sama czuła bicie dzwonu Millbank w żyłach, chociaż przekonywałam, by nie bacząc na mnie, wstawała o siódmej. Raz czy dwa weszła do mojego pokoju i popatrzyła na mnie dziwnie; wczoraj wieczorem zobaczyła nietkniętą tacę i rzekła:

– Proszę jeść, panienko! Co powiedziała pani Prior, widząc, że opuszcza panienka posiłki?

Lecz gdy roześmiałam się na te słowa, ona również się uśmiechnęła. Ma nieciekawy uśmiech i dość ładne oczy. Nie jest natrętna. Widzę, że zerka ciekawie na aksamitną obrózkę, ale dotąd spytała tylko, czy noszę ją na znak żałoby po ojcu.

Czasami myślę, że moja namiętność wywiera na nią wpływ. Niekiedy moje sny bywają tak sugestywne, iż byłoby istnym nieprawdopodobieństwem, gdyby śpiąc, nie chwytła ich zarysów i barw.

Chwilami wydaje mi się, że gdybym zdradziła jej swoje plany, pokiwałaby tylko głową i zrobiła poważną minę. A gdybym ją poprosiła, może nawet pojechałaby z nami...

Ale nie, będę zazdrosna o każde ręce dotykające Seliny, choćby miały należeć tylko do pokojówki. Poszłam dzisiaj do wielkiego sklepu przy Oxford Street i przechadzałam się między rzędami gotowych sukien, aby kupić jej komplet okryć, kapeluszy, butów oraz bielizny. Nie miałam pojęcia, jak to będzie, wyznaczyć jej miejsce w normalnym świecie. Postawiona wobec konieczności dokonania zakupów dla siebie, nigdy nie podzielałam matczynej i siostrzanej fascynacji kolorami, krojami i materiałami, natomiast kupując ubrania

dla Seliny, bawiłam się doskonale. Naturalnie nie znałam jej rozmiaru, lecz dobranie właściwego nie sprawiło mi większych trudności. Znam jej wzrost na podstawie wspomnienia dotyku policzka na moim podbródku, a wspomnienie naszych uścisków rozwiązało zagadkę obwodu w talii. Najpierw wybrałam prostą suknię podróżną w kolorze wina. Doszłam do wniosku, że to na razie wystarczy, resztę niezbędnych rzeczy dokupimy we Francji. Lecz trzymając w rękach suknię, dostrzegłam kolejną, kaszmirową, o barwie perłowej szarości, z halką z grubego, zielonkawego jedwabiu. Uznałam, że zieleń będzie pasować do jej oczu, kaszmir zaś okaże się w sam raz na włoską zimę.

Kupiłam obie suknie, a potem jeszcze jedną, białą z aksamitną lamówką i wążutką talią. Pozwoli wydobyć dziewczęcość odebraną jej w Millbank.

Następnie dokupiłam halki (przecież nie może nosić samych sukien), gorset, koszule oraz czarne pończochy. A jako że pończochy są bezużyteczne bez butów, wybrałam buty: jedną parę czarnych, szare trzewiki i białe aksamitne pantofle pasujące do dziewczęcej sukni. I kapelusze, duże kapelusze z woalkami, które zakryją jej biedne włosy, dopóki nie odrosną. Dalej płaszcz, mantylę do kaszmirowej sukni oraz pelerynkę z frędzlami z żółtego jedwabiu: będzie się kołysać podczas spacerów pod włoskim słońcem i słać świetlne refleksy.

Zapakowane ubrania leżą w szafie. Czasem podchodzę i kładę rękę na pudełkach. Wtedy wydaje mi się, jakbym słyszała oddech jedwabiu i kaszmiru. Jakbym czuła powolne tętno materiału.

I wiem, że one również czekają. Czekają, aż Selina wypełni je swoimi kształtami: sprawi, że zapulsują blaskiem i życiem.

19 stycznia 1875

Przygotowania do naszej wspólnej podróży szczęśliwie dobiegły końca, została wszakże jedna rzecz, którą musiałam dziś zrobić dla siebie. Poszłam na cmentarz westminsterski i spędziłam godzinę przy grobie taty. Był najzimniejszy dzień nowego roku. Trwał pogrzeb; głosy uczestników ceremonii niosły się wyraźnie w rozrzedzonym, nieruchomym, styczniowym powietrzu. Z nieba spadło kilka pierwszych płatków zimowego śniegu, oprószając mój płaszcz i żałobników. Niegdyś planowaliśmy z tatą położyć kwiaty na grobach Keatsa i Shelleya w Rzymie, dziś złożyłam na jego grobie wieniec z ostrokrzewu. Śnieg przykrył szkarłatne owoce, lecz końcówki liści nadal sterczały ostre jak igły. Wysłuchałam mowy pastora, następnie zebrani poczeli sypać ziemię na trumnę spoczywającą

w otwartym grobie. Zmarznięte grudki łomotały o wieko, jedna z kobiet krzyknęła. Trumna była niewielka, zapewne chowano dziecko.

W ogóle nie miałam poczucia bliskości ojca, co odebrałam wszak jako bez mała błogosławieństwo. Przyszłam się z nim pożegnać. Myślę, że ponownie odnajdę go we Włoszech.

Z cmentarza udałam się do centrum miasta, po czym spacerowałam ulicami, oglądając rzeczy, których być może nie zobaczę przez wiele lat. Chodziłam tak od godziny drugiej do wpół do siódmej.

Potem poszłam do Millbank, ostatni raz.

Dotarłam tam na długo po kolacji, gdy resztki posiłku zostały dawno uprzątnięte, czyli później niż kiedykolwiek przedtem. Podopieczne pani Jelf kończyły właśnie pracę. Jest to dla nich najmiłsza pora dnia. Na dźwięk wieczornego gongu przerywają swe zajęcia; strażniczka przywołuje jedną z kobiet, po czym wraz z nią zbiera i liczy druty, igły oraz tępe nożyce używane w ciągu dnia. Obserwowałam panią Jelf. Miała na sobie filcowy fartuch, do którego mocowała igły i szpilki, nożyce zaś zakładała na specjalny drut, jak ryby. Za kwadrans ósma należy rozłożyć i przywiązać hamaki, o ósmej drzwi cel zostają zamknięte, a lampy zgaszone, lecz nim to nastąpi, kobiety mają czas dla siebie. Przedstawiły niezwykle widok: niektóre czytały listy, inne uczyły się fragmentów z Biblii, jedna nalewała wodę do miski, żeby się umyć, a któraś zdjęła czepek i wykorzystując strzępki włóczki ocalone po całodziennym pracy, kręciła na włosach loki. Na Cheyne Walk zaczęłam czuć się jak duch; mogłam nim być również i tu, w Millbank. Minęłam dwa sektory, niemal nie zwracając niczyjej uwagi, kiedy zaś zagadywałam znane mi więźniarki, podchodziły do krat i dygały, by spiesznie powrócić do własnych zajęć. Dawniej na mój widok chętnie przerywały pracę, ale teraz nie były skore poświęcić dla mnie tę odrobinę czasu, którą wydzielano im u schyłku dnia.

Dla Seliny nie byłam duchem. Widziała, jak mijam jej celę i czekała, aż do niej wrócę. Miała bladą i napiętą twarz, lecz dostrzegłam wyraźnie żyłą pulsującą w cieniu podbródka i serce podskoczyło mi w piersi.

Nieważne, kto na nas patrzył, odliczając spędzone razem minuty. Stałyśmy blisko siebie i szeptem dała mi wskazówki dotyczące jutrzejszego wieczoru.

– Musisz czekać i o mnie myśleć – powiedziała. – Pozostań w swoim pokoju, zapal jedną świecę i osłoń płomień. Zjawię się tuż przed świtem...

Przemawiała z taką powagą i żarliwością, że poczułam obezwładniający strach.

– Jak tego dokonasz? – spytałam. – Ach, Selino, jak to możliwe? Jakim cudem pokonasz dzielącą nas przestrzeń?

Spojrzała na mnie z uśmiechem, po czym ujęła mnie za rękę. Odwróciwszy ją nieco, zsunęła rękawiczkę i przytrzymała mój nadgarstek w niewielkiej odległości od ust.

– Co dzieli moje usta i twoją rękę? – zapytała. – Nie czujesz jednak mojej obecności? – I dmuchnęła na przegub, w miejscu gdzie żyły rysują się niebiesko tuż pod skórą. Zadrzałam.

– Właśnie tak to zrobię – oznajmiła. Próbowałam to sobie wyobrazić. Wyobraziłam sobie, że coś naciąga ją niczym strzałę, włos, strunę skrzypiec czy też nic wewnątrz labiryntu, długą, rozedrganą i napiętą, tak napiętą, że nieopatrzny kontakt z cieniem może ją rozerwać na pół! Widząc, jak drzę, poprosiła, żebym się nie bała, albowiem to tylko utrudni jej zadanie. Wówczas ponownie ogarnął mnie lęk, lęk przed samym strachem, który zmęczy ją i pozbawi sił, a może skrzywdzi lub zatrzyma z dala ode mnie. A jeśli nieświadomie zakłócę cały proces i obrócę go wniwecz? Co będzie, jeśli nie przyjdzie? Co się wtedy stanie, nie z nią, lecz ze mną? Uświadomiłam sobie, kogo ze mnie zrobiła, kim się stałam. I poczułam trwogę.

– Jeśli nie przyjdiesz, Selino – powiedziałam – ja umrę. – Naturalnie sama mówiła to już wcześniej, lecz teraz owe słowa zabrzmiały tak głucho i beznamiętnie, że popatrzyła na mnie z dziwnym wyrazem nieoczekiwanej pobladłej, wydłużonej i pustej twarzy. Podeszła bliżej i mnie objęła, tuląc policzek do mojej szyi.

– Duchu mój – wyszeptwała. I chociaż stała nieruchomo, kiedy się odsunęła, mój kołnierzyk był mokry od łez.

Usłyszałyśmy panią Jelf ogłaszającą koniec czasu wolnego; Selina musnęła ręką oczy i odeszła. Zacisnąwszy palce na kracie, patrzyłam, jak wiesza hamak, rozkłada koce i prześcieradło, a następnie trzepie zszarzałą poduszkę. Wiem, że jej serce biło równie szybko jak moje, ręce zaś drżały jak moje dłonie, a jednak wykonywała wszystkie czynności z precyzją nakręcanej lalki. Hamak został porządnie umocowany, koc ułożony w linii prostej. Tak jakby całoroczna schludność wymuszała zachowanie jej do samego końca.

Nie mogłam znieść tego widoku. Odwróciłam się, łowiąc odgłosy dochodzące z sąsiednich cel: wszystkie kobiety szykowały się do snu. Kiedy ponownie przeniosłam na nią wzrok, trzymała rękę na rozpiętych guzikach sukni.

– Musimy się położyć, zanim pogaszą światła – powiedziała z zażenowaniem, unikając mojego spojrzenia. Lecz ja odwlekałam moment opuszczenia celi.

– Pozwól mi na siebie popatrzeć – poprosiłam, zdumiona brzmieniem własnego głosu.

Z wahaniem zamrugała powiekami, następnie pozwoliła sukni opaść na ziemię, zrzuciła halkę oraz więzienne trzewiki, po namyśle zdjęła czepek i stanęła przede mną w samej koszuli i wełnianych pończochach, drżąc lekko. Stała sztywno, z odwróconą twarzą, tak jakby moje spojrzenie sprawiało jej ból, lecz postanowiła go znieść przez wzgląd na mnie. Jej

obojczyki sterczały niczym delikatne, alabastrowe klawisze osobliwego instrumentu. Ramiona miała bledsze od poźółkłej bielizny i od nadgarstka aż po łokieć oplecione błękitną siateczką żył. Jej włosy – nigdy dotąd nie widziałam jej z odkrytą głową – przylegały płasko do uszu jak u chłopca i nosiły barwę zmaconego oddechem złota.

– Jakaś ty piękna! – powiedziałam. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Nie uważasz, że się zmieniłam? – zapytała szeptem. Spytałam, jak mogła tak pomyśleć, na co potrząsnęła głową i ponownie się wzdrygnęła.

Z korytarza doleciał trzask zamykanych drzwi i zasuwanych rygli oraz nawoływania i pomruki, które przybliżały się z każdą chwilą. Pochwyciłam głos pani Jelf, pytającej na każdym progu: "Wszystko w porządku?". "W porządku, pszepani – odpowiadały kobiety. – Dobranoc, pszepani!". Nadal spoglądałam w milczeniu na Selinę, niemal przy tym nie oddychając. Wreszcie krata jej celi zadrżała, gdy w pobliżu zatrzasnęły się drzwi; wtedy weszła na hamak i szczelnie otuliła się kocem.

Pani Jelf przekręciła klucz w zamku i pchnęła kratę; przez jedną zadziwiającą chwilę stałyśmy obok siebie, spoglądając na leżącą Selinę niczym zatroskani rodzice pochyleni nad kołyską.

– Jak spokojnie leży, prawda? – powiedziała cicho strażniczka. Następnie zwróciła się szeptem do Seliny: – Wszystko w porządku?

Dziewczyna skinęła głową. Patrzyła na mnie drżąc, pomna mojej bliskości.

– Dobranoc – odrzekła. – Dobranoc, panno Prior – dodała z powagą, zapewne przez wzgląd na strażniczkę. Kiedy pani Jelf zamykała kratę, nie spuszczałam wzroku z twarzy Seliny, następnie drewniane drzwi zatrzasnęły się z hukiem i ręka strażniczki zasunęła rygiel.

Popatrzwszy chwilę na drewno i żelazne okucia, dołączyłam do pani Jelf, która tymczasem przeszła do kolejnej celi, i towarzyszyłam jej przez cały sektor E, a potem F. Wołała do każdej z kobiet, a te odpowiadały: "Dobranoc, pszepani! Niech Bóg panią błogosławi! Kolejny dzień za nami!".

Zdenerwowana i pobudzona, czerpałam z owej powtarzalności pewną otuchę. Wreszcie na końcu drugiego sektora strażniczka zakręciła kurek odcinający dopływ gazu do palników umieszczonych w celach; lampki na korytarzu podskoczyły i rozbłysły nieco jaśniej.

– To panna Cadman – powiedziała ściszym głosem pani Jelf. – Moja zmienniczka. Przychodzi na noc. Jak się pani miewa, panno Cadman? To panna Prior, dama wizytująca.

Panna Cadman życzyła mi dobrej nocy, po czym zdjęła rękawiczki i ziewnęła. Miała charakterystyczny płaszcz z grubego sukna, z kapturem nisko zsuniętym na ramiona.

– Żadnych problemów, pani Jelf? – spytała z kolejnym ziewnięciem.

Gdy odchodziła, kierując się w stronę pokoju strażniczki, zobaczyłam, że jej trzewiki mają gumowe podeszwy, dzięki czemu stapała niemal bezszelestnie. Więźniarki wymyśliły dla nich specjalną nazwę, dobrze pamiętałam. Nazywają je "szpiegami".

Ujęłam dłoń pani Jelf. Było mi przykro ją zostawiać, zostawić ją tu, podczas gdy sama robiłam krok naprzód.

– Dobra z pani kobieta – powiedziałam. – Najlepsza strażniczka w całym więzieniu.

Uścisnęła moje palce i potrząsnęła głową, tak jakby czy to moje słowa, czy też nastrój, a może wieczorny obchód, wprawiły ją w przygnębienie.

– Z Bogiem! – odrzekła.

Nie spotkałam po drodze panny Ridley, chociaż prawie na to liczyłam. Widziałam za to panią Pretty, która rozmawiała ze swą zmienniczką, rozprostowując palce w ciemnych, skórzanych rękawiczkach. Minęłam również pannę Haxby. Wezwano ją, by udzieliła nagany więźniarce, która wszczęła awanturę w sektorze znajdującym się na samym dole.

– Pani jeszcze tutaj! – zdziwiła się przełożona.

Czy zabrzmi dziwnie, jeśli napiszę, że opuszczenie tego miejsca kosztowało mnie dużo wysiłku? Że szłam wolnym krokiem, by następnie stanąć na żwirowym chodniczku i odprawić człowieka, który mi towarzyszył? Niejednokrotnie myślałam, że owe wizyty zamienią mnie w istotę z wapna lub żelaza; być może tak się właśnie stało, gdyż dzisiejszego wieczora Millbarik zdawało się przyciągać mnie ku sobie jak magnes. Dotarwszy do stróżówki, przystanąłam i spojrzałam za siebie. Po chwili ktoś stanął u mojego boku. Był to dozorca, który wyszedł sprawdzić, kto zamarudził przy drzwiach. Przywitawszy się ze mną, podążył za moim wzrokiem i zatarł ręce, może z chłodu, a może z zadowolenia.

– Stare straszdyło, prawda? – powiedział, wskazując na połyskujące ściany i ciemne okna. – Ja to mówię, chociaż sam pilnuję tego bałaganu. Cieknie wszystkimi szczelinami, widziała pani? Dawniej bywały tu powodzie, o tak, i to niejednym razem. To wszystko wina tej plugawej ziemi. Nic na niej nie wyrośnie ani nie ustoi jak należy, nawet taki stary, posępny olbrzym jak Millbank.

Patrzyłam na niego bez słowa. Wyjął z kieszeni czarną fajkę i upchnął kciukiem tytoń, po czym zapaliwszy zapałkę o cegły, stanął pod ścianą i cmoknął, wciągając policzki. Płomień podskoczył i opadł. Dozorca wyrzucił zapałkę i ponownie wskazał na więzienie.

– Domyśliłaby się pani – podjął – że coś takiego wierci się i kręci na swoich fundamentach? – Pokręciłam głową. – A jakże. Ale człowiek, który stróżował tu przede mną, on to potrafił opowiadać o tym wierceniu i powodziach! O murach pękających z hukiem grzmotu! O tym, jak któregoś ranka komendant zobaczył pięciobok rozszczępiony pośrodku i

dziesięciu chłopca usiłujących chyłkiem zbiec na wolność! Albo jak sześciu zatoneło w lochach, po tym jak poszły rury i Tamiza zalała więzienie. Po tamtym incydencie fundamenty zalano galonami cementu, ale czy to cokolwiek pomogło? Proszę zapytać strażników, czy nie mają problemów z zamkami, ponieważ drzwi przesuwają się w zawiasach. Czy słyszeli o szybach, które pękają we framugach, chociaż nikt obok nich nie stoi. Powie pani, że Millbank milczy. Lecz bywają bezwietrzne noce, panno Prior, kiedy stoję dokładnie tu, gdzie pani i słyszę, jak jęczy. Jęczy jak człowiek.

Przyłożył rękę do ucha. Z oddali usłyszałam chlupot rzeki, łoskot pociągu, dźwięk dzwonka dorożki... Dozorca potrząsnął głową.

– Któregoś dnia runie, bez dwóch zdań – oznajmił. – I zabierze ze sobą wielu z nas! Albo ta podła ziemia, na której je wzniesiono, omsknie się spod fundamentów i wszyscy pójdziemy do piachu.

Pociągnął z fajki i zakaszłał. Ponownie wyteżyliśmy słuch... Lecz więzienie milczało, ziemia pewnie trwała pod nogami, a turzyca jeżyła ostre źdźbła. Wiatr zadał tak przejmująco, że nie mogliśmy ustać w miejscu. Zatrzęsłam się z zimna. Dozorca zaprowadził mnie do stróżówki, gdzie czekając na dorożkę, ogrzałam się przy ogniu.

W pewnej chwili do środka weszła jedna ze strażniczek. Rozpoznałam ją dopiero, gdy zsunęła kaptur: była to pani Jelf. Na pożegnanie skinęła mi głową; jadąc dorożką, chyba ujrzałam ją ponownie. Energicznie zdążyła opustoszałą ulicą, gotowa skwapliwie ująć w ręce ciemne i wiptkie wstążki zwykłego życia.

Cóż to za życie? Nie umiem znaleźć na to odpowiedzi.

20 stycznia 1875

Wigilia świętej Agnieszki. Nareszcie.

Noc jest zimna. Wiatr jęczy w kominie i szarpie oknami, rozżarzone węgle trzaskają i posykują. Dochodzi dziewiąta, w domu panuje niezmacona cisza. Na moje polecenie pani Vincent i jej bratanek nocują poza domem, została tylko Vigers.

– Przyjdz, jeśli będę się bać i cię zawołam, dobrze? –poprosiłam.

– Czego tu się bać, włamywaczy? – odparła. Pokazała mi swoje grube ramię i parsknęła śmiechem.

Obiecała, że dokładnie pozamyka wszystkie okna i drzwi, bez obaw. Ale chociaż słyszałam, jak zasuwa rygle, wydaje mi się, że poszła na dół, by sprawdzić je kolejny raz.

Teraz bezszelestnie wraca na strych i przekręca klucz w swoim zamku...

Chyba jednak obudziłam w niej niepokój.

W Millbank panna Cadman obchodzi sektory. Od godziny panuje tam ciemność. "Zjawię się tuż przed świtem" – powiedziała Selina. Mrok za oknem zgęstniał jak nigdy dotąd. Trudno uwierzyć, że w ogóle nastanie świt.

Nie chcę, żeby nadchodził, jeśli ona nie przybędzie pierwsza.

Siedzę w pokoju od czwartej, odkąd zaczęło szarzeć. Dziwnie tu z pustymi półkami: połowa moich książek spoczywa w pudłach. Najpierw zapakowałam je wszystkie do kufra, ale oczywiście byłby za ciężki. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że możemy zabrać tylko to, co zdołamy unieść. Szkoda, gdyż w przeciwnym razie wysłałabym do Paryża paczkę z książkami. Teraz już na to za późno. I tak musiałam zdecydować, które zabrać, a które zostawić. Wzięłam Biblię zamiast Coleridge'a: w Biblii widnieją inicjały Helen, Coleridge'a kupię na miejscu. Z pokoju taty zabrałam przycisk do papieru, szklaną półkulę z dwoma konikami morskimi w środku, którą lubiłam oglądać jako dziecko. Rzeczy Seliny zapakowałam do jednej skrzyni, to znaczy wszystkie prócz bordowej sukni podróżnej, płaszcz oraz pary butów i pończoch. Rozłożyłam je na łóżku i gdy spoglądałam na nie teraz przez ciemny pokój, odnoszę wrażenie, że widzę ją, pogrążoną we śnie lub omdleniu.

Nie wiem nawet, czy pojawi się ubrana w więzienny strój, czy może naga jak nowo narodzone dziecko.

Łóżko Vigers trzeszczy, słyszę szmer dochodzący z kominka.

Za kwadrans dziesiąta.

Dochodzi jedenasta.

Rano dostałam list od Helen, z Marishes. Píše, że dom jest wspaniały, lecz siostry Arthura zachowują się dość wyniośle. Priscilla najprawdopodobniej spodziewa się dziecka. Jeżdżą na łyżwach po zamrzniętym jeziorze. Przeczytawszy to, zamknęłam oczy. Zobaczyłam Selinę z włosami sięgającymi ramion, w czerwonym kapeluszu na głowie, w aksamitnym płaszczu i z łyżwami na nogach. Pewnie widziałam gdzieś podobny obrazek. Wyobraziłam sobie siebie u jej boku, ostre powietrze w płucach. Jak by to było, gdybym zamiast do Włoch zabrała ją do Marishes, do domu mojej siostry, gdybym siedziała obok niej przy kolacji, dzieliła z nią pokój, całowała ją...

Ciekawe, co bardziej by ich przeraziło: to, że jest medium, była więźniarką czy dziewczyną.

Otrzymałam wiadomość od pani Wallace, pisze Helen. Twierdzi, że pracujesz i masz

humory, przeto mniemam, żeś zdrowa! Nie pracuj jednak zbyt ciężko, żebyś nie zapomniała, że masz do nas przyjechać. Chcę mieć przy sobie własną szwagierkę, a nie Priscilli! Raczysz wreszcie do mnie napisać?

Po południu skreśliłam odpowiedź, po czym dałam list Vigers. Patrzyłam, jak posłusznie niesie go do skrzynki, zatem nie ma odwrotu. Zaadresowałam go jednak nie do Marishes, tylko na Garden Court, z adnotacją: "Zachować do powrotu pani Prior". Brzmi jak następuje:

Droga Helen,

Mam do napisania nader niezwykły list, najbardziej niezwykły, jaki dotąd przyszło mi pisać, i jaki kiedykolwiek napiszę, o ile oczywiście moje plany zakończą się sukcesem. Postaram się, aby był dla Ciebie zrozumiały.

Mam nadzieję, że to, co zamierzam zrobić, nie wzbudzi Twojej wzgardy ani nienawiści. Po części sama się znienawidziłam, gdyż wiem, że ściągnę hańbę na głowę matki, Stephena oraz Pris. Pragnę, byś żałowała jedynie naszej rozłąki, a nie sposobu, w jaki nastąpiła. I wspominała mnie z życzliwością, a nie z bólem. Twój ból nie pomoże mi tam, dokąd jadę, lecz życzliwość pomoże mojej matce i bratu, podobnie jak bywało już wcześniej.

Wina leży całkowicie po mojej stronie, po stronie mej dziwacznej natury, która kazała mi działać na przekór światu oraz jego zasadom. Nie ma tu dla mnie miejsca. Zawsze tak było: Ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Nie zaznałaś jednak tego, co stało się moim udziałem ani nie znasz miejsca, które oto staje przede mną otworem! Drogę doń wskazała mi cudowna i niezwykła osoba. Nie zrozumiesz tego. Opowiedzą Ci o niej, przypisując jej plugawe i pospolite cechy, i zamienią moje uczucie w coś ohydneho i niewłaściwego. Będziesz wiedziała, że jest inaczej. To tylko miłość, Helen, nic więcej.

Nie mogę żyć i przebywać z dala od niej!

Matka zwykła uważać mnie za upartą. Weźmie to za kolejny przejaw mojego uporu. Ale czy rzeczywiście tak jest? Wzbraniam się przed tym, lecz opór mojej woli słabnie! Oddaję jedno życie, by zyskać nowe, lepsze. Wyjeżdżam daleko stąd, tak jak było mi pisane. Ja...

...spieszę zbliżyć się do słońca,
Gdzie ludziom dany lepszy sen* .

* "Aurora Leigh", poemat prozą Elizabeth Barrett Browning.

Jak to dobrze, że mój brat jest dobrym człowiekiem, Helen.

Pod listem składałam swój podpis. Cytat jest wyśmienity, ale mam przekonanie, że ostatni. Po przyjsciu Seliny przestanę cytować, zacznę żyć!

Kiedy to wreszcie nastąpi? Wybiła północ. Zimna noc powoli staje się szalona. Dlaczego wietrzne noce o północy stają się szalone? Będąc w celi, nie słyszy zawieruchy. A jeśli zniecka znajdzie się pośrodku niej i wiatr wysmaga ją bezlitośnie? Mogę tylko czekać. Kiedy ona przyjdzie? Przed świtem, powiedziała. Kiedy będzie świt? Za sześć godzin.

Wzmę laudanum, niech ją poprowadzi.

Dotknę palcami obróżki i pogładzę aksamit, niech wskaże jej drogę.

Dochodzi pierwsza.

Dochodzi druga – minęła kolejna godzina. Na papierze czas płynie tak szybko! Dzisiejszego wieczora przeżyłam cały rok.

Kiedy ona przyjdzie? Jest wpół do czwartej. Ludzie nazywają tę porę godziną śmierci, ale papa umarł w biały dzień. Od dnia jego śmierci nie czuwałam równie żarliwie i desperacko. Nie pragnęłam, by został, tak usilnie, jak teraz wyglądam jej przyjścia. Czy naprawdę patrzy na mnie z góry, jak utrzymuje Selina? Śledzi ruchy mego pióra biegnącego po papierze? Ojcie, jeśli mnie widzisz, jeśli widzisz ją, jak po omacku szuka drogi, pomóż się połączyć naszym zbłąkanym duszom! Jeśli mnie kochałeś, sprowadź do mnie tę, którą ja ukochałam tak bardzo.

Zaczynam się bać, chociaż nie powinnam. Wiem, że przyjdzie, nie może czuć moich myśli i nie ulec ich sile. Ale jak to nastąpi? Wyobrażam sobie, że przybywa spłowieła, blada jak śmierć, a może chora lub bliska obłędu!

Wyjęłam jej ubrania, nie tylko suknię podróżną, ale i perłowszarą, z halką pod kolor oczu, oraz białą, z aksamitną lamówką. Rozłożyłam je po pokoju, majaczą w blasku świecy. Selina wydaje się otaczać mnie ze wszystkich stron, niczym rozszczepiona wiązka światła.

Wyjęłam również jej włosy, rozczesalam je i zaplotłam. Trzymam je blisko siebie i co jakiś czas podnoszę do ust.

Kiedy ona przyjdzie? Jest piąta i nadal panuje ciemność, ale... och! Gorączka oczekiwania niemal doprowadza mnie do utraty zmysłów. Podeszłam do okna i uniosłam żaluzje. Wiatr dmuchnął do wnętrza pokoju, zawirował w kominku i rozwał mi włosy, boleśnie syjąc gradem w twarz. Mimo to wychyliłam się przez okno i omiotłam spojrzeniem ulicę. Chyba zawołałam jej imię, a wiatr poniósł echo mego głosu. Zadrżałam; nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dom drząc wraz ze mną, zbudził Vigers. Podłoga na górze

zaskrzypiała, zatrzeszczały sprężyny; te dźwięki sprawiły, że obróżka na mojej szyi zacisnęła się jeszcze mocniej. Vigers mogła zerwać się z łóżka, obudzona moim: "Kiedy przyjdiesz?". "Kiedy przyjdiesz, Selino" – zawołałam wreszcie. Krzyk poniósł się echem, po czym wrócił do mnie kolejną falą gradu...

Wydało mi się, że słyszę odpowiedź, moje imię wypowiedziane głosem Seliny. Stałam bez ruchu, wyżejając słuch, Vigers na górze przestała się kręcić, osłabły nawet wiatr i grad. Ciemna tafla rzeki stała się gładka jak lustro.

Jednakże głos umilkł. Mimo to ją czuję, czuję, że jest blisko. I jeśli ma przyjść, uczyni to lada chwila.

Niedługo, już niedługo, w ostatniej godzinie mroku.

Jest prawie siódma, noc dobiegła końca. Z ulicy słychać turkot dorożek, szczekanie psów i okrzyki wyrostków. Suknie Seliny leżą dokoła mnie, jakby nieco zmatowiały; za chwilę wstanę, poskładam je i schowam do pudełek. Wiatr ucichł, miejsce gradu zajął śnieg. Mgła unosi się nad rzeką. Vigers wstaje z łóżka, żeby napalić w kominkach. Dziwne! Nie słyszałam dzwonu Millbank.

Nie przyszła.

Część piąta

21 stycznia 1875

Pewnego dnia dwa lata temu zażyłam morfinę z zamiarem odebrania sobie życia. Matka w porę mnie znalazła, lekarz wypłukał mi truciznę z żołądka i obudziłam się na dźwięk własnego łkania. Miałam bowiem nadzieję otworzyć oczy w niebie, gdzie przebywał mój ojciec, oni zaś ściągnęli mnie z powrotem do piekła. "Nie szanowałaś swojego życia – powiedziała miesiąc temu Selina – teraz należy ono do mnie". Wtedy zrozumiałam, dlaczego zostałam ocalona. Owego dnia moje życie stało się jej własnością. Czułam, jak się ku niej wrywa! Lecz już wówczas zaczęła ciągnąć za jego nici. Widzę, jak nawija je na szczupłe palce pod osłoną więziennej nocy, starannie prując ściegi. Ba, utrata życia to żmudny i delikatny proces! Nie dzieje się natychmiast.

Ręce znieruchomieją, w swoim czasie. Skoro ona może czekać, ja też.

Poszłam do Millbank, żeby ją odwiedzić. Cóż miałam robić? Powiedziała, że przyjdzie w nocy. Nie przyszła. Nie pozostawało mi nic innego, jak do niej pójść. Wciąż miałam na sobie wczorajszą suknię, w ogóle jej nie zdejmowałam. Nie zadzwoniłam po Vigers, nie zniosłabym jej spojrzenia. Być może zawahałam się na progu na widok blasku i obfitości nowego dnia, starczyło mi jednak przytomności umysłu, aby zawołać dorożkę i wydać polecenie woźnicy. Byłam spokojna, może nieco otumaniona bezsenną nocą.

Po drodze zdało mi się, że słyszę głos szepczący do ucha. Był to głos ropuchy, który mówił: "Tak jest słusznie! Tak jest lepiej! Nieważne, że cztery lata. Naprawdę brałaś pod uwagę inne rozwiązanie? Naprawdę? Ty?".

Głos brzmiał znajomo. Może szeptał mi to od początku, tylko nie chciałam go słuchać. Te słowa nie wyprowadziły mnie z równowagi. Jakież miały bowiem znaczenie? Myślałam tylko o Selinie. Wyobraziłam ją sobie bladą, złamaną i pokonaną, może nawet chorą.

Czyż mogłam do niej nie pojechać? Naturalnie wiedziała, że przyjdę, i czekała.

Noc była czasem szaleństwa, lecz rankiem zapanował spokój. Kiedy dorożkarz wysadził mnie przed bramą Millbank, pora była dość wczesna. Szczyty więzienia otulała mgła, a na murach widniały smugi śniegu; w stróżówce wygarniano właśnie z paleniska stare węgle i dokładano drewna. Kiedy dozorca wyszedł mi na spotkanie, zrozumiałam, że muszę wyglądać strasznie, gdyż na jego twarzy odmalował się dziwny wyraz.

– Nie spodziewałem się pani tak szybko! – powiedział. Po chwili namysłu zapytał, czy przysłano po mnie z więzienia. – Słono za to zapłacimy, panno Prior – dodał. – Może pani być pewna.

Nie siliłam się na odpowiedź; nie wiedziałam, o czym mówi, i postanowiłam nie zaprzętać sobie tym głowy. Zgodnie z moimi oczekiwaniami więzienie wydawało się odmienione. To ja spowodowałam tę zmianę, moja nerwowość zaś wzbudziła zaniepokojenie strażników. Ktoś spytał, czy mam przepustkę. Oświadczył, że nie może mnie wypuścić, jeśli nie okażę przepustki podpisanej przez pana Shillitoe. Nikt nigdy nie domagał się ode mnie żadnych papierów. Spojrzałam na mężczyznę w przyływie nagłej paniki. A jednak postanowili nas rozdzielić, pomyślałam.

Nadbiegł inny strażnik.

– To dama wizytująca, głupcze! – zawołał. – Ją możesz wypuścić! – Uchyliwszy czapki, otworzyli bramę, po czym szeptem wymienili między sobą jakieś uwagi.

Sytuacja powtórzyła się w więzieniu dla kobiet. Panna Craven obdarzyła mnie równie osobliwym spojrzeniem jak dozorca.

– Posłali po panią! – odezwała się nie wiedząc czemu. – No tak! I co pani powie? Mniemam, że nie spodziewała się pani powrócić tu tak szybko, na dodatek w taki dzień!

Potrząsnęłam głową, niezdolna wykrztusić słowa. Szybkim krokiem przemierzałyśmy korytarze, dziwnie ciche i spokojne, mijając po drodze kobiety, które również wydawały się niepodobne do siebie. Poczulałam narastający strach. Nie przestraszyłam się słów strażniczki, ponieważ nic dla mnie nie znaczyły; bałam się widoku Seliny, wciąż w otoczeniu murów i krat.

Idąc, przytrzymałam się ściany, żeby utrzymać równowagę. Blisko dwa dni nie miałam nic w ustach. Nie spałam i ogarnięta szaleństwem, wychylałam się z płaczem na mróz, a potem siedziałam nieruchomo przed wygasłym kominkiem. Gdy panna Craven odezwała się ponownie, wbiłam wzrok w jej usta, aby pojąć sens słów.

– Przyszła pani obejrzeć celę?

– Celę?

Skinęła głową.

– Celę. – Zauważyłam, że jest zaczerwieniona, a jej głos brzmi jakoś nieswojo.

– Przyszłam odwiedzić Selinę Dawes – odrzekłam. Moja odpowiedź wzbudziła w niej tak gwałtowne zdumienie, że stanęła jak wryta i chwyciła mnie za rękę.

Jak to? Czyżbym naprawdę nic nie wiedziała? Dawes znikła.

– Uciekła! Wyparowała z celi! Wszystko w idealnym porządku, zamki w całym więzieniu nienaruszone! Strażniczki nie znajdują na to żadnego wytłumaczenia. Więźniarki twierdzą, że uwolnił ją sam diabeł.

– Uciekła? – spytałam. – Nie! To niemożliwe!

– To samo powiedziała rano panna Haxby. Wszystkie to powtarzamy!

Nie zważając na dalsze słowa, odwróciłam się osłupiała ze zgrozy, myśląc: Dobry Boże, a jednak poszła do mnie, na Cheyne Walk! A mnie tam nie ma i ani chybi pomyli drogę! Muszę wrócić do domu! Muszę wrócić do domu!

Po czym raz jeszcze zadźwięczały mi w uszach słowa panny Craven: "To samo powiedziała rano panna Haxby...".

Teraz ja chwyciłam ją za rękę. Zapytałam, o której zauważono zniknięcie Seliny.

Odpowiedziała, że o szóstej, gdy nadeszła pora pobudki.

– O szóstej? Wobec tego o której mogła uciec?

Tego nie wiedział nikt. Około północy panna Cadman posłyszała szmer dochodzący z jej celi, lecz gdy zajrzała do środka, Dawes spała jak gdyby nigdy nic. O szóstej zaś, kiedy otwarto drzwi, pani Jelf znalazła pusty hamak. Jednym słowem ucieczka musiała nastąpić nocą...

Nocą. Ale przecież czuwałam, odliczając godziny, całowałam jej włosy i dotykałam obróżki, by wreszcie poczuć bliskość Seliny, a następnie znów ją utracić.

Dokąd ją zabrały, jeśli nie do mnie?

Popatrzyłam na strażniczkę.

– Nie wiem, co robić – powiedziałam. – Nie wiem, co robić, panno Craven. Co powinnam zrobić?

Zamrugła powiekami. Skąd może wiedzieć, mruknęła. Czy ma mnie zaprowadzić do celi? Jest tam panna Haxby z panem Shillitoe... Nie odpowiedziałam. Ponownie ujęła mnie za rękę.

– Ależ pani roztrzęsiona!

I poprowadziła mnie ku schodom. Jednakże u wejścia do sektorów znajdujących się na trzecim piętrze zatrzymałam ją, przejęta nagłym dreszczem. Tutaj również panowała niecodzienna cisza. Więźniarki stały na progach cel z twarzami przyciśniętymi do krat, czujne, nieruchome i milczące; nie było nikogo, kto kazałby im wrócić do pracy. Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie, a jedna z kobiet, chyba Mary Ann Cook, uczyniła jakiś gest. Lecz ja nie patrzyłam w ich kierunku. Powolnym i chwiejnym krokiem poszłam wraz z panną Craven prosto do znajdującej się za zakrętem celi Seliny.

Była otwarta na oścież; panna Haxby i pan Shillitoe stali na progu, zaglądając do środka. Na ich pobladyłych twarzach malował się wyraz takiej powagi, że ogarnęło mnie podejrzenie, iż panna Craven coś pomyliła. Poczułam niezbitą pewność, że Selina w gruncie rzeczy tam jest. I że przyszłam za późno, gdyż w akcie ostatecznej rozpaczy powiesiła się na sznurze od

hamaka.

Wówczas panna Haxby spojrzała na mnie i głośno wciągnęła powietrze. Była wyraźnie zagniewana, lecz gdy przemówiłam, moja zdruzgotana twarz i głos kazały jej się powstrzymać. Zapytałam, czy to prawda. Bez słowa odsunęła się z przejścia, bym sama mogła zajrzeć do celi – pustej, z rozwieszonym hamakiem, schludnie poskładanymi kocami, zamiecioną podłogą oraz naczyniami porządnie ustawionymi na półce.

Wydaje mi się, że krzyknęłam; pan Shillitoe doskoczył, aby mnie podtrzymać.

– Proszę stąd odejść – powiedział. – Jest pani zaszokowana. Wszyscy jesteśmy zaszokowani. – Zerknął przelotnie na pannę Haxby, a następnie poklepał mnie po ramieniu, tak jakby poruszenie przemawiało na moją korzyść.

– Selina Dawes – odezwałam się. – Selina Dawes!

– Oto gorzka lekcja, panno Prior! – odpowiedział pan Shillitoe. – Wiązała z nią pani wielkie nadzieje i proszę, jak pani odpłaciła. Panna Haxby nie myliła się w swoich spostrzeżeniach. Ale coś takiego! Któż by podejrzewał tę dziewczynę o podobną przebiegłość? Uciec z Millbank, tak jakby nasze zamki były z masła!

Popatrzyłam na kratę, drzwi, zabezpieczone okna.

– I nikt, nikt w całym więzieniu nie widział jej, nie słyszał ani nie dostrzegł jej nieobecności aż do rana? – spytałam.

Pan Shillitoe ponownie spojrzał na pannę Haxby.

– Ktoś na pewno ją widział – odparła ścisłym tonem. – Nie mamy co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie tylko ją widział, ale i dopomógł jej w ucieczce. – Dodała, że z magazynu zniknęły płaszcz oraz para nocnych butów. Istnieją podejrzenia, że Dawes opuściła więzienie w przebraniu strażniczki.

A ja widziałam ją napiętą jak strzałę. Myślałam, że przyjdzie naga, posiniaczona i drżąca!

– W przebraniu strażniczki? – powtórzyłam jak echo.

Panna Haxby odpowiedziała mi rozgoryczonym spojrzeniem. Jakże by inaczej? Przecież chyba nie wierzę, że diabeł wyniósł ją stąd na własnych plecach!

Odwróciła się, podejmując rozmowę z panem Shillitoe. Nadal wpatrywałam się w pustą celę. Mój stan pogarszał się z każdą chwilą. Wreszcie ogarnęły mnie mdłości.

– Muszę iść do domu, panie Shillitoe – powiedziałam. – Ten incydent poruszył mnie bardziej, niż zdołałabym to wyrazić.

Ujął mnie za rękę i skinął na pannę Craven.

– Czy Dawes nic pani nie mówiła? – zapytał na pożegnanie. – Nic, co wskazywałoby, że nosi się z podobnym zamiarem?

Spojrzałam na niego z osłupieniem, a następnie pokręciłam głową, co wzniciło kolejną falę nudności. Panna Haxby nie spuszczała ze mnie oczu.

– Porozmawiamy przy innej okazji, gdy będzie pani spokojniejsza – podjął pan Shillitoe.
– Dawes może jeszcze zostać schwytana, mamy nadzieję, że tak się stanie! Lecz bez względu na rozwój wypadków konieczne będzie przesłuchanie, może i niejedno. Być może otrzyma pani wezwanie przed komisję więzienną, by opowiedzieć o swoich spostrzeżeniach.

Zapytał, czy to zniosę. I mogłabym ponownie przeanalizować zachowanie Dawes pod kątem możliwych wskazówek, które doprowadziłyby ich na ślad ewentualnego współnika?

Zapewniłam go, że tak, naturalnie. Nie myślałam o własnym bezpieczeństwie. Myślałam tylko o Selinie, i lęk o nią niemal przyprawiał mnie o utratę zmysłów.

Ujawszy pannę Craven pod ramię, ruszyłam z nią korytarzem wzdłuż szeregu milczących obserwatorek. Agnes Nash z celi sąsiadującej z celą Seliny podchwyciła moje spojrzenie i powoli skinęła głową. Odwróciłam głowę.

– Gdzie pani Jelf? – zapytałam.

Strażniczka odrzekła, że pani Jelf doznała ciężkiego szoku i lekarz odesłał ją do domu. Lecz jej słowa nie dotarły w pełni do mojego ogarniętego zamętem umysłu.

Męczarniom jednak nie było końca. Na schodach, na skrzyżowaniu sektorów leżących poniżej, dokładnie tam, gdzie czekałam, aż pani Pretty zniknie z pola widzenia, bym mogła ponownie pobiec do Seliny, wpadłyśmy na pannę Ridley. Na mój widok drgnęła, po czym na jej twarzy wypłynął wstrętny uśmiech.

– No proszę! – powiedziała. – Cóż za zrzędzenie losu, że odwiedza nas pani akurat dzisiaj, panno Prior! Chyba nie po to, żeby powiedzieć, że Dawes uciekła do pani i przyprowadziła ją pani z powrotem? – Stała z założonymi rękami i przybrała wojowniczą postawę. Jej klucze zakołysały się u pasa, a skórzane trzewiki zaskrzypiały donośnie. Poczułam, że panna Craven zwalnia, ogarnięta wahaniem.

– Proszę mnie przepuścić, panno Ridley – odrzekłam.

Nadal dręczyły mnie obawy, że wybuchnę płaczem, dostanę torsji albo jakiegoś ataku. Wierzyłam, że jeśli tylko zdołam bez przeszkód wrócić do domu, do swojego pokoju, Selina odnajdzie drogę i wszystko się ułoży. Naprawdę w to wierzyłam!

Panna Ridley dostrzegła moje zdenerwowanie i przesunęła się nieco na prawo, ale tylko kawałek, tak że musiałam się przeciskać pomiędzy nią a białoną ścianą, ocierając się spódnicą o jej suknię. Jej twarz znalazła się tuż na wprost mojej. Zmrużyła oczy.

– No więc – rzuciła ściszym tonem – ma ją pani czy nie? Proszę wiedzieć, że pani obowiązkiem jest wydać zbiega.

Już miałam się odwrócić, kiedy jej postać i głos niczym trzask zasuwanego rygla kazały mi spojrzeć na nią ponownie.

– Wydać? – powtórzyłam. – Wam? Jakże bym chciała, żeby do mnie przysła, choćby po to, by ją przed wami uchronić! Wydać? To byłoby jak skazać owcę na rzeź!

Twarz panny Ridley tchnęła doskonałą obojętnością.

– Owce idą na talerz – odparła natychmiast – a zbrodniarki do celi.

Potrząsnęłam głową.

– Diablica! – zawołałam. Jakże współczułam nieszczęśnikom, które zamykała w celach, oraz strażniczkom, które musiały brać z niej przykład. – To pani jest zbrodniarką. Pani, a to miejsce...

Jej twarz przeciął grymas, a ciężkie, pozbawione rzes powieki zadrgały nad wodnistymi oczami.

– Ja? – powtórzyła, kiedy przełknęłam ślinę, łapiąc oddech. – Współczujesz kobietom, które muszą znosić moją obecność? Teraz możesz tak mówić, bo nie ma Dawes. Zamki i strażniczki jakoś ci nie przeszkadzały, kiedy dzięki nim mogłaś bez przeszkód sycić się jej widokiem!

Zupełnie jakby mnie uszczypnęła albo spoliczkowała: drgnęłam, po czym cofnęłam się gwałtownie, wpadając na ścianę. Panna Craven stała obok z kamienną twarzą. Zobaczyłam, jak przechodząca pani Pretty przystaje, świdrując nas wzrokiem. Panna Ridley podeszła bliżej i przesunęła ręką po białych ustach. Oświadczyła, że nie wie, co powiedziałam panie Haxby i komendantowi. Być może w ich mniemaniu z uwagi na swoją pozycję zasługiwałam na pobłażliwość. Powinnam wszakże wiedzieć jedno: nikomu prócz nich nie zamydę tutaj oczu. Ucieczka hołubionej przeze mnie Dawes ma isticie szatański wymiar, tak jest, szatański! Jeśli zaś odegrałam w niej jakąkolwiek rolę...

– Cóż. – Panna Ridley zwróciła oczy na pozostałe strażniczki. – Mamy u nas miejsce i dla dam, prawda, pani Pretty? O tak! Potrafimy im urządzić przytulne gniazdko!

Jej oddech, gorący i przesycony wonią baraniny, owiał mi policzek. Z korytarza dobiegł śmiech pani Pretty.

Puściłam się biegiem w dół po krętych schodach, a potem korytarzami na parterze. Czułam, że jeśli pozostanę tu choćby chwilę dłużej, znajdą sposób, aby mnie zatrzymać na zawsze. Narzuca na mnie starą suknię Seliny, ona zaś będzie błędzić na zewnątrz, ślepa i zagubiona, nie wiedząc, że zajęłam jej miejsce.

Po drodze zdawało mi się, że nadal słyszę głos panny Ridley i czuję na sobie jej oddech, gorący jak u ogara. Przy bramie oparłam się o ścianę i uniosłam rękę do ust, ażeby pozbyć się

dręczącego posmaku goryczy.

Dozorca i jego pomocnicy nie mogli znaleźć dla mnie dorożki. Napadało jeszcze więcej śniegu i ulice zrobiły się nieprzejezdne; kazano mi czekać, dopóki śnieg nie zostanie uprzątnięty. Lecz ja doszłam do wniosku, że pragnę mnie zatrzymać po to tylko, by uniemożliwić Selinie odnalezienie drogi. Pewnie panna Haxby albo panna Ridley wysłały wiadomość, która dotarła do bramy szybciej niż ja. Przeto zawołałam, że mają mnie wypuścić, że nie zostanę tu ani minuty dłużej; moja gwałtowność musiała okazać się gorsza od gniewu panny Ridley, gdyż mężczyźni pospieszyli spełnić prośbę. Widziałam, jak odprowadzają mnie spojrzeniem. Pobiegłam wzdłuż nabrzeża, obserwując rzekę, pędzącą szybciej niż ja. Żałowałam, że nie mam łodzi, która umożliwiłaby mi ucieczkę.

Pomimo energicznego kroku posuwałam się z morderczą powolnością: śnieg sypał mi na spódnicę i krępował ruchy, przez co wkrótce ogarnęło mnie zmęczenie. Na przystani Pimlico stanęłam i popatrzyłam za siebie, przykładając ręce do boku, który kłuł niemiłosiernie. Następnie podjęłam marsz i doszłam aż do Mostu Alberta.

Tam zwróciłam oczy w kierunku domów przy Cheyne Walk. Wypatrywałam swojego okna: kiedy opadną liście, zawsze widać je stąd bardzo wyraźnie.

Patrzyłam w nadziei, że zobaczę Selinę. Ale okno było puste, dostrzegłam jedynie blady zarys żaluzji. Poniżej znajdował się biały fronton, jeszcze niżej zaś przysypane śniegiem schody i krzewy.

A u stóp schodów... u stóp schodów majaczyła ciemna postać, wyraźnie niepewna, czy wejść na górę, czy też rzucić się do ucieczki...

Była to kobieta w płaszczu strażniczki.

Na jej widok ponownie puściłam się biegiem. Biegłam, potykając się na zamrzniętych koleinach. Powietrze było tak ostre i lodowate, jakby miało zmrozić mi płuca i pozbawić je tchu. Dotarłam do balustrady; tymczasem kobieta stanęła przy drzwiach i już miała unieść rękę, żeby zapukać, gdy naraz, słysząc mnie, raptownie obróciła się na pięcie. Podniesiony kaptur zasłaniał twarz; podchodząc bliżej, zobaczyłam na niej grymas. Zawołałam: "Selina!". Twarz kobiety zadrżała jeszcze gwałtowniej. Kaptur opadł na plecy.

– Ach, panno Prior! – powiedziała.

To nie była Selina, o nie. Przede mną stała pani Jelf.

Pani Jelf! Gdy minęły pierwszy szok i rozczarowanie, pojawiła się myśl, że przysłali ją z więzienia, aby zmusić mnie do powrotu; dlatego kiedy podeszła bliżej, odepchnęłam ją, gotowa ponownie rzucić się do ucieczki. Lecz nogi zaplątały mi się w spódnicę, a płuca zaciążyły lodem. Zresztą dokąd miałam uciekać? Gdy więc stanęła obok i położyła mi rękę na

ramieniu, odwróciłam się i chwyciłam ją kurczowo. Objęła mnie i zapłakała. Drżałam od stóp do głów. Nieważne, kim jest. Mogła być pielęgniarką albo moją własną matką.

– Przychodzi pani z jej powodu – odezwałam się wreszcie.

Skinęła głową. Popatrzyłam jej w twarz. Równie dobrze mogłam spojrzeć w lustro, gdyż policzki kobiety żółciły się na tle śniegu, a dokoła oczu widniały czerwone obwódki, jakby od płaczu lub z braku snu. Wtedy zrozumiałam, że chociaż Selina nie mogła nic dla niej znaczyć, odczuła jej utratę na swój własny, szczególny sposób i przychodzi do mnie po pomoc albo otuchę.

W owej chwili była dla mnie najbliższą osobą. Raz jeszcze zerknęłam na puste okna, po czym wyciągnęłam do niej rękę. Pomogła mi dojść do drzwi, gdzie podałam jej klucz: sama nie zdołałabym włożyć go do zamka. Zachowywałyśmy się ostrożnie jak złodzieje, Vigers niczego nie usłyszała. W domu nadal panował nastrój wyczekiwania, było cicho i przeraźliwie zimno.

Zaprowadziłam ją do pokoju papy i zamknęłam drzwi. Wydawała się podenerwowana; po chwili uniosła drżącą rękę i rozpięła płaszcz. Pod spodem zobaczyłam więzienną suknię, bardzo wygniecioną. Nie miała czepka i włosy przylegały jej do uszu: brązowe pasma, poprzątkane nitkami srebra. Zapaliłam lampę, lecz nie odważyłam się zadzwonić po Vigers, aby napaliła w kominku. Siedziałyśmy w płaszczach i rękawiczkach, co chwilę wstrząsane dreszczami.

– Co też musi pani o mnie myśleć, że nachodzę ją we własnym domu? – powiedziała. – Gdybym nie znała pani dobroci... ach! – Przycisnęła dłonie do policzka i zakotyła się na krześle. – Ach, panno Prior! – wykrzyknęła. Rękawiczki tłumili słowa. – Nie ma pani pojęcia, co zrobiłam! Nie ma pani pojęcia...

I załkała w garść, tak jak ja łkałam jej w ramię. Ta niezrozumiała rozpacz zaczęła mnie przerażać.

– Co się stało – zapytałam. – Co się stało? Proszę mi powiedzieć – zachęcałam. – Cokolwiek to jest.

– Chyba powinnam – odrzekła, uspokajając się nieco. – Chyba muszę to wyznać! Ach! Czy to ważne, co się teraz ze mną stanie? – Podniosła na mnie zaczerwienione oczy.

– Była pani w Millbank? – zapytała. – Wie pani, że ona uciekła? Czy powiedzieli, jak do tego doszło?

Wówczas po raz pierwszy nabrałam czujności. I pomyślałam: Może ona wie. Może wie o duchach, wyjeździe oraz biletach i przyszła mnie szantażować.

– Kobiety mówią, że to sprawka diabła – odrzekłam z namysłem, a pani Jelf drgnęła. –

Lecz panna Haxby i pan Shillitoe mają podstawy przypuszczać, że z magazynu zniknęły trzewiki strażniczki i płaszcz.

Potrząsnęłam głową. Pani Jelf przygryzła palce, nie odrywając ode mnie ciemnych oczu.

– Podobno pomógł jej ktoś z więzienia – dodałam. – Ale po cóż miałby to robić? Przecież nikomu na niej nie zależy, jest na tym świecie sama jak palec! Mogła liczyć jedynie na moją życzliwość. Na moją i...

Pani Jelf spojrzała mi prosto w oczy i przygryzła wargi. Następnie zamrużyła, szepcząc przez zaciśnięte palce:

– Mogła liczyć tylko na panią, panno Prior. I na mnie.

Po czym odwróciła się ode mnie i zasłoniła oczy.

– O mój Boże – wyszeptalam.

– A jednak uważa mnie pani za nikczemną! – zawołała. – Ach! A ona zapewniała, zapewniała...

Sześć godzin temu wychylałam się w mroźną noc: od tamtej pory nie mogłam się rozgrzać. Teraz zaś byłam zimna jak marmur, zimna i zeszywniała, chociaż serce waliło mi w piersi tak opętańczo, jakby miało rozsadzić mnie na kawałki.

– O czym panią zapewniała? – spytałam cicho.

– Że będzie pani zadowolona! – zawołała. – Że odgadnie pani mój zamiar i nie powie ani słowa! Sądziłam, że tak jest. Czasami, kiedy przychodziła pani z wizytą, spoglądała na mnie tak znacząco, jakby...

– To duchy – odrzekłam. – Duchy ją zabrały. Jej przyjaciele...

Lecz niespodziewanie owe słowa zabrzmiały głupio i naiwnie. Uwięzły mi w gardle. Słyszając je, pani Jelf jęknęła:

– Ach, gdybyż istotnie tak było! Ale to ja, panno Prior! To ja ukradłam dla niej płaszcz i buty! I ja przeprowadziłam ją przez bramę Millbank, przekonując strażników, że to panna Godfrey z chorym gardłem!

– Pani ją przeprowadziła?

Pokiwała głową: O dziewiątej. Była przy tym tak przerażona, że z trudem powstrzymywała się od łez.

O dziewiątej? Przecież panna Cadman słyszała o północy hałas dobiegający z jej celi. Zajrzała do środka i zobaczyła Seline leżącą na hamaku...

Pani Jelf spuściła głowę.

– Panna Cadman nic nie widziała – odparła. – Rozmyślnie trzymała się z dala od celi, a potem wszystko zmyśliła. Dałam jej pieniądze, panno Prior, i nakłoniłam do grzechu. Teraz,

jeśli ją złapią, sama pójdzie siedzieć. I na miły Bóg, ja będę za to odpowiedzialna!

Ponownie zaszlochała i skulona zakotłowała się na krześle. Wpatrywałam się w nią, usiłując pojąć sens jej słów, lecz wymykały mi się, budząc falę desperackiej paniki. Nie było żadnych duchów, tylko strażniczki. Pani Jelf, przekupstwo i kłamstwo. Serce nadal chciało wyskoczyć mi z piersi. I nadal siedziałam nieruchoma i zlodowaciała jak marmur.

Spytałam w końcu, dlaczego.

– Dlaczego pani to zrobiła? Dla niej?

Spojrzała na mnie nagle oprzytomniałym wzrokiem.

– To pani nie wie? – odpowiedziała pytaniem. – Nie domyśla się pani? – Odetchnęła głośno i zadrżała. – Sprowadziła do mnie mojego synka, panno Prior! Przynosiła wiadomości od mojego małego chłopca, który jest już w niebie! Przynosiła wiadomości i podarunki. Przecież pani otrzymywała to samo od ojca!

Zaniemówiłam. Pani Jelf przestała płakać, a jej drżący dotąd głos zadźwięczał niemal jak kryształ.

– W Millbank uważają mnie za wdowę... – zaczęła, a gdy nie zareagowałam, odebrała moje nieruchome spojrzenie jako zachętę i opowiedziała całą historię: – W Millbank uznają mnie za wdowę, kiedyś wspomniałam pani, że byłam pokojówką. To wszystko nieprawda. Miałam dawno temu męża, ale on nie umarł, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Nie widziałam go od wielu lat. Wysłałam za niego jako młoda dziewczyna, a potem bardzo tego żałowałam. Po jakimś czasie poznałam innego mężczyznę – dżentelmena! – który zdawał się kochać mnie nad życie. Miałam z mężem dwie córki i dbałam o nie jak należy, lecz wkrótce stwierdziłam, że spodziewam się trzeciego dziecka. Muszę ze wstydem wyznać, że to było dziecko owego dżentelmena...

Dżentelmen niebawem się ulotnił, a mąż pobił ją i wyrzucił z domu, zatrzymując córki przy sobie. Miała straszne myśli o swoim nienarodzonym dziecku, dlatego zawsze łagodnie traktowała dziewczęta skazane za zamordowanie noworodków. Bóg jeden wie, że sama nieomal znalazła się na ich miejscu!

Spazmatycznie chwyciła oddech. Wpatrywałam się w nią bez słowa.

– Było mi bardzo ciężko – podjęła – i do reszty straciłam ducha. Lecz kiedy dziecko przyszło na świat, pokochałam je z całego serca! Był wcześniakiem i ciągle chorował: ani chybi zabiłaby go choćby odrobina złej woli. Ale nie umarł, a ja harowałam w pocie czoła, żeby zapewnić mu godziwy byt. Widzi pani, o sobie nie troszczyłam się ani trochę. Pracowałam od świtu do nocy w najpodlejszych miejscach. – Przełknęła ślinę. – I wtedy...

Kiedy miał cztery lata, zachorował i umarł. Myślała, że i jej życie dobiegło końca.

– Cóż, pani wie, panno Prior, jak to jest utracić najdroższą istotę.

Ponownie rzuciła się w wir pracy, mając się jeszcze gorszych zajęć niż poprzednio. Mogłaby pracować w samym piekle, nie zważając na niewygodę...

Wówczas jakaś znajoma opowiedziała jej o Millbank. Płace są tam wysokie, a obowiązki ciężkie; jej wystarczyła świadomość, że dostanie wikt oraz pokój z kominkiem i krzesłem. Zrazu więźniarki wydawały jej się jednakowe.

– Nawet ona! Wreszcie po miesiącu dotknęła mojego policzka i zapytała, dlaczego płaczę. Czy nie wiem, że on patrzy na mnie z góry i szlocha, widząc moje łzy? Ależ mnie wtedy przeraziła! W życiu nie słyszałam o spirytyzmie. Nie zdawałam sobie sprawy z jej mocy...

Poczułam, że zaczynam drzeć na całym ciele. Zerknęła na mnie i przekrzywiła głowę.

– Nikt nie wie o tym tak dobrze, jak my, prawda? Za każdym razem miała mi coś do przekazania. Przychodził do niej nocą, to już duży chłopiec, ma prawie osiem lat! Jak bardzo pragnęłam go ujrzeć! Okazywała mi taką dobroć! Pokochałam ją i starałam się pomagać jej na wszelkie sposoby. Robiłam rzeczy, których być może nie powinnam robić: tylko dla niego... A gdy pani się pojawiła... ach, jakaż byłam zazdrosna! Prawie nie mogłam na was patrzeć, kiedy byliście razem! Lecz ona przekonywała, że posiada dość mocy, by przekazywać wiadomości od mojego synka i pani drogiego ojca.

– Tak pani powiedziała? – spytałam beznamiętnym tonem.

– Powiedziała, że przychodzi pani tak często, aby kontaktować się z ojcem. I rzeczywiście, odtąd mój syn zjawiał się wyraźniejszy niż kiedykolwiek! Przesyłał mi pocałunki za pośrednictwem jej ust. Przesyłał mi... ach, panno Prior, był to najszczęśliwszy dzień mego życia! Przesyłał mi to, bym nie rozstawała się z tym ani na chwilę. – Uniosła rękę do szyi, zahaczając palcem o złoty łańcuszek.

Wtedy serce podskoczyło mi do gardła, a marmurowe kończyny poczęły kruszeć i moja siła, moje życie, miłość oraz nadzieja ulotniły się bez śladu, pozostawiając mnie z pustymi rękoma. Do tej pory słuchałam spokojnie, a gdzieś w zakamarkach mej świadomości kołatały słowa: Kłamie, to wariatka, coś za brednie, Selina wszystko mi wytłumaczy!

Lecz oto pani Jelf zdjęła medalion z szyi i otworzyła; na jej rzęsach zawisły kolejne łzy, a w oczach odmalował się wyraz błogości.

– Proszę zobaczyć – rzekła, pokazując mi pukiel jasnych włosów Helen. – Aniołowie obcięli go w niebie z maleńkiej główki mego synka!

Spojrzałam na nie i zapłakałam. Zapewne pomyślała, że płaczę nad jej zmarłym dzieckiem.

– Pomyśleć, że przyszedł do jej celi, panno Prior! – dodała. – Że podniósł ku niej kochaną rączkę i złożył pocałunek na jej policzku, aby następnie przekazała go mnie. Ach, jego dotyk sprawiał mi taki ból! Serce wprost pękało mi z bólu! – Zamknęła medalion, ponownie zapięła go na szyi i pogładziła. Naturalnie znajdował się tam za każdym razem, gdy odwiedzałam więzienie...

Wreszcie Selina znalazła rozwiązanie. Lecz nie można było tego przeprowadzić w Millbank. Pani Jelf najpierw musiała pomóc jej odzyskać wolność, co miało umożliwić przyście syna. Przysięgła, że sprowadzi go do domu strażniczki.

Musiała tylko czuć przez całą noc. Selina miała zjawić się przed świtem.

– To jedyny powód, dla którego jej pomogłam, panno Prior! Co mogłam zrobić? Jeśli nie umożliwiłabym mu powrotu... Mówiła, że w niebie je wiele dam gotowych roztoczyć opiekę nad małym, osieroconym chłopcem. Powiedziała mi to ze łzami w oczach. Była tak wielkoduszna i dobra, zbyt dobra, by pozostać w Millbank! Czyż sama pani tego nie mówiła, przy mnie i przy panie Ridley? Ach, panna Ridley! Jak strasznie jej się bałam! Drżałam, że przyłapie mnie, jak odbieram pocałunki od dziecka. Że odkryje moją "dobroć" i przeniesie mnie do innego sektora.

– Kiedy przysłała wiadomość o przeniesieniu do Fulham, została z pani powodu – powiedziałam. – To przez panią uderzyła pannę Brewer i dla pani skazała się na pobyt w lochach.

Ponownie odwróciła głowę w przyływie żalostnej skromności. Nie sposób wyrazić, co czuła, myśląc, że ją straci. Ile bólu, a potem radości – ach, bólu, radości i wstydu! – przyniósł incydent z biedną panną Brewer...

– Lecz teraz... – Uniosła na mnie szczere, prostolinijne spojrzenie ciemnych oczu. – Teraz trudno będzie mijać jej celę i widzieć w niej inną kobietę.

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem. Jak może tak mówić. Ona, która ma Selinę tak blisko siebie?

– Blisko siebie? – Potrząsnęła głową, pytając, co mam na myśli. Moim zdaniem co ją tu sprowadziło? – Selina nie przysłała! Nie przysłała! Czuwałam przez całą noc, a ona nie dała znaku życia!

Przecież razem opuściły więzienie! Pokręciła głową. Rozdzieliły się przy bramie i Selina poszła dalej sama.

– Powiedziała, że musi znaleźć parę rzeczy, które umożliwią nadejście mojego syna. Kazała mi siedzieć i czekać. Przeto siedziałam i czekałam, aż wreszcie uznałam, że ją schwytało. Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić do Millbank. Okazało się, że ona

wciąż jest na wolności, a mimo to nie mam od niej ani słowa. Tak bardzo się boję: o nią, o siebie i mojego drogiego synka! Myślę, że ten strach mnie zabije, panno Prior!

Podczas gdy mówiła, stanęłam oparta o biurko papy i odwróciłam twarz. Wysłuchałam zgoła nieprawdopodobnej historii. Według pani Jelf Selina czekała w Millbank, aż zostanie przez nią uwolniona. Ale przecież czułam w mroku jej obecność, wiedziała o mnie rzeczy, z których nie zwierzałam się nikomu prócz dziennika. Pani Jelf otrzymywała od niej pocałunki, natomiast ja dostawałam kwiaty. Podarowała mi swoją obrózkę. Wysłała swoje włosy. Istniała między nami więź duchowa i cielesna. Stanowiłyśmy dwie połówki jednego fragmentu lśniącej materii.

– Okłamała panią, pani Jelf – oświadczyłam. – Okłamała nas obie. Myślę jednak, że to się wyjaśni, kiedy ją znajdziemy. Sądzę, że miała jakiś ukryty cel, którego nie dostrzegamy. Nie domyśla się pani, dokąd mogła pójść? Czy jest ktoś, kto mógł ją przyjąć?

Kiwnęła głową. Właśnie dlatego tu przyszła, odpowiedziała.

– Proszę – zawołałam – a ja nic nie wiem! Wiem jeszcze mniej niż pani, pani Jelf!

Mój głos zabrzmiał donośnie w panującej ciszy.

– Nic pani nie wie – odparła z wahaniem, zerkając na mnie z ukosa. – Ale ja nie przyszedłam do pani, panno Prior. Chciałabym zamienić słowo z tą drugą panią.

Drugą panią? Ponownie zwróciłam na nią oczy. Chyba nie miała na myśli mojej matki?

Lecz pani Jelf potrząsnęła głową, a jej twarz nabrała jeszcze dziwniejszego wyrazu. I widok ropuch lub kamieni padających z jej ust nie wzbudziłby we mnie większego przerażenia niż to, co następnie usłyszałam.

Nie, nie przyszła do mnie. Chciała porozmawiać z Ruth Vigers, pokojówką Seliny.

Oślupiała, utkwiałam w niej wzrok. Z półki nad kominkiem dało się słyszeć tykanie zegara, według którego papa zwykł ustawiać swój repetier. Prócz tego w domu panowała niezmacona cisza.

– Vigers – powtórzyłam. – Moja służąca. Vigers, moja służąca, pokojówka Seliny.

– No tak – odrzekła pani Jelf, po czym na widok mojej miny dodała: czyżbym nic o tym nie wiedziała? Zawsze myślała, że przyjąłam pannę Vigers tylko przez wzgląd na Selinę...

– Vigers przyszła do nas znikąd – oświadczyłam. – Znikąd, znikąd. – Jakie uczucia żywiłam wobec Seliny Dawes w dniu, kiedy moja matka przyjęła Ruth Vigers pod swój dach? W czym mogło pomóc zatrudnienie jej pokojówki?

Pani Jelf uznała to za akt dobrej woli i przejaw sentymentu z mojej strony. Poza tym sądziła, że Selina przesyłała mi drobne dowody przyjaźni w listach, które pisała do panny Vigers...

– W listach? – Potworny, straszliwy obraz sytuacji dopiero zaczął do mnie docierać. – Czy Selina i Vigers wymieniali jakieś listy?

– A jakże – odrzekła natychmiast pani Jelf. Wyjaśniła, że Selina nie życzyła sobie odwiedzin; cóż, to zrozumiałe, że nie chciała, by pokojówka oglądała swą panią w takim miejscu.

– Zważywszy na jej dobroć, była to tak niewielka przysługa. Pozostałe strażniczki również przekazują więźniarkom drobiazgi od przyjaciół. Proszę tylko nic nie mówić, bo z pewnością wyparłyby się wszystkiego!

One, dodała, robią to dla pieniędzy. Pani Jelf wystarczyło, że sprawia Selinie odrobinę radości. Zresztą, "nie było w nich nic zdrożnego", jedynie życzliwe słowa, czasem kwiaty. Często widziała, jak Selina płacze nad tymi kwiatami. Wtedy musiała odwracać wzrok, gdyż i jej łzy napływały do oczu.

Czyż mogło to Selinie zaszkodzić? Czy listy wynoszone potajemnie z jej celi mogły spowodować coś złego? Komu przeszkadzało, że pani Jelf dawała jej papier oraz atrament i świecę? Strażniczka z nocnej zmiany nigdy nie miała nic przeciwko temu, pani Jelf dała jej szylinga. O poranku świeca była wypalona do cna. Musiały tylko uważać, aby nie rozlać wosku...

– A potem wiedziałam, że listy kryją wiadomości dla pani, i kiedy prosiła, bym wyjęła coś z jej pudełka... Cóż. – Błada twarz pani Jelf zarumieniła się z lekka. – Przecież to nie kradzież, prawda? Wzięłam tylko to, o co mnie poprosiła...

– Włosy – mruknełam.

– Stanowiły jej własność! – odparła bez namysłu. – Któż mógłby...?

Włosy zostały opakowane w brązowy papier i wysłane do Vigers. To jej ręka ułożyła je na poduszce.

– A Selina twierdziła, że wysłała je za pośrednictwem duchów...

Słyszając to, pani Jelf przechyliła głowę i zmarszczyła brwi.

– Duchy? Ale dlaczego miałyby mówić coś podobnego?

Nie odpowiedziałam. Znów chwyciły mnie dreszcze. Chyba podeszłam do kominka i oparłam czoło o marmurowy gzyms. Pani Jelf wstała i położyła mi rękę na ramieniu.

– Czy pani wie, co zrobiła? – spytałam. – Czy pani wie? Oszukały nas obie, a pani im w tym pomogła! Pani, z jej dobrocią!

– Oszukały – powtórzyła. – Ależ skąd, ja nic nie rozumiem. ...

Odparłam, że rozumiem wszystko, chociaż nie rozumiałam, jeszcze nie, nie do końca. Jednakże to, co wiedziałam, wystarczyło, by mnie zabić. Przez chwilę stałam nieruchomo, a

następnie uniosłam głowę i z całej siły opuściłam ją na gzyms.

Gdy uderzyłam czołem o marmur, aksamitny pasek zacisnął mi się na gardle; odskoczyłam od kominka i uniosłam rękę, próbowałam zedrzeć obrózkę z szyi. Pani Jelf spoglądała na mnie z dłonią przyciśniętą do ust. Odwróciwszy się, szarpałam wąską wstążkę, usiłując odpiąć zamek tępyimi paznokciami. Lecz on ani myślał ustąpić! Wreszcie rozejrzałam się dokoła w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia; pewnie w ostateczności chwyciłabym panią Jelf i przycisnęłabym jej usta do swojej szyi, zmuszając, by przegryzła aksamit, lecz oto mój wzrok padł na ojcowski nożyk do cygar. Porwałam go z biurka i zaczęłam przecinać obrózkę.

Na ten widok pani Jelf wydała z siebie przeraźliwy okrzyk: wrzasnęła, że zrobię sobie krzywdę! Podetnę sobie gardło! Ostrze ześlizgnęło się z materiału i poczułam na palcach krew, zaskakująco ciepłą na zimnej skórze. Jednocześnie dopięłam swego: obrózka spadła na podłogę, skracając się na kształt litery S.

Rzuciłam nóż i rozdygotana stanęłam przy biurku, wprawiając w drżenie ołówek i pióro papy. Pani Jelf zbliżyła się z wahaniem i chwyciła mnie za ręce, po czym zwinawszy chusteczkę, zrobiła z niej prowizoryczny opatrunek na moją krwawiącą szyję.

– Panno Prior – odezwała się. – Moim zdaniem jest pani bardzo chora. Proszę mi pozwolić zawołać pannę Vigers. Panna Vigers panią uspokoi. Zaiste, uspokoi nas obie! Niech pani ją wezwie i wysłucha, co ma do powiedzenia...

Powtarzała: panna Vigers, panna Vigers; nazwisko to ciążyło mi niczym piła. Wróciłam myślami do włosów Seliny pozostawionych na mojej poduszce. I do medalionu, wyniesionego z pokoju, kiedy spałam.

Ołówek i pióro nadal podskakiwały na biurku.

– Dlaczego to robiły, pani Jelf? – zapytałam. – Dlaczego robiły to potajemnie?

Pomyślałam o gałązkach drzewka pomarańczowego i o obróżce wsuniętej między kartki.

I o dzienniku, w którym zapisywałam wszystkie sekrety: historię mojej namiętności, miłości oraz szczegóły naszej ucieczki...

Pióro i ołówek znieruchomiały. Przycisnęłam dłoń do ust.

– Nie – jęknęłam. – Ach, pani Jelf, nie, tylko nie to!

Ponownie wyciągnęła ku mnie rękę, ale ją odepchnęłam. Potykając się, wyszłam z pokoju na cichy i ciemny korytarz. "Vigers" – zawołałam; straszny, chrapliwy okrzyk poniósł się echem po pustym domu, po czym zapadła jeszcze okropniej sza cisza. Podeszłam do dzwonka i szarpałam za sznur, dopóki go nie urwałam. Zajrzałam przez drzwi prowadzące do piwnicy: nic. Wróciłam na korytarz, gdzie podchwyciłam zalęknione spojrzenie pani Jelf; zakrwawiona chustka wypadła jej z ręki. Ruszyłam po schodach na górę i skierowałam się

najpierw do salonu, następnie do pokoju matki oraz Pris, wołając cały czas: "Vigers! Vigers!".

Lecz w całym domu panowała cisza przerywana jedynie moim urywanym oddechem oraz tupotem i szuraniem moich własnych nóg na schodach.

Wreszcie dotarłam do otwartych na oścież drzwi swojego pokoju. W pośpiechu zapomniała je zamknąć.

Zabrała wszystko prócz książek: te wyjęła z kartonów i bezładnie rozrzuciła na dywanie. Ich miejsce zajęły drobiazgi z mojej szafy: suknie i peleryny, kapelusze, trzewiki, rękawiczki oraz broszki. Rzeczy, które miały zamienić ją w damę, o które dbała podczas pobytu w tym domu, które czyściła, prasowała i składała, utrzymując w porządku, gotowe na tę okazję. Oczywiście zabrała też ubrania kupione dla Seliny. Prócz tego pieniądze, bilety oraz paszporty na nazwiska "Margaret Prior" i "Marian Erie".

Wzięła nawet złoty warkocz; pewnie owinie go wokół głowy Seliny, by ukryć ślady więziennych nożyczek. Zostawiła tylko dziennik, bym miała w czym pisać. Położyła go równiutko na biurku, bez śladu kurzu, tak jak schludna pokojówka zostawiłaby książkę kucharską, wyjąwszy z niej przepis.

Vigers. Ponownie powtórzyłam to nazwisko, wyplułam je: tkwiło we mnie jak trucizna, czułam, jak wzbiera, oblekając czernią moje ciało. Vigers. Kim ona dla mnie była? Nie pamiętałam nawet rysów jej twarzy, jej zachowania ani spojrzenia. Nie pamiętałam i dalej nie pamiętam, koloru jej włosów, oczu, kształtu warg – wiem tylko, że była brzydka, brzydsza nawet ode mnie. A jednak muszę myśleć: Ona zabrała mi Selinę. Muszę myśleć: Selina z tęsknoty wypłakiwała za nią oczy.

Muszę myśleć: Selina odebrała mi życie, ażeby móc odzyskać życie z Vigers!

Teraz to rozumiem. Wówczas tego nie wiedziałam. Myślałam tylko, że Vigers wyprowadziła mnie w pole, że lisim podstępem omotała Selinę, zmuszając ją do zdrady. Myślałam, że Selina mnie kocha. Dlatego po wyjściu z pokoju skierowałam się nie na dół, gdzie nadal czekała pani Jelf, tylko na wąskie schody prowadzące na strych, do pokojów dla służby. Nie pamiętam, kiedy ostatnio na nie wchodziłam, pewnie w dzieciństwie. Niegdyś pewna pokojówka złapała mnie na podglądaniu i uszczypnęła tak mocno, że wybuchnęłam płaczem; od tamtej pory wąskie stopnie przejmowały mnie strachem. Wmawiałam Pris, że na ich szczycie mieszka troll, służące zaś chodzą tam nie po to, by spać, ale by usługiwać mu potajemnie.

Teraz weszłam po skrzypiących stopniach, ponownie czując się jak dziecko. A jeśli ona tam jest, pomyślałam. Jeśli wyjdzie i zastanie mnie na schodach?

Ale oczywiście jej nie było. Pokój okazał się zimny i pusty: najbardziej pusty pokój, jaki

można sobie wyobrazić, niemal tak pusty jak cele w Millbank, pozbawiony kształtu, faktury i zapachu. Zobaczyłam bezbarwne ściany oraz gołą podłogę z paskiem chodnika zdartego do cna. Szafkę z miednicą, zaśniedziały dzban i łóżko z kłębowiskiem zażółconej pościeli.

Zostawiła tylko blaszany kufer z inicjałami R.V. wydrapanymi gwoździem.

Oczami wyobraźni ujrzałam, jak wytłacza te litery w miękkim, czerwonym sercu Seliny.

Jeśli wszakże to zrobiła, Selina musiała jej na to pozwolić. Własnoręcznie rozsunała skórę na piersi, odsłaniając z płaczem wnętrze, podobnie jak ja ze szlochem odkryłam zawartość kufra.

Ujrzałam tam więzienną suknię w kolorze błota oraz czarny strój pokojówki z białym fartuchem. Leżały splecione niczym śpiący kochankowie; kiedy próbowałam podnieść tę pierwszą, przylgnęła do ciemnej tkaniny drugiej i nie chciała puścić.

Może pozostawiono je z okrucieństwa, może tylko wskutek pośpiechu. Tak czy inaczej odkryłam zawartą w nich wiadomość. Nie były świadectwem oszustwa Vigers, lecz jej przebiegłego, ohydneho zwycięstwa. Trzymała Selinę tu, nad moją głową. Przeprowadziła ją obok moich drzwi, a potem powiodła na górę po nagich schodach, podczas gdy ja siedziałam przy mojej biednej, osłoniętej świecy. I kiedy czekałam, odliczając długie godziny, one leżały obok siebie i szeptały albo w ogóle nie rozmawiała. Słyszac moje kroki, a potem płacz i wołanie, przedrzeźniały mnie szyderczo; następnie może pochwyciły żar mojej namiętności i przejęły go na własność.

Wszak namiętność zawsze do nich należała. Za każdym razem gdy stawałam na progu celi, czując, jak moje ciało wrywa się ku Selinie, Vigers mogła wyglądać mi zza pleców, kradnąc przeznaczone dla mnie spojrzenia. Cokolwiek zapisywałam po ciemku, ona wyносиła na światło dzienne, a następnie kopiowała w swoich listach, przez co moje słowa stawały się jej słowami. A gdy przewracałam się niespokojnie na łóżku i otumaniona lekiem wyczekiwałam nadejścia Seliny, dostawałam w zamian Vigers: widziałam kątem oka jej cień i słyszałam bicie serca wtórującego sercu Seliny, podczas gdy moje wystukiwało swój własny, słaby i nieregularny rytm.

Zobaczyłam to wszystko jak na dłoni. Podeszłam do łóżka i przerzuciłam pościel w poszukiwaniu plam i smug. Następnie zbliżyłam się do miednicy. Została w niej odrobina zmętniałej wody; przegarnęłam ją palcami i wyłowila dwa włosy, jeden ciemny, a drugi złoty. Zrzuciłam miednicę na podłogę: roztrzaskała się na kawałki, woda zachlapała deski. Chwyciłam dzban, pragnąc uczynić to samo, lecz był blaszany i nie chciał pęknąć; tłukłam nim o podłogę, aż cały się powyginał. Materac wyładował na podłodze, pościel podarłam. Trzask pękającego płótna... jak to opisać? Podziałał na mnie jak narkotyk. Darłam i darłam,

aż pościel zamieniła się w strzępy i rozbolały mnie ręce, wówczas zaczęłam szarpać płótno zębami. Podarłam również chodnik. Ten sam los spotkał suknie leżące w kufrze. Pewnie zaczęłabym również drzeć własną suknię i włosy z głowy, gdyby nie zabrakło mi tchu; rozdygotana stanęłam przy oknie i uchwyciłam się framugi, opierając policzek o szybę. Przede mną rozciągał się Londyn, doskonale biały i nieruchomy. Zamieć nie ustała, niebo zdawało się brzemienne śniegiem. Ujrzałam Tamizę i drzewa Battersea, a dalej, po lewej stronie, niewidoczne z mojego okna piętro, niżej tępe szczyty wież Millbank.

W dole zaś, na Cheyne Walk, spacerował policjant odbywający swój codzienny patrol.

Na jego widok w mojej głowie zabłysła pewna myśl. Zostałam okradziona, pomyślałam, podświadomie słysząc w sobie głos matki. Okradziona przez własną służącą! Muszę to zgłosić policjantowi, on ją zatrzyma. Zatrzyma pociąg! Obie pójdą do Millbank! Każę je umieścić w osobnych celach i Selina znowu będzie moja!

Wypadłam z pokoju i zbiegłam po schodach. Na dole zastałam panią Jelf, która krążyła po korytarzu, zalewając się łzami. Minełam ją bez słowa. Otworzywszy drzwi, pospieszyłam w kierunku policjanta, wołając doń drżącym skrzekiem, tak dalece niepodobnym do mego normalnego głosu, że mężczyzna odwrócił się i przybiegł czym prędzej. Złapałam go za ramię. Omiótł spojrzeniem moje rozczochrane włosy, wykrzywioną twarz oraz ranę na szyi, która znowu zaczęła krwawić.

Oświadczyłam, że zostałam okradziona. W moim domu byli złodzieje. Obecnie znajdują się w pociągu jadącym z Waterloo do Francji – dwie kobiety, ubrane w moje suknie!

Popatrzył na mnie dziwnie. "Dwie kobiety" – powtórzył.

– Dwie kobiety, jedna z nich była moją pokojówką. Jest sprytna, wykorzystała mnie bezlitośnie! A druga... druga...

Druga uciekła z Millbank, miałam na końcu języka. Lecz tylko zaczerpnęłam w płuca lodowate powietrze i przycisnęłam rękę do ust.

Bo skąd niby mogłam to wiedzieć?

Jak wytłumaczę, że przygotowałam dla niej suknie? A pieniądze, bilety? Paszport ze zmyślonym nazwiskiem...? Policjant czekał.

– Sama nie wiem – powiedziałam. – Sama nie wiem.

Mężczyzna rozejrzał się dokoła. Opuściwszy gwizdek, który zdążył już wyjąć zza pasa, pochylił głowę.

– Myślę, że nie powinna pani w tym stanie przebywać na ulicy – oznajmił. – Odprowadzę panią do domu, tam spokojnie opowie mi pani wszystko raz jeszcze. Skaleczyła się pani w szyję, mróz podrażni ranę.

Zaoferował mi swoje ramię. Odsunęłam się pospiesznie.

– To zbyt uczynne – oświadczyłam. – Nastąpiła pomyłka – dodałam. – Nie było żadnej kradzieży, w domu nie dzieje się nic niepokojącego.

Odwróciłam się i odeszłam.

Próbował dotrzymać mi kroku, dotykając mojego ramienia i powtarzając moje nazwisko, lecz uparcie wymykałam mu się z rąk. Kiedy zatrzasnęłam mu furtkę przed nosem, zawahał się; korzystając ze sposobności, pobiegłam do domu, zamknęłam drzwi i zasunęłam rygiel, a następnie przylgnęłam plecami do drewna.

Podszedł do drzwi i pociągnął za sznur dzwonka; słyszałam, jak dzwoni w ogarniętej mrokiem kuchni. Zobaczyłam twarz policjanta, zabarwioną na czerwono w szybcie umieszczonej w drzwiach: usiłował zajrzeć do środka, wołając mnie, a następnie służącą. Po chwili dał za wygraną; kiedy odczekawszy kolejną minutę, przekradłam się do gabinetu papy i wyjrzałam przez firankę, ujrzałam, że stoi przy furtce. Wyjął z kieszeni notatnik i coś w nim zapisywał. Zerknął na zegarek i rzucił kolejne spojrzenie na dom. Następnie ponownie rozejrzał się dokoła i powoli ruszył swoją drogą.

Wtedy przypomniałam sobie o pani Jelf. Nigdzie jej nie było. Kiedy jednak po cichu przeszłam do kuchni, dostrzegłam odsuniętą zasuwę: pewnie uciekła tamtędy. Musiała wiedzieć, jak biegnę do policjanta i pokazuję na dom. Biedaczka! Będzie dziś wieczorem z drżeniem serca nasłuchiwać kroków na zewnątrz, tak jak ja zeszłej nocy, gdy siedziałam, płacząc na próżno.

18 czerwca 1873

Ale mieliśmy dzisiaj awanturę! Zebrało się nas siedem osób, to znaczy ja, pani Brink, panna Noakes oraz czworo nieznajomych, w tym dama z rudowłosą córką oraz dwóch panów, którzy przyszli tylko dla zabawy. Zobaczyłam, jak się rozglądają; pewnie szukali ukrytej zapadni albo kółek pod stołem. Przyszło mi do głowy, że mogą chcieć zakłócić seans. Podając Ruth płaszcze, obiecali jej pół korony, jeżeli zawartość ich kieszeni nie "rozpłynie się" w powietrzu. Na mój widok skłonili się ze śmiechem. Jeden z nich ujął mnie za rękę, mówiąc: "Musi pani nas uważać za prostaków, panno Dawes. Wiele słyszeliśmy o pani urodzie, sądziliśmy jednak, że okaże się pani stara i brzydka. Musi pani przyznać, że wiele mediów odpowiada temu opisowi". "Widzę tylko oczami z zaświatów" – odpowiedziałam, na co rzekł: "Przeto obawiam się, że tracisz wiele, spoglądając w lustro. Pozwól nam patrzeć na siebie oczami ludzi, byśmy czerpali z tego jak największy pożytek". Sam miał rzadkie bokobrody i ramiona chude jak u kobiety. Robił wszystko, by usiąść obok mnie, a kiedy kazałam wszystkim chwycić się za ręce, zapytał, czy koniecznie musi trzymać dłoń kolegi, albowiem stanowczo wolałby ująć moje obie ręce. Dama z córką zrobiła zdegustowaną minę, a pani Brink powiedziała: "Według mnie w naszym kręgu brakuje dzisiaj harmonii, panno Dawes. Może wolałaby pani przerwać?". Lecz ja postanowiłam za wszelką cenę kontynuować.

Gdy pograżyliśmy się w oczekiwaniu, rzeczony dżentelmen siedział bardzo blisko mnie i w którymś momencie oznajmił: "To jest to, co nazywamy pokrewnym duchem". Wreszcie puścił rękę kolegi i położył ją na moim obnażonym ramieniu. "Krağ został przerwany" – stwierdziłam natychmiast. "Stanley i ja robiliśmy wszystko jak należy – odparł dżentelmen. – Czuję, jak ręka Stanleya trzyma mnie za koszulę". Gdy wstałam, aby udać się za kotarę, chciał mi towarzyszyć, ale ubiegła go panna Noakes, oświadczając, że to ona mi dziś pomaga. Zapięła mi obrożę, a następnie sięgnęła po sznurek. Widząc to, wspomniany pan Stanley zapytał, czy rzeczywiście trzeba wiązać mnie jak gęś. "Robimy to dla takich niedowiarków, jak pan – odrzekła panna Noakes. – Sądzi pan, że sprawia to nam przyjemność?".

Kiedy zjawił się Peter Quick i położył mi rękę na ramieniu, wszyscy siedzieli cicho jak myszki. Lecz gdy wyszedł zza kurtyny, jeden z panów wybuchnął śmiechem, wołając, że Peter zapomniał zdjąć koszulę nocną. A gdy Peter zapytał, czy zebrani mają jakieś pytania, mężczyźni zapytali o wskazówki, jak dotrzeć do zakopanego skarbu.

Wtedy Peter wpadł w złość. "Przyszliście szydzić z mojego medium – powiedział. – Myślicie, że wzywała mnie z pogranicza wyłącznie dla waszej rozrywki? Po to przebywam tę

uciażliwą drogę, by stać się przedmiotem docinków dwóch gołowąsów?". Pierwszy dżentelmen zapytał: "Po co w ogóle przyszedłeś?" Peter odrzekł: "By głosić wśród was prawdy spirytyzmu! – Następnie dodał: – Oraz po to, aby wręczyć wam dary". Podeszedł do panny Noakes i powiedział: "Oto róża dla pani, panno Noakes. A to owoc dla pani, pani Brink" – i podał jej gruszkę. Obszedł wszystkich zebranych, a na końcu zbliżył się do dżentelmenów i przystanął. "A czy masz i dla mnie kwiat lub owoc?" – zapytał pan Stanley, a Peter odrzekł: "Nie, dla pana nic nie mam, przyniosłem wszakże dar dla pańskiego przyjaciela, oto on!".

Mężczyzna wrzasnął i jego krzesło zgrzytnęło o podłogę. "Niech cię piekło pochłonie, ty diable, coś ty na mnie położył?". Okazało się, że był to krab. Peter rzucił go mężczyźnie na kolana, a dżentelmen poczuł w ciemności jego ruchy i myślał, że to jakiś potwór. Krab pochodził z kuchni: był to jeden z dwóch, które umieszczono w wiadrach z solanką i przykryto talerzami. Na talerzach ustawiono trzy funtowe ciężarki, ażeby kraby nie wydostały się na zewnątrz. Rzecz jasna, dowiedziałam się o tym dopiero później. Wśród niemilkących okrzyków dżentelmena Peter wrócił za kotarę, tymczasem pan Stanley rozglądał się za lampą. Mogłam się tylko domyślać, co zaszło, gdyż Peter przyniósł ze sobą dziwny zapach. Kiedy wreszcie wyszłam zza zasłony, krab znalazł się pod krzesłem; miał pękniętą skorupę, spod której przeświecało różowe mięso, i jeszcze ruszał szczypcami, a mężczyzna wycierał ze spodni ślady solanki. "Nieźła sztuczka" – powiedział do mnie, na co pani Brink odparła, że w ogóle nie powinien był tu przychodzić, gdyż to jego zachowanie rozeźliło Petera.

Kiedy obaj panowie wyszli, wybuchnęliśmy śmiechem. "Ależ ten Peter jest o panią zazdrosny, panno Dawes – zawołała panna Noakes. – Dla pani byłby zdolny do mordu!". Kiedy stanęłam, racząc się winem, podeszła druga dama i odwołała mnie na stronę. Wyraziła ubolewanie wobec faktu, że panowie okazali się tak nieokrzesani. Podobno widywała młode spirytystki, które ulegały zalotom, dlatego ucieszyła się, że jestem inna. "Zastanawiam się, panno Dawes – dodała – czy nie zechciałaby pani przyjrzeć się mojej córce?". Zapytałam, co jej dolega. "Bez przerwy płacze – odpowiedziała dama. – Ma piętnaście lat i chyba nie przestała płakać, odkąd skończyła dwanaście. Powtarzam jej, że wkrótce wypłacze sobie oczy do cna". Odrzekłam, że konieczne będą bliższe oględziny i dama zawołała: "Madeleine, podejdź tu, proszę". Ujęłam dziewczynę za rękę, pytając, co sądzi o wyczynie Petera. Oświadczyła, że był doprawdy niezwykły. Sama dostała od niego figę. Nie pochodzi z Londynu, lecz z Ameryki, z Bostonu. Twierdzi, że widziała tam wielu spirytystów, ale żadne medium nie może się równać ze mną. Jest bardzo młoda. "Czy może pani coś z nią zrobić?" – zapytała jej matka. Odparłam, że nie jestem pewna. Kiedy tak stałam pogrążona w zadumie,

podeszła Ruth i na widok dziewczyny uniosła rękę do jej głowy, mówiąc: "Jakie prześliczne włosy! Peter Ouick z pewnością chciałby je znów zobaczyć".

Uważa, że ta mała się nadaje, byle tylko trzymać ją z dala od matki. Nazywa się Madeleine Angela Rose Silvester. Ma przyjść jutro o wpół do trzeciej.

Nie wiem, która godzina. Zegary stanęły i nie ma kto ich nakręcić. Ale w mieście jest tak cicho, że musi być trzecia lub czwarta, milcząca godzina pomiędzy kursem ostatniej dorożki i turkotem wozów jadących na targ. Wiatr ucichł, na ulicę nie spadła ani jedna kropla deszczu. Mróz pokrywa szyby, lecz choć od godziny wlepiam w nie wzrok, usiłując śledzić ów proces, przybywa go niepostrzeżenie.

Gdzie jest teraz Selina? Jak się ułożyła do snu? Wysyłam w noc swoje myśli, sięgam po pasmo ciemności, które onegdaj zdawało się nas łączyć. Jednakże mrok jest zbyt gęsty, myśli grzęzną i rozplývają się w nicość, pasmo zaś...

Nigdy nie było żadnego pasma, żadnej sfery, gdzie stykałyby się nasze dusze. Istniała tylko moja tęsknota, i jej, tak podobna do mojej, że omyłkowo brałam ją za własną. Obecnie nie ma we mnie tęsknoty, wewnętrzne drżenie ustało – Selina zabrała wszystko, pozostawiając mnie z niczym. Owo nic jest lekkie i nieruchome. Trudno utrzymać pióro, mając ciało wypełnione niczym. Spójrzcie na moją rękę! To ręka dziecka.

Zapisuję ostatnią stronicę. Dziennik płonie: rozpałam w kominku wielki ogień i kolejno wrzuciłam doń wszystkie kartki; ta dołączy do pozostałych, z chwilą gdy wypełni się rozchwanym pismem. Jakie to dziwne, pisać na użytek ognia! Ale dopóki jeszcze oddycham, muszę pisać. Nie mogę tylko czytać tego, co napisałam wcześniej. Kiedy usiłowałam to zrobić, zdawało mi się, że widzę na kartkach białe i lepkie ślady oczu Vigers.

Myślałam o niej dzisiaj. Wspominałam dzień, kiedy do nas przysłała, a Priscilla wyśmiała ją i nazwała brzydulą. Myślałam o poprzedniej pokojówce, Boyd, która płakała, zaklinając się, że w domu straszy. Zapewne nigdy nie słyszała żadnych odgłosów. Pewnie to Vigers nakłoniła ją do odejścia łapówką albo szantażem...

Myślałam o Vigers, głupkowatej Vigers, która spoglądała na mnie tępo, gdy pytałam o kwiaty, która siadała na krześle pod drzwiami, nasłuchując mojego szlochu i westchnień oraz skrzypienia pióra w dzienniku; wówczas brałam jej zachowanie za przejaw życzliwości. Która przynosiła mi wodę i jedzenie, zapalała lampy. Teraz nikt nie przynosi mi jedzenia, płomień zaś kopci, pokasłuje i przygasa. Pełny nocnik wypełnia powietrze kwaśną wonią.

Myślę o tym, jak ubierała mnie i czesała. Myślę o jej wielkich dłoniach i stopach. Teraz już wiem, z czyjej ręki pochodził woskowy odlew, widzę obrzmiałe palce i zażółcone ścięgna. Wyobrażam sobie, że kładzie na mnie swój palec, który rozgrzewa się, mięknie i plami skórę.

Myślę o wszystkich kobietach naznaczonych piętnem jej woskowych rąk, o Selinie, która musiała całować te ociekające palce. I czuję falę zgrozy, zawiści i bólu, albowiem sama jestem porzucona i nietknięta. Wieczorem policjant wrócił pod nasz dom. Ponownie

zadzwoił do drzwi, usiłując zajrzeć do środka. Może wreszcie uznał, że pojechałam do Warwickshire, do matki. A może nie i jutro znów tu przyjdzie. Zastanie kucharkę, która wdrapie się po schodach i zastuka do moich drzwi, po czym uzna, że jestem jakaś nieswoja. Wezwie doktora Ashe'a i pobiegnie po sąsiadkę, panią Wallace. Następnie poślą po matkę. I co dalej? Dalej będą łązy albo niemy żal, kolejna dawka laudanum albo chloral, morfina bądź środek uśmierzający. Potem półroczna rekonwalescencja, jak ostatnim razem, z gośćmi drepczącymi wokół mnie na paluszkach... I stopniowy powrót do nawyków matki: karty u państwa Wallace, odliczanie sennych minut na cyferblacie, zaproszenia na chrzciny siostrzeńców. Tymczasem zaś przesłuchanie w Millbank, podczas którego mogę nie być w stanie dłużej kłamać w jej imieniu i swoim...

Nie.

Poustawiałam na półkach rozrzucone książki. Zamknęłam drzwi ubieralni i szczelnie domknęłam okno. Zrobiłam porządek w pokoju na strychu. Schowałam zniszczony dzban i miskę, pościel, chodnik oraz suknie spaliłam w kominku. Spaliłam również obraz Crivellego, plan Millbank i zachowaną gałązkę drzewka pomarańczowego. Podobny los spotkał aksamitną obrozę i zakrwawioną chustkę, upuszczoną na dywan przez panią Jelf. Obcinarke do cygar starannie odłożyłam na biurko. Zdążyło pokryć się już warstwą kurzu.

Jaka będzie nowa służąca, która przyjdzie je wytrzeć? Widok dygającej pokojówki chyba przypawiłby mnie teraz o dreszcz.

Nalałam do miski zimnej wody i umyłam twarz. Oczyszcziłam ranę na szyi. Wyszczotkowałam włosy. Nie zostało nic, co należałoby sprzątnąć lub schować. Wszystko jest już na swoim miejscu.

Wszystko prócz listu, który napisałam do Helen, on jednak musi zostać w holu przy Garden Court. Kiedy bowiem zastanawiałam się, czy nie pójść tam i nie poprosić o zwrot, przypominałam sobie, z jakim namaszczeniem Vigers niosła go do skrzynki i pomyślałam o wszystkich listach, które zabierała do wysłania oraz paczkach, które przychodziły do naszego domu. Za każdym razem musiała siedzieć piętro wyżej, opisując swą namiętność, tak jak ja opisywałam moją.

Jaki kształt przybierała na kartce? Trudno mi to sobie wyobrazić. Jestem zbyt zmęczona.

Ach, nareszcie jestem zmęczona! Podejrzewam, że w całym Londynie nie ma istoty bardziej znużonej niż ja, może oprócz rzeki, która płynie utartym szlakiem do morza pod osłoną mroźnego nieba. Jak głęboka, czarna i gęsta wydaje się dziś woda! Jak nieruchomo spoczywa jej tafla. Jak lodowate muszą być jej odmęty.

Wkrótce staniesz w słońcu, Selino. Mozolne rozplatanie dobiegło końca: trzymasz w ręku ostatnią nić łączącą cię z moim sercem. Poczujesz, kiedy zwiotczeje?

1 sierpnia 1873

Jest bardzo późno i spokojnie. Pani Brink siedzi u siebie, ma rozpuszczone włosy luźno przewiązane wstążką. Czeka na mnie. Niech sobie czeka.

Ruth leży bez butów na moim łóżku. Pali jeden z papierosów Petera. "Co ty tam skrobiesz?" – pyta. Odpowiadam, że piszę dla oczu mego opiekuna. Wszystko robię dla niego. "Dla niego" – powtarza ze śmiechem Ruth; jej ciemne brwi zbiegają się nad oczami, ramiona podrygują. Pani Brink nie może nas usłyszeć.

Wreszcie w milczeniu spogląda na sufit. Pytam, o czym myśli. Mówi, że myśli o Madeleine Silvester. W ciągu ostatnich dwóch tygodni była u nas cztery razy, ale wciąż jest bardzo nerwowa. Moim zdaniem jest za młoda dla Petera. Ale Ruth odpowiada: "Niech tylko raz ją naznaczy, będzie nasza. Masz pojęcie, jaka jest bogata?".

Chyba słyszę płacz pani Brink. Księżyc wisi wysoko na niebie: jest w nowiu, tuli w ramionach zarys starego. Lamy Cristal Palace jaśnieją na mrocznym tle nieboskłonu. Ruth nadal się uśmiecha.

O czym teraz rozmyśla? Mówi, że myśli o pieniądzach małej Silvester. Ciekawe, na co mogłybyśmy przeznaczyć część takiej fortuny. "Na świecie jest tyle pięknych miejsc – dodaje. – Myślę sobie, że ładnie byś wyglądała w takiej na przykład Francji lub we Włoszech. Myślę o tamtejszych damach, które chciałyby na ciebie popatrzeć. I o białych, wytwornych Angielkach, które jeżdżą tam w nadziei, że słońce podreperuje ich nadwątlone zdrowie".

Gasi papierosa. Idę do pani Brink.

"Pamiętaj, czyją jesteś dziewczynką" – mówi Ruth.

Dla W. E., z podziękowaniem za pomoc i za wszystko.

Tłumaczka